

GRAHAM  
MASTERTON



PLAGA



**Graham Masterton**

**PLAGA  
ZARAZA**

(PLAGUE)

Przekład: Piotr Kuś

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

# Spis treści

Karta tytułowa

## KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

## KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

# KSIĘGA PIERWSZA

## Epidemia

# ROZDZIAŁ 1

Właściwie spał jeszcze, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Jego dźwięk rozbrzmiał mu w głowie z początku cicho, lecz natarczywie, niczym odgłos monety wrzucanej do głębokiej studni. Z każdą chwilą był jednak coraz wyraźniejszy, ktoś stojący pod drzwiami przyciskał guzik dzwonka coraz dłużej i silniej.

Wreszcie otworzył oczy i stwierdził, że to już poranek.

— Chwileczkę! — zacharczał. W ustach miał sucho po długim, głębokim śnie. Mimo to dzwonek wciąż uparcie dzwonił, przyciskany dłonią kogoś bardzo natarczywego.

Zwłókł się z łóżka, pochylił się, żeby podnieść z podłogi płaszcz kąpielowy i z trudem wsunął nogi w gumowe klapki.

Powlókł się do holu. Przez matowe szkło drzwi frontowych dojrzał sylwetkę kogoś niskiego, krępego, w błękitnej koszuli, wciąż przyciskającego dzwonek.

— Chwileczkę! — znów wydobył z siebie głos. Tym razem poszło mu już o wiele lepiej. — Zaraz otwieram.

Odsunął zasuwę, otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Jaskrawe słońce Florydy niemalże go oślepiło. Ciepły poranny wiaterek poruszał palmami rosnącymi wzdłuż podjazdu. Niebo jaśniało już pełnym błękitem.

— Czy to pan jest doktor Petrie? — zapytał go niecierpliwie poranny przybysz.

Był dobrze zbudowany, ubrany byle jak, najwyraźniej czynił to w pośpiechu. W rękach ścisnął kapelusz, a na twarzy miał wyraz kojarzący się z miną zmaltretowanego psa.

— Zgadza się. Która godzina?

— Nie wiem — odparł mężczyzna niecierpliwie. — Może pół do dziewiątej, może dziewiąta. Chodzi o moje dziecko. Chłopak zachorował. Naprawdę zachorował.

Obawiam się, że niedługo może umrzeć. Musi pan ze mną pojechać.

— Czy nie mógł pan zatelefonować do szpitala?

— Zrobiłem to. Zapytali mnie, co jest chłopakowi, a kiedy odpowiedziałem, powiedzieli, że powinienem skontaktować się z jakimś lekarzem. Powiedzieli, że objawy nie wskazują na nic groźnego. Ale z moim synem jest coraz gorzej. Obawiam się najgorszego.

Mężczyzna drżał i był spocony, a ciemne obwódki pod jego oczyma aż nadto świadczyły, jak mało spał ostatniej nocy. Doktor Petrie podrapał się po zarośniętym policzku i pokiwał głową. Po wczorajszym przyjęciu czuł, jakby jakiś ciężki młot kołatał mu w głowie. Potrafił jednak rozpoznać przerażenie i udrekę stojącego przed nim człowieka.

— Niech pan wejdzie do środka i na chwilę usiądzie. Za dwie minuty będę gotów.

Mężczyzna w błękitnej koszuli posłusznie wszedł do domu za doktorem Petriem, był jednak zbyt zdenerwowany, aby chociaż na moment usiąść. Doktor Petrie wszedł do sypialni, zrzucił z siebie płaszcz kąpielowy i w pośpiechu się ubrał. Na nogi nałożył sandały, przyglądził dłonią zmierzwiłone brązowe

włosy, po czym sięgnął po swoją torbę medyczną i kluczyki od samochodu.

W holu mężczyzna wreszcie usiadł na skraju drewnianej ławy, na której rozrzucone były stare pisma medyczne. Wpatrywał się w błyszczący parkiet wzrokiem, jaki doktor Petrie widział już tak wiele razy. “Dlaczego to się przydarzyło akurat mnie? Dlaczego mnie? Przecież na świecie jest tak wiele innych ludzi”.

— Panie...

— Kelly, Dave Kelly. Mój syn także ma na imię Dave, David. Czy jest pan gotów, doktorze?

— Tak. Czy chce pan, żebyśmy jechali moim samochodem?

— Wolałbym. — Dave Kelly pokiwał głową. — Nie byłby ze mnie dzisiaj najlepszy kierowca.

Doktor Petrie zatrzasnął frontowe drzwi i obaj mężczyźni znaleźli się na zewnątrz; owiało ich gorące powietrze, słońce zalało oślepiającymi promieniami.

Nie opodal stał zaparkowany niebieski lincoln continental doktora. Obok przystanął zdezelowany, podniszczony czerwony furgon, który bez wątpienia należał do pana Kelly’ego. Na drzwiach miał wymalowane: “Speedy Motors, sp. z o.o.”

Wsiedli do lincolna i doktor Petrie włączył klimatyzację. Był marzec i o tej porze temperatura przekraczała już trzydzieści stopni w cieniu. Ciche, spokojne ulice modnego przedmieścia Miami, gdzie doktor Petrie mieszkał i pracował, zalane były słońcem. Okna schludnych, eleganckich i drogich domów, były zamknięte, żaluzje pozasuwane.



— A teraz — powiedział doktor, wycofując lincolna z podjazdu — kiedy będziemy jechali, chcę usłyszeć od pana, co dzieje się z pańskim synem. Proszę opowiedzieć mi o wszystkich symptomach. Aha, i jeszcze niech mi pan powie, dokąd mam jechać.

— Do centrum — odparł Kelly, ocierając pot z powiek. — Mieszkam niedaleko północno—zachodniego skraju 20 Ulicy.

Po chwili wyjechali na ulicę. Doktor nacisnął na gaz i samochód skierował się Burlington Drive w kierunku południowym. Urządzenie klimatyzacyjne szybko osuszyło pot pana Kelly'ego i teraz z kolei mężczyzna zaczął się trząść.

— Dlaczego wybrał pan akurat mnie? — zapytał doktor Petrie. — Przecież znalazłby pan ze stu doktorów bliżej domu.

Pan Kelly zakaszłał.

— Polecono mi pana. Mój szwagier, jest prokuratorem, był kiedyś pańskim pacjentem. Zatelefonowałem do niego i poprosiłem, żeby mi podał nazwisko najlepszego, jego zdaniem, lekarza. Mówię panu, doktorze, mój chłopak potrzebuje naprawdę najlepszego. Jeżeli jest z nim tak źle, jak wygląda, tylko najlepszy lekarz mu pomoże.

— No to jak źle wygląda? — Doktor Petrie szerokim łukiem ominął parkującą ciężarówkę.

— Kiedy do pana wyjeżdżałem, nie miał nawet siły otwierać oczu. Jest biały jak papier. O dziesiątej czy jedenastej wieczorem dostał drgawek, które nie ustały do rana. Od tego czasu podawałem mu wodę i aspirynę. Czy dobrze postąpiłem?

Doktor Petrie pokiwał głową.

— W każdym razie mu pan nie zaszkodził. Ile on ma lat?

— Właśnie ukończył dziewięć.

Doktor Petrie skręcił na 441 Ulicę i lincoln niktą teraz w kierunku południowym. Doktor popatrzył na swój stary zegarek. Było kilka minut po dziewiątej. Westchnął. Fatalny początek jak na poniedziałek. Przyjrzał się swojemu odbiciu w samochodowym lusterku i ujrzał krótko ostrzyżonego typowego amerykańskiego lekarza w średnim wieku, z kacem aż nadto wyraźnie wymalowanym na twarzy.

Co bardziej zgryźliwi koledzy—lekarze nadali kiedyś doktorowi Petriemu przydomek “Święty Leonard od geriatrici”, a to dlatego, że jego klientelę stanowili w dużej mierze starsi i nieprzyzwoicie bogaci ludzie — głównie stare wdowy o bezgranicznych fortunach, opalone na brąz w odcieniu przypominającym kolor skórzanych toreb używanych przez listonoszy. Drugi powód przydomka był taki, że doktor Petrie wyglądał aż nieprzyzwoicie świętoszkowato. Odnosiło się wrażenie, że zaledwie połowę swej szerokiej wiedzy medycznej uzyskał dzięki nauce i praktyce; drugą podarował mu sam Bóg. Poza tym był wysoki, szczupły i sprawny, miał jasne oczy i przyjazną, szczerą twarz — to wszystko pracowało na jego sukces.

Doktor Petrie spoglądał na swoją pracę w ten sposób: bogate starsze damy potrzebują opieki medycznej tak, jak wszyscy inni ludzie i skoro on sam potrafi zarabiać dużo pieniędzy, udzielając im porad, czasami nawet dotyczących wyimaginowanych przez nie chorób, nie ma w tym nic złego, ani z punktu widzenia medycyny, ani etyki. A poza tym, rozmyślał, mimo pieniędzy, które już zarobiłem, jestem

wystarczająco odpowiedzialnym człowiekiem, aby zwlec się z łóżka w gorący poniedziałkowy poranek i jechać przez całe miasto do ciężko chorego dziecka.

Żałował w tej chwili, że nie jest na tyle zrównoważonym człowiekiem, by odmawiać sobie alkoholu; poprzedniego wieczoru wypił osiem solidnych drinków na przyjęciu w klubie golfowym.

— Kto jest teraz z chłopakiem? — zapytał Kelly'ego.

— Matka. Miała iść do pracy, ale została w domu.

— Czy podaliście mu coś do jedzenia albo do picia, poza wodą?

— Dostawał tylko wodę. Mówię panu, w jednej chwili dzieciak ma czterdzieści stopni gorączki, a w następnej jest już zimny jak lód. Przez cały czas ma suche usta, językiem ledwie porusza. Uznałem, że woda będzie najlepsza.

Doktor Petrie zatrzymał samochód na czerwonych światłach i oczekując na ich zmianę, bębnił palcami po kierownicy, rozmyślając.

Kelly popatrzył na niego, blady, przerażony, próbując ukrywać oznaki zdenerwowania.

— Czy przypomina to objawy jakiejś znanej panu choroby? — zapytał.

Doktor Petrie uśmiechnął się.

— Niczego nie mogę panu powiedzieć, zanim nie zobaczę chłopaka — odparł. — Jak pracują jego zwieracze?

— Jego co?

— Zwieracze. Czy są luźne, czy nie? Jak oddaje stolec? Pan Kelly pokiwał głową.

— No właśnie. Leci z niego jak z syfonu.

Ruszyli i Kelly zaczął wskazywać drogę.

Po kilku zakrętach dotarli do skrzyżowania, na którego jednym z rogów znajdował się wielopoziomowy garaż. Wjechali do niego i doktor zaparkował obok zdezelowanej ciężarówki. W rogu wałały się stare zderzaki, fragmenty karoserii i inne rdzewiejące części do samochodów.

Kelly wysiadł z lincolna.

— Niech pan idzie za mną — powiedział. — Mieszkamy nad garażem.

Doktor Petrie wziął torbę lekarską i popatrzył na lincolna. Następnie ruszył za Kellym. Wspięli się na górę po drgających schodach przeciwpożarowych, po czym przez zawałony różnymi gratami balkon dostali się do mieszkania Kelly'ego. Było tu ciemno, ponuro, śmierdziało stare, skisłe mleko.

— Glorio, przyprowadziłem lekarza! — zawołał pan Kelly. Nie było odpowiedzi.

Kelly poprowadził Petriego przez mieszkanie w kierunku wąskiego holu. Znajdował się tutaj złamany stojak na parasole, a ściany oblepione były fotografiami samochodów wyścigowych.

— Tędy — powiedział Kelly. Delikatnie otworzył drzwi znajdujące się na końcu holu i wprowadził doktora Petriego do kolejnego pomieszczenia.

Chłopak leżał w wygniecionej, mokrej od potu pościeli. W pokoju panował wstrętny smród: mimo otwartego okna śmierdziało kałem i uryną. Chłopak był chudy i wysoki jak na swój wiek. Miał bardzo krótko ścięte włosy, co w połączeniu z

bladością i cierpieniami, które przeżywał, nadawało mu wygląd ofiary obozu koncentracyjnego.

Oczy miał zamknięte, lecz powieki były nabrzmiałe, niebieskie niczym śliwki.

Koścista klatka piersiowa chłopaka falowała; oddychał szybko, gwałtownie, z widocznym wysiłkiem. Jego ręce, spoczywające na pościeli, drżały. Matka przykładła mu do czoła zimne ręczniki.

— Nazywam się Petrie — powiedział Leonard, kładąc na moment swoją dłoń na ramieniu matki. Była drobną kobietą o kręconych włosach, mogła mieć około czterdziestu lat. Ubrana była w zniszczoną różową sukienkę, na twarzy miała ślady makijażu, którego nie zdążyła zetrzeć od czasu, gdy zachorował jej syn.

“— Cieszę się, że pan przyszedł, doktorze — powiedziała zmęczonym głosem. — Od kilku godzin nie jest mu ani lepiej, ani gorzej.

Doktor Petrie otworzył torbę lekarską.

— Zbadam go teraz. Ciśnienie krwi, pracę serca i tym podobne sprawy. Czy zechcieliby państwo poczekać na zewnątrz, gdy będę badał waszego syna?

Matka popatrzyła na niego przemęczonymi oczami.

— Spędziłam przy nim całą noc. Nie widzę żadnego powodu, żeby akurat teraz wychodzić. Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Jak pani uważa. Ale wydaje mi się, że powinna pani spokojnie wypić filiżankę mocnej kawy. Panie Kelly, czy byłby pan tak uprzejmy i przyrządził kawę dla nas wszystkich?

— Jasne — powiedział ojciec, stojący dotąd niepewnie w progu.

Doktor Petrie usiadł przy łóżku na prostym drewnianym krześle i ujął dłoń chłopca, aby zbadać jego puls. Był słaby i nieregularny; niczego gorszego doktor nie mógł oczekiwać.

Matka, która przez kilka chwil w milczeniu zaciskała usta, odezwała się:

— Czy on wyzdrowieje, doktorze? Wyzdrowieje, prawda? Dzisiaj właśnie miał pójść do Małpiej Dżungli.

Doktor Petrie spróbował się uśmiechnąć. Znow uniósł ramię chłopca i sprawdził ciśnienie krwi. O wiele za wysokie. Ostami raz, gdy widział pacjenta w takim stanie, nieszczęśnik zmarł po trzech godzinach. Zażył potężną dawkę barbituratów.

Doktor uniósł nabrzmiałą powiekę chłopaka i pomagając sobie niewielką latarką, zbadał jego szkliste oczy. Wzrok chłopaka prawie nie reagował na światło.

Przyłożył stetoskop do chudej piersi dziecka i wsłuchał się w bicie serca. Usłyszał wyraźnie szmery w płucach.

— David — powiedział cicho, prosto do ucha chłopca. — Davidzie, czy mnie słyszysz?

Wargi dziecka poruszyły się, zadrżały, jednak to było wszystko.

— Och, jaki on jest chory — powiedziała pani Kelly łamiącym się głosem. — Jak bardzo chory.

Doktor Petrie położył dłoń na ramieniu chorego.

— Pani Kelly — powiedział. — To dziecko musi natychmiast znaleźć się w szpitalu.

Czy mógłbym skorzystać z państwa telefonu?

Pani Kelly zbladła.

— W szpitalu? Przecież telefonowaliśmy już do szpitala i powiedzieli nam, że wystarczy, jak chłopaka obejrzy lekarz. Czy jest pan w stanie coś dla niego zrobić?

Doktor Petrie wstał.

— Co pani powiedzieli? Czy opisała im pani, w jakim stanie jest pani dziecko?

— Powiedziałam, że jest bardzo chory, że ma gorączkę i że kilka razy zabrudził łóżko.

— I co oni na to?

— Stwierdzili, że prawdopodobnie dzieciak zjadł coś niedobrego i powinnam trzymać go w cieple, dawać mu dużo do picia i nic do jedzenia oraz sprowadzić jakiegoś lekarza. Zaraz jednak, kiedy skończyłam rozmowę, chłopak poczuł się jeszcze gorzej. Wtedy właśnie postanowiliśmy, że Dave pojedzie do pana.

— Ten chłopak musi natychmiast znaleźć się w szpitalu — powtórzył doktor Petrie.

— Naprawdę, natychmiast. Gdzie tutaj jest telefon?

— W holu. Prosto od drzwi tego pokoju.

Wychodząc do holu, doktor Petrie nieomal zderzył się z panem Kelly, niosącym trzy filiżanki z kawą na małej tacy. Uśmiechnął się do niego pocieszająco i wziął jedną z filiżanek. Wykręcając numer najbliższego szpitala, jednocześnie sączył kawę, bardzo uważając, aby nie poparzyć się czarnym, gorącym płynem.

— Czy ostry dyżur? Halo! Tak? Proszę mnie posłuchać, przy telefonie doktor Leonard Petrie. Mam tutaj młodego chłopca;

dziwiewięcioletniego, bardzo chorego.

Musi natychmiast znaleźć się w szpitalu. Konieczne jest badanie krwi oraz płwociny... Sądzę, że zaatakowała go jakaś choroba zakaźna. Być może cholera.

Tak. Och, oczywiście, powiem rodzicom. Dajcie mi pięć, nie, dziesięć minut, zaraz tam będę.

Państwo Kelly słyszeli całą rozmowę.

— Cholera? — wykrzyknął pan Kelly. Doktor Petrie połknął jeszcze tyle kawy, ile był w stanie, nie parząc sobie gardła.

— Być może cholera — powiedział, zachowując spokojny ton.  
— Sądząc po objawach, małe jest jednak jej prawdopodobieństwo. Nie mogę niczego powiedzieć na pewno, dopóki nie będę miał wyników badania krwi. Doktor Selmer zrobi je dla mnie w szpitalu tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. To mój dobry przyjaciel. Razem grywamy w golfa.

Pani Kelly jakby nie zrozumiała ostatniego zdania.

— Golfa? — zapytała słabym głosem.

Doktor Petrie ponownie udał się do pokoju chorego chłopca i pomógł pani Kelly ubrać go w czystą pidżamę. David drżał i szeptał coś do siebie, kiedy matka zapinała guziki bluzy od pidżamy, ale były to jedyne oznaki życia. Wreszcie doktor Petrie wziął chorego w ramiona i ruszył z nim w kierunku drabinki przeciwpożarowej. Pan Kelly postępował za nim, niosąc jego torbę lekarską.

— Mam nadzieję, że mój syn wyzdrowieje — powiedział Kelly. — Właśnie dzisiaj miał pojechać na szkolną wycieczkę. Będzie mu bardzo przykro, że ją opuścił. Od kilku tygodni nie



mówił o niczym innym, jak tylko o tej wycieczce. “Kiedy tylko znajdę się w Małpiej Dżungli...” i tak dalej.

— Niech się pan nie martwi, panie Kelly. Kiedy David tylko znajdzie się w szpitalu, dostanie się pod doskonałą opiekę.

Byli już prawie u podnóża drabinki, kiedy doktor Petrie poczuł, jak coś przepływa przez ciało dziecko — jakieś westchnienie, wibracja, drżenie. Był zbyt doświadczonym lekarzem, aby natychmiast tego nie rozpoznać. Chłopiec umierał.

Powinien zostać natychmiast podłączony do respiratora; dwie lub trzy minuty decydowały o jego życiu albo śmierci.

— Panie Kelly — powiedział doktor przez zaciśnięte gardło.  
— Musimy dostać się do tego szpitala cholernie szybko.

Pan Kelly zmarszczył czoło.

— Co? — zapytał. Jednak kiedy zobaczył, że doktor raptownie przyśpieszył na ostatnich stopniach drabinki i zaczął biec w kierunku samochodu, ruszył za nim bez słowa.

— Moje kluczyki — powiedział doktor Petrie gwałtownie. — Niech je pan wyjmie z mojej kieszeni. Nie, są z drugiej strony. Tak, tutaj.

Roztrzęsiony pan Kelly wyszarpnął kluczyki i natychmiast je upuścił. Potoczyły się pod samochód. Kelly ciężko opadł na kolana i zanurkował pod lincolna, podczas gdy jego syn z każdą chwilą robił się coraz słabszy w ramionach doktora Petriego.

— Niech się pan pośpieszy, na miłość boską!

W końcu pan Kelly dotarł dłonią do kluczyków, zgarnął je do siebie, podniósł i powstawszy na nogi, otworzył samochód. Doktor Petrie położył ostrożnie Davida na tylnym siedzeniu i

nakazał panu Kelly'emu, aby usiadł przy nim i czuwał, aby chłopiec nie stoczył się na podłogę. Szpital znajdował się o pięć minut drogi, jeżeli jechało się ostrożnie i zgodnie z przepisami, doktor Petrie nie miał jednak aż tyle czasu, aby sobie na to pozwolić.

Silnik lincolna zaskoczył za pierwszym przekręceniem kluczyka. Doktor Petrie wycofał samochód kilka jardów, po czym gwałtownie ruszył do przodu i po chwili samochód znalazł się na ulicy. Natychmiast też przejechał skrzyżowanie na czerwonych światłach, włączywszy reflektory i z całych sił naciskając na klakson. Modlił się, aby centrum Miami nie było akurat teraz zatłoczone. Omijając z prawej strony sznur samochodów, których kierowcy wyrażali swoje niezadowolenie, naciskając na klaksony, lincoln pognał Południowo—Zachodnią 27 Aleją z prędkością niemal pięćdziesięciu mil na godzinę. Doktor Petrie zmieniał co chwilę pas ruchu, z desperacją starając się omijać blokujące go samochody, przyciskając klakson i co chwila błyskając światłami.

— Jak z Davidem? — wykrzyknął.

— Nie wiem — odparł jego ojciec. — Chyba niedobrze. Robi się taki jakiś niebieski.

Doktor Petrie poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Zacisnął zęby; w tej chwili nie myślał już o niczym innym, jak tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

Po chwili ujrzał w oddali jego ogromny budynek. Wciąż miał szansę, że jednak zdąży.

W tym właśnie momencie, bez żadnego ostrzeżenia, wielka zielona ciężarówkachłodnia skręciła przed nim w prawo i

zatrzymała się, tarasując całą ulicę.

— Cholera jasna! — warknął doktor i nacisnął na hamulec.

Otworzył okno samochodu i wychylił się na zewnątrz. Kierowca ciężarówki, dobrze zbudowany, krępy facet, w przetłuszczonej czapce z daszkiem na głowie, palił papierosa, jednocześnie niemrawo manewrując pojazdem z zamiarem wjechania w wąską bramę.

— Cholera jasna, człowieku! — wykrzyknął doktor Petrie. — Człowieku, zjeżdżaj stąd tą swoją zasraną ciężarówką!

Kierowca leniwie otrząsnął dym z papierosa.

— Człowieku, dokąd ci się śpieszy? — odkrzyknął. — Spokojnie, nie bądź taki nerwowy, bo nabawisz się wrzodów żołądka.

— Jestem lekarzem! Mam w samochodzie umierające dziecko. Muszę natychmiast dostać się z nim do szpitala! Kierowca jedynie wzruszył ramionami.

— Jeśli otworzą mi szerzej bramę, natychmiast odblokuję ci przejazd. Nic więcej nie mogę zrobić.

— Na miłość boską, człowieku! Ten dzieciak naprawdę umiera!

Kierowca zaciągnął się i po chwili wydmuchnął dym z papierosa.

— Nie widzę żadnego dzieciaka — zauważył. Dał jednak sygnał klaksonem, aby przypomnieć o sobie ludziom, którzy powinni szeroko otworzyć bramę.

Doktor Petrie musiał przymknąć oczy, aby nad sobą zapanować. Udało mu się to, po czym skręcił gwałtownie kierownicą w prawo i ruszył w kierunku chodnika. Lincoln

wjechał na chodnik, uderzając podwoziem o występ, po czym zakręcił w lewo i ocierając się o ciężarówkę, przejechał przed jej przednim zderzakiem, mieszcząc się pomiędzy wielkim autem a bramą.

Minęły trzy kolejne cenne minuty, zanim lincoln doktora Petriego dotarł do szpitala i gwałtownie zahamował przed szpitalną izbą przyjęć. Trzech sanitariuszy czekało już z noszami na kółkach. Wydostali małego Davida z samochodu, bezwładnego niczym szmaciana kukła, i ułożyli delikatnie na noszach.

Następnie błyskawicznie z nim odjechali.

Pan Kelly ciężko oparł się o samochód. Jego spocona twarz wyrażała skrajne cierpienie.

— Jezu Chryste — wyszeptał. — Myślałem, że już nigdy tutaj nie dotrzemy. Teraz chyba wszystko będzie dobrze, prawda?

Doktor Petrie uspokajająco położył dłoń na jego ramieniu.

— Nie ma powodu w to wątpić, panie Kelly — powiedział. — Pański syn naprawdę jest poważnie chory, ale tutaj pracują doskonali lekarze. Znają się na rzeczy i zrobią dla małego Davida wszystko, co tylko będą w stanie.

Pan Kelly pokiwał tylko głową. Był zbyt zmęczony, aby dyskutować z doktorem.

— Jeśli chce pan oczekiwać na wiadomości w poczekalni, niech pan wejdzie do szpitala głównym wejściem i zapyta o nią recepcjonistkę. Pokaże panu drogę.

Kiedy porozmawiam z lekarzami, pod opieką których znajdzie się David, odszukam tam pana, dobrze?

Pan Kelly znów pokiwał głową.

— Dziękuję, doktorze — powiedział. — Niech pan tylko przypilnuje, żeby David miał dobrą opiekę.

— Oczywiście.

Doktor Petrie pozostawił Kelly'ego samemu sobie, po czym pchnąwszy wahadłowe drzwi, znalazł się na oddziale przyjęć szpitala. Korytarz, w którym po chwili się zagłębił, miał jasne, kremowe ściany. Doktor szedł nim dość długo, aż wreszcie otworzył drzwi pokoju, do którego zmierzał.

W środku jego stary przyjaciel, doktor Selmer, mówił właśnie coś do grupki lekarzy i pielęgniarek, trzymając w rękach probówki z próbkami krwi.

— Jak leci? — zapytał doktor Petrie od progu. Selmer bez słowa odłożył probówki i po chwili obaj wyszli razem na korytarz.

Anton Selmer był niskim mężczyzną o kręconych włosach, szerokim, płaskim nosie i o niezliczonej ilości piegów na twarzy. Miał niewielki astygmatyzm i nosił okulary w grubych rogowych oprawkach. W tej chwili ubrany był w zielony płaszcz chirurgiczny. Westchnął ciężko i wzruszył ramionami.

— Jeśli chodzi o ten ostatni przypadek, to jeszcze nic ci nie powiem, Leonardzie. Dopiero zaczynamy analizę krwi, płwociny i moczu. Dobrze jednak postąpiłeś, że przywiozłeś chłopaka właśnie tutaj.

— Czy jednak nic ci nie przychodzi do głowy? Doktor Selmer wzruszył ramionami.

— Co ci mogę powiedzieć? Miałeś rację, mówiąc, że objawy trochę przypominają cholere, ale, oczywiście, nie jest to cholera. Poważny jest stan gardła i płuc chłopaka, a kończyny

nabrzmiałe. Być może chodzi o jakiś bardzo rzadki przypadek alergii, ale moim zdaniem w grę wchodzi raczej jakaś choroba zakaźna. Zakaźna i bardzo ciężka.

Doktor Petrie potarł zarośnięty policzek.

— Cholera — powiedział doktor Selmer z uśmiechem. — Wyglądasz, jakbyś wczoraj wieczorem dobrze się bawił. Doktor Petrie odwzajemnił uśmiech.

— Każdy rozwiedziona mężczyzna ma prawo czasami świętować swój dobry los — zażartował. — A prawdę mówiąc, byłem na przyjęciu w klubie golfowym.

— Patrząc na ciebie, nie żałuję, że mnie tam wczoraj nie było. Wyglądasz jak chodząca śmierć.

Z którychś drzwi wynurzyła się postać zgrabnej ciemnowłosej pielęgniarki i obaj mężczyźni przez kilka sekund spoglądali za nią z wyraźnym zainteresowaniem. W końcu doktor Petrie przerwał ciszę:

— Jeżeli choroba małego Davida jest zakaźna, dobrze będzie, gdy zbadamy jego rodziców. Przyda się też, jeżeli dowiemy się, w jaki sposób chłopak się zaraził.

Poza tym, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby samemu się zbadać.

— Kiedy tylko dowiemy się, z czym mamy do czynienia, zastosujemy środki zapobiegawcze wobec wszystkich osób, które miały kontakt z chłopcem. Chryste, dopiero co uporaliśmy się z zimową epidemią grypy. Epidemia cholery to ostatnia rzecz, jakiej bym teraz pragnął.

— Jaki miły początek tygodnia — zauważył doktor Petrie. — A przecież ten Kelly nawet nie mieszka w mojej dzielnicy.

Prowadzi garaż na Północno—Zachodniej 20 Alei.

Doktor Selmer ściągnął z głowy zieloną czapeczkę chirurgiczną.

— Zawsze wiedziałem, że jesteś aniołem stróżem całego Miami, Leonardzie.

Wyobrażam sobie, jak podczas Sądu Ostatecznego zasiadasz po prawej ręce Boga.

No, może jako drugi po jego prawicy.

Doktor Petrie uśmiechnął się.

— Pewnego dnia, Anton, trzaśnie w ciebie piorun, karząc cię za to, że nie wierzysz w Boga. Wiesz co, trochę roztrzaskałem samochód, jadąc tutaj. Jakiś skurwysyn w ciężarówce zablokował całą jezdnię i musiałem ominąć go, wjeżdżając na chodnik. A ten gnój, uwierzyłbyś, po prostu siedział sobie wygodnie w kabinie i palił papierosa!

Doktor Selmer zmarszczył czoło.

— To samolubne społeczeństwo, Leonardzie. Nikt nie przejmuje się losami innych ludzi.

Powolnym krokiem ruszyli przed siebie korytarzem.

— To się stało chyba właśnie wtedy — powiedział doktor Selmer.

— Co się stało?

— Wtedy właśnie chłopak umarł. Doktor Petrie zatrzymał się i wbił w przyjaciela ciężkie spojrzenie.

— Chcesz powiedzieć, że on nie żyje? Doktor Selmer ujął go za rękę.

— Leonardzie, bardzo mi przykro. Myślałem, że wiedziałeś. Przywiozłeś chłopaka, kiedy już był martwy. Dobrze zrobisz,

jeśli dokładnie wyczyścisz cały samochód.

Nie sądzę, żebyś sam chciał umrzeć wkrótce na to, na co zmarł ten chłopiec.

Doktor Petrie pokiwał głową. Czuł się, jakby ktoś uderzył go ciężkim młotem w głowę. Widział już wiele śmierci, lecz do tej pory były to głównie ataki serca czy wylewy krwi do mózgu jego starszych i starzejących się pacjentek. Ludzie, którymi opiekował się doktor Petrie, w pełni zdawali sobie sprawę ze swej śmiertelności i nieuchronności bliskiego kresu. A David Kelly miał zaledwie dziewięć lat życia za sobą i właśnie dzisiaj miał pojechać na szkolną wycieczkę do Małpiej Dżungli.

— Anton — powiedział doktor Petrie. — Później się z tobą skontaktuję. Teraz muszę powiedzieć o tej śmierci ojcu chłopca.

— W porządku. Poproś jednak oboje rodziców, aby zgłosili się do szpitala na badania kontrolne. Nie chciałbym, żeby to, co przytrafiło się chłopakowi, spowodowało również ich śmierć.

Doktor Petrie przyśpieszył i po chwili znalazł się przed drzwiami poczekalni.

Zanim je otworzył, spojrział przez małe, okrągłe okienko na wysokości głowy i zobaczył pana Kel—ly'ego siedzącego na czerwonym plastikowym krześle. Palił papierosa i próbował czytać wczorajszy "Miami Herald".

Cóż powiedzieć temu człowiekowi? Jak powiedzieć ojcu, że jego jedyny syn, dziewięcioletni syn, właśnie umarł?

Po chwili wahania doktor Petrie zebrał się w sobie i pchnął drzwi. Pan Kelly podniósł głowę. W spojrzeniu, jakim obdarzył doktora, błąkały się iskielki nadziei.



— Czy pan go widział? — zadał pytanie. — Czy wszystko w porządku?

Doktor Petrie położył dłoń na ramieniu mężczyzny i widząc, że ten próbuje wstać, delikatnie przycisnął go do krzesła. Sam również usiadł i spojrzał w zmęczone, ale pełne wiary oczy Kelly'ego. Twarz doktora przybrała wyraz głębokiego i szczerego współczucia. Kiedy odezwał się, jego głos był łagodny i cichy, wyrażający uczucie daleko głębsze niż zdawkowe współczucie lekarza.

— Panie Kelly — powiedział. — Bardzo mi przykro, ale pański syn, David, nie żyje.

Usta Kelly'ego ułożyły się, jakby miał zadać pytanie, jednak pytanie nie padło.

W milczeniu wpatrywał się w doktora wzrokiem, z którego nie można było wyczytać, czy Kelly wie, gdzie się znajduje, i czy zdaje sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Wciąż siedział bez ruchu i patrzył w twarz doktora Petriego, gdy po jego policzkach pociekły gorzkie łzy.

Doktor Petrie powstał.

— Chodźmy — powiedział cicho. — Odwiozę pana do domu.

Kiedy przyjechał do kliniki, okazało się, że jego asystentka, Esther, jest już na miejscu, otworzyła poranną pocztę i do wysokiej szklanki nalała zimnego soku pomarańczowego. Siedziała teraz za biurkiem, pisząc na maszynie. Długie nogi trzymała wyprostowane przed sobą; były zgrabne i nawet przypadkowe spojrzenie wystarczało, aby móc obejrzeć je niemal w całości, bowiem krótka spódniczka Esther krótsza już być nie mogła. Każdemu uderzeniu w klawiaturę maszyny

towarzyszyło chwilowe wahanie, każde naciśnięcie klawisza było wyważone, ostrożne; cóż, w końcu panna Esther wcale nie miała zamiaru połamać sobie pięknych szkarłatnych paznokci przy tak prozaicznej czynności, jaką jest pisanie na maszynie. Obcisła, biała bluzeczka podkreślała spore rozmiary jej jędrnych, sterczących piersi. Na nogach miała srebrne buciki na wysokim obcasie.

Mimo pozorów wskazujących, że Esther pracuje tutaj dla ozdoby, a nie z rzeczywistej potrzeby, była kompetentną, spokojną i inteligentną sekretarką.

Doktor Petrie korzystał z jej pomocy już kilkakrotnie, gdy trzeba było uspokajać jakąś roztrzęsioną pacjentkę; sam nie zrobiłby tego lepiej. Poza tym okazywała się niezastąpiona jako partnerka, gdy trzeba było zrobić wrażenie na kolegach— lekarzach w czasie przyjęć, kongresów, czy przy okazji zawierania umów.

— Dzień dobry, doktorze — powiedziała do Petriego, gdy ten wkroczył do swojej kliniki. — Telefonowałam do pańskiej sypialni, ale nie było tam pana.

— Rozczarowana? — zapytał, sadowiąc się na skraju jej biurka.

Esther zwilżyła językiem swe lśniące czerwone wargi.

— Troszeczkę. Twój Kopciuszek tęsknił za tobą. Doktor Petrie uśmiechnął się.

— Jakież telefony?

— Tylko dwa. Pani Yicincki chce wpaść tutaj o jedenastej. Powiedziała, że kolano rwie ją tak, że nie może wytrzymać. Poza tym dzwoniła twoja żona.

Doktor Petrie wstał i ściągnął marynarkę.

— Moja była żona — poprawił ją.

— Przepraszam. Twoja była żona. Powiedziała, że masz zająć się swoją córką dzisiaj, a nie jutro, ponieważ jutro ma zamiar odwiedzić swoją matkę w Fort Lauderdale.

Doktor Petrie przetarł oczy.

— Rozumiem. Oczywiście, nie powiedziała, o której godzinie spodziewa się mnie dzisiaj?

— O siódmej. Priscilla już będzie czekała.

— W porządku. Ile czasu mam do pierwszego pacjenta?

— Dziesięć minut. To pani Fairfax. Cała jej dokumentacja leży już na twoim biurku. Niewiele było dzisiaj poczty; możesz zająć się nią później.

Doktor Petrie złapał się za głowę.

— Zdaje się, że pomyślałaś o wszystkim, moja droga. Esther zmierzyła go swymi dużymi, ciepłymi, niebieskimi oczyma.

— Tego chyba wymaga się właśnie od sekretarek, prawda?

Poklepał ją delikatnie po ramieniu.

— I tak, i nie. Czasami myślę... Hmm... — Pocałował ją w czoło i zaraz odsunął od siebie.

— Pamiętaj, Leonardzie, że dziewczyna nie może czekać wiecznie. Nawet na księcia z bajki.

Doktor Petrie wszedł do gabinetu. Zajmował on spory fragment wschodniej części jego domu — był to duży pokój, o jednej ścianie przeszklonej, pozwalającej spoglądać na wybrukowane płaskimi kamieniami patio i lśniący nieskazitelnie spokój na tafli błękitnej wody basen. Gabinet wyłożony był dywanami w kolorze głębokiej zieleni, a na

każdej ze ścian znajdowały się nieprzyjazne, matematycznie zimne obrazy jakichś nowoczesnych artystów. Przy jednym z okien stała na szafce blada, marmurowa statuetka pędzącego konia.

Doktor Petrie usiadł w szerokim fotelu za biurkiem i mimo wszystko wyciągnął rękę w kierunku bieżącej poczty. Zwykle czytał korespondencję szybko, ale uważnie, dzisiaj jednak był prawie zupełnie wytrącony z równowagi. Szybko wypił sok pomarańczowy, starając się odsunąć od siebie wizerunek kredowobiałej twarzy Davida Kelly'ego, ścigający go niczym nocny koszmar.

Korespondencji rzeczywiście nie było wiele. Ktoś przysłał próbki nowych leków, dotarł wreszcie — z opóźnieniem — prenumerowany przez niego tygodnik medyczny, był też list od prawnika, zawiadamiający doktora Petriego, że Margaret, jego była żona, odmówiła oddania jego ulubionego obrazu, zdobiącego do tej pory jedną ze ścian ich wspólnego domu. Prawdę mówiąc, doktor wcale nie spodziewał się, że Margaret mu go zwróci. Już dawno dała mu do zrozumienia, że dom wraz ze wszystkim, co w nim się znajduje, uważa za jedną nierozzerwalną całość.

Do gabinetu weszła Esther, niosąc kawę. Sposób, w jaki jej wydatne piersi kołysały się pod białą bluzeczką, dobitnie świadczył, iż nie ma na sobie stanika. Doktor Petrie przez chwilę zastanawiał się, jak Esther wygląda nago; na chwilę pogrążył się w zadumie, ale szybko powrócił myślami do rzeczywistości.

Dzisiejszy dzień wcale nie rysował się różowo.

Esther ostrożnie postawiła filiżankę na biurku, popatrzyła uważnie na doktora Petriego i powiedziała:

— Jakoś nieciekawie dzisiaj wyglądasz. Jakbyś nie był sobą.

— A kim? Richardem Chamberlainem?

— Nie, nie o to mi chodzi. Po prostu nie wyglądasz

Doktor Petrie powoli osłodził kawę i starannie ją zamieszał.

— Jestem przygnębiony — odparł wreszcie. — To wszystko.

— Czy mogę w jakikolwiek sposób ci pomóc? Doktor Petrie uniósł wzrok. Uśmiechnął się nieznacznie, po czym potrząsnął głową.

— Nie, myślę, że nie. To wszystko z powodu tego, co przytrafiło mi się dzisiaj nad ranem. Wezwano mnie do chorego chłopca, do centrum miasta. Przyjechał tutaj ojciec chłopaka, ponieważ ktoś powiedział mu, że jestem najlepszym lekarzem w mieście. Niestety, dotarłem do chorego za późno. Dzieciak zmarł w szpitalu. Miał zaledwie dziewięć lat.

— Okropne.

Doktor Petrie ciężkim ruchem potarł swój kark.

— Wiem. To naprawdę okropne. Nigdy nie czułem się jeszcze tak okropnie bezradny jak dzisiaj.

Esther delikatnie położyła swoją dłoń na jego.

— Pomyśl o ludziach, których dotąd uratowałeś — powiedziała cicho. — Może to przyniesie ci ulgę.

W tym momencie zaterkotał telefon. Esther podniosła słuchawkę i odezwała się:

— Klinika doktora Petriego. Słucham. — Rzeczywiście, przez chwilę słuchała, po czym pokiwała głową i wręczyła słuchawkę doktorowi. — To do ciebie. Panna Murry.

Doktor Petrie odebrał słuchawkę. Usłyszał przyspieszony oddech Adelaide Murry.

— Cześć — powiedział. — Zdaje się, że brakuje ci tchu.

— Rzeczywiście. — Głos po drugiej stronie był piskliwy, słodziutki. — Właśnie rozegrałam trzy sety w tenisa. Słuchaj, czy odbierzesz mnie z klubu dzisiaj wieczorem?

— Tak, kochanie. Wcześniej jednak muszę zabrać z domu Priscillę.

— Dzisiaj? Myślałam, że spotykasz się z nią dopiero jutro! Och, kochany, a co z naszą wspaniałą kolacją w Star—light Roof?

Doktor Petrie wziął głęboki oddech. Doskonale wiedział, że Adelaide nie przepada za Priscillą; być może dlatego, że w wieku dziewiętnastu już lat, Adelaide sama wciąż zachowywała się jak mała dziewczynka.

— Możemy zjeść w domu — powiedział. — Na przykład polinezyjskie danie. Z szampanem, oczywiście. Co ty na to? Adelaide odpowiedziała nadąsana:

— Nie brzmi to romantycznie. Mam właśnie ochotę na coś ekscytującego, a jedzenie w domu to tak pospolita rzecz. Potem samemu trzeba zmywać.

Doktor Petrie umęczonym ruchem przebiegł dłonią po włosach.

— Posłuchaj — powiedział. — Kupię dwie świece, jedną piękną czerwoną różę i nową płytę Leonarda Bern—steina. Czy będzie dość romantycznie?

Adelaide ciężko westchnęła.

— Powinnam umówić się na randkę z moim starym dobrym wujkiem Charliem. On przynajmniej potrafi tańczyć twista. No, ale w porządku, najdroższy. Jak zwykle, poddaję się. O której godzinie tutaj dotrzesz?

— O pół do siódmej. I posłuchaj... Kocham cię.

— Ja też cię kocham. Mam nadzieję, że telefon nie jest na podsłuchu. Ktoś mógłby wziąć mnie za naiwną kretynekę.

Doktor Petrie z irytacją potrząsnął głową i odłożył słuchawkę.

Esther właśnie wprowadzała do gabinetu panią Fairfax. Pani Fairfax była ostatnią żyjącą członkinią rodziny, która zbiła majątek na lodówkach. W swoim czasie rodzina niemal zmonopolizowała rynek. Starsza pani była drobną kobietą, o ostrych rysach twarzy i oczach, które charakteryzowało wścibskie spojrzenie.

Idąc, opierała się na dwóch kulach, trzymała się jednak prosto. Doktor Petrie doskonale pamiętał, że pani Fairfax ma niewyparzony, cięty język.

— Dzień dobry, pani Fairfax — powiedział uprzejmie. Czy dobrze dziś się pani czuje?

Starsza pani ciężko opadła na jeden z dwóch włoskich foteli, stojących przed biurkiem doktora. Oparła kule o szklany stoliczek do kawy i starannie przyglądała na kolanach elegancką błękitną suknię.

— Gdybym dobrze się czuła, doktorze Petrie — powiedziała lodowatym tonem — nie byłoby mnie u pana.

Doktor Petrie wyszedł zza biurka i usiadł obok pani Fairfax, w sąsiednim fotelu. Bardzo często stosował taki zabieg,

sugerujący pacjentowi, że kontakt z lekarzem wcale nie jest tak zupełnie do końca formalnym spotkaniem. Sprawiało to, że pacjent czuł się bardziej odprężony; czasami czuł się też zdrowszy.

— Czy znów rwie panią w biodrze? — zapytał ze współczuciem w głosie.

Pani Fairfax z ironią westchnęła.

— Mój drogi doktorze, moje biodro jest zupełnie w porządku. To, czym się w tej chwili martwię, to moja plaża.

Doktor Petrie zmarszczył czoło. Ujrzał swoje odbicie w dużym lustrze wiszącym na ścianie. Zmarszczki na czole jakby dodały mu lat. Starzeję się, pomyślał.

— Pani plaża? — zapytał grzecznie. Przyzwyczajony był do dziwactw zamożnych starych wdów.

— To jest absolutnie wstrętne — powiedziała zimno. Wytworną, zadbaną dłonią, poprawiła grzywkę na czole. Dzisiaj paznokcie miała pomalowane na szafirowo, a szlachetne kamienie w pierścionkach doskonale współgrały kolorystycznie z błękitną suknią. Doktor doskonale wiedział, że pani Fairfax ma stosowny zestaw pierścieni do każdej sukienki.

— Co takiego stało się na pani plaży?

— Co takiego? Jak pan może pytać? Czyżby nie czytał pan gazet?

Doktor Petrie potrząsnął przecząco głową.

— Nie miałem ostatnio zbyt wiele czasu dla „Miami Herald”.

— A powinien pan czytywać prasę. To się dzieje na całej Południowej Plaży. Teraz dotarło nawet do mnie!

Doktor Petrie spróbował uśmiechnąć się.



— Przepraszam, nie chciałym wyjść na ignoranta — powiedział — ale co to takiego?

Pani Fairfax skrzywiła się z wyraźnym niesmakiem. Po długiej chwili rzuciła niechętnie, krótko: 1 — Kał.

Doktor Petrie pochylił się w jej kierunku.

— Słucham panią?

Pani Fairfax spojrzała na niego nieprzyjaźnie i groźnie.

— Jest pan lekarzem. Powinien pan wiedzieć, o czym mówię. Dziś nad ranem zeszłam na plażę, żeby trochę popływać, i zobaczyłam, że moja plaża jest pełna kału.

Doktor Petrie podrapał się po policzku.

— Czy... Czy dużo było tego?

— Pełno! I na plażach obok, po obu stronach, zatrzęsienie kału! Mówię panu, zapach jest nie do zniesienia.

— Czy zgłosiła pani gdzieś ten przykry fakt?

— Oczywiście, że tak. Cały poranek spędziłam przy telefonie. Dotarłam jedynie do jakiegoś drobnego urzędnika z departamentu zdrowia. Powiedział mi, że zajmą się moją plażą, kiedy tylko będą mogli, bo teraz oczyszczają inne. Co mnie to jednak obchodzi? Przecież moja plaża odrażająco śmierdzi i życzę sobie, żeby ktoś ją natychmiast posprzątał.

Doktor Petrie wstał i podszedł do okna. Był spocony i zmęczony, a błyszczący basen na zewnątrz wyglądał tak zachęcająco...

— Pani Fairfax — powiedział. — Obawiam się, że w tym przypadku niewiele mogę dla pani zrobić. Mogę, owszem, zatelefonować do ratusza, jeżeli to panią usatysfakcjonuje. Sądzę, że to morze po prostu wyrzuciło jakieś brudy. Wiem, że

nie wygląda to, ani nie pachnie, przyjemnie, jednak zapewniam panią, że nic pani z tego powodu nie grozi.

Pani Fairfax parsknęła ze złością.

— Ma pan absolutną rację, nie wygląda to przyjemnie. I śmierdzi. Na jutrzejszy wieczór zaplanowałam przyjęcie na plaży. Co mam teraz powiedzieć swoim gościom? Że poradziłam się lekarza i on powiedział mi, że ten... kał jest niegroźny? Płacę wysokie podatki za możliwość mieszkania nad morzem, doktorze Petrie, i nie życzę sobie pływać w ekskrementach.

Doktor Petrie odwrócił się i uśmiechnął.

— No dobrze, pani Fairfax. Obiecuję pani, że kiedy tylko pani stąd wyjdzie, zatelefonuję do departamentu zdrowia. Jestem przekonany, że odpowiedzialni ludzie robią już wszystko, co tylko mogą, aby oczyścić pani plażę, ale jeszcze przyspieszę ich działanie. Oboje wiemy, że w Miami bardzo dba się o czystość.

Pani Fairfax potrząsnęła głową.

— Najpierw była ropa, a teraz... to — rzuciła przez zaciśnięte zęby. — Czasami nie wiem, czy mieszkam przy plaży, czy też przy miejskim wysypisku śmieci.

Doktor Petrie pomógł jej wstać i podał jej obie kule.

— Obiecuję, zatelefonuję w pani imieniu — powtórzył swoje zapewnienie. — Proszę chwileczkę poczekać, poproszę Esther, aby panią wyprowadziła.

Po pani Fairfax doktora Petriego odwiedziło jeszcze troje pacjentów: pani Yicincki z wywichniętym stawem kolanowym, stary pan Dunlop, narzekający na ból w miednicy, i młodsza z dwóch sióstr, starych panien, Grays. Ta z kolei poparzyła się, zbyt długo wylegując się na słońcu. Wobec każdego z pacjentów

doktor starał się być spokojny, rzeczowy, okazywać swoje współczucie, no i pomóc im w kłopotach zdrowotnych w takim zakresie, w jakim tylko był w stanie.

Krótko przed pierwszą nacisnął interkom łączący go z Esther.

— Tak, doktorze?

— Esther, co takiego przygotowałaś sobie dzisiaj na lunch?

— Nic nadzwyczajnego. Myślałam o coli light i sałatce z ryżem.

Doktor Petrie zakaszłał.

— To oburzające, tak ze sobą postępować. Co powiesz na wizytę w Manson's Bar i na soczysty stek?

— Doktorze, moja figura...

— Twoja figura, Esther, jest jednym z naturalnych cudów świata. A teraz, zjemy razem lunch, dobrze? ‘ Rozległ się jakiś sygnał i Esther powiedziała:

— Chwileczkę, doktorze. To telefon z zewnątrz. Doktor Petrie czekał przez chwilę w ciszy. Po kilku sekundach znów usłyszał głos Esther:

— To doktor Selmer, ze szpitala.

— W porządku. Najpierw jednak powiedz mi, czy zjemy razem lunch. Dopiero potem możesz mnie z nim połączyć.

— Doktor Selmer twierdzi, że to bardzo ważne.

— Lunch jest ważniejszy. Tak czy nie?

— W porządku. Skoro już tak bardzo nalegasz... Doktor Petrie podniósł słuchawkę zewnętrznego telefonu, rozsiadł się wygodnie w fotelu i położył nogi na blat biurka.

— Anton?

— Och, wreszcie. Cześć, Leonardzie. To znów ja. Telefonuję w sprawie tego dzieciaka, którego przywiozłeś do mnie dzisiaj rano.

— Czy wiesz już, co mu dolegało?

— Jeszcze nie mam pewności. Przeprowadziliśmy już badanie krwi i płwociny i wiemy na razie jedynie tyle, że chodzi o jakiegoś rodzaju chorobę zakaźną.

Odwiedziłem rodziców chłopca; zbadałem ich profilaktycznie i wydają się, na szczęście, zdrowi. Uzyskałem ich zgodę na sekcję zwłok dziecka.

— Dokładnie więc nic jeszcze nie wiesz — westchnął doktor Petrie.

Doktor Selmer jakby się zawahał.

— Właściwie to pewne objawy wskazują na wściekliznę. Czy nie zauważyłeś jakichś dzikich kotów albo królików w okolicy, gdzie mieszkał chłopak?

— Nie, nie sędzę. Naprawdę, uważasz, że to wścieklizna.

— Doktor Bushart jest niemal pewien. Miał niedawno kilka podobnych przypadków w Kalifornii.

— Jasne, ale to było w Kalifornii. Kalifornia to siedlisko wszelkich możliwych chorób. A my znajdujemy się na zdrowej, czystej, higienicznej Florydzie.

— W każdym razie nie ustajemy w wysiłkach, aby dowiedzieć się, co było przyczyną śmierci chłopaka. Jeżeli to była wścieklizna — kontynuował doktor Selmer — przynajmniej ty nie masz wielkich powodów do obaw. Możliwość, że zaraziłeś się od chłopaka, jest niewielka. Na

wszelki jednak wypadek poleciłbym ci kilka zastrzyków streptomycyny.

— Czy podczas weekendu zagrasz w golfa? — zapytał doktor Petrie. — Wciąż brakuje mi partnera.

— Naucz grać tę swoją asystentkę, jak jej na imię, Esther, wydaje mi się. Bardzo chciałbym zobaczyć ją w akcji.

— Anton, myślisz tylko o jednym... Słowa doktora Petriego przerwał śmiech na drugim końcu linii.

— Ale to tylko myśli, mój drogi. Nigdy nie grzeszę uczynkiem.

Do gabinetu wkroczyła Esther, dając doktorowi Petriemu sygnały, że jest gotowa do lunchu.

— W porządku, Anton — powiedział doktor Petrie. — Muszę już kończyć. Pamiętaj jednak, daj mi znać natychmiast, kiedy dowiesz się, co dolegało temu dzieciakowi. Natychmiast, kiedy sam będziesz coś wiedział.

— Jasne — powiedział doktor Selmer. — Nie zapomnij o zastrzykach. Ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba, to wściekły partner do golfa.

Doktor Petrie roześmiał się.

Był chłodny wieczór, mimo że na niebie nie można było zauważyć ani jednej chmury. Znad Atlantyku wiał lekki, orzeźwiający wiatr, wzburzający ciemnoniebieską powierzchnię przybrzeżnych wód. Jechali North Bay Cause—30way przez Treasure Island, obserwując, jak wielki czerwony motorowiec przecina wodę, zakłócając dostojny spokój mew.

Doktor Petrie ubrany był w błękitną sportową koszulkę i białe spodenki, zawiązywane na sznureczek, zamiast paska. Był

spokojny i zrelaksowany, prowadził lincolna tylko jedną ręką spoczywającą swobodnie na kierownicy.

Siedząca obok niego Adelaide Murry próbowała uszmin—kować usta, posługując się zaledwie bocznym lusterkiem samochodu. Była wysoką, elegancką dziewczyną, ubraną w zwiewną sukienkę koloru mleka, podkreślającą i piękną barwę jej równomiernie opalonej skóry, i doskonały kształt klatki piersiowej. Ciemne włosy, urozmaicone kilkoma jasnymi pasemkami, nosiła zaczesane do tyłu. Jej twarz miała niezwykle, niemal niesymetryczne rysy. Ktoś, kto jej nie znał, w pierwszej chwili odnosił nieodparte wrażenie, że dziewczyna jest zła na cały świat.

W tej chwili rzeczywiście była zła na cały świat.

— Czy musisz najeżdzać na każdą przekłętą dziurę? — warknęła na doktora Petriego, kiedy kolejny raz zamiast wargi pomalowała sobie szminką policzek.

Doktor Petrie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— To takie moje nowe hobby — powiedział radośnie. — Nazywa się: zmuszanie przyjaciółki, aby pakowała sobie szminkę do nosa.

Adelaide otarła twarz różową chusteczką.

— Zdaje się, że jesteś w doskonałym humorze. O której godzinie mamy zabrać Priscillę? Doktor Petrie popatrzył na zegarek.

— Za jakieś dziesięć minut. Będziemy jednak troszeczkę wcześniej. Margaret ma głupi zwyczaj zmuszania Priscilli do czekania przed domem, kiedy mam po nią przyjechać.

— Nie wiem, jak to znosisz — powiedziała Adelaide, krzyżując swoje długie, brązowe nogi. Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Gdybym była tobą — kontynuowała Adelaide — wkroczyłabym kiedyś do tego domu i wybiła z głowy Margaret wszelką złośliwość. I przy okazji odpowiednio zajęłabym się również tym jej obrzydliwym piskiem.

Doktor Petrie spojrział z ukosa na Adelaide i uśmiechnął się do niej z pełną smutku rezygnacją.

— Gdybyś kiedyś zapłaciła tyle forsy, co ja, tylko po to, żeby pozbyć się żony, której już dłużej nie mogłem znieść, byłabyś całkowicie usatysfakcjonowana, płacąc regularnie alimenty, widując dziecko i mając święty spokój — powiedział.

Adelaide wciąż była posępna i nadąsana.

— Mimo to uważam, że powinieneś kiedyś dać tej kobiecie porządną nauczkę — oświadczyła z przekonaniem w głosie. Doktor Petrie skręcił w lewo, w Collins Avenue.

— To właśnie w tobie mi się podoba — stwierdził. — Jesteś taka subtelna, nieśmiała i taka kobieca.

Włączył radio. Przez kilka chwil słychać było muzykę, po czym rozpoczęła się rozmowa na temat dziwnych zmian pogodowych tego roku. Rozmówcy zwracali uwagę na zanieczyszczenia, które pojawiły się wzdłuż Wschodniego Wybrzeża.

Funkcjonariusze straży przybrzeżnej oraz jakiś lekarz rozmawiali o czymś, co niemal uniemożliwiało korzystanie z plaż wokół Baranes Sound i Old Rhodes Key.

— Nie jestem w stanie zidentyfikować tego, co wyrzucił na nasze plaże ocean — mówił lekarz. — Z różnych stron słyszymy jednak głosy, że najbardziej przypomina to po prostu kał. Nikt nie ma pojęcia, skąd pojawiły się te nieczystości, osobiście jednak jestem przekonany, że chodzi o jakiś jednorazowy incydent, który szybko zostanie zlokalizowany i zażegnany.

Adelaide wyłączyła radio.

— Właśnie jedziemy na kolację — oświadczyła. — Nie mam więc zamiaru słuchać radiowych rozważań o gównach.

Doktor Petrie popatrzył w lusterko, po czym wyprzedził powoli poruszającą się ciężarówkę.

— Jedna z moich pacjentek bardzo narzekała dzisiaj rano. Powiedziała, że wyszła na plażę, żeby popływać, i nagle stwierdziła, że cała jej plaża pogrążona jest w gównie.

— Och, Chryste — westchnęła Adelaide, zabawnie marszcząc nos. ‘Doktor.Petrie roześmiał się.

— Oburzające, prawda? Oto uczymy się, że Biblia zawiera tylko i wyłącznie prawdę. Rzućcie swoje gówna na wody, a one do was powrócą.

— Uważam, że to nie jest zabawne — powiedziała Adelaide. — Zdaje się, że żyjemy na najpiękniejszych amerykańskich terenach wypoczynkowych. Zarabiam na życie dzięki temu, że ludzie z całej Ameryki przyjeżdżają tutaj, grają w tenisa, pływają i w ogóle dobrze się bawią. Kto tutaj przyjedzie, żeby oglądać gówna na plażach?

Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— No cóż, w końcu nikt jeszcze od tego nie zginął.



— Skąd wiesz? Ludzie mogli wypłynąć w te zanieczyszczone fale i zaginać bez wieści.

— Posłuchaj, kochanie — powiedział doktor Petrie. — Więcej ludzi umiera z powodu fatalnego jedzenia podawanego w restauracjach, niż kiedykolwiek umrze z powodu morskich zanieczyszczeń. Ci kucharze wcale nie myją swoich brudnych łap...

— Leonardzie, najdroższy — przerwała mu Adelaide lodowatym tonem — życzyłabym sobie, żebyś nie odgrywał przez cały czas nawiedzonego lekarza. Poza tym pamiętaj, że dzisiaj to ja przygotuję kolację.

Margaret Petrie zamieszkiwała dom, który adwokaci określili jako małżeńską rezydencję, na przedmieściach North Miami Beach. Doktor Petrie milczał, prowadząc lin—colna znajomymi uliczkami, w kierunku białego drewnianego domku, otoczonego przez palmy, z małym, trójkątnym, starannie utrzymanym trawnikiem od frontu. To właśnie tutaj, na tym cichym przedmieściu, osiem lat temu rozpoczął swoją praktykę lekarską.

To właśnie tutaj Margaret i on stopniowo odkrywali, że właściwie jedyną rzeczą, która ich łączy, jest metryka ślubu. Szalone uczucie w równie szalonym tempie przeradzało się we wzajemną nietolerancję, nienawiść, co wywoływało nieustanne kłótnie i awantury. Małżeństwo zakończyło się burzliwym, zauważonym i nagłośnionym przez dziennikarzy rozwodem. Na sali sądowej małżonkowie prezentowali wobec siebie tylko nienawiść.

Zajeżdżając teraz lincolnem pod swój były dom, doktor Petrie doskonale pamiętał, co krzyczała za nim Margaret, kiedy po raz ostami odjeżdżał stąd jako jej mąż:

“Jeżeli zamierzasz całe życie spędzić na macaniu tych swoich podstarzałych pacjentek, zjeżdżaj i nigdy więcej do mnie nie wracaj”.

Ta uwaga, stwierdził doktor Petrie, podsumowywała całe zło będące treścią jego małżeństwa. Margaret, pochodząca z zamożnej rodziny miejscowych republikanów, nigdy nie dbała o pieniądze i dobra materialne. Nie potrafiła zrozumieć swego męża, który całymi dniami pracował, aby im obojgu niczego nie brakowało.

Uważała, że sposób, w jaki odnosił się do pacjentek, głównie bogatych starych wdów, był prostytutką, bezsensowną sprzedażą za pieniądze wspaniałego talentu lekarskiego. Bez przerwy namawiała go, żeby porzucił Miami Beach i przeniósł się na pomoc. “Będziesz sławny i poważany”, mówiła.

Dopiero później doszedł do wniosku, że chodziło o jej własną sławę.

Fantazjowała, że będzie udzielać wywiadów dla “McCall’s” i “Redbooka”, ona — wspaniała żona sławnego lekarza. Chciała, żeby dokonał odkrycia na miarę penicyliny, albo wsławił się transplantacjami serca; w dniu, w którym to zrozumiał, wiedział już na pewno, że ich małżeństwo jest nieporozumieniem.

Priscilla, jak zwykle, czekała już przed domem, siedząc na małej walizeczce.

Była drobną dziewczynką o twarzy bardzo już poważnej i dojrzałej jak na sześciolatkę. Miała długie włosy w kolorze miodu i duże niebieskie oczy.

Doktor Petrie wysiadł z samochodu, zerkając w kierunku domu. Był pewien, że była żona obserwuje go zza zasłonki.

— Cześć, Prickles — powiedział cichym głosem.

Dziewczynka wstała, wciąż z grobową miną, i uniosła twarz, aby mógł ją pocałować. Pachniała perfumami swojej matki.

— Zrobiłam potwora w szkole — powiedziała, wreszcie uśmiechnąwszy się.

Doktor Petrie podniósł z ziemi walizkę i umieścił ją w bagażniku lincolna.

— Potwora? Jakiego potwora? — zapytał. Priscilla przygryzła na chwilę wargi.

— Potwora z ciasta. Takiego, jakiego pokazują w Ulicy Sezamkowej. Jest niebieski, ma wielkie oczy z piłeczek do ping—ponga i przerażającą twarz.

— Przyniosłaś go do domu?

— Tak, ale mamie się nie spodobał — odparła Priscilla. — Mama nie lubi Ulicy Sezamkowej.

Doktor Petrie otworzył drzwiczki samochodu i podniósł swój fotel, aby Priscilla mogła wskoczyć na tylne siedzenie.

— Cześć, Prickles — pozdrowiła ją Adelaide. — Jak leci?

— Dziękuję, w porządku — odparła Priscilla. Doktor Petrie usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki, przekręcił kluczyk w stacyjce i lincoln powoli ruszył.

— Czy długo czekałaś przed domem? — zapytał Pris—cillę.

— Niezbyt długo — odparło dziecko szybko. Doktor Petrie doskonale wiedział, że jego córka nie lubi mówić źle o matce.

— No i co się stało z potworem z ciasta? — znów rzucił pytanie. — Czy mama go wyrzuciła?

— To była pomyłka — odparła Prickles bardzo poważnie. — Potwór zupełnie przypadkowo wpadł do kosza na śmieci i trzeba było go wyrzucić.

— Pomyłka, mówisz — mruknął doktor Petrie i z niecierpliwością nacisnął klakson chcąc, aby rowerzysta, który jechał przed nim, ustąpił mu z drogi.

Zamówili kurczaka i ananasy z polinezyjskiej restauracji, a potem zjadłszy, rozsiedli się wygodnie i oglądali telewizję. Było późno i niebo za oknami było szaroniebieskie. Prickles przebrała się w długą różową koszulę nocną i siedziała niemal przed samym ekranem, więcej czasu jednak poświęcając lalce, którą bezustannie czesała, niż temu, co było w telewizji.

Pod sam koniec jakiegoś filmu zaterkotał telefon. Doktor Petrie cicho zaklął i westchnął:

— Zbyt dużo ludzi zna ten numer.

Nie ociągając się jednak zbyt długo, ruszył w skarpetkach w kierunku stolika, na którym stał aparat telefoniczny. Spodziewał się, że to kolejna stara wdowa uparła się, aby właśnie teraz przedstawić lekarzowi swoje problemy.

Podniósłszy jednak słuchawkę, usłyszał nie starą wdowę, a doktora Selmera. Jego głos drżał, doktor przez cały czas zacinał się i jąkał, jakby nie czuł się najlepiej. Telefonując do doktora Petriego, zwykle zaczynał rozmowę od kilku żartów i dowcipów, teraz jednak od razu przystąpił do rzeczy.

— Leonardzie, właśnie wróciłem z laboratorium bakteriologicznego.

— No i co?

— To bardzo poważna sprawa. To, na co zmarł ten chłopiec, to cholernie poważna sprawa. Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Czy zakończyłeś sekcję zwłok?

— Właśnie kończymy. Odkryliśmy jednak dosyć, żeby paść na kolana i gorzko zapłakać.

— A więc nie chodzi o wściekliznę?

— Życzyłbym sobie, żeby to była wścieklizna. Znaleźliśmy drobne obrzęki w pachwinach i na stawach i początkowo pomyślałem, że to mogą być symptomy lymphogranuloma inguinale venereum lub inna choroba zakaźna tego rodzaju. Chłopak miał wodę w płucach i zastanawialiśmy się, czy te obrzęki nie są przypadkiem wynikiem ogólnego pogorszenia stanu zdrowia spowodowanego zwykłą gripą. Adelaide pytając spojrzała na doktora Petrie. Prickles, zajęta fryzurą swojej lalki, nie zwracała na niego uwagi. Na telewizyjnym ekranie bohater serialu fantastycznego miotał pioruny, odległy o milion lat świetlnych od chorób i zarazków oraz dziewięcioletniego chłopca, który zmarł tego poranka.

— Do czego w końcu doszedłeś? — zapytał doktor Petrie.

— Wszelkie badania przeprowadziliśmy bardzo starannie — odparł doktor Selmer.

— Pobraliśmy próbki śledziony, wątroby, płuc i szpiku kostnego. Pobraliśmy ślinę i krew. Na całym materiale przeprowadziliśmy testy bakteriologiczne.

— Co stwierdziliście? — spytał cicho doktor Petrie.

— Wyodrębniliśmy zarazki — odparł doktor Selmer. — Zarazki, wprost pożerające chłopaka, w przerażającej ilości, niesłuchanie aktywne.

— Zidentyfikowaliście je?

— Rozważamy kilka teorii.

— Jakie teorie?

Doktor Selmer odpowiedział ledwo słyszalnym głosem:

— Leonardzie, wszystko wskazuje, że mamy do czynienia z *Pasteurella pestis*.

— Co? Co powiedziałaś?

Z trudem dotarło do niego to, co usłyszał od Antona Selmera. Poczul, jak serce podbiega mu niemal do gardła i po raz pierwszy w swojej zawodowej karierze poczul się po prostu brudny. Miał już do czynienia z pacjentami chorymi na raka, na gruźlicę, hiszpańską grypę, nawet na tyfus. Ale to...

Adelaide widząc, że nagle pobladł, zawołała:

— Leonardzie, co się stało?

Prawie jej nie usłyszał. Podszedł jednak do niej i chwycił ją za rękę. Ochrypłym głosem odezwał się do Antona Selmera:

— Dżuma? Sugerujesz, że mamy do czynienia z dżumą?

— Przykro mi, Leonardzie, ale wszystko na to wskazuje. Jednak to jest coś o wiele gorszego niż zwykła dżuma. Próbki, które tutaj mamy, są zupełnie inne, niż jakiegokolwiek dotąd znane bakterie czarnej śmierci. Z całą pewnością różnią się od tych, które wystąpiły po raz ostami na Florydzie, w 1920 roku. Odnoszę wrażenie, że są w jakiś sposób rozwinięte, w coś, co jest o wiele bardziej ruchliwe i o wiele szybciej rozmnażające się niż zwyczajne pałeczki dżumy.

Doktor Petrie popatrzył na Prickles siedzącą spokojnie, niewinnie, w różowej koszuli nocnej, przed telewizorem. Jeżeli zaraził się tym, zajmując się Davidem Kellym, jeżeli...

— Anton — powiedział gwałtownie. — Czy uważasz, że się tym zaraziłem? Doktor Selmer zakaszłał.

— W tej chwili trudno mi jest odpowiedzieć — odparł. — Wciąż jeszcze czekam na wyniki badań śliny; powiedzą nam one, w jakim stopniu zaatakowane były płuca i gardło chłopca. Mam nadzieję, że wstrzyknąłeś sobie streptomycynę.

— Jasne. Zaraz po twoim telefonie.

— To ci powinno jakoś pomóc. Wszystkie antybiotyki są użyteczne przy leczeniu dżumy. Jeżeli w ciągu dzisiejszego dnia przebywałeś długo w czyimś towarzystwie, te osoby powinny również otrzymać streptomycynę. Jeszcze w nocy ściągnę z Zachodniego Wybrzeża dodatkowe zapasy surowicy i wszyscy tu w szpitalu poddamy się szczepieniu, na wszelki wypadek.

Doktor Petrie popatrzył na Adelaide i uspokajająco ucisnął jej dłoń.

— Anton — powiedział. — Na co powinienem zwracać uwagę? Na jakie objawy?

— Leonardzie, nie wiem. Po prostu musisz być czujny. Jeżeli zauważysz na ciele jakąś wysypkę, jeżeli poczujesz zawroty lub bóle głowy, natychmiast daj mi znać.

I przynajmniej na trzy dni zamknij swoją klinikę. Mniej więcej tyle dni potrzeba, aby wystąpiły objawy dżumy.

Doktor Petrie aż zadrżał na całym ciele.

— Anton, przez długi czas przebywałem dzisiaj z Adelaide i Priscillą. Byłem z Esther na lunchu w restauracji. Co z moimi

pacjentami?

— Nie wiem, Leonardzie, nie wiem — odparł doktor Selmer zmęczonym głosem.

— Wszystko zależy od tego, z jaką odmianą bakterii mamy do czynienia. Dżuma występuje w zasadzie w trzech rozpoznanych formach. Może atakować skórę i wtedy masz wysypkę, strupy na skórze, głównie w pachwinach. Kiedy bakterie lokalizują się w płucach, mamy do czynienia z dżumą płucną. Poza tym bakterie mogą atakować krew.

— I nie wiesz, z jaką odmianą dżumy mamy do czynienia w przypadku tego chłopca?

— Nie jestem pewien, ale chyba z żadną spośród tych, które ci wymieniłem. To jest coś zupełnie nowego. Jakaś super zaraza!

Doktor Petrie przygryzł wargi.

— Czy wiemy, gdzie chłopak to złapał? Czy nie przenoszą tego, na przykład, pchły?

— Rozmawiałem z jego rodzicami — odparł doktor Selmer zmęczonym głosem.

— Mówią, że chłopaka nie było w domu przez całą niedzielę i nie mają pojęcia, gdzie i z kim był. Najprawdopodobniej odwiedził kilku kolegów, potem pływał w oceanie, sam lub z nimi, po czym wrócił do domu.

— Co z tymi kolegami?

— Och, sprawdziliśmy ich. Policja jeździ teraz po mieście w poszukiwaniu tego ostatniego. Zajmujemy się tym bardzo serio, Leonardzie, naprawdę. Nie mamy innego wyjścia.



— Czy chłopak mógł mieć kontakt z jakimś zarażonym szczurem albo, powiedzmy, wiewiórką?

— To możliwe — zgodził się doktor Selmer. — W Kalifornii i Kolorado mieliśmy kilka przypadków dżumy. Ludzie zachorowali z powodu pcheł, które przeszły na nich z wiewiórek beztriosko dotykanych w lesie.

— Kiedy będziesz miał wyniki wszystkich badań?

— Ludzie z laboratorium twierdzą, że skończą wszystko w ciągu dwóch lub trzech godzin. Potem natychmiast ostrzeżę burmistrza i departament zdrowia.

Doktor Petrie pokiwał głową, jakby spodziewając się, że rozmówca to zobaczy.

— W porządku, Anton. I bądź ze mną w kontakcie, dobrze? Aha, i nie zapomnij samemu zaaplikować sobie streptomycyny.

— Żartujesz? Paradujemy tutaj w maskach i rękawicach. Te bakterie musiałyby być bardzo sprytne, żeby dostać się do kogoś z nas.

Doktor Petrie odłożył słuchawkę. Adelaide patrzyła na niego z niepokojem w oczach. Prickles układała właśnie swoją lalkę do snu pod fotelem, cichutko śpiewając jej kołysankę.

— Czy dobrze słyszałam? Rozmawialiście o czarnej śmierci? — zapytała Adelaide.

— Tak. Chłopak, któremu dzisiaj rano bezskutecznie usiłowałam uratować życie, zarażony był pałeczkami dżumy, i to jakiejś dziwnej, nieznanej, wyjątkowo agresywnej odmiany. W szpitalu próbują właśnie je rozpoznać, chociaż wszystko wskazuje na to, że nikt nigdy jeszcze nie miał z nimi do czynienia.

— Czy to jest niebezpieczne?

Doktor Petrie przeszedł przez pokój i podniósł ze stolika szklaneczkę ze swoim drinkiem. Sporą porcję schłodzonego rumu, która pozostała w naczyniu, wypił duszkiem i na chwilę przymknął oczy.

— Wszystkie choroby są niebezpieczne, jeżeli nie leczy się ich w odpowiedni sposób. Zażywałem już dzisiaj antybiotyki i uważam, że ty i Prickles powinniście zrobić to samo, gdyż zbyt długo miałyście ze mną kontakt. Nie leczona dżuma zabija, dzisiaj, na szczęście, potrafimy nad nią jednak zapanować.

— Jesteś tego pewien? To znaczy, czy jesteś pewien, że nie stoimy wobec czegoś zupełnie nieuleczalnego? Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Niczego nie będę pewien, dopóki swojego zdania nie wypowiedzą eksperci. Cieszę się tylko z tego, że przy tym zmarłym chłopcu przebywałem bardzo niedługo i jest małe prawdopodobieństwo, że się od niego zaraziłem.

Adelaide usiadła. Przez chwilę obserwowała bawiącą się Prickles, po czym powiedziała:

— Trudno mi w to uwierzyć. Sądziłam dotąd, że czarna śmierć była groźna jedynie w średniowieczu, i to w Europie. Aż dziwne, że teraz zagraża właśnie nam.

Doktor Petrie usiadł na poręczy fotela naprzeciwko Adelaide. Podświadomie czuł, że powinien teraz zachowywać wobec wszystkich odpowiedni dystans. W słowach “czarna śmierć” było coś, co kazało mu myśleć o brudzie, zgniliznie, zarazkach i szalejących bakteriach; dopóki nie upewni się, że jest zdrowy, wolał nie oddychać zbyt blisko innych osób.

Nalał sobie porcję rumu i tym razem powoli sącył.

— Niedawno czytałem o dżumie w jakimś czasopiśmie medycznym. Ostatnią epidemię mieliśmy w Ameryce na przełomie wieków. Sporadycznie spotyka się tę chorobę, głównie na Zachodnim Wybrzeżu. Od czasu, kiedy zakazano powszechnego używania środków zabijających gryzonie, trafiają się gniazda szczurów i nory wiewiórek będące wylęgarniami pałeczek dżumy. Ale nie martw się tym. Jest to jedna z rzeczy, które brzmią groźniej niż są groźne w rzeczywistości.

Adelaide uniosła wzrok i posłała mu krzywy uśmiech.

— Dżuma. Czarna śmierć. Przecież się tego nie boję — powiedziała spokojnie.

Prickles wyciągnęła lalkę spod fotela i potrząsnęła nią.

— Doiły — powiedziała ze zmarszczonym czołem. — Znowu jesteś niegrzeczna.

Doktor Petrie uśmiechnął się.

— A może potrzebuje po prostu trochę spokojnego snu? — powiedział do córki.

— Tak jak i ty, kochanie. Prickles stanowczo potrząsnęła głową.

— Wcale nie. Tylko Doiły powinna już iść spać. Ale ona upiera się, żeby mnie zdenerwować.

Doktor Petrie podszedł do Prickles i uważnie się jej przyjrzał. Włosy miała zaczesane do tyłu, w koński ogon, i jej profil był uderzająco podobny do jego profilu. Kiedy podrośnie, będzie zapewne śliczną dziewczynką. Margaret, jej matka, kiedy ją poślubił, była jedną z piękniejszych dziewczyn na Florydzie.

— Widocznie Doiły jest rozdrażniona — powiedział.— A skoro jest rozdrażniona, powinna zażyć streptomycynę. Prickles zmarszczyła czoło.

— Nie, Doiły niczego takiego nie potrzebuje. Doiły tego nie lubi. Po prostu jest taka jak mama.

— Mama też jest niegrzeczna? Prickles pokiwała głową.

— Mama poszła nad ocean popływać, a kiedy wróciła, poczuła się słabo. Następnego dnia kręciło jej się w głowie i wszystko ją denerwowało.

Doktor Petrie z trudem utrzymał się na nogach. Powoli zaczynały ogarniać go strach i przerażenie.

— Leonardzie, nie myślisz chyba, że Margaret... — wyszeptała Adelaide z pobladłą nagle twarzą.

Doktor Petrie wyprostował się. Z trudem nad sobą zapanował.

— Nie wiem — odparł chrapliwym głosem. — Najistotniejsze jest pytanie, jak wielu jeszcze ludzi, poza Margaret, poczuło się podobnie po kąpieli w morzu. Myślę, że powinienem teraz pojechać do szpitala i sprawdzić, co się tam dzieje.

— Czy z mamą jest wszystko w porządku? — zapytała Prickles, nagle zaniepokojona.

Doktor Petrie zmusił się do uśmiechu i uspokajająco położył dłoń na głowie córki.

— Oczywiście, kochanie. Z mamą wszystko jest w porządku. A teraz, jak myślę, najwyższy już czas, abyście obie, ty i Doiły, poszły spać.

Prickles westchnęła.

— Chyba masz rację. Doiły była dzisiaj bardzo nieznośna. I sama nie wiem, czy to tylko moja Doiły, czy wszystkie lalki w Miami tak się zachowywały?

Doktor Petrie odebrał lalkę z rąk Prickles i popatrzył na nią z bliska. Zabawka wykonana była z różowego plastiku i miała bujną blond fryzurę. Przez chwilę przypatrywał się lalce, po czym ogłosił diagnozę:

— Myślę, że twoja Doiły już jutro będzie się zachowywać normalnie. I nie sądzę, aby dzisiaj wszystkie lalki w Miami zachowywały się tak jak ona. — Nie mógł nie zauważyć bladej, zaniepokojonej twarzy Adelaide. — Przynajmniej mam taką nadzieję — dokończył cichym głosem.

Była prawie północ, gdy czarno—biały policyjny samochód patrolowy skręcił z Washington Avenue w Dade Bou—levard, przemierzając puste ulice z prędkością właściwą wozom patrolującym miasto. Za kierownicą, w koszuli mundurowej z krótkim rękawem, siedział dwudziestoczteroletni funkcjonariusz Herb Stone, policjant o chudej twarzy, zupełnie bez wyrazu, i ostrym, spiczastym nosie. Obok niego, łapczywie jedząc hot doga, znajdował się w samochodzie jego partner, dwudziestosześcioletni funkcjonariusz Francis Poletto, osiłek o groźnym wyglądzie i twarzy mopsa.

Obaj policjanci lubili się, a ich charaktery jakby się uzupełniały. Herbowi Stone’owi podobał się styl, w jaki Francis kilkakrotnie już dokonał aresztowań: gwałtownie, błyskawicznie, bezpiecznie dla nich obu. On sam był raczej spokojny, o analitycznym umyśle, marzył o kontynuowaniu nauki w szkole detektywów i stopniu oficerskim. Poletto był

jego przeciwnieństwem. Lubił ulice, nocne patrole i mocne wrażenia z nich wynikające. Działał zdecydowanie i sta wiał na swoim. Pewnego razu nawet postrzelił w ramię hippisa, który nie dość energicznie wykonywał jego polecenia.

Samochód patrolowy zatrzymał się na czerwonym świetle, oczekując na wolny przejazd. W trawie szczebiotały świerszcze, w spokojnym nocnym powietrzu słychać było delikatny szum fal. Herb Stone zaczął cicho pogwizdywać. Poletto przeżuwał swojego hot doga. Z radia usłyszeli niewyraźnie coś o naruszeniu przepisów ruchu drogowego na Tamiami Trail.

W chwili, gdy już mieli ruszać, dosłownie przed ich nosami przejechał zdezelowany, srebrny pontiac i pognął zygzakiem Alton Road. Stone popatrzył na Poletto, a Poletto na Stone'a.

— Dalej, za nim — mruknął Poletto, mnąc serwetkę po hot dogu. — Być może to nasza jedyna szansa, żeby cokolwiek zrobić tej nocy.

Herb Stone przyczepił do dachu "koguta" i policyjny samochód z piskiem opon gwałtownie skręcił w lewo i popędził za gnającym pontiakiem. Policjanci ujrzeli jego szkarłatne tylne światła. Uciekinier zmierzał Alton Road w kierunku MacArthur Causeway, jadąc zygzakiem po szerokiej ulicy.

— Pijany — warknął Poletto. — Pijany jak cholerna świnią.

Herb Stone, spięty i pocący się, z każdą chwilą zmniejszał dystans dzielący uciekiniera od błyskającego "kogutem" na dachu policyjnego samochodu. Minęło kilka sekund i był w stanie zobaczyć ciemną sylwetkę kierowcy, nisko pochylonego nad kierownicą. Próbował jechać równoległe z pontiakiem i zmusić jego kierowcę do zatrzymania się, było to jednak

niemożliwe, gdyż samochód ani przez chwilę nie jechał w linii prostej, balansując od krawężnika do krawężnika.

Niespodziewanie kierowca pontiaka nacisnął na hamulce. Herb, zupełnie tym zaskoczony, w ostatniej chwili chciał zahamować, jednak w swoim zaskoczeniu nie trafił nogą w pedał. Czarno—biały samochód policyjny z głuchym hałasem trzasnął w tył srebrnego pontiaka.

Uciekiniera odrzuciło aż na chodnik, natomiast auto policjantów stanęło w miejscu. Herb wreszcie nacisnął hamulec i głośno zaklął.

— Miałeś tylko go ścigać — powiedział Poletto ze złością. — A nie rozjeżdżać mu dupę.

Obaj funkcjonariusze wyszli z samochodu i zbliżyli się do pontiaka. Poletto wyciągnął notes z kieszeni koszuli.

— No dobra, facet! — zawołał. — Co to miało być, wyścig śmierci 2000?

Kierowca nie odpowiedział. Był w średnim wieku, na nosie miał okulary bez oprawek i siedział w fotelu bezwładnie niczym lalka. Jego twarz była przerażająco blada.

Herb podszedł bliżej i zauważył, że oczy kierowcy są zamknięte. Miał siwe, krótko przycięte włosy i prostą bawełnianą koszulę, taką, jaką chętnie noszą robotnicy. Wyglądał na spokojnego, zrównoważonego człowieka. Drżał.

— Czy uważasz, że z nim jest wszystko w porządku?

— zapytał Herb niepewnie. — Według mnie nie wygląda najlepiej.

Poletto wzruszył ramionami.

— Herb, gdybyś dzisiaj wychłał tyle, co ten facet, też nie wyglądałbyś najlepiej. No dalej, człowieku, wylaż z tej maszyny.

Mężczyzna nie otworzył oczu, ani w żaden inny sposób nie zareagował na to wezwanie. Po prostu siedział, gwałtownie się trząsał, blady i spocony.

— No dalej, facet, moja cierpliwość się kończy — zawołał Poletto. Pochylił się, żeby otworzyć drzwiczki, i w momencie, gdy już miał je dotknąć, niespodziewanie powstrzymał się. Jego twarz przybrała wyraz osłupienia i nagle wycharczał: — Jezu Chryste.

— Co się stało? — zapytał Herb. Zanim Poletto zdążył mu odpowiedzieć, sam jednak poczuł wstrętny smród. Smród, który przyprawił go o mdłości.

— Frank, myślę, że on jest poważnie chory — powiedział. — Sprowadź ambulans i pomoc drogową, a ja wyciągnę tego faceta na zewnątrz.

Poletto pociągnął nosem.

— Dzięki ci, przyjacielu. Cholera, cuchnie od niego jak z rysztoła.

Poletto powrócił do samochodu policyjnego i wyciągnął mikrofon. Herb słyszał, jak zamawia ambulans. Sam wciągnął głęboko powietrze w płuca, po czym otworzył drzwiczki pontiaka tak szeroko, jak tylko się dało, i spróbował wsunąć dłonie pod pachy kierowcy. Mężczyzna po raz pierwszy zareagował — słabo coś zamruczał i jakby chciał odsunąć Herba. Trwało to jednak tylko moment, bo zaraz opadł, kompletnie bez sił. Kilka sekund zaledwie zabrało Herbowi



wywleczenie jego ciężkiego ciała z samochodu i ułożenie na chodniku.

Mężczyzna coś cicho wyszeptał. Poletto, który akurat zbliżył się, skończywszy rozmowę przez radiostację, zapytał:

— Co on tam głądzi? Co mu jest, do cholery?

— Nie wiem — odparł Herb. Uklęknął obok wciąż drżącego kierowcy i przysunął swoje ucho bardzo blisko jego ust. Nie rozumiał, co ten chciał mu powiedzieć, jednak na zawsze zapamiętał potok śliny, który popłynął z ust nieszczęśnika, kiedy próbował wypowiedzieć swoje ostatnie, niezrozumiałe słowa.

Z oddali coraz wyraźniej docierał odgłos pędzącego ambulansu. Herb uniósł odrobinę głowę leżącego i powiedział delikatnie:

— Nic się nie martw, stary, nic ci nie będzie. Pomoc już jest blisko. Pojedziesz do szpitala, a tam szybko cię wyleczą, nieważne, na co jesteś chory.

Doktor Petrie dotarł do szpitala odrobinę po północy. Zdziwił go panujący tam ogromny ruch. Wszędzie było pełno ambulansów i samochodów policyjnych, kręcili się już nawet dziennikarze, zwiększając zamieszanie. W budynku paliły się wszędzie światła, a personel pędził w tę i z powrotem, pchając nosze na kółkach.

Z braku miejsca zaparkował swojego lincolna daleko przed wejściem i ruszył na kilkudziesięciojardowy spacer w kierunku szpitala. Przed samymi drzwiami zatrzymał go jednak 'policjant.

— Przykro mi, proszę pana, ale wstęp jest wzbroniony. Doktor Petrie sięgnął do wewnętrznej kieszeni białej marynarki i wydobyl z niej swoją kartę identyfikacyjną.

— Jestem lekarzem. Przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć się z Antonem Selmerem.

Dyżuruje dzisiaj w izbie przyjęć. A właściwie...

Policjant uważnie i podejrzliwie obejrzał kartę doktora Petriego.

— Na pewno jest pan lekarzem? Nie wygląda mi pan na lekarza.

Doktor Petrie uniósł brwi.

— A jak niby powinien, pana zdaniem, wyglądać lekarz? Policjant wzruszył ramionami, trochę zakłopotany, i oddał mu kartę.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Zdaje się, że wybuchła jakaś epidemia.

Powiedzieli mi, żebym trzymał ludzi z daleka od tego szpitala. To wszystko.

Lekarza chyba mogę przepuścić.

— Dziękuję — powiedział doktor Petrie i pchnąwszy wahadłowe drzwi, znalazł się w jasno oświetlonym holu szpitalnym.

Od razu zauważył, że wokół panuje niemal panika. Na korytarzach pod ścianami stały nosze na kółkach, wszystkie przygotowane, aby odbierać kolejnych pacjentów przywożonych przez zajeżdżające pod szpital ambulanse. Aż roilo się od pielęgniarek i lekarzy; część personelu ubrana była

w zwykłe białe kitle, ale byli i tacy, którzy nosili gumowe fartuchy i plastikowe rękawiczki.

Doktor Petrie dotarł do gabinetu Antona Selmera i otworzył drzwi. Wejście zagrodziła mu pielęgniarka w masce ochronnej, o czole obficie zroszonym potem.

— Tak? Słucham pana? — rzuciła.

— Nazywam się Petrie. Przyszedłem do doktora Selme—ra. Sądzę, że mógłbym mu pomóc.

— Niech pan chwileczkę poczeka na zewnątrz. Doktor Selmer zaraz do pana wyjdzie.

Doktor Petrie chciał powiedzieć coś jeszcze, ale drzwi gwałtownie się zatrzasnęły. Wzruszył ramionami i oparł się o ścianę zdecydowany czekać na doktora Selmera. Ujrzał, jak korytarzem sunie kolejny wózek z noszami. Leżała na nich młoda kobieta o śmiertelnie bladej twarzy, trzęsąca się, drżąca na całym ciele. Jakiś młody lekarz biegł, wołając pielęgniarkę, aby szybko przyniosła mu kilka prześcieradeł i antybiotyki.

Minęło dobre dziesięć minut, zanim na korytarzu pojawił się Anton Selmer.

Wyglądał na krańcowo zmęczonego. Zdobył się jednak na słaby uśmiech, ściągając z głowy czapeczkę, a z ust maskę. Odetchnął ciężko i głęboko.

— Cześć, Leonardzie. Cieszę się, że tu przyszedłeś. Doktor Petrie wskazał głową w kierunku drzwi wejściowych.

— Jak dawno temu przyszedłeś do szpitala? — zapytał.

— Wczesnie rano — odparł doktor Selmer. — I zdaje się, że pozostanę tutaj przez całą noc.

— Czy to dżuma? Epidemia?

Doktor Selmer zmęczonym ruchem podrapał się po głowie.

— Od ósmej zanotowaliśmy dwadzieścia osiem przypadków. Ludzie padają jak muchy, w różnych miejscach. Mamy tutaj barmana, kierownika supermarketu, dwóch policjantów, a także czterech pielęgniarzy, którzy obsługiwali ambulansy. Jest nawet kurwa. Wszyscy z miasta. Większość z południowych dzielnic.

Doktor Petrie cofnął się pod ścianę, aby przepuścić kolejny wózek.

— Jak przebiega leczenie? Czy w ogóle daje się ich leczyć?

Doktor Selmer opuścił wzrok.

— Pięciu pacjentów już nie żyje, z tym że dwoje przywieziono już martwych.

Próbowaliśmy streptomycyny, tetra—cykliny i chloramfenikolu. Próbowaliśmy nawet aureomycyny na wypadek, gdyby bakterie były odporne na streptomycynę. Zwiożą nam tutaj lekarstwa z Tamy, a nawet z Los Angeles.

— No i?

Doktor Selmer ciężko westchnął.

— To nic nie da, Leonardzie. Nie mamy przeciwko tej zarazie żadnego lekarstwa.

Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem...

— Po prostu, Leonardzie. Tej dżumy nie da się leczyć normalnymi metodami.

Przypuszczam, że to dlatego, iż mamy do czynienia z jakąś mutacją. Mutacją odporną na wszelkie antybiotyki, odporną nawet na temperaturę.

— A antygeny?

Doktor Selmer wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł spocone czoło. Potem jeszcze głośno wytarł nos. Dopiero wówczas odpowiedział:

— Jedynie odrobinę spowalniają rozwój choroby, to wszystko. Zwykle w takich przypadkach zmniejszają liczbę śmiertelnych ofiar. Można uratować dwie osoby na trzy zarażone. Jednak nie przy tej zarazie. Praktycznie nie pomagają. Mówię ci, Leonardzie, czego byśmy tutaj nie robili, pacjenci i tak padają jak muchy.

Doktor Petrie znów oparł się o ścianę. Próbował nie myśleć o Prickles i Adelaide. Korytarz był jasny, czysty i pachniał środkami dezynfekcyjnymi. Na zewnątrz, przed szpitalem, błyskały "koguty" ambulansów, rozlegały się trzaski składanych i rozkładanych noszy, panowało zamieszanie, wrzaski i harmider. Ktoś z kimś się kłócił, ktoś wrzeszczał, ktoś jęczał, ktoś wył.

— Czy zawiadomiłeś wydział zdrowia?

Doktor Selmer pokiwał głową.

— Powiedziałem im mniej więcej o pół do dziesiątej. Początkowo nie chcieli mi wierzyć. Chcieli dowodów. Pojechałem więc i przywiozłem Jacksona i Firenzę, i pozwoliłem, żeby na wszystko przez chwilę patrzyli sami.

— Co zamierzają zrobić?

— Siedzieć, czekać i obserwować. Firenza mówi, że ta zaraza ma z pewnością ograniczony zasięg.

— Chcą czekać? Chyba żartujesz? Jaką mają gwarancję, że czarna śmierć nie rozszerzy się wkrótce na całe to cholerne

miasto?

Doktor Selmer wzruszył ramionami.

— Mają przeczucie. Najgorsza epidemia dżumy w historii Ameryki była w Nowym Orleanie, w 1920 roku. Zmarło wówczas jedenaście osób. Firenza jest przekonany, że i tym razem nie umrze więcej niż dwanaście.

— Czy powiedziałaś mu, że masz już pięć trupów? Czy on nie rozumie, że Nowy Orlean, przy tym, co się tutaj dzieje, to fraszka?

Doktor Selmer znów założył na głowę chirurgiczną czapeczkę. Popatrzył na Leonarda zmęczonymi oczyma i kiedy odezwał się, w jego głosie słychać było jedynie niechęć i zmęczenie.

— Myślę, że rozumie. Jednak jest taki, jak każdy Amerykanin. Oglądają seriale o doktorze Kildarze i Benie Caseyu i nie są w stanie zrozumieć, że nasza medycyna nie jest wszechmogąca. Nie potrafią zrozumieć, że zdarzają się nam błędy, pomyłki. Oficjalnie nie mamy do nich prawa. Oficjalnie nie mamy prawa do tego, by nie móc zwalczyć jakiejkolwiek choroby.

Doktor Petrie patrzył bezmyślnie w ścianę.

— Anton — odezwał się po chwili. — Powiedz mi, szczerze, jak groźne to jest naprawdę.

Zanim doktor Selmer zdołał odpowiedzieć, z jego gabinetu wyszła pielęgniarka i odezwała się:

— Doktorze, on już żegna się z tym światem. Myślę, że powinien pan przyjść.

— Mam maskę, czapeczkę i dodatkowy fartuch, Leonardzie — powiedział doktor Selmer. — Chodź do środka i sam zobacz,

jakie to jest groźne.

Weszli do środka i doktor Petrie odebrał środki ochronne, o których wspomniał Selmer. Siostra pomogła mu je założyć, szczególną uwagę poświęcając gumowemu fartuchowi. Wreszcie gotów był, aby za Antonem Selmerem podążać w kierunku metalowej sofy, na której spoczywał pacjent.

Był to ten sam mężczyzna w średnim wieku, którego Herb Stone i Francis Poletto znaleźli na Alton Road. Jego twarz była biała, oczy otwarte, jednak źrenice uciekały gdzieś wysoko, tak że widoczne były jedynie białka. Obok sofy zielonkawymi ekranami błyszczały urządzenia diagnostyczne, wskazujące oddech, pracę serca i ciśnienie krwi.

— Jego oddech zamiera — powiedziała pielęgniarka. — Już mu nie zostało życia, doktorze Selmer.

Doktor Selmer, całkowicie bezradny, stał u stóp mężczyzny i patrzył jak ten powoli umiera.

— Oto, jakie to jest groźne — powiedział szeptem do doktora Petriego. — Jego żona powiedziała mi, że zasłabł zaraz po lunchu. Wieczorem czuł się tak źle, że wsiadł do samochodu i pojechał do lekarza. Po drodze zauważyli go policjanci i zaczęli pościg, sądząc, że kierowca jest pijany. Oczywiście był trzeźwy. On po prostu umierał na dżumę. I umrze, w ciągu dwunastu godzin od wystąpienia pierwszych symptomów choroby.

Monitor przy głowie pacjenta wskazywał, że puls jest coraz słabszy. Jaskrawa wstążeczka, której załamania wskazywały na pracę serca, z każdą chwilą była coraz bardziej płaska.

— Czy jest tutaj jego żona? — zapytał doktor Petrie. Selmer pokiwał głową.

— Wszystkich krewnych i przyjaciół trzymamy w poczekalni, pod obserwacją. Zaraza rozwija się w takim tempie, że ludzie odczuwają pierwsze symptomy choroby jakieś trzy lub cztery godziny po zetknięciu się z nią. Niedawno, trzy i pół godziny temu, przywieziono do nas młodą dziewczynę.

Teraz u jej ojca zanotowaliśmy już objawy choroby. Zawroty głowy, wymioty, biegunka, drżenie całego ciała. To najszybciej postępująca choroba zakaźna, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem.

Doktor Petrie milczał, a tymczasem mężczyzna leżący na sofie umarł. Kimkolwiek był, cokolwiek w życiu uczynił, w tej chwili, w wieku czterdziestu pięciu lat okazało się, że nie znaczy to zupełnie nic. Czarna śmierć zbierała swoje żniwo.

Doktor Selmer skinął na siostrę i oboje wprawnie przykryli całe ciało zmarłego prześcieradłem oraz odłączyli aparaturę diagnostyczną. Jeden z asystujących lekarzy zatelefonował do kostnicy.

— Biedny człowiek — westchnął doktor Petrie. — Nigdy nie dowie się, dlaczego umarł.

Doktor Selmer odwrócił się. Jako lekarz cierpiał, gdyż nie był w stanie w żaden sposób pomagać swoim pacjentom. Był utalentowanym, dobrym lekarzem i zawsze z tym samym oddaniem i entuzjazmem starał się pomagać ludziom, których oddawano mu pod opiekę. To, co działo się tego dnia, oznaczało dla niego potworną, do granic wytrzymałości, męczarnię.

— Możemy się jednym pocieszyć — powiedział teraz. — Wygląda na to, że sami się nie zaraziliśmy.



— Nie? Zawsze wydawało mi się, że lekarze i pielęgniarki są potencjalnie najbardziej podatni na zarażenie czarną śmiercią.

— Być może. Ale przecież była dziewiąta nad ranem, kiedy po raz pierwszy dzisiaj miałeś styczność z Davidem Kellym, prawda? No i co, jak się czujesz? Czy jesteś chory? Ja miałem o wiele bliższy kontakt z chorymi niż ty z tym chłopcem, i ze mną też jak na razie wszystko jest w porządku. Może będziemy mieli szczęście i nie umrzemy.

— W każdym razie jeszcze raz zatelefonuj do Firenzy. Powiedz mu, jak tragicznie wygląda sytuacja. Doktor Selmer wzruszył ramionami.

— Przecież on mi wierzy! Ale chodzi o jego reputację.

Nie sądzę, żeby pragnął być człowiekiem, który ogłosi wybuch choroby o największej śmiertelności w historii Florydy.

— Absurd — westchnął doktor Petrie.

— Tak myślisz? Pojedź więc i sam z nim porozmawiaj. A przy okazji mógłbyś wyświadczyć mi przysługę.

— Co takiego?

— Powiedz żonie tego faceta, że on właśnie umarł. Nazywa się Haskins. Czeka przy fontannie, na końcu korytarza.

Doktor Petrie opuścił głowę. Po chwili mruknął “okay” i wyszedł na zewnątrz, aby ściągnąć maskę i fartuch ochronny. Poprawiając marynarkę, spojrzął na swoje odbicie w lustrze i pomyślał, że jest wysoki, zmęczony i bezradny. Może Margaret przez cały czas miała rację? Może rzeczywiście bezsenssem było opiekowanie się starymi, bogatymi kobietami, których jedynym problemem była postępująca hipo—chondria? Może jego właściwe miejsce było tutaj, wśród prawdziwego cierpienia i

krwi, wśród serc, które nagle przestają bić, wśród zarazków i bakterii.

Popatrzył na zatłoczony korytarz. Ruszył przed siebie i po kilkunastu krokach natknął się na kobietę, która musiała być panią Haskins. Stała, o nic się nie opierając. Miała siwe włosy i tanią brązową sukienkę we wzorki, w ręce trzymała plastikową torbę z ubraniami i butami swojego męża. Jakby nie docierał do niej ruch i gwar panujące dookoła, jakby nie widziała biegnących lekarzy, pielęgniarzy i coraz to nowych chorych ludzi wtaczanych na wózkach do szpitala.

Z zewnątrz, przy każdym otwarciu drzwi, wpadały do szpitalnego holu odgłosy syren ambulansów, teraz już bezustannie, mimo nocy, kursujących po dusznych ulicach Miami. Pani Haskins jednak, samotna przy fontannie, czekała cierpliwie, bez ruchu.

Doktor Petrie podszedł do niej i ujął ją pod rękę. Popatrzyła na niego. Jej oczy, niemal różowe ze zmęczenia, z trudem powstrzymywały łzy.

— Czy pani Haskins?

— Tak, proszę pana. Czy z Georgem wszystko w porządku?

Doktor Petrie zagryzł wargi. Miał teraz kilkoma krótkimi słowami zniszczyć cały świat tej kobiety. Wolałby milczeć, przedłużyć chociażby o kilka sekund nadzieję pani Haskins.

— George był bardzo chory — powiedział jednak, bardzo cicho.

Pani Haskins pokiwała głową.

— Wiem. Fatalnie się poczuł zaraz po lunchu. Przedtem trochę pływał, a potem...

Jak grom z jasnego nieba.

— Pływał? Gdzie?

— Tam gdzie zawsze. Przy plaży.

Doktor Petrie przyjrzał się zmęczonej, pełnej zmarszczek twarzy kobiety.

Pierwszy był David Kelly — pływał.

Margaret również pływała. A teraz George Haskins. Na całej niemal długości atlantyckiego wybrzeża Florydy pojawiły się jakieś okropne, cuchnące brudy.

Najwyraźniej trujące, zabójcze, pełne śmiertelnych bakterii.

— Pani Haskins — odezwał się znów. — Przykro mi, ale George nie żyje.

Pani Haskins popatrzyła na niego rozszerzonymi nagle oczami.

— Słucham? — zapytała.

— George zmarł jakieś pięć minut temu. Zmarszczyła czoło, po czym popatrzyła na plastikową torbę z rzeczami męża, którą wciąż trzymała w ręce.

— Niemożliwe. Mam tutaj jego ubranie...

— Przykro mi, pani Haskins, ale to jest prawda. Potrząsnęła głową.

— Nie, nie, to niemożliwe — powiedziała głośno, siląc się na wesoły ton. — Zaczekam tutaj na niego.

— Pani Haskins...

Przerwał mu głos, dobiegający z głośników umieszczonych pod sufitem: “Doktor Petrie proszony jest do telefonu. Doktor

Leonard Petrie, pilny telefon”. Przytrzymał dłoń pani Haskins w swojej.

— Za chwilę wrócę do pani — powiedział. — Proszę tutaj poczekać, za chwilę będę z powrotem.

Pani Haskins uśmiechnęła się słabo i delikatnym skinieniem głowy wyraziła swoją zgodę.

Doktor Petrie zaczął szybko przedzierać się pomiędzy wózkami, siostrami i pielęgniarkami, wreszcie dotarł do najbliższego aparatu telefonicznego. Podniósł słuchawkę i powiedział:

— Tutaj doktor Petrie. Podobno jest do mnie jakiś telefon.

— Chwileczkę, doktorze — odezwała się telefonistka. Po kilku sekundach oczekiwania Petrie powtórnie usłyszał jej głos: — W porządku, proszę pani, może pani rozmawiać.

— Adelaide? — Doktor Petrie odezwał się pierwszy. Adelaide mówiła w pośpiechu, głosem, w którym słyhać było przerażenie.

— Leonard? Och, Leonardzie, stało się coś strasznego! Od dwudziestu minut próbuję się z tobą skontaktować, ale linie szpitala były przez cały czas zajęte.

— Dobrze, o co ci chodzi? Czy to Prickles? Czy jest chora?

— Nie, nie Prickles. To Margaret. Zapukała do drzwi i otworzyłam jej, bo myślałam, że to ty wracasz. Gwałtownie weszła do domu, chyba była pijana, bo nie potrafiła iść prosto. Poszła prosto do sypialni Prickles i wyciągnęła ją z łóżka. Zabrała ją!

— Co takiego?

— Wyciągnęła ją z łóżka, Leonardzie — powiedziała Adelaide drżącym głosem i wybuchnęła płaczem. — Próbowałam ją powstrzymać, ale nie dałam rady. Och, Boże, Leonardzie, tak mi przykro. Naprawdę próbowałam ją powstrzymać — mówiła Adelaide przez łzy.

— Mówiłaś, że była pijana?

— Takie odniosłam wrażenie. Rzucało ją na boki, a ona ciągle przeklinała. To straszne!

Doktor Petrie oparł czoło o ścianę.

— W porządku, Adelaide, nie martw się. Zaraz do ciebie wracam. Nie sądzę, żeby Margaret zabrała Prickles bardzo daleko. Zostań w domu, za dziesięć minut tam będę.

Odłożył słuchawkę. Ze zdziwieniem stwierdził, że doktor Selmer stoi za jego plecami.

— Chyba nie zamierzasz teraz wracać do domu — powiedział doktor Selmer. —

Przykro mi, ale wyszedłem, żeby ciebie odszukać i niechcący podsłuchałem tę rozmowę.

— Anton, muszę wrócić. Moja żona odebrała mi córkę!

— Leonardzie, potrzebny jesteś tutaj! Musisz porozmawiać z Firenzą. Proszę cię, sam sobie nie dam rady! Doktor Petrie potrząsnął głową.

— Anton, ja muszę. Myślę, że Margaret też się zaraziła dżumą. Muszę odebrać jej Prickles, nie mogę jej tak zostawić. Posłuchaj — popatrzył na zegarek — daj mi dwie godziny, za dwie godziny będę tutaj z powrotem. Obiecuję ci.

Doktor Selmer sprawiał wrażenie zdesperowanego.

— Leonardzie, musisz przekonać Firnezę. Jeżeli nie poddamy całego miasta kwarantannie, jeden Bóg wie, co się wkrótce wydarzy. Przed chwilą jeszcze raz rozmawiałem z Firneżą. Wciąż odmawia. Mówi, że dopóki nie będziemy wiedzieli, co wywołało epidemię, nie ma żadnego medycznego uzasadnienia, aby zamykać miasto.

— Już wiemy, co jest powodem epidemii!

— Wiemy?!

— Myślę, że tak. To z pewnością to świństwo, które pojawiło się wzdłuż plaż.

Każda osoba, z którą dotąd się zetknąłem, a która jest chora, pływała — albo wczoraj, albo dzisiaj.

Doktor Selmer z rezygnacją opuścił ręce.

— Musimy więc zamknąć plaże — powiedział. — Idź do Firnezy, powiedz mu, co myślisz o zarazie, i nalegaj, żeby kazał pozamykać plaże.

Doktor Petrie znów popatrzył na zegarek. Wiedział już, jak zabija ta zaraza. Wiedział, jak niewiele potrzeba jej czasu. Jeśli Margaret już miała zawroty głowy i zachowywała się jak pijana, pozostało jej niewiele życia, dwie, może trzy godziny. Co będzie, jeżeli umrze, gdy Prickles wciąż będzie przy niej? A może umrze, prowadząc samochód?

— Anton — powiedział drżącym głosem — potrzebuję dwie godziny. Proszę cię.

Przecież i tak w nocy nikt nie pływa w morzu.

Doktor Selmer zmęczonym ruchem przetarł dłonią spoczone czoło.

— Jedź więc do domu — powiedział cicho. — Nie mogę cię powstrzymać.

— Anton, chodzi o moją córkę.

Doktor Selmer pokiwał głową i popatrzył na panią Ha—skins, wciąż czekającą — zszokowaną, ale cierpliwą — przy fontannie. Popatrzył przez chwilę na trwającą tutaj krzątanicę. Spojrzał na kolejną ofiarę zarazy: bladego, drżącego człowieka, wwożonego właśnie do środka na szpitalnym wózku.

— Jasne. W całej tej historii chodzi o twoją córkę, jej

— wskazał na panią Haskins — męża, czyjegoś syna, mojego wujka. Każdy do kogoś należy, Leonardzie. Wiesz, jestem rozczarowany. Ludzie krytykowali cię, ale ja nigdy nie przypuszczałem, że jesteś aż takim lekarzem.

Leonard Petrie podrapał się po szyi. Czuł, że za chwilę rozboli go głowa. Doktor Selmer przypatrywał mu się w milczeniu, czekając, aż podejmie decyzję. Wreszcie Petrie westchnął:

— W porządku, Anton, wygrałeś. Gdzie mieszka Firenza?

— Niedaleko uniwersytetu, przy Południowo—Zachodniej 48 Ulicy. Numer zapisany jest tutaj.

Doktor Petrie odebrał od niego wygniecioną karteczkę i schował do kieszeni.

— Zaraz po spotkaniu z nim wrócę tutaj — powiedział.

— Potem muszę zająć się Prickles, rozumiesz?

Doktor Selmer pokiwał głową i położył dłoń na jego ramieniu.

— Nie zapomnę tego, Leonardzie. Przyciśnij tylko tego drania do muru. Gdy wrócisz, porozmawiamy.

Doktor Petrie miał właśnie wyjść ze szpitala, gdy napotkał wzrokiem panią Haskins.

— Anton — powiedział do przyjaciela — ona ciągle nie wierzy w śmierć męża. Zrób coś z tym, na miłość boską, bo kobieta pozostanie przy tej fontannie przez całą noc.

Doktor Selmer pokiwał głową. Wówczas doktor Petrie ruszył szybszym krokiem i przeszedłszy przez wahadłowe drzwi, wkrótce znalazł się na zewnątrz, wśród parnej, wilgotnej, gorącej nocy. Szpitalny zegar wskazywał pierwszą trzydzieści.

Znalazłszy się przy samochodzie, doktor Petrie rzucił marynarkę na tylne siedzenie, po czym szybko wsunął się do samochodu i uruchomiwszy go, z piskiem opon ruszył w kierunku południowym.

Jadąc, próbował odpędzać od siebie wszelkie myśli o Pri—ckles. Był teraz odpowiedzialny za dziesiątki tysięcy innych uroczych dziewczynek zamieszkujących to miasto — to było teraz ważniejsze, niezależnie od tego, jak bardzo kochał swoją córkę, niezależnie od tego, jak bardzo przeżyłby jej utratę.



## ROZDZIAŁ 2

Ivor Glantz nerwowo dreptał po salonie swojego nowojorskiego apartamentu. Wreszcie podszedł do barku, gwałtownie otworzył karafkę zawierającą dobrą whisky i nalał sobie sporą porcję do szklanki. Przełykał alkohol jak lekarstwo, po każdym łyku wykrzywiając się. Whisky była dobrym lekarstwem, uspokajała go.

Wreszcie wypiwszy do dna, spokojnie, ostrożnie odstawił szkło na stolik.

Jego prawnik, Manny Friedman, stał w milczeniu, obserwując jego występ z niesmakiem, który jednak starannie ukrywał.

— Ivor — powiedział natarczywym, nosowym głosem. — Ivor, zabijesz się.

Ivor Glantz popatrzył na niego w milczeniu. Podszedł do okna, wysokiego od podłogi do sufitu, i rozsunął półprzeźroczyste zasłony z drogiego materiału.

Tego szarego i deszczowego wtorku, szesnaście pięter poniżej, ruch samochodowy o godzinie szesnastej był jak zwykle potężny, 1 Aleja pełna była głównie żółtych taksówek i ludzi śpieszących chodnikami nie wiadomo dokąd. Po chwili Ivor Glantz odwrócił się do swojego prawnika. Na jego twarzy wypisane było rozdrażnienie i z trudem ukrywana pogarda.

— Ty przygłupie — syknął. — Ty pierdolony, śmierdzący, półżydowski przygłupie.

Manny Friedman nerwowo zmarszczył czoło. W dłoniach, niczym tarczę obronną, ścisnął przed sobą aktówkę.

— Ivor — powiedział niepewnym głosem. — To sprawa techniki prawniczej.

— Techniki? — warknął Glantz. — Powiesz ławie przysięgłych, jakim oto jestem nieokrzesanym tyranem i gnojem, i to ma się nazywać techniką?

Manny Friedman obliznął usta.

— Ivor, już ci to wyjaśniłem. Wyjaśniłem ci, że musimy przyznać, iż w przeszłości popełniłeś błędy, po to, by obrona nie zdołała zagłębić się w nich jako pierwsza i zrobić z tego użytek! Musimy przekonać ławę, że jesteś autentycznym człowiekiem, któremu zdarzają się błędy, i który teraz został mimo wszystko źle osądzony. To nam da przewagę!

Ivor Glantz opadł ciężko na jeden z wielkich białych foteli.

— Oczywiście — powiedział sarkastycznie. — Wspaniale to wymyśliłeś. Już teraz uważają mnie za skrzyżowanie Kaliguli z Adolfem Hitlerem. Źle mnie osądzono? No i co, co mi to da? Co to ma, do diabła, znaczyć?

— Ivor, posłuchaj mnie...

— Nie będę cię słuchał! — krzyknął Glantz. — Już dosyć się nasłuchałem twoich głupich rad! To m o j a sprawa sądowa i poprowadzimy ją w taki sposób, w jaki ja sobie życzę. Co to znaczy, że ten pieprzony fiński bękart żył dotąd nieskazitelnie jak świętoszek? Czy to daje mu prawo do kradzieży efektów moich wieloletnich badań? Cholera, to nie moja wina, że ten facet jest prawiczką! To mój pieprzony patent i ten gnój

naruszył go! Pogwałcił moje prawa. To wszystko, co mnie interesuje w tej sprawie.

Manny Friedman z trudem przełknął ślinę. Usiadł, wciąż przyciskając do siebie aktówkę.

— Ivor — powiedział. — Chociaż przez chwilę, chociaż przez sekundę, posłuchaj mnie. Ivor Glantz westchnął.

— Co mam, twoim zdaniem, zrobić? Wyznać, że jestem homoseksualistą, żeby przysięgli nie pomyśleli, że utrzymuję kazirodcze stosunki z córką? — Przerwał na chwilę, obserwując Manny'ego. — Manny, przestań być taki nerwowy! No, teraz coś powiedz.

— Wszystko jest kwestią wiarygodności — odparł. — Jesteś naukowcem, cholernie dobrym naukowcem, ale masz diabelnie zagmatwaną przeszłość.

— Dlatego, że nie zgadzałem się z tymi wymoczkami z Princeton? Albo dlatego, że powiedziałem DuPontsom, żeby pieprzyli się z psami? Czy to jest ta twoja zagmatwana przeszłość?

Friedman skrzywił się z niechęcią.

— Dla sędziów, Ivor, tak — odparł. — Próbujemy im udowodnić, że oto stałeś się zwyczajnym, uczciwym Amerykaninem, o szczególnym talencie w dziedzinie bakteriologii, i że mimo twojej zagmatwanej przeszłości, fakt, że tutaj będziesz mieszkał i pracował, wyjdzie Ameryce tylko na dobre. Oto dokonałeś wielkiego odkrycia, doszedłeś do tego, w jaki sposób można krzyżować bakterie z promieniami radioaktywnymi — największe odkrycie całego twojego życia, odkrycie o epokowym znaczeniu, i co się dzieje? Jakiś

hochsztapler z zagranicy ogłasza, że to jego dzieło, publicznie nazywa cię oszustem!

Ivor zmęczonym ruchem przetarł pięściami oczy.

— Manny — powiedział, z trudem zachowując spokój.

— Nie jestem żadnym zwyczajnym i uczciwym Amerykaninem. Jestem najlepiej opłacanym, najsłynniejszym i najlepszym bakteriologiem na całym tym pieprzonym kontynencie! Manny, rozejrzyj się dookoła. Czy w takim miejscu, w takim mieszkaniu mógłby żyć twój zwyczajny i uczciwy Amerykanin? Zstąp wreszcie na ziemię i nie udawaj, że mieszkasz na Księżycu.

Manny wzruszył ramionami.

— Patrzysz na całą sprawę ze złego punktu, Ivor. Nie zależy nam, aby członkowie ławy przysięgłych uznali cię za plutokratę, który swoją wiedzę i talent medyczny wykorzystuje tylko po to, żeby jak najwięcej zarabiać.

— To ja dokonałem tego odkrycia! — krzyknął Glantz.

— Dlaczego więc nie miałbym na tym skorzystać finansowo? Manny rozpaczliwie załamał ręce.

— Nie ma żadnego powodu, Ivor, żadnego! Ale w ławach przysięgłych nie zasiadają zwykle ludzie odnoszący się z sympatią do facetów, którzy za cel życia uważają zdobycie jak największych pieniędzy! Sędziowie przysięgli nie lubią ludzi z pękatymi portfelami.

Ivor Glantz niecierpliwie potrząsnął głową.

— Gówna prawda, Manny.

— Nie masz racji, Ivor, zapewniam cię. W tej chwili sprawa zmierza w takim kierunku, że sędziowie z większą sympatią

patrzeć będą na Forwarda niż na ciebie. Forward to dumny, oddany pracy mężczyzna, który wyszedł z nizin społecznych i zrobił wielką karierę. Piął się ku górze dzięki licznym, drobnym odkryciom i sukcesom w farmakologii i bakteriologii. Nie zrobił nic tak spektakularnego jak ty, Ivor, jego osiągnięcia są jednak trwałe, niepodważalne. Jeżeli chcesz wygrać z takim facetem, musisz zleźć na ziemię ze swojego worka z pieniędzmi i przybrać postawę biednego, lecz genialnego Thomasa Edisona. Musisz sprawić, iż sędziowie przysięgli uwierzą, że Forward ograbił z genialnej myśli prostego, ciężko pracującego Amerykanina.

Ivor, w sprawie o przywłaszczenie patentu musisz nie tylko udowodnić, że jesteś pokrzywdzony, ale jeszcze wyrzucić na sędziach wrażenie, że naprawdę zasługujesz na pozytywny dla ciebie wyrok.

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że nie zasługuję na żadne współczucie ze strony tej sędziowskiej bandy — westchnął Glantz. — O co ja właściwie walczę? Po co mi to?

Manny otworzył aktówkę i zaczął grzebać wśród zielonych i niebieskich kartek papieru.

— Wiesz dobrze, po co — powiedział spokojnie. — Jeśli wygrasz, będziesz o wiele bogatszy, niż jesteś teraz. Będziesz multimilionerem.

Ivor Glantz w milczeniu obserwował, jak jego adwokat przerzuca karty jakichś prawniczych dokumentów. Patrzył na niego z niesmakiem. Nigdy nie lubił prawników, a jego uczucie w tej chwili potęgował fakt, iż doskonale wiedział, że musi posłuchać rad Manny'ego, że jeśli zacznie postępować po

swojemu, najprawdopodobniej wiele straci. Z wewnętrznej kieszeni swojej doskonale skrojonej, drogiej marynarki, wyciągnął cygaro i przyciął jego koniec złotym nożykiem. Zapalił cygaro i powoli zaczął wydychać z płuc małe chmurki błękitnego dymu.

Glantz nie był przystojny i już na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia przyjaznego, spokojnego człowieka. Był prawie łysy; jedynie z tyłu głowy pozostały mu jeszcze starannie utrzymane i pielęgnowane resztki czarnych włosów.

Twarz miał pooraną zmarszczkami, a jasne oczy wpatrywały się w ludzi spojrzeniem równie ostrym i nieprzyjemnym jak jego cięty język.

W milczeniu palił cygaro i bębnił palcami w oparcie fotela. Dotąd nie miał nawet czasu, żeby się przyzwycząić, przywyknąć do swojego nowego mieszkania — jednego z trzydziestu superluksusowych apartamentów — w Concorde Tower. A zamierzał spędzić ten miesiąc, urządzając się tutaj, przewieszając obrazy, przestawiając meble i porządkując okazałą bibliotekę. Jego pasierbica, Esmeralda, mieszkająca tutaj razem z nim, urządziła już jako tako sypialnię i salon, Glantz był jednak przekonany, że do wszystkiego rnusi przyłożyć swoją rękę.

A cały bałagan wyniknął z winy Siergieja Forwarda. Kiedy Ivor Glantz powrócił przed sześcioma tygodniami z podróży po Ameryce Południowej i Środkowej, którą objeżdżał z cyklem wykładów, omawiając w największych uniwersytetach najnowsze proponowane przez siebie techniki badań bakteriologicznych, był bardzo zmęczony i pragnął jedynie

odpoczynku. A tymczasem przypadkowo sięgnął po egzemplarz “Scientific American” i znalazł w nim długi i bogato ilustrowany artykuł Siergieja Forwarda o tym, jak to on, wielki fiński naukowiec—bakteriolog odkrył, w jaki sposób można łączyć najróżniejsze bakterie z uranem—235.

Glantz nie miał wyboru; musiał oddać sprawę do sądu.

Manny Friedman westchnął, po czym wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

— Jutro — zaczął mówić — będziemy udowadniać, że jesteś dwustuprocentowym, ciężko pracującym Amerykaninem. Podkreślimy, ile wysiłku kosztowało cię dotarcie w pracy naukowej do punktu, w którym znajdujesz się teraz. Opowiemy trochę o twoim prywatnym życiu...

Ivor Glantz wlepił w niego oczy rozszerzone ze zdziwienia.

— Prywatnym życiu? — zawołał. — Prywatnym? Co masz na myśli?

— Twoi rodzice ciężko pracowali na utrzymanie rodziny, prawda? To jest życie prywatne.

— Mój ojciec, jak ci dobrze wiadomo, był prezesem Glantz and Howell Banking Trust. To nie to samo, co rodzinny sklepik, w którym ciężko haruje się od rana do późnego wieczora.

Manny przybrał filozoficzny wyraz twarzy.

— Cóż, pewnie rzeczywiście nie. Ale nie zaszkodzi nam, jeżeli przedstawimy to sądowi właśnie w ten sposób. Musimy wmówić sędziom, że to, co osiągnąłeś, zawdzięczasz wyłącznie sobie i swoim wysiłkom, że dokonałeś wielkich odkryć, mimo przeszkód i trudności, które licznie pojawiały się na twojej drodze.

Ivor wstał i przeszedł przez cały pokój. Przystanął pod przeciwną ścianą.

Ostrożnie poprawił wiszący na ścianie obraz, po czym cofnął się odrobinę, aby stwierdzić, czy teraz na pewno płótno wisi prosto.

— Manny, tracisz czas. Jutro w sądzie przedstawię absolutną najprawdziwszą prawdę.

Powiedz, że Sergiej Forward jest beztalenciem, które uznało, że może osiągnąć sławę w medycynie, wykradając mój dorobek naukowy. Powiedz im to w taki sposób, żeby wszystko dokładnie zrozumieli. Powiedz im, że facet jest takim samym złodziejem, jak gówniarz, który kradnie owoce w supermarkecie.

Manny znów wytarł nos.

— To się może nie udać, Ivor. Większość członków ławy przysięgłych to ludzie tak biedni, że sami, bez żenady, dokonują w supermarketach drobnych kradzieży.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Ivor podniósł się i otworzył. Do salonu weszła Esmeralda obciążona wielkimi torbami z zakupami. Z jednej z nich wystawały francuskie bułeczki. Delikatnie pocałowała Ivora w policzek.

— Cześć, tatusiu. Cześć, Manny. Dzisiaj jemy po francusku. Cielęcina, świeża fasola i gorące pieczywo z czosnkiem.

Wstając na powitanie Esmeraldy, Manny zrzucił stertę papierów na dywan.

— Obawiam się, że nie mogę jeść czosnku — powiedział, czerwieniąc się. — Mam potem zgagę.

Ivor zbliżył się do niego i położył mu dłoń na ramieniu.



— W porządku, Manny, nie musisz jeść czosnku. Po prostu kolację zjemy bez ciebie.

Esmeralda przeszła do kuchni. Złożyła na stole wszystkie zakupy i powróciła do salonu.

‘ — Przecież mógłby zostać, jeżeli chce. Nakupowałam tyle, że wystarczy i dla trzech osób.

Ivor, wciąż paląc cygaro, potrząsnął głową.

— Mam na dzisiaj dosyć prawników. Zamierzam spędzić ten wieczór w miłym, spokojnym towarzystwie mojej ukochanej córki.

— W porządku — powiedział Manny. — Jestem dzisiaj umówiony z moją siostrą.

Zapewniam was, że doskonale gotuje.

— Wspaniale więc. Es, czy chcesz się czegoś napić? Zaraz przyrządzę ci drinka, tylko pożegnaj Manny’ego.

— Brandy z wodą sodową! — zawołała Esmeralda, która zdążyła już zniknąć w jednej z sypialń. — Tymczasem przebiore się w coś mniej krępującego. Do zobaczenia, Manny. Mam nadzieję, że następnym razem zostaniesz u nas na kolacji.

Ivor odprowadził Manny’ego do drzwi.

— Jeszcze jedno — powiedział Manny, przytrzymując Ivora za rękaw. — Kiedy znajdziemy się jutro w sądzie, chcę, żebyś pamiętał, że nie wolno ci okazywać ani goryczy, ani żądy rewanżu. Masz być spokojny, dostojny, wyniosły. Musi wręcz emanować z ciebie taka postawa: Forward popełnił błąd, chcesz mu jednak wybaczyć i o wszystkim zapomnieć. Pod warunkiem, że przed sądem przyzna się do popełnionego błędu. Jeżeli będziesz się zachowywał inaczej, sędziowie

przysięgli po prostu poczują do ciebie antypatię, co może się źle skończyć. Posłuchasz mnie, zrobisz to dla mnie.

Ivor wpatrywał się w niego miną pokerzysty.

— Proszę cię — powiedział Manny.

Ivor skinął głową.

— W porządku. Będę jutro słodki i łaskawy dla całego świata. Czy mam również założyć skrzydła i aureolę wokół głowy?

Manny potrząsnął przecząco głową

— Wystarczy stały, delikatny uśmiech na twarzy.

— W porządku.

Już bez słowa Manny obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku windy. Ivor, zamyślony, zaniknął drzwi i powrócił do salonu, gdzie zajął się przyrządzaniem napojów: kolejnej porcji szkockiej dla siebie oraz brandy z wodą sodową dla Esmeraldy. Z ciężkim westchnieniem opadł na fotel, zastanawiając się, czy wszyscy mężczyźni w wieku pięćdziesięciu dwóch lat czują się tak zmęczeni i zużyci jak on.

Do salonu powróciła Esmeralda, ubrana w długi, turkusowy, jedwabny negliż, z szerokim kołnierzykiem, plisowanymi rękawami i całą masą koronek. Esmeralda była wysoką dziewczyną o ślicznej twarzy i jasnej karnacji. Miała przenikliwe brązowe oczy, takie, jakie bardzo podobają się artystom. Jej włosy były długie, kręcone i bardzo czarne. Wokół głowy Esmeraldy owinięta była cienka turkusowa opaska.

Kiedy przeszła wzdłuż okna, perłowe światło popołudnia prześwietliło jedwabny negliż, ukazując ojczymowi wspaniałe kształty dziewczyny: ostro sterczące piersi i płaski brzuch.

— Zły dzień w Black Rock? — zapytała, podniósłszy szklanę z Hrinkiem. Powoli zaczęła go sączyć. Ivor wzruszył ramionami.

— Sądy wymyślono dla prawników, a nie dla ludzi. To już piąty dzień i nie posunąłem się ani o krok do przodu.

Esmeralda usiadła w turkusowej szacie naprzeciwko ojczyrna.

— Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Zobacysz. Ivor przełknął porcję szkockiej.

— Oto, dlaczego cię kocham. Zawsze jesteś taką optymistką...

Nastąpiła chwila ciszy, aż wreszcie Esmeralda popatrzyła na ojczyrna przez szkło swojej szklanki.

— Co ci się bardziej podoba? — zapytała. — Mój optymizm czy moje ciało?

Ivor odchrząknął, zdziwiony tym pytaniem.

— Myślę, że wszystko po trochu. W ostatnich dniach chyba bardziej to pierwsze.

— A więc uważasz, że sam optymizm nie wystarcza w życiu.

— Nie chcę cię do niczego zmuszać. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek czuła się zobowiązana...

Uśmiechnęła się do niego zimno i wyniośle.

— Żadnemu mężczyźnie się to nie udało i nie uda. Wiesz o tym.

— Mam nadzieję — odparł Ivor, krzyżując nogi. — Ale chyba rozumiesz, o co mi chodzi. Ta galeria, to miejsce — wykonał szeroki gest ręką — nie chcę, żebyś uważała, że musisz mi się odwdzięczać.

Esmeralda nie podniosła wzroku. Obracała na palcu złoty pierścionek z krwawnikiem.

— Jestem ci wdzięczna — powiedziała. — Nigdy nie zgasisz we mnie tego uczucia. A galeria... dzisiaj rozmyślałam o tym, przecież ona istnieje dzięki tobie, jest taka doskonała. Jesteś wspaniałym człowiekiem, papo. Naprawdę tak uważam.

Skrzywił się.

— Twoja matka tak nie uważała.

Esmeralda wstała i przeszła kilka kroków przez salon. Za nią sunął turkusowy welon z leciutkiego jedwabiu. Na palcach nóg miała kilka malutkich złotych pierścieni; Ivor uważał tę biżuterię za niesłychanie zmysłową.

— Czy nie uważasz, że to mieszkanie jest ponure? — zapytała.

Ivor rozejrzał się. W salonie dominował kolor kremowy i zielony. Na dwóch ścianach wisiały barwne obrazy abs—67

trakcjonistów. Meble wykonane były z drewna klonowego. Było tu też kilka dużych luster.

— Musi być ponure — powiedział. — Kiedy płacisz 185 tysięcy dolarów rocznie za siedem pokoi i dodatkowo jeszcze tysiąc sto co miesiąc, mieszkanie musi sprawiać ponure wrażenie.

Esmeralda podeszła i popatrzyła na niego z bliska. Po chwili uklękła przy jego fotelu. W jednej ręce trzymała szklaneczkę z brandy, drugą delikatnie pociągnęła Ivora za nogawkę od spodni. Spojrzał jej w twarz, pustym wzrokiem, szukając jakichś śladów emocji na twarzy pasierbicy.

— Chcę ci podziękować — szepnęła.

— Nie musisz.

— Ale chcę.

Ujęła go za rękę i wstała.

— Chodź — powiedziała. Pociągnęła go za sobą.

Ivor przez chwilę zastanawiał się, po czym odstawił szklanekę i bez słowa ruszył za Esmeralda. Przez gruby, kosztowny dywan przeszli do głównej sypialni.

Posadziła go na szerokim łóżku, przykrytym narzutą, i powoli zaczęła go rozbierać. Rozpoczęła od butów i krótkich, czarnych jedwabnych skarpetek. Sam chciał rozpiąć koszulkę, ale nie pozwoliła mu; zrobiła to sama, sprawnie poruszając palcami o długich paznokciach pomalowanych na ciemnoczerwony kolor.

Wkrótce był nagi. Jego ciało było białe i pulchne. Wokół piersi miał siwe, kręjące się włosy. Nogi miał zadziwiająco chude i proste. Leżał jak długi: łysy, starzejący się, beczynny, z zamkniętymi oczyma. Doskonale wiedział, jak wygląda, ale wiedział też, że zamknięwszy oczy, pieszczony przez Esmeraldę, potrafi przenieść się w świat fantazji, potrafi brać z seksu to, co najlepsze.

Niczym wielka błękitnozielona ćma, Esmeralda wspięła się na niego. Dłonią odnalazła jego sztywniejący penis i wyceLOWAŁA go pomiędzy szeroko rozwarte uda. Włożyła go w siebie, po czym wygodnie usiadła i głośno odetchnęła, niemal nieludzkim westchnieniem, odległym, jakby pochodzącym z zaświatów, przywodzącym na myśl wielkiego, zadowolonego z siebie ptaka. Ivor ciągle miał oczy zamknięte i milczał.

Czas mijał. Mieszkanie było ciche, słyhać było jedynie cichy szelest negliżu Esmeraldy i pełne ekstazy jęki. Dopiero po chwili Esmeralda zaczęła drzeć.

Oparłszy dłonie o piersi ojczyrna, rozpoczęła szalone ujeżdżanie.

Leżeli potem obok siebie bez słowa przez blisko godzinę. Ivor pozwolił sobie na drzemkę; gdy się obudził, bolała go głowa i czuł nieprzyjemny smak w ustach.

Usiadł i sięgnął ręką po płaszcz kąpielowy.

Esmeralda uniosła się na dłoni i powiedziała:

— Jesteśmy dziwną parą, prawda?

Wciąż milcząc, Ivor podszedł do lustra. Uniósł głowę i przez kilka chwil przyglądał się sobie. Potem popatrzył na odbicie Esmeraldy. Dziwne, ale w lustrze zdawała mu się o wiele brzydsza. Nie miało to jednak wpływu na jego ogromną miłość do niej. Kochał ją bardziej niż kogokolwiek dotąd w życiu. Kochał ją prawie tak mocno, jak swoją pracę, o wiele bardziej niż jej matkę. Pieprzenie córki po tym, jak się pieprzyło jej matkę, porównywał do kupna pierwszego nowego samochodu, co stanowiło szczęśliwy koniec okresu życia, w którym jeździło się egzemplarzami kupowanymi z drugiej ręki.

Odrobinę przyglądził zmierzwione kędziory z tyłu głowy, spryskał twarz wodą po goleniu i odwrócił się do pasierbicy z poważnym wyrazem twarzy.

— Tak, masz rację. Jesteśmy dziwną parą. Czasami aż nie chce mi się wierzyć, że to się dzieje naprawdę.

— Tak chyba jest na świecie ze wszystkim, co jest cudowne i piękne.

Ivor pokiwał głową.

— Tak, tak właśnie jest. Ale identycznie jest z rzeczami okropnymi i przerażającymi. Kiedy dzieje się coś strasznego, trudno jest wówczas uwierzyć, że to jawa, a nie sen. Oszukujemy się wtedy, chcąc wierzyć, że to sen, że za chwilę się obudzimy i wszystko będzie inaczej.

Esmeralda rozkosznie przeciągnęła się.

— Tatuśku — powiedziała. — Czy na tym świecie może nam się przydarzyć coś okropnego i przerażającego?

Piętro wyżej, w mieszkaniu numer 110, niemal w całkowitej ciemności, w wielkim wiktoriańskim fotelu spoczywał wysoki mężczyzna, w wieku około sześćdziesięciu lat. Ciężkie zasłony zaciągnięte były na oknach. W salonie było aż gęsto od dymu papierosowego. Twarz mężczyzny była przystojna, ale od dawna już poorana grubymi, starczymi zmarszczkami. Miał piękne, gęste, niemalże białe włosy.

Ubrany był w lekki jasnoniebieski dres, zupełnie nie pasujący do kogoś w jego wieku. W dużej popielniczce z kości słoniowej dopalał się kolejny papieros.

Błękitny dymek unosił się aż pod sufit.

Mężczyzna oglądał film. Na stoliku obok niego stał drogi, nowoczesny projektor.

Film właśnie się skończył, jednak szpula z taśmą wciąż się obracała. Na ścianie naprzeciwko mężczyzny wywieszony był biały ekran; coś zupełnie nie pasującego do pomieszczenia, w którym dominowały antyczne meble i cenne, stare bibeloty.

Mężczyzna siedział jak sparaliżowany albo zamarznięty. Jego oczy skupiły się na czymś, co znajdowało się gdzieś bardzo

daleko, z całą pewnością nie w tym pokoju. Pozwalał, aby papieros wypalił się do końca; nie zamierzał już ani razu podnieść go do ust. Mężczyzna nazywał się Herbert Gaines i był kiedyś bardzo sławnym aktorem.

Ktoś, kto obejrzał Romantyków albo Incydent w Yicksbur—gu z całą pewnością zapamiętał na całe życie jego twarz. No, przynajmniej jej gładszą i młodszą wersję — otwartą, jasną twarz młodego człowieka, który wzbudza zaufanie. Herbert Gaines obejrzał właśnie tę twarz i te dwa filmy po raz — być może — tysięczny.

Nie sprawiało mu to bólu, choć trzeba przyznać, że nie wpływało też na niego korzystnie.

Otworzyły się drzwi od sypialni i starego aktora spoczywającego w fotelu oświetliła kwadratowa smuga światła. Do salonu wszedł młody mężczyzna. Miał

jakieś dwadzieścia dwa lata, dżinsowe krótkie spodenki i bose stopy. Na piersiach wytatuowane miał dwa orły. Na głowę włożył żółty ręcznik; właśnie suszył włosy po kąpielu.

Młodzieniec popatrzył na pusty ekran i odezwał się:

— Skończyłeś na dzisiaj z nostalgią, czy jeszcze nie?

Herbert Gaines nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy odrobinę się zmienił.

Odsunął myśli od wspomnień sięgających 1936 roku i skupił wzrok na młodym człowieku, który zakłócił jego rozmyślenia, na Nicholasie, swoim kochanku.

Młodzieniec zatrzymał się pomiędzy Gainesem a pustym białym ekranem. Strumień światła, dobiegający z sypialni,



oświetlał jego spodenki i kształtne, gładkie nogi. Herbert Gaines zamknął oczy.

— Nie wiem, po co ci to — kontynuował Nicholas. — Czy przydarzyło ci się dzisiaj coś nieprzyjemnego?

Gaines otworzył oczy. Wyciągnął rękę i wyłączył projektor.

— Jesteś nadwrażliwy — mówił Nicholas. — Przecież mamy być ze sobą, cieszyć się sobą, kochać się, tak przynajmniej mówiłeś, kiedy to się zaczynało. A tymczasem ostatnio najczęściej się kłócimy, a ty potem siadasz przed ekranem i wciąż oglądasz te swoje stare, okropne filmy.

Gaines poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Wciąż jednak milczał.

— Czasami — wciąż mówił Nicholas — odnoszę wrażenie, że tego właśnie chcesz, ciągłych kłótni, awantur, nawet bijatyk pomiędzy nami. Herbercie, to nie ma sensu, ja taki nie jestem, to mi kompletnie nie odpowiada. Cholera jasna, tak jestem skonstruowany, że to mnie nudzi i męczy.

Herbert Gaines słuchał w milczeniu. W pewnej chwili podniósł ze stolika paczkę papierosów. Obserwując Nicho—lasa, zapalił jednego.

— Skoro męczą cię kłótnie ze mną, Nick — odezwał się wreszcie — męczy cię również moja miłość.

Nicholas ściągnął ręcznik z głowy i rzucił go na podłogę. Herbert Gaines znów zamilkł i w ciszy palił papierosa. Nicholas tymczasem zaczął nerwowo spacerować z jednego końca pokoju do drugiego. Po długiej chwili zatrzymał się wreszcie przed fotelem Gainesa — spięty, rozdrażniony.

— Chyba niczego nie rozumiesz, człowieku. Jesteś zbyt zajęty swoją nostalgią i tymi głupimi wspomnieniami sprzed czterdziestu lat. Ciągłe rozmyślasz o sobie.

Dlaczego dla odmiany nie rozejrzysz się dookoła? Odsuń te zasłony z okien i zdaj sobie sprawę, który mamy rok! Chryste, Herbercie, mnie nawet nie było na świecie, kiedy ty nakręciłeś te swoje cholerne filmy.

Herbert Gaines uniósł wzrok.

— A jednak byłeś — powiedział gardłowym głosem. Nicholas chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle zamilkł, zupełnie zaskoczony.

— Nie rozumiem cię — wyjąkał.

— Byłeś wówczas na świecie, powiedziałem przecież wyraźnie. Czy nie widziałaś swojej twarzy?

— Mojej twarzy? Nie...

Herbert Gaines odłożył papierosa i ciężko podniósł się z fotela. Nicholas patrzył niepewnie, jak podchodzi do półki z książkami i wyciąga duży, opasły tom “Rocznika Filmowego” z roku 1938. Stary człowiek położył książkę na biurku i otworzył ją. Po chwili kiwnął ręką na Nicholasa.

— Popatrz — powiedział, wskazując bladym, eleganckim palcem dużą czarno—białą fotografię. — Kogo ci to przypomina?

Nicholas tylko na moment rzucił okiem na fotografię.

— To jesteś ty. Przecież zdjęcie jest podpisane — powiedział. Zaczął czytać: “Herbert Gaines w roli młodego kapitana Dashfoota, w filmie Incydent w Yicksburgu.

— Kretyn — mruknął Herbert Gaines. Ścisnął Nicholasa za szyję i skierował jego twarz ku dużemu wiktoriańskiemu lustru, wiszącemu na ścianie przed budynkiem.

Drugą ręką podniósł książkę i przytrzymał ją obok twarzy Nicholasa.

— Uważaj! — krzyknął Nicholas. Po chwili wystękał: — Hmm, chyba istnieje pomiędzy nami jakieś drobne podobieństwo. Ale bliźniakami nigdy byśmy nie byli.

Mamy zbyt mało cech wspólnych.

Herbert Gaines puścił go i odłożył książkę na biurko.

— Tak sądzisz? A teraz posłuchaj. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, poczułem się dziwnie, jak nigdy przedtem. Początkowo nie potrafiłem zrozumieć tego uczucia. Gapiłem się na ciebie, gapiłem i nie miałem pojęcia, dlaczego to robię.

I w pewnej chwili zobaczyłem swoje odbicie w szybie jakiejś wystawy sklepowej.

Już wiedziałem. Ujrzałem w tobie swoją twarz. Zrozumiałem, dlaczego tak bacznie ci się przyglądałem. Dlatego, bo ty, Nicholasiu, jesteś moim sobowtórem z czasów, kiedy występowałem na ekranach.

Nicholas miał niepewną minę.

— Chyba nie dlatego mnie tak bardzo lubisz co? To znaczy, chciałem powiedzieć, że nie jest to jedyny powód, co?

Herbert Gaines powoli powrócił do swojego fotela i usiadł. Znów popatrzył na Nicholasa głębokim, przenikliwym wzrokiem, i odezwał się grobowym, głuchym głosem:

— Nicholasiu, kocham cię.

Nicholas przez chwilę drapał się po szyi.

— Wiem, Herbercie, ale...

— Ale co? Kocham cię i to wszystko. Nie ma miejsca na żadne ale.

Nicholas opuścił wzrok.

— Tak, tak, oczywiście. Jednak zastanawiam się, czy kochasz mnie dlatego, że to jestem ja, czy dlatego, że...

— Bo co?

— Bo widzisz siebie we mnie. Czy kochasz mnie, czy siebie sprzed czterdziestu lat?

Zapadła nieprzyjemna cisza. Przerwał ją po długiej chwili Herbert Gaines.

— Tak — pokiwał głową. — Masz rację, ja kochani siebie. Ty jesteś dla mnie personifikacją kogoś, kim kiedyś byłem i kim mógłbym być jeszcze bardzo długo, gdyby dano mi taką szansę. Tak, dlatego i tylko dlatego ciebie kochani.

Nicholas stał, nie poruszając się, przygryzając wargi. Patrzył na Herberta, jednak ten nie odpowiadał mu spojrzeniem, przyglądając się swoim wypiełgnowanym dłoniom. Stary aktor palił papierosa.

— Pierdol się — powiedział Nicholas. Herbert Gaines milczał.

— Uważasz, że tak jest w porządku? — zawołał Nicholas. W jego oczach zabłyszczały łzy. — Uważasz, że wszystko jest w porządku, że ja mogę ot tak, po prostu, z tym żyć? Za kogo mnie, kurwa, uważasz? Za jakiegoś osła z tych swoich starych, głupich filmideł? Pierdol się, Herbercie!

Gaines wzruszył ramionami.

— Uspokój się, drogi chłopcze — powiedział. Nicholas otarł oczy dłonią.

— I to wszystko, co masz do powiedzenia? Pieprz się, stary. Całymi dniami gapisz się na te swoje filmy i wzruszasz się niczym podstarzała Shirley Tempie, a kiedy mówię ci prawdę, co o tobie myślę, potrafisz tylko tyle mi powiedzieć? Wiesz co, stary, pakuję się i odchodzę, natychmiast.

— Pakujesz się? — zdziwił się Gaines. — Po co? Nicholas zbliżył się do niego, pochylił się i syknął mu do ucha:

— Ponieważ cię opuszczam, mój ty pieprzony kochanku, opuszczam cię na zawsze i nieodwołalnie, oto, po co się pakuję.

Herbert chwycił go za ramię i ścisnął mocno. Przez chwilę jakby szukał słów, aż wreszcie warknął:

— Jeżeli tylko spróbujesz, gówniarzu, skręcę ci kark. Nicholas wyrwał się z uścisku.

— Może byłeś siłaczem w 1936, ale teraz nie dasz mi rady, czy zdajesz sobie z tego sprawę, Herbercie?

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku sypialni. Herbert Gaines, ze złością wypisaną na twarzy, podniósł się z fotela i ruszył za nim. Schwycił Nicholasa jeszcze w drzwiach i wykręcił mu rękę. Nicholas z trudem, ale znów się uwolnił.

— Herbercie, to nie ma, kurwa, sensu!

— Nie, Nicholasie, chyba nie chcesz naprawdę tego zrobić!

— A co mam zrobić? Zostać tutaj i wiecznie wysłuchiwać o twoich wspaniałych młodzięczych latach i o tym, jaki jestem wspaniały, ponieważ jestem trochę podobny do twojego wizerunku z tych dwóch starych, pożółkłych fotografii, którymi dysponujesz? Jezu Chryste, Herbercie, nie wiem, co jest nudniejsze, ty, czy te twoje głupie, stare fil—midła drugiej kategorii.

Herbert z całej siły uderzył go dłonią w twarz. Nicholas wytrzeszczył na niego oczy, bardziej z zaskoczenia niż z powodu bólu, który mu sprawił. Uniósł rękę i przez chwilę rozcierał miejsce, w które został uderzony.

I nagle, bez słowa czy gestu ostrzeżenia, z całej siły uderzył starego człowieka pięścią w żołądek. Herbert jęknął i oparł się plecami o framugę. Nicholas znów go uderzył, tym razem otwartą dłonią, i Herbert padł na podłogę. Z nosa ciekła mu krew.

Nie krzyczał jednak, nie jęczał, nie uczynił żadnego obronnego gestu. A Nicholas tymczasem zaczął go kopać: miarowo, systematycznie, bezlitośnie, w milczeniu, z zimną krwią. Na dywanie pojawiało się coraz więcej krwi, a twarz Herberta po kilkunastu kopniakach była już cała czerwona.

Wreszcie Nicholas opanował się, przestał. Spojrzał na ciało starego człowieka, po czym przeszedłszy nad nim, niepewnym krokiem skierował się do sypialni. Padł

na łóżko i zwinąwszy się w kłębek, łkał i płakał bezsilnie.

Po kilku minutach zdał sobie sprawę, że Herbert, zakrwawiony i w podartym dresie, stoi przy jego łóżku. Stary wyciągnął dłoń i dotknął jego gołego ramienia. Nicholas natychmiast uspokoił się.

— Nick — wyszeptał Herbert Gaines. — Nicky. Nicholas odwrócił się tyłem do niego.

— Nicky, posłuchaj mnie — kontynuował Gaines. Nicholas potrząsnął głową.

— Nicky, jeszcze niewystarczająco mnie ukarałeś.

Nicholas tym razem odwrócił się ku niemu i podniósł głowę. Przystojna, pokryta zmarszczkami twarz jego kochanka była opuchnięta i czerwona od krwi.

— Niewystarczająco? — zapytał z niedowierzaniem. Herbert Gaines, były gwiazdor filmowy, padł na kolana.

— Zgrzeszyłem przeciwko sobie — powiedział chrapliwym głosem. — Zestarzałem się, jestem obrzydliwy. Musisz mnie ukarać.

Nicholas usiadł. Chwycił dłoń Herberta i uścisnął ją mocno.

— Herbercie, nie powinienes mówić takich rzeczy. Nikt nie może zapobiec temu, że się starzeje. A poza tym, co to za wiek, sześćdziesiąt lat? Gdy dożyjesz dziewięćdziesięciu pięciu, wtedy będziesz mógł się martwić.

Herbert otarł krew z policzka.

— Sześćdziesiąt to o wiele więcej niż dwadzieścia, Nick. To moja wina.

Przegrałem swoją młodość. Dwa filmy, zbyt wiele pieniędzy zarobiłem, zbyt szybko. Za trzeci film zaoferowali mi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Byłem najlepszy, u szczytu powodzenia i odparłem, że albo sto tysięcy dolców, albo nic.

— No i?

— I wiesz, co się stało. Nie dostałem nic. Byłem młody, głupi i nie dostałem nic. Skończyłem się. Czy nie uważasz, że należy mi się za to kara?

Nicholas ukrył twarz w dłoniach. Czuł się zniechęcony, zmęczony i nie potrafił

znaleźć słów, które ukoilyby jego kochanka. Był kiedyś studentem malarstwa, był marynarzem na statku handlowym,

nie zarabiał na życie mówieniem, toteż wyszukanie w głowie mądrych słów nie przychodziło mu łatwo.

— Nicky — powiedział Herbert Gaines. — Musisz mnie uderzyć.

Nicholas potrząsnął głową.

— Nie, Herbercie, nie mogę.

— Musisz! To jedyny sposób. Moja głupia przeszłość musi zostać ukarana.

Nicholas wstał i podszedł do obrazu wiszącego na ścianie, przedstawiającego chińskiego mandaryna. Obraz był stary, a przedstawiona na nim postać sprawiała wrażenie niezwykle mądrej, choć tajemniczej. Wpatrując się w jej nieprzeniknioną i chłodną twarz, młodzieniec zastanawiał się, jak kiedykolwiek mogli istnieć ludzie, którzy potrafili robić takie niesamowite miny, mając do ust przyklepiony uśmiech.

— Nicky — znów odezwał się Herbert Gaines.

— O co chodzi, Herbercie?

— Chcę, żebyś mnie zabił. Nicholas prawie się roześmiał.

— Nie, Herbercie, nie mogę.

— Policja nigdy się nie dowie. Mógłbyś utopić mnie w wannie. Wyglądałoby to na nieszczęśliwy wypadek. Tylko dlatego, że nie potrafię zrobić tego sam. Nie potrafię popełnić samobójstwa. Jestem katolikiem. To bardzo trudne, chcieć umrzeć i jednocześnie bać się śmierci.

Nicholas odwrócił się. Popatrzył na broczącego krwią przyjaciela i zdecydowanie pokręcił głową.

— Nie mogę cię zabić, Herbercie. Jesteś niezniszczalny. Wystąpiłeś w filmach, prawda? W dwóch wspaniałych filmach.



Nie ma znaczenia, czy twoje ciało będzie żyło, czy nie. Za każdym razem, gdy pojawisz się na ekranie, będziesz żywy, nie martwy.

— Nicky — załkał Herbert. — Muszę zostać ukarany.

— Jesteś ciągle karany — odparł Nicholas cichym głosem. — Każdy dzień twojego marnego życia jest dla ciebie karą. Nie potrzebujesz mnie jako wykonawcy tej kary. Twoja kara jest tak ogromna, że może zakończyć się jedynie z całą cywilizacją. Kiedy nie będzie już filmów i kin, wtedy odzyskasz wolność od tego, co cię prześladowa.

Herbert pochylił głowę. Ledwie słyszalnym szeptem odezwał się:

— Jeżeli to prawda, Nicky, zacznę się modlić do Boga, aby cywilizacja skończyła się jeszcze przed moją śmiercią.

Nicholas podszedł i położył dłoń na ramieniu Herberta.

— Kto wie? Dzisiejszy świat jest taki, że być może Bóg wysłucha twojej prośby wcześniej, niż myślisz. A teraz idź do łazienki i umyj się, dobrze?

W mieszkaniu numer 109, po drugiej stronie obszernego holu, Kenneth Garunisch był jedyną osobą w Concorde Tower, która zamartwiała się zarazą. Siedział przy swym zawalonym papierami biurku, jednocześnie próbując zawiązać krawat, oglądać telewizję i rozmawiać przez telefon ze swoimi związkowymi prawnikami. Mówił tubalnym, donośnym głosem, od którego wzięło się jego przezwisko: "Buldożer".

Był bardzo zdenerwowany.

— Ta sprawa wyniknęła ostatniej nocy, Matty. Jak to się stało, że dowiaduję się o niej dopiero teraz? — krzyczał. — Przecież,

cholera, mam prawo o wszystkim wiedzieć, od samego początku, tak czy nie? Co to znaczy “nadzwyczajna sytuacja”?

Cholera, nieważne, jak to zwa, głównie mnie to obchodzi!

Przez dwoje otwartych drzwi widział swą żonę, Gay. Była w kuchni i wraz z czarną służącą, Beth, przygotowywała coctaille i poczęstunek. Pracując, podśpiewywała pod nosem *Stmngers in the Night*. Beth, wysoka i bardzo chuda, milczała.

— Lepiej, żebyś mi jednak uwierzył! — wołał Garunisch do słuchawki. — Miałem telefon od moich ludzi w tym szpitalu! Zaraza, tak właśnie o tym mówią. Czarna śmierć!

Położył na chwilę dłoń na mikrofon słuchawki i ciężko westchnął. Był niskim, potężnie zbudowanym mężczyzną, o dużej głowie i stalowoszarej, krótkiej fryzurze. Jego blade oczy wyrażały stanowczość i bezkompromisowość. Miał podwójny podbródek. Był uparty i przyzwyczajony do tego, że stawia na swoim. Był przewodniczącym Związku Zawodowego Personelu Szpitali — związku, który sam założył w roku 1934. W jego skład początkowo wchodziło czterech szpitali z Belleuve, obecnie jednak był on potężną instytucją, z przeszło miliardem dolarów na koncie bankowym i dwu i pół milionami zrzeszonych członków.

— Słyszysz mnie dobrze? Zaraza! Nie wiedzą jeszcze, jakiego rodzaju, ale wiedzą, że ludzie padają jak muchy. Dlaczego więc tak długo o niczym nie wiedziałem?

Gay wsadziła w drzwi głowę o jasnych, grubo polakierowanych włosach.

— Co takiego? Ken? Czy coś mówiłeś? — zapytała. Kenneth odgonił ją machnięciem ręki.

— Rozmawiałem z Mattym. Czarna śmierć opanowała Miami — odpowiedział jej jednak.

— Niewiarygodne, prawda?

Gay zamrugała oczami, jakby zastanawiając się, czy powinna uwierzyć mężowi, czy też nie. Wreszcie odezwała się:

— A co to takiego czarna śmierć? Kenneth zignorował ją. Prawnik, który wciąż był na linii, zapytał go, co zamierza zrobić w sprawie Miami.

— A jak ty myślisz, co zamierzam? Zamierzam stanąć w obronie członków mojego związku! Skoro będą mieli do czynienia z zarażonymi ludźmi, sami mogą zachorować, prawda?

Prawnik zgodził się z nim.

— W związku z tym — kontynuował Garunisch — życzę sobie, żebyś zatelefonował do departamentu zdrowia w Miami i powiedział tym ważniakom, że członkowie mojego związku albo otrzymają podwójne wynagrodzenie, albo odmówią wykonywania swoich dotychczasowych obowiązków.

Prawnik na chwilę zaniemówił. Zaraz jednak powiedział, że w warunkach, jakie nastąpiły, taka akcja związku może zostać uznana za niemoralne wykorzystywanie kryzysowej sytuacji.

— Posłuchaj mnie — warknął Garunisch. — Łap za telefon i powiedz tym facetom z Miami, że jeżeli chcą, żeby członkowie mojego związku nadstawiali karku, należy im dobrze zapłacić. Nie interesują mnie żadne inne argumenty, żadne bzdury, słyszałeś? No, to do roboty.

Odrzucił słuchawkę na widełki i potrząsnął głową.

— “Niemoralne wykorzystywanie kryzysowej sytuacji” — powtórzył z sarkazmem. —

Marnie opłacany kubański portier ma ryzykować swoim życiem i nie oczekiwać ani centa podwyżki... Co za nonsens. Niemoralne wykorzystywanie jego dupy.

Gay znów stanęła w drzwiach.

— Mówiłeś coś, Ken?

Garunisch wstał i ruszył do kuchni, po drodze poprawiając krawat. Krawat był w bardzo krzykliwych barwach, a dominowały na nim purpurowe kwiaty i jasnozielone liście. Niezwykle drogi prezent od Gay.

— Czy stało się coś poważnego, najdroższy? — zapytała Gay. — Wyglądasz na bardzo zdenerwowanego. Garunisch sięgnął po kanapkę z wędzonym łososiem.

— To co zwykle — odparł z pełnymi ustami, odgryzłszy uprzednio potężny kęs kanapki. — Mają jakąś epidemię na Florydzie, coś w rodzaju hiszpańskiej grypy, i spodziewają się, że portierzy, technicy i kierowcy będą w takich warunkach stykać się z pacjentami bez dodatkowej zapłaty.

— To straszne! — zawołała Gay. Była niską kobietą o dużych piersiach i wielkich oczach. — A co będzie, jak sami się pozarazają? Oni albo ich dzieci?

Garunisch rozejrzał się po drogiej, lśniącej kuchni, utrzymanej w stylu kolonialnym, wyposażonej w krzesła i stół nawiązujące do czasów Dzikiego Zachodu. Był to jego pierwszy w życiu luksusowy dom, urządzone dokładnie tak, jak on i Gay tego chcieli, wciąż będący źródłem jego satysfakcji. Kupił i urządził to mieszkanie mimo wieloletnich uporczywych prób

kapitalistów, aby go w końcu zniszczyć, aby pozbawić jego i jego związek zawodowy prawa do egzystencji.

Był z siebie dumny.

— Właśnie — powiedział, ale myślami był jakby gdzie indziej.  
— Co będzie, jeżeli pozarazają się dzieci?

— Beth — odezwała się Gay — dlaczego jeszcze nie skończyłaś sałatki z krewetek?

Musimy przecież jeszcze udekorować lody.

— Już prawie kończę krewetki, pani Garunisch. Za chwilę zajmę się lodami.

— Mam nadzieję — mruknęła Gay i odwróciła się do męża. Na jej twarzy promieniał pełen zadowolenia uśmiech. — Nasze pierwsze party w Concorde Tower — powiedziała. — Czyż to nie jest ekscytujące?

Kenneth podniósł wzrok. Przez kilka chwil był myślami wiele mil stąd.

— To nadzwyczajne, Gay. Szkoda tylko, że mam teraz na głowie całą tę historię z zarazą. Muszę ci powiedzieć, że bardzo mnie ona martwi.

— Na szczęście nie wisi to na mojej głowie — stwierdziła Gay.  
— Nawet nie wiem, o co tu chodzi.

Garunisch wziął kolejną kanapkę i tym razem całą wpackował sobie do ust.

— Zaraza to choroba o charakterze epidemii — powiedział, mieląc w ustach pieczywo i łososia. — Niesie ze sobą tylko śmierć. Zjawisko to dość powszechnie występowało w średniowieczu. Obecnie jest rzeczą niespotykaną. Ludzie jednak, zarażeni chorobą, wciąż umierają. Być może na

Florydzie rzeczywiście wystąpiła dżuma i sprawa jest śmiertelnie poważna. Dowiedziałem się, że umarło już trzydzieści albo czterdzieści osób.

Gay Garunisch zaczęła ściągać kuchenny fartuszek.

— Trzydzieści albo czterdzieści to nie tak wiele — stwierdziła, szukając pieprzu. — Niemal w każdej katastrofie lotniczej ginie przecież o wiele więcej ludzi.

Garunisch przez chwilę przyglądał się jej bardzo uważnie. Kochał ją, lecz czasami zastanawiał się, dlaczego w pewnych sytuacjach bywa tak załośnie tępa.

Żyła jedynie światem swoich cocktaili, uroczystych przyjęć i zupełnie nie rozumiała tego, co dzieje się wokół niej w trochę szerszym świecie.

— Katastrofy lotnicze — powiedział cicho, żeby nie wyczuła w jego głosie sarkazmu — nie są zaraźliwe.

Zadzwonął gong u drzwi. Kenneth poszedł otworzyć.

Otwierając drzwi, miał już przyklepiony uśmiech do twarzy i od razu wylewnie i serdecznie zaczął witać gości. Pierwszymi byli państwo Blaufoot, z mieszkania znajdującego się piętro wyżej. Któregoś dnia spotkali się z Garunischami w windzie i Kenneth zaprosił ich na powitalny wieczór.

— Pan Bloofer, prawda? — powiedział Garunisch do gościa. — Czy zechce się pan czegoś napić?

— Blaufoot — poprawił go przybyły. Był szczupły i niski, miał wielki nos i okulary w złotej oprawie oraz niebieski garnitur. Pani Blaufoot była jeszcze mniejsza od niego. Na party przybyła w ciemnozielonej sukni, z przerzuconą przez ramiona futrzaną etolą.

Kenneth Garunisch roześmiał się.

— Przepraszam pana — powiedział. — Mam tak słabą pamięć do nazwisk.

Po powitaniach i okolicznościowych uprzejmościach cała czwórka umilkła. Goście i gospodarze niepewnie spoglądali po sobie.

— Mam nadzieję, że nie przyszliśmy zbyt wcześnie — powiedziała pani Blaufoot. — Prawdę mówiąc, nie mieliśmy tutaj zbyt daleko.

Wszyscy roześmiali się.

— Wspaniale państwo urządzili to miejsce — znów odezwała się pani Blaufoot, rozglądając się dookoła. — Żadne z mieszkań w tym budynku z pewnością nie wygląda w ten sposób. Tak, tutaj jest, hm, zupełnie inaczej niż gdziekolwiek indziej.

— Bo to jest wierna replika — powiedziała Gay Garunisch, zadowolona. — W najdrobniejszych szczegółach urządziliśmy tutaj wszystko tak, jak było na starych farmach w Trenter's Bend, w stanie Massachusetts. Nawet wzory na zasłonach się zgadzają.

Z uśmiechem na ustach Kenneth Garunisch otoczył ramieniem swoją żonę.

— Niestety, nie możemy trzymać tutaj bydła — oznajmił. Towarzystwo rozruszało się.

Kenneth przyrządził drinki i wszyscy czworo rozsiedli się wygodnie w salonie.

— Pan działa w związkach, prawda, panie Garunisch? — zapytał Yictor Blaufoot grzecznie. — O ile się nie mylę, to w Związku Zawodowym Personelu Szpitali.

— Tak, dokładnie. — Garunisch pokiwał głową. — Nie jest to może największy związek w Stanach, ale, o ile wolno mi wyrazić swoją opinię, jeden z silniejszych. Działamy bardzo ostro i zdecydowanie. Gdy chodzi o obronę interesów naszych ludzi, panie Bloofer, jesteśmy nieugięci.

Victor Blaufoot uśmiechnął się niepewnie.

— Jestem tego pewien. Zresztą, wiele już o panu słyszałem. Jeśli chodzi o mnie, to pracuję w diamentach. Gay Garunisch wyglądała na zainteresowaną.

— W diamentach, powiada pan? A więc wśród najlepszych przyjaciół dziewcząt? Czy mógłby mi pan zaoferować coś z diamentowej biżuterii po cenie hurtowej?

Pan Blaufoot patrzył na nią przez chwilę wyraźnie zmieszany.

— Żałuję, ale nie, pani Garunisch. Ja nie jestem jubilerem, a raczej brokerem.

Gay wciąż uśmiechała się, ale widać było, że nie do końca rozumie słowa Blaufoota.

— Brokerem? — zapytała.

— Tak. Kupuję nie oszlifowane kamienie w Południowej Afryce i sprzedaję je w Nowym Jorku.

— A więc nie ma pan do czynienia z biżuterią! — zawołała Gay Garunisch.

Pan Blaufoot potrząsnął głową.

Znów zapadła długa cisza. Wszyscy sącyli drinki i uśmiechali się do siebie.

Nagle, ku uciechu Kennetha Garunischa, zadzwonił telefon. Wstał i podszedł do aparatu. Wszyscy się mu przyglądali, bo nie



mieli niczego innego do roboty.

— Garunisch. Och, cześć, Matty. Jakie wieści? Udało ci się?

W milczeniu, przez długi czas Garunisch przysłuchiwał się odpowiedzi swojego rozmówcy. Wreszcie odezwał się:

— Co takiego? Nie połączyli cię z nim? To skandal! Czy wyjaśniłeś w centrali, kim jesteś? Tak? I mimo to? O nie, Matty, musisz spróbować jeszcze raz. Tak, teraz! I kiedy wreszcie ci się uda, daj mi znać.

Ze złością cisnął słuchawkę na widełki.

— Czy uwierzycie? — zgrzytnął zębami. — To był szef moich pracowników. Próbował dodzwonić się do departamentu zdrowia w Miami; od dwudziestu minut nie może złapać nikogo odpowiedzialnego. Podobno nie sposób kogokolwiek znaleźć, czy uwierzycie?

— Słyszałam coś na temat Miami w dzienniku telewizyjnym — po raz pierwszy odezwała się pani Blaufoot. Wyglądała jak stara, słaba gołąbica. — Zdaje się, że wybuchła tam jakaś epidemia.

— Oczywiście — powiedział Garunisch i skinął głową.

— Mają tam epidemię i zginęło już od trzydziestu do czterdziestu ludzi, a członkowie mojego związku z narażeniem życia pracują dla ratowania pozostałych.

I to mi się nie podoba!

— Przepraszam pana. — Głos pani Blaufoot brzmiał bardzo nieśmiało. — Co właściwie się panu nie podoba?

Garunisch otworzył drewniane kolonialne pudełko z papierosami i wyciągnął jeden.

Nie zamierzał nikogo częstować. Zapalił go i lekkim ruchem wrzucił zużytą zapalną do popielniczki.

— Przede wszystkim płace — odrzekł. — Członkowie mojego związku muszą wozić, nosić i dotykać ludzi zarażonych tą chorobą. Życzę sobie, żeby byli za to odpowiednio wynagradzani. Życzę sobie też, żeby mieli wolny wybór, czy w takich warunkach pracować, narażając życie, czy też nie i to bez żadnych konsekwencji.

— Ale to przecież nadzwyczajna sytuacja — stwierdził pan Blaufort, marszcząc czoło. — Czy płaca ma zasadnicze znaczenie w sytuacji, gdy zagrożonych jest tak wiele ludzkich istnień?

— Zagrożeni są przede wszystkim moi ludzie! — ripostował Garunisch. — Jestem przekonany, że każdy człowiek, który świadomie naraża swoje życie dla ratowania innych, musi za podejmowane ryzyko być odpowiednio wynagradzany. Powinien też mieć pełne prawo wyboru, prawo odmowy podjęcia ryzyka, jeżeli uzna je za zbyt wielkie.

Pani Blaufort dotknęła dłoni swojego męża.

— A jeżeli nikt z pańskiego związku nie zechce podjąć ryzyka? Co stanie się wówczas? Garunisch wzruszył ramionami.

— Cóż, nie moja to sprawa.

Victor Blaufort wznosił w górę obie ręce.

— A jeżeli zachoruje pańskie własne dziecko i jakiś szpitalny pracownik odmówi przetransportowania go, ponieważ będzie miał zbyt małą pensję albo dlatego, że nie będzie chciał ryzykować? Co wtedy?

Kenneth Garunisch wypuścił kłęb dymu. Miliony razy słyszał już te emocjonalne argumenty słabych psychicznie ludzi. Nie były w stanie go złamać.

— Niech pan posłucha, panie Bloofer. Każdy jest czyimś dzieckiem. Członkowie mojego związku również mają rodziców i rodziny. Z narażeniem życia zarabiają na ich utrzymanie. Zanim więc zacznie pan lać łzy nad losami pacjentów, pomyśl pan o dzieciach, których ojcowie i matki tychże pacjentów doglądają. Każdy, w jakiegokolwiek sytuacji, ma w naszym kraju prawa obywatelskie i tych praw nigdy nie należy lekceważyć.

Victor Blaufoot znów zmarszczył czoło.

— Rozumiem. Pańskim zdaniem wszyscy mają prawa obywatelskie. Z wyjątkiem chorych i potrzebujących.

— Tego nie powiedziałem — warknął Garunisch. — Powiedziałem, że wszyscy obywatele tego kraju mają równe prawa, nic innego.

— Ale co by pan powiedział, gdyby chodziło o pańskie dzieci? Proszę mi odpowiedzieć.

Garunisch już miał odezwać się, lecz nagle ugryzł się w język i zamilkł. Dopiero po chwili rzucił cichym głosem:

— Nie mamy dzieci.

Victor Blaufoot pokiwał głową.

— Tak myślałem. Mówi pan i zachowuje się dokładnie tak, jak człowiek, który nie ma własnych dzieci. Bezdzielni mężczyźni nie mają nic do stracenia, panie Garunisch i z całym szacunkiem dla pana, są z tego powodu lekkomyślni i porywcy. Wiem, że uzna mnie pan za roztkliwiającego się starego głupca,

czytam to z pańskiej twarzy. Mam jednak córkę na Florydzie i bardzo się o nią niepokoję.

Kenneth Garunisch zdusił niedopałek w popielniczce i powstał.

— W porządku, panie Bloofer i pani Bloofer, bardzo państwa przepraszam. Nie zamierzałem państwa urazić. Nie miałem pojęcia, że to, co dzieje się w Miami, dotyka was osobiście.

Pani Blaufoot popatrzyła na niego uważnie; stara, słaba kobieta, wpatrująca się w twarz związkowego bossa o potężnej posturze.

— Cóż by to zmieniło, gdyby pan miał pojęcie? — zapytała. — Czy przyjąłby pan wobec epidemii na Florydzie inną postawę?

Garunisch potrząsnął głową.

— Nie, pani Bloofer — odparł. — Zachowałbym się tak samo.

Gay Garunisch, przeczuwając, że za chwilę wybuchnie potężna kłótnia, powiedziała wesoło:

— Może byśmy już coś zjedli? Mamy pieczone kiełbaski i smażone kurczaki. Mogę je zaraz podać. Cisza.

— Zaczekaj jeszcze — odpowiedział jej w końcu mąż.

— Poczekajmy, aż zjawi się trochę więcej gości. Nie sędzę, żeby pan i pani Bloofer byli bardzo głodni.

— Chętnie wypiję jeszcze jednego drinka — powiedział pan Blaufoot, wznosząc w górę pustą szklaneczkę. — Bardzo proszę.

W tym momencie rozległ się gong u drzwi. Kenneth Garunisch zabrał szklaneczkę od Blaufoota i trzymając ją w ręce, poszedł otworzyć. W drzwiach stał Dick Bortolotti

— jeden z najważniejszych działaczy związku. Był młodym Włochem o błękitnym podbródku. Ubierał się tak, że Ken—

nethowi zawsze kojarzył się z mafią.

— Dick? — zdziwił się. — Co się stało? Bortolotti wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

— Wiem, że wydajesz przyjęcie, Ken, i nie bardzo chciałbym ci przeszkadzać.

Jednak w Miami dzieją się bardzo poważne rzeczy i nie możemy dać sobie rady bez ciebie.

— Co masz na myśli?

— To poważna epidemia. W telewizji słyszałem, że coraz bardziej się rozszerza.

Nie mówią już, ile ludzi zmarło, ponieważ nie sposób doliczyć się trupów.

Zaczęły drżeć mięśnie na policzkach Garunischa.

— Mów dalej — szepnął. — Co jeszcze?

— Telefony w szpitalach są albo zajęte, albo zablokowane. Nigdzie nie mogę się dodzwonić.

Zadzwonił telefon w salonie i Garunisch wiedział, że to Matty, z tą samą historią.

Z trudem zapanował nad sobą.

— Kogo mamy w Fort Lauderdale? Może ktoś stamtąd pojechałby na Florydę i zobaczył osobiście, co się dzieje?

— Miałem telefon od Copesa, z Tamy. Twierdzi, że władze w Miami nabrały wody w usta. Uporczywie twierdzą, że nie wydarzyło się nic poważnego, że wszystko jest pod kontrolą, chociaż najwyraźniej jest wręcz przeciwnie. Myślę, że to cholernie poważna sprawa. Ken. Naprawdę.

Garunisch opuścił głowę ku ziemi. Myślał szybko, intensywnie. Skoro na Florydzie wybuchła epidemia,

członkowie jego związku znajdują się na pierwszej linii walki, a on, Ken—neth Garunisch, jest za nich odpowiedzialny.

Po długiej chwili podniósł głowę.

— W porządku, Dick. Wejź do środka, weź sobie drinka i coś przekąś. Ja tymczasem postaram się połączyć z tymi idiotami z departamentu zdrowia w Miami.

Może usłyszę od nich mimo wszystko coś sensownego.

Garunisch odwrócił się do swoich gości.

— Słuchajcie, przykro mi, że na chwilę was muszę opuścić, ale wygląda na to, że dzieje się coś poważnego i dotyczy to mojego związku. Bawcie się dobrze, a ja za chwilę do was dołączę.

Victor Blaufoot spojrział z niepokojem.

— Czy chodzi o zarazę? Czy ma pan jakieś nowe wiadomości?

Kenneth Garunisch uśmiechnął się.

— Niech pan się nie martwi zarazą., panie Bloofer. Zaraza jest już pod kontrolą.

Edgar Paston po raz pierwszy usłyszał o zarazie z radia, prowadząc swoją siedmioletnią furgonetkę marki mercury. Wracał do Elizabeth w New Jersey, po odebraniu piętnastu kartonów z puszkami soku brzoskwiniowego od hurtownika.

Zapadał zmrok i Edgar Paston właśnie przed chwilą włączył zewnętrzne światła samochodu.

Głos spikera radiowego był bardzo wyraźny:

“Nie potwierdzone doniesienia z Miami wskazują, że prawie czterdzieści osób padło ofiarą epidemii jakiejś nieznannej choroby. Władze stanowe twierdzą, że epidemia została opanowana. Wszyscy mieszkańcy Miami zostali ostrzeżeni, aby

nie wpadać w panikę i spokojnie reagować na coś, co szef stanowego departamentu zdrowia, Donald Firenza, nazwał nieszczęśliwym i z najwyższym trudem opanowanym wybuchem śmiertelnej choroby.

Szpitala i wszyscy funkcjonariusze policji pracują bez chwili przerwy, niosąc pomoc ofiarom choroby. Policja z Miami poinformowała, że wśród ofiar epidemii znajduje się dziewięciu funkcjonariuszy policji, którzy mieli kontakt z chorymi, transportując ich do szpitali. Specjaliści jak dotąd nie są w stanie w pełni zidentyfikować choroby, pan Firenza jednak skłania się ku przypuszczeniom, że ma ona coś wspólnego z hiszpańską grypą.

Burmistrz Miami, John Becker, przesłał osobiste kondolencje rodzinom ofiar choroby i łączył się z nimi w tym tragicznym nieszczęściu, które dotknęło nie tylko ich, ale całe miasto.

“W późniejszych godzinach nadamy kolejne raporty z Florydy. Tymczasem prognoza pogody na jutro dla Nowego Jorku i Jersey City...”

Paston wyłączył radio. Sięgnął do skrytki i wyciągnął z niej baton orzechowy.

Rozdarłszy zębami opakowanie, powoli zaczął jeść. Nie miał nic w ustach od wczesnego rana, kiedy to zatrzymał się na śniadanie w barze na przedmieściach Elizabeth.

Edgar Paston był dyrektorem i właścicielem taniego supermarketu w Elizabeth.

Ziemie pod sklep kupił na aukcji dziesięć lat wcześniej, kiedy teren ten otaczały jedynie ruiny starych fabryk. Podjął ryzyko,

ponieważ wiedział, że prędzej czy później Elizabeth zacznie rozrastać się w tym kierunku. Początkowo było mu bardzo ciężko: rodzina żywiła się tanimi zupami jarzynowymi i ryżem, mimo że już wtedy Edgar sprzedawał najwyższej jakości szynkę i kurczaki.

I nagle, pewnego tygodnia, wszystko się zmieniło. Jak Edgar przewidywał, władze miasta uznały, że tereny wokół jego sklepu są jak najbardziej odpowiednie pod zabudowę mieszkalną. Domy zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu, a sklep zaczął przyciągać tak wielu klientów, że wkrótce trzeba było go rozbudować i przekształcić w supermarket. Dookoła powstawały nowe ulice. Miejsce, w którym dotąd kupowali jedynie zbłąkani kierowcy, stało się głównym punktem zaopatrzenia dla bogatych mieszkańców pięknych jednorodzinnych domków. W krótkim czasie Edgar Paston osiągnął spore zyski, zbudował dla swej rodziny dom o czterech sypialniach i kupił dwa samochody.

Był jednak wyłącznie właścicielem supermarketu, nikiem więcej w hierarchii społecznej. Miał trzydzieści dziewięć lat, rzednące włosy, okulary o grubych szklach, zmęczoną twarz i lubił nosić proste koszule z krótkim rękawem.

Skończył jeść baton i wsunął opakowanie do kieszeni koszuli. Nigdy nie śmiecił.

Była godzina dwudziesta piętnaście. Paston wiedział, że już za dwadzieścia minut będzie w swoim supermarkecie. Będzie miał dość czasu, by rozładować brzoskwinie, zamknąć sklep i zdążyć na czas do domu na kolację. Tego dnia jego żona,



Tammy, miała wolne w pracy w kompanii telefonicznej, a to oznaczało doskonałą gorącą kolację i świeże pieczywo.

Wkrótce ujrzał światła swojego supermarketu i po chwili zatrzymał samochód na przysklepowym parkingu. Wyłączył silnik i ciężko wyszedł na zewnątrz. Wyjął jedną ze skrzynek z brzoskwiniami i szybko wszedł do sklepu przez główne drzwi. W środku było tak jasno, że na chwilę musiał zmrużyć oczy.

Jego asystent, Geny, stał przy kasie, żując koniec ołówka. Edgar odstawił skrzynkę.

— Co ty wyrabiasz? — zapytał pół żartem, pół karcąco. — Czy matka nie daje ci jeść?

Geny, chudy i poważnie wyglądający szesnastolatek, o haczykowatym nosie i krótkich jasnych włosach, wyglądał na zdenerwowanego.

— Dzień dobry, panie Paston. To znów te dzieciaki. Weszły do środka jakieś dziesięć minut temu i znowu coś kombinują, tylko nie wiem jeszcze, co takiego.

Wolę nie oddalać się od kasy, a te łobuzy już dobrych kilka minut stoją przy zamrażarce.

Paston spojrział ponad półkami wypełnionymi artykułami spożywczymi i drobiazgami codziennego użytku. W sklepie znajdowało się już tylko kilkoro spóźnionych klientów, pchających przed sobą wózki, kupujących potrawy gotowe do odgrzania i napoje w puszkach. Zamrażarki, w których Paston przechowywał mięso i piwo, znajdowały się w odległym kącie.

— Poczekaj tutaj, Geny. Pójdę tam i się rozejrzę.

Kiedy znalazł się przy zamrażarkach, zrozumiał, co się dzieje. Czterech albo pięciu nastolatków w dzinsach i skórzanych kurtkach siedziało na podłodze i w najlepsze popijali piwo z sześciopaku, który wyciągnęli z lodówki.

— Co tu się dzieje, do diabła? — zapytał Edgar ostro. Dzieciaki popatrzyły na niego, a potem po sobie. Dwóch z nich zachichotało.

— Wynoście się stąd albo zawołam policję.

Żaden z gówniarzy nawet się nie poruszył. Jeden z nich nabrał w usta pełno piwa, po czym rozpryskał je dookoła. Pozostałym bardzo się ten dowcip spodobał.

— W porządku — powiedział Edgar. — Ostrzegałem was. Skoro sobie tego życzyście....

Odwrócił się i podszedł do telefonu wiszącego na ścianie. Już miał podnieść słuchawkę, gdy jeden z nastolatków zawołał:

— Paston!

Odwrócił się. Widział już kiedyś tego dzieciaka. Był jak na swój wiek wysoki, miał ciasną, czarną kurtkę ze skóry, nabijaną cekinami. Miał też chudą, lisią twarz i wybrylanty—nowane włosy, zaczesane do tyłu.

— Czy do mnie mówisz? — zapytał Paston.

— Tak, Paston — odparł dzieciak. Podszedł do niego bliżej, zatrzymał się zaledwie o kilka stóp od niego. Kciuki trzymał wciśnięte za pasek od spodni, szybko poruszając szczęką, żuł wielki kawał gumy.

— Pan Paston dla ciebie — powiedział Paston zimnym głosem.

Nastolatek pokiwał głową.

— W porządku, panie Paston. I dla pana pan McManus, jeżeli zwraca się pan do mnie. Edgar poprawił okulary.

— Czy opuścicie natychmiast ten sklep, czy mam zadzwonić po policjantów, żeby was stąd natychmiast wyrzucili?

McManus przez chwilę żuł gumę, mierząc Pastona wzrokiem od stóp do głów.

— Czy w ten sposób rozmawia pan ze wszystkimi klientami, panie Paston? Zdaje mi się, że i ja, i moi koledzy jesteśmy zwyczajnymi, szanującymi prawo klientami, i nie ma pan żadnego powodu, żeby nas stąd wyrzucić.

Edgar z trudem przełknął ślinę. Reszta gangu podniosła się z posadzki. Powoli zaczęli przystawać za plecami McMa—nusa, w pozycjach, które najwyraźniej uważali za groźne i stanowcze. Jeden z nich zaczął ostentacyjnie czyścić paznokcie nożem o długim, ostrym ostrzu.

— Zabraliście piwo z lodówki — powiedział Edgar cicho. — Zabraliście piwo i je wypiliście.

McManus uniósł brwi z udawanym zdziwieniem.

— Czy istnieje prawo zakazujące jedzenia albo picia na terenie sklepu, jeżeli ma się zamiar zapłacić za spożyte artykuły w kasie, przy wyjściu?

— Tak, istnieje. Dopóki nie zapłacicie, wszystko, co się tutaj znajduje, należy do mnie i naruszenie czegokolwiek przed zapłatą jest kradzieżą. A teraz daję wam dziesięć sekund, żebyście sobie stąd poszli do diabła.

McManus nie poruszył się.

— Skoro twierdzi pan, że jestem złodziejem, panie Paston, najlepiej będzie, jeżeli wezwie pan policjantów i postara się im

to udowodnić.

Edgar rozejrzał się po złośliwie wykrzywionych twarzach McManusa i reszty, po czym skinął głową.

— W porządku — powiedział głucho i podniósł słuchawkę telefonu. Gang, nieporuszony, przyglądał się mu z zainteresowaniem.

Po zgłoszeniu kradzieży na policji odłożył słuchawkę.

— Za kilka minut tutaj będę — powiedział. McManus wzruszył ramionami.

— Zawsze zabiera im to dużo czasu — zauważył. Cała banda roześmiała się.

A jednak już po chwili usłyszeli dobiegający z zewnątrz odgłos syreny policyjnego radiowozu i odgłos gwałtownie otwieranych drzwi.

Edgar spojrzał w kierunku kasy i zobaczył dwa duże policyjne kapelusze, płynące ponad rzędami półek, szybko zmierzające w jego kierunku. Wkrótce zza regału z pokarmem dla psów wynurzyła się twarz funkcjonariusza Maro—witza i jego partnera, funkcjonariusza Trenta. Byli dobrze zbudowanymi, sprawnymi lokalnymi stróżami porządku i Edgar znał ich bardzo dobrze.

— Dzień dobry, panie Paston — powiedział Marowitz. Miał dużą, ogorzałą twarz i opadające wąsy. — Wygląda na to, że ma pan poważne kłopoty.

— Dowcipniś — warknął jeden z nastolatków, jednak Marowitz zignorował go.

— McManus! — zagrzemiał. — Czyżbyś śmiał zakłócać spokój panu Pastonowi, mojemu przyjacielowi?

McManus uśmiechnął się do niego z lisim wyrazem twarzy.

— Pan Paston twierdzi, że jestem złodziejem. Wypiłem trochę piwa w jego sklepie, a on twierdzi, że je ukradłem. Niech pan spojrzy, mam pieniądze i zamierzam zapłacić, a ten facet twierdzi, że jestem złodziejem.

Marowitz westchnął.

— Czy zamierza pan wnieść oskarżenie, panie Paston?

— Człowieku, niczego nie ukradłem — powiedział gwałtownie McManus. — Oto są pieniądze: Chciało mi się pić, więc otworzyłem kilka butelek piwa, to wszystko.

— Zamknij się, McManus. Czy zamierza pan wnieść oskarżenie, panie Paston? — powtórzył Marowitz. Edgar Paston przygryzł wargi i ciężko westchnął.

— Chyba nie. Po prostu zabierzcie stąd tych gówniarzy. Marowitz wzruszył ramionami.

— W porządku, zależy to tylko od pana, panie Paston. Jeżeli jednak zechce pan wnieść oskarżenie przeciwko tym nastolatkom, ma pan do tego pełne prawo.

Edgar potrząsnął głową.

— Nie jest warte kilku łyków piwa. Ale jeżeli jeszcze kiedykolwiek zakłócisz spokój i porządek w moim sklepie, McManus, wiedz, że zapamiętałem twoją twarz i dobiore ci się do skóry tak, że nawet dobrze nie będziesz wiedział, kiedy.

McManus uśmiechnął się i zasalutował mu.

— Jowohl, mein Ftihrer — zadrwił. Marowitz z hukiem zamknął notes.

— W porządku, gówniarze, a teraz się stąd wynoście. Następnym razem nie pójdzie już wam tak łatwo.

Chichotając i sprośnymi żartami dodając sobie odwagi, cała banda zaczęła powoli wychodzić ze sklepu. Wyszędłszy, jeszcze przez kilka chwil zabawiali się, przyciskając twarze do szyby wystawowej i robiąc głupie miny.

— To tylko dzieciaki — powiedział Marowitz. — Czy pan nie był taki sam jako młody chłopak, panie Paston? Edgar spojrzał na niego uważnie.

— Nie — powiedział cicho. — Nie byłem. Marowitz uśmiechnął się.

— Niech pan się nie martwi. Damy sobie z nimi radę. Musi pan pamiętać, że te dzieciaki nie mają w tej okolicy wieczorami żadnego innego zajęcia niż wałęsanie się po okolicy. Nie mają gdzie potańczyć, nie mają kin, niczego. To naturalne, że lubią trochę pobroić.

Edgar podniósł butelki porozrzucane po posadzce i odszukawszy szmatę, zaczął powoli ścierać rozlane piwo.

— Nie ma pan jakiegoś zbędnego sześciopaku? — zapytał go Marowitz.

Edgar popatrzył na niego. Policjant uśmiechnął się i wyjaśnił:

— Strasznie chce się pić podczas długich nocnych patroli.

Edgar sięgnął do lodówki i wyciągnął sześć butelek Old

Milwaukee. Wręczył je Marowitzowi i powiedział sztywno:

— Kosztuje dolara i osiemdziesiąt pięć centów. Może pan zapłacić w kasie.

Marowitz bez słowa wziął sześciopak i mruknął do Trenta:

— Chodź, stary, odwiedzimy kilka bardziej przyjaznych miejsc.

Przechodząc obok kasy, ostentacyjnie rzucił pieniądze na ladę i głośno zawołał:

— Ludzie, popierajcie lokalną policję.

Edgar patrzył za policjantami, jak odjeżdżają, następnie wyszedł na zewnątrz, aby pownosić do sklepu resztę pudeł z brzoskwiniami. Wieczór był coraz chłodniejszy, ze wschodu wiał delikatny wiatr. Szosą w kierunku New Jersey sunęło kilka ciężarówek, jednak ruch był o tej porze niewielki.

Początkowo Edgar Paston nie zdawał sobie sprawy, co się wydarzyło. Kiedy jednak sięgnął do wnętrza furgonetki spostrzegł, że samochód stoi dziwnie nisko na kołach. Zmarszczył czoło i cofnął się o kilka kroków. Wszystkie cztery opony były przebite i mercury spoczywał na metalowych felgach i warstwach cienkiej gumy.

Edgar stał przez chwilę w milczeniu, ogarniany coraz potężniejszą falą frustracji i desperacji. Wreszcie z hukiem zatrzęsnał wrota samochodu i szybkim krokiem pomaszerował z powrotem do sklepu.

Geny właśnie obliczał dzienny utarg.

— Co się stało, panie Paston? — zapytał.

— Ktoś poprzecinał wszystkie opony w moim samochodzie. Będę musiał wziąć drugi.

Zamknijmy już interes na noc i chodźmy stąd.

— Czy uważa pan, że to zrobił Shark McManus?

— Tak na niego wołają? Shark?\*

— To z powodu tego filmu, Szczęki. To nieokrzesany dzikus. Edgar niemal roześmiał się.

— Nieokrzesany? To jakiś maniak. Przecież nikt rozumny nie kradnie kilku piw i nie przecina opon w samochodach. To jest bez sensu, po co on to, do diabła, zrobił?

Geny wzruszył ramionami.

— Nie wiem, panie Paston. Myślę, że to z powodu nudy i frustracji...

— Och, bo się zaraz rozplączę. Gównu mnie obchodzi jego frustracja, pod warunkiem, że zostawi mnie w spokoju.

Sprawdził wszystkie chłodziarki i zamrażarki, aby mieć pewność, że mięso i inne artykuły będą leżały w nocy w odpowiedniej temperaturze. Następnie pozamiatał, a Geny tymczasem uzupełnił zawartość niektórych półek. Obaj działali szybko, systematycznie; wykonywali już te czynności setki razy, a poza tym obaj chcieli jak najszybciej znaleźć się w domach.

Edgar prawie skończył pracę, gdy odniósł wrażenie, że usłyszał jakieś uderzenie w okno wystawowe. Uniósł wzrok i zmarszczył czoło. Po chwili usłyszał drugie uderzenie, znacznie głośniejsze. I w tym samym momencie, na jego oczach, wielka szyba rozprysnęła się na tysiące drobnych części i kawałki szkła z hukiem opadły na posadzkę w sklepie i na trotuar na zewnątrz.

Edgar wybiegł przed supermarket i zaczął rozglądać się dookoła. Niczego nie zobaczył. Otaczała go ciemna noc, cicha, spokojna. Do supermarketu wdarły się pierwsze podmuchy wiatru, który zaczął lekko poruszać karteczkami z cenami towarów. Edgar zrobił kilka kroków i szkło za—chrzęściło pod jego butami. Wciąż nasłuchiwał, wypatrywał, szukał.



W końcu odniósł wrażenie, że z oddali dobiega go czyjś śmiech. Mógł to być jednak z powodzeniem warkot psa lub odgłos wydawany przez parzące się koty. Mimo to Edgar zadrżał.

## ROZDZIAŁ 3

Miami zawsze było ciche i spokojne we wczesnych godzinach rannych, jednak tego szczególnego poranka cisza zdawała się przerażająca. Jadąc opustoszałymi, odbijającymi echo ulicami, doktor Leonard Petrie wyczuwał w powietrzu coś nowego, dziwnego i przerażającego.

Kiedy przejeżdżał przez centrum, minęły go dwa albo trzy samochody osobowe oraz jeden ambulans. Gdy znalazł się na trasie wylotowej, zrobiło się gęściej; cała masa samochodów mknęła w kierunku portu lotniczego i autostrady numer 1, prowadzącej na pomoc w kierunku Fort Lauderdale—dale, a na południe ku Keys. Mogła to być noc jakich wiele w Miami. Radio nadawało country musie z Nashville, a hotele wzdłuż plaży były rzęsiście oświetlone.

Wreszcie doktor Petrie skręcił w lewo na West Flagler, a potem w 17 Ulicę. Wówczas po raz pierwszy osobiście ujrzał, jakie rozmiary zaczyna przybierać zaraza. Cztery albo pięć ludzkich trupów leżało po prostu na chodnikach, nieruchomych, w nienaturalnych pozycjach, oświetlonych blaskiem dobiegającym z zamkniętych okien domów.

Zatrzymał lincolaa przy krawężniku i wysiadł, aby się rozejrzeć. Natrafił na kolejną grupę zwłok. To była rodzina. Ojciec — mężczyzna w średnim wieku, z małym wąsikiem. Matka, w średnim wieku, i dwóch małych chłopców, którzy w chwili śmierci mogli mieć może osiem, a może dziesięć lat.

Widok był tak niewiarygodny, tak nieprawdopodobny tej spokojnej i ciepłej nocy, że doktor Petrie podszedł i trącił butem twarz martwego mężczyzny, aby upewnić się, że naprawdę nie żyje.

Po chwili ujrzał policyjny wóz patrolowy i pomachał ręką, aby go zatrzymać.

Policjant, który wysiadł z samochodu, nosił pomarańczowe okulary przeciwsłoneczne, a na ustach przewiązaną miał chusteczkę, jakiej używają bandyci, którzy nie chcą zostać rozpoznani.

— Jestem lekarzem — powiedział Petrie. — Przejeżdżałem tutaj i zauważyłem tych ludzi. Niestety, są martwi. Myślę, że to z powodu epidemii.

Policjant pokiwał głową.

— Pełno nieboszczyków leży na ulicach. Zmarło już nawet sześciu albo siedmiu spośród naszych. W porządku, doktorze, przekażę centrali informację o tych ludziach. Jednak między nami mówiąc, wątpię, czy wystarczy ambulansów, żeby ich wszystkich zwozić. Najprawdopodobniej po trupy wyjeżdżać będą śmieciarki.

— Śmieciarki? — zdziwił się doktor Petrie. Był oszołomiony. Popatrzył przez jezdnię w kierunku martwej rodziny leżącej na chodniku. Najprawdopodobniej dzieci zmarły pierwsze, ojciec i matka zarazili się, próbując je ratować.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Brakuje ambulansów, doktorze. Lepiej jest zbierać zwłoki śmieciarkami, niż pozostawiać je na ulicy.

Zmęczonym ruchem doktor Petrie przetarł twarz.

— W porządku — powiedział i ruszył w kierunku lin—colna. Wsiadł do środka, włączył silnik i ruszył w kierunku domu Donalda Firenzy.

Im więcej słyszał o poczynaniach szefa departamentu zdrowia, tym bardziej stawał się podenerwowany i zły. Zapewne na ulicach leżą już setki trupów, a to oznacza wybuch zarazy na nie notowaną skalę. Doktor Petrie jechał szybko, nie przestrzegając przepisów i lekceważąc ograniczenia szybkości ruchu, jednak ulice były tu prawie zupełnie opustoszałe. Dotarcie do Coral Gables zajęło mu niespełna pięć minut.

Nie miał trudności z odszukaniem domu Donalda Firenzy. Parkowała przed nim cała masa samochodów, w tym telewizyjny wóz transmisyjny, policyjny samochód patrolowy, a wszystkie okna były jasno oświetlone. Doktor Petrie zaparkował i wyłączył silnik. Ponad cichym szumem palm i cykaniem insektów usłyszał odgłosy olbrzymiej kłótni dobiegającej z domu Firenzy.

Przy drzwiach powitał go umundurowany policjant o spoconej twarzy.

— Jestem lekarzem — powiedział Petrie. — Właśnie przyjechałem ze szpitala. Czy pan Firenza jest w domu?

Policjant uważnie obejrzał kartę identyfikacyjną. Monotonnie żuł gumę.

— Obawiam się, że pan Firenza jest obecnie bardzo zajęty — odezwał się wreszcie.

— Może pan jednak sam sprawdzić. Niech pan wejdzie do środka.

Doktor Petrie przekroczył próg. Dom pełen był dziennikarzy z prasy i z telewizji. Po holu kręcili się operatorzy z kamerami. Wszędzie walały się papierowe kubki po kawie i puste puszki po piwie. W normalnych warunkach doktor Petrie zacząłby się tutaj rozglądać z zainteresowaniem. Podłogi wyłożono tu pięknymi dywanami, na ścianach wisiały drogie obrazy, wszystko urządzone gustownie, ze smakiem i z pewnością za duże pieniądze.

W salonie, urządzone w różowym kolorze, Petrie znalazł Donalda Firenzę, siedzącego w wielkim, wygodnym fotelu, rozmawiającego z młodym reporterem z “Miami Herald” i z łysawym facetem z UPI, ubranym w jasną sportową koszulę.

Rozpoznał też kilku znajomych z departamentu zdrowia siedzących w kącie; lekko skinął głową w ich kierunku. Tej nocy nie było czasu na dłuższą wymianę uprzejmości.

— Pan Firenza? — zapytał szorstko. — Nazywam się Leonard Petrie i jestem lekarzem. Przyjechałem od doktora Selmera, prosto ze szpitala.

Firenza podniósł głowę i uważnie popatrzył na niego. Miał właśnie mówić do dziennikarza “wszystkie dotychczasowe zgony, spowodowane epidemią, są wypadkami tragicznymi, lecz, niestety, nieuniknionymi...” Nie wydawał się zachwycony, że mu przeszkodzono.

— Czy może pan poczekać? — zapytał. Był drobnym człowiekiem o bladej twarzy i kręconych włosach. Ubrany był w obcisły golf.

— Chyba nie — odparł doktor Petrie. Człowiek z UPI odwrócił się na krześle.

— Czy to dotyczy epidemii? Czy sytuacja się pogarsza? Doktor Petrie nawet na niego nie spojrział.

— Przyszedłem, aby rozmawiać z panem Firenza, nie z prasą.

— Ile osób już zmarło? — nie ustępował dziennikarz z UPI — Czy więcej niż czterdzieści? Doktor Petrie znów go zignorował.

— Panie Firenza — powiedział. — Byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli zamienić kilka słów na osobności. Firenza ciężko westchnął i wstał.

— Przepraszam was, chłopcy — odezwał się do reporterów. — Zaraz będę z powrotem.

Poprowadził Petriego przez tłum policjantów, urzędników z departamentu zdrowia i dziennikarzy, do małego gabinetu na tyłach domu. Zamknął drzwi i w pomieszczeniu zaległa cisza.

— Proszę, niech pan usiądzie — powiedział. — Zdaje się, że już się kiedyś spotkaliśmy, prawda?

Doktor Petrie usiadł i pokiwał twierdząco głową.

— Dwa albo trzy razy na konferencjach w departamencie zdrowia. Może kiedyś, na jakimś przyjęciu... Szkoda, że wówczas nie poznaliśmy się lepiej.

Firenza sięgnął po wielką fajkę z korzenia i zaczął nabijać ją tabaką.

— Chciałbym panu powiedzieć, że jestem bardzo dumny z postawy lekarzy z Miami, z ich poświęcenia i odwagi, z jaką podjęli walkę z epidemią.

— Dziękuję.

— A jednak... Nie uważam za najszcześniejszy sposób, w jaki pan tutaj wtargnął, żeby ze mną porozmawiać. Przerwał pan konferencję prasową... — Firenza zaciągnął

się fajką, po czym wydmuchnął dym i kontynuował. — Właśnie próbowałem przekonać naszych przyjaciół z prasy, że epidemia została opanowana i wyizolowana.

— Czy pan w to wierzy? Czy oni panu uwierzyli? Firenza uważnie przyjrzał się doktorowi Petriemu.

— Oczywiście, że mi uwierzyli. Dlaczego mieliby nie uwierzyć?

Doktor Petrie kilkakrotnie odkaszlnął.

— Ponieważ to nie jest prawda. Firenza roześmiał się.

— Zdaje się, że przebywał pan ostatnio zbyt długo w towarzystwie doktora Selmera

— stwierdził. — Wiem, że uważa to, co się dzieje w Miami, za koniec świata.

Musiałem przywołać go do porządku i przypomnieć, że właśnie tutaj zamieszkuje więcej wykwalifikowanych lekarzy na cal kwadratowy niż gdziekolwiek indziej na świecie, i że dysponujemy zarówno odpowiednimi środkami finansowymi, jak i rzeczowymi, aby dać sobie radę z każdą epidemią.

— Czy to pańska wyważona opinia, czy historyjka, którą częstuje pan prasę?

— Jedno jak i drugie.

— Czy w ciągu ostatnich godzin był pan w jakimś szpitalu?

— Nie, oczywiście że nie. Cały czas siedzę tutaj. Tutaj niejako znajduje się sztab antykryzysowy. Tutaj decydujemy o wszystkich przedsięwzięciach. Tutaj dochodzą wszelkie raporty. Policja i szpitale podają mi informacje o wszystkich nowych przypadkach.

— A więc wie pan, ile osób już umarło?

— Tak, wiem — odparł Firenza głuchym głosem. Popatrzył na Petriego zwężonymi oczyma. — Do czego pan zmierza?

— Do niczego. Skoro wie pan, ile osób zmarło z powodu tej epidemii, dlaczego całe miasto nie zostało jeszcze objęte kwarantanną? Kiedy do pana jechałem, widziałem mnóstwo trupów leżących po prostu na chodnikach!

Firenza nerwowo bawił się fajką.

— Mój przyjacielu, na chodnikach w Nowym Jorku można również znaleźć mnóstwo trupów i nikt nie robi z tego tragedii, nikt nie krzyczy o żadnej epidemii.

Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Panie Firenza — powiedział — to zupełnie co innego. Tutaj, w Miami, wybuchła epidemia dżumy lub czegoś jeszcze bardziej groźnego! Do nas, do pana, do mnie, należy obowiązek podjęcia skutecznych działań, żeby powstrzymać jej rozwój.

Firenza skrzyżował nogi.

— Zdaję sobie sprawę z tego obowiązku i podejmuję stosowne działania, doktorze.

Wszyscy lekarze znajdują się w stanie gotowości. Nie uważa pan chyba jednak, że urzędnik departamentu zdrowia ma prawo występować wyłącznie jako lekarz, co? Dla mnie takim samym obowiązkiem jest stanie na straży interesów Miami jako miasta, jak i ochrona zdrowia jego mieszkańców.

Doktor Petrie tępo wlepił w niego wzrok. Zdawało mu się, że się przesłyszał.

— Czy to znaczy, że opowiada pan to wszystko dziennikarzom tylko po to, żeby nie dopuścić do strat



finansowych, jakie poprzez ogłoszenie epidemii poniosłoby miasto?

— Częściowo tak. Muszę w ten sposób postępować. Czy uważa pan, że panika na ulicy byłaby dobrym rozwiązaniem sytuacji? To, co się dzieje, jest wielką tragedią, nieszczęściem na masową skalę. Ale jest zwykłym przypadkiem, wypadkiem, który mógłby wydarzyć się wszędzie. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzę, byłoby pogorszenie sytuacji, poprzez wywołanie masowej hysterii.

— Innymi słowy, w żadnym wypadku nie chce pan, żeby zaczęli wyjeżdżać stąd wczasowicze. Firenza wyczuł drwinę w jego głosie.

— Panie doktorze, nie do końca wiem, dlaczego pan do mnie przyjechał, sytuacja jest jednak tak poważna, że jakikolwiek sarkazm jest chyba jednak nie na miejscu.

— Poważna sytuacja to jest w szpitalach. Doktor Selmer próbuje ratować ludzi, a jest w stanie jedynie oglądać, jak jeden po drugim umierają.

— Ma poparcie departamentu zdrowia i wszystkie środki, jakich sobie tylko zażyczy. Czego jeszcze mu trzeba?

— Musi być pewien, że epidemia nie rozszerzy się poza Miami. Mamy już zasadniczy pogląd na to, w jaki sposób wybuchła. Brudy, które woda wyrzuciła na plażę w ciągu ostatnich kilku dni, są przyczyną nieszczęścia. Właśnie w nich znajdowały się i zaczęły się rozszerzać pałeczki dżumy. Każda osoba, która w ostatnich dniach kąpała się w oceanie albo opalała na plaży, zachorowała.

Firenza wypuścił kłęb dymu.

— Ma pan na to jakieś dowody? — zapytał krótko.

— Nie sądzę, żeby było potrzeba jakichś dodatkowych dowodów. Każda ofiara, z którą się dotąd zetknąłem, kąpała się w oceanie albo podczas weekendu, albo w poniedziałkowy poranek.

— To może nic nie znaczyć. Sześćdziesiąt procent ludzi na Florydzie korzysta z kąpieli podczas weekendu.

— Tak, ale głównie w prywatnych basenach. Wszystkie ofiary, o których wspomniałem, kąpały się w oceanie.

— Wciąż pańska wersja nie brzmi wiarygodnie, doktorze Petrie. Przypadki wyrzucania przez wodę dużych ilości brudów mieliśmy już kilkakrotnie w przeszłości i nigdy nic szczególnego się z tego powodu nie wydarzyło.

— Czy zbadano brudy z tego tygodnia?

— Departament zdrowia nie uznał tego za konieczne. Doktor Petrie milczał przez chwilę.

— Panie Firenza — powiedział wreszcie. — Przez moment wydawało mi się, że się przesłyszałem. W szpitalu zmarło już kilkadziesiąt osób. Trzydzieści, może czterdzieści, dogorywa. Na plażach brodzi się po kostkach w nieczystościach. Czy nie wpadł pan na to, że jeśli istnieje chociaż cień przypuszczenia, iż istnieje związek pomiędzy tymi faktami, należy przeprowadzić odpowiednie badania?

Firenza wzruszył ramionami.

— Jest pan lekarzem. Chyba zdaje pan sobie sprawę, jak niebezpieczne jest pochopne stawianie diagnoz. Doktor Petrie ciężko westchnął.

— Panie Firenza, przyszedłem do pana, żeby poprosić o natychmiastowe zamknięcie wszystkich plaż. Nie prosić, nalegać! Mamy do czynienia z epidemią, która rozszerza się szybciej niż jakakolwiek z tych, o których do tej pory słyszeliśmy. Ludzie umierają w dwie do trzech godzin po wystąpieniu pierwszych symptomów choroby. Jeśli nie chce pan, żeby w ciągu kilku dni zmarli lub byli umierający wszyscy mieszkańcy Miami, nalegam, żeby działał pan szybko.

— Och, naprawdę? A jak pan sobie wyobraża, w jaki sposób mam zamknąć dwadzieścia mil pięknych plaż, nie wywołując największej hysterii i największego exodusu w historii Stanów Zjednoczonych?

Doktor Petrie wstał. Był zmęczony i bardzo zły.

— Uważam, że lepiej jest wywołać histerię wśród żywych, niż spowodować, że wszyscy umrą.

Firenza skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

— Doktorze Petrie — powiedział. — Potrafi pan ładnie mówić. Niestety, zachowuje się pan tak, jak każdy lekarz pańskiego pokroju. Wszyscy jesteście mądrzy, kiedy macie do czynienia z narzekaniami starych hipochondryczek i hipochondryków.

Niestety, prawdziwe choroby, prawdziwe zagrożenia, sprawiają, że tracicie głowy i sracie w spodnie. W tej chwili radzę panu, żeby wziął się pan do swojej właściwej roboty, do leczenia cierpiących ludzi. Ja też będę robił swoje. Ale zdaje się, że jest pan ciężko wystraszony...

Twarz doktora Petriego wykrzywiona była hamowaną wściekłością.

— Tak — powiedział drżącym głosem. — Boję się. Boję się choroby, która sprawia, że ludzie padają nieżywi jak muchy, Boję się też ludzi pańskiego pokroju.

Nieodpowiedzialnych, niekompetentnych.

W tym momencie również Firenza podniósł się. Był sporo niższy od Petriego.

— Przydałoby się panu chyba trochę odpoczynku — powiedział. — Niech się pan dobrze wyśpi. W świetle dnia okaże się, że wszystko, co w tej chwili tak pana przeraża, jest w rzeczywistości o wiele mniej straszne. Nie twierdzę, że sytuacja nie jest poważna, bo jest i traktuję ją całą powagą. Nie ma jednak powodu, żeby zakłócać funkcjonowanie całego miasta, nie ma powodu, żeby wywołać niepotrzebne zaniepokojenie, nie ma powodu, żeby burzyć spokój turystom i ludziom, którzy korzystają tutaj z zasłużonego wypoczynku. Niech pan pamięta, że właśnie rozpoczął się sezon i jeżeli teraz poddamy kwarantannie całe miasto, stracimy miliardy, doktorze Petrie, miliardy. Narazimy na ogromne straty wszystkich, bez wyjątku, mieszkańców miasta.

Petrie spoglądał na niego przez długą chwilę, po czym wreszcie potrząsnął głową.

— Obiecuję panu i obiecuję doktorowi Selmerowi, że jeśli ta epidemia znacznie rozszerzy się do jutra w południe, podejmę o wiele bardziej drastyczne środki niż do tej pory. Nie zawaham się przez żądaniem o pomoc ze strony rządu federalnego. Czy to pana satysfakcjonuje? — zapytał Firenza.

Cisza, która zapadła, była długa i nieprzyjemna. Doktor Petrie powoli podszedł do drzwi i otworzył je.

— Nie wiem, jak z panem rozmawiać, panie Firenza. Chyba żadne argumenty nie są w stanie przekonać pana, jak poważna już jest sytuacja. Cóż, po prostu muszę pojechać prosto do burmistrza.

— Burmistrz od dwóch dni przebywa w Waszyngtonie.

— Naturalnie, wie o epidemii?

— Dowiedział się z telewizji. Zatelefonował do mnie, a ja powiedziałem mu, że panujemy nad sytuacją. Doktorze Petrie, teraz tylko od lekarzy, ludzi takich jak pan czy doktor Selmer, zależy, czy moje słowa okażą się prawdą.

Doktor Petrie odwrócił się.

— Gdyby nie chodziło o tak wiele ludzkich istnień — powiedział — zrobiłbym wszystko, aby udowodnić, że pan kłaniał.

Zatelefonował do doktora Selmera z budki telefonicznej, stojącej na rogu ulicy, i streścił mu swoją rozmowę z Firenza. Selmer był bliski załamania.

— Czy on naprawdę nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje? — zawołał. — Od momentu, kiedy wyjechałeś, umarło kolejnych piętnaście osób. Chore są trzy pielęgniarki i dwóch lekarzy i nie minie wiele czasu, a ja sam zostanę zarażony i umrę!

— Nie umrzesz, nie bój się. Tak, jak powiedziałeś, ty i ja jesteśmy odporni na tę zarazę. Może to z powodu kontaktu z Davidem, a może po prostu mamy szczęście.

— Szczęście będzie nam cholernie potrzebne, jeżeli Firenza nie zamknie plaż.

— Przykro mi, Anton, robiłem, co mogłem, niestety, bezskutecznie. On wciąż opowiada dziennikarzom, że epidemia jest opanowana i zlokalizowana. Być może sam wierzy w to, że wszystko jest jedynie koszmarnym snem, z którego w pewnym momencie po prostu się obudzimy.

— Jezus Chryste.

— Teraz pojedę po Prickles — powiedział doktor Petrie. — Nie wiem, dokąd Margaret ją zabrała, ale skoro jest chora, najprawdopodobniej do domu. Myślę, że nie stracę zbyt dużo czasu.

— Wróć tutaj, kiedy tylko będziesz mógł, dobrze? Każda para rąk do pracy przyda się w szpitalu. Joe Mamiya przeprowadza jakieś testy na bakteriach, ale zanim do czegoś dojdzie, o ile osiągnie jakieś rezultaty, z całą pewnością minie cholernie dużo czasu.

— Anton, wróć do ciebie tak szybko, jak będę w stanie.

Doktor Petrie odwiesił słuchawkę na widełki i wrócił do swojego samochodu.

Wsiadając, ujrzał na chodniku mężczyznę, który chwiał się, mimo że dla zachowania równowagi opierał się o jakiś metalowy płot. Nagle mężczyzna padł na kolana, po czym uderzył głową o beton chodnika. Leżał tak przez chwilę, drżąc i wijąc się z bólu.

Doktor Petrie wysiadł z samochodu i przyklęknął przy nim.

— Jestem lekarzem — powiedział. — Czy źle się pan czuje?

Mężczyzna z trudem otworzył oczy, aby na niego spojrzeć.

— Umieram — wystękał chrapliwym głosem. — Jestem chory, zaraziłem się, umieram.

— Czy czegoś panu potrzeba? Może chce pan wody?  
Mężczyzna zamknął oczy.

Doktor Petrie klęczał przy nim kilka minut, a mężczyzna po chwili znów na niego popatrzył.

— Umieram — szepnął. — To mnie tak boli. Bolą mnie wnętrzności, jakbym miał ogień w brzuchu, bolą mnie jądra. Czuję, że coś zjada mnie od środka.

— Niech się pan nie martwi. Ból wkrótce minie.

— Umieram, doktorze.

— Leonard. Mam na imię Leonard.

Mężczyzna, z policzkiem przyciśniętym do betonowego chodnika, spróbował uśmiechnąć się. Czoło miał wilgotne od potu, a cała jego twarz była śmiertelnie blada.

— Leonardzie... — wyszeptał.

Doktor Petrie wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przetarł nią czoło mężczyzny.

Odwrócił go na plecy i spróbował ułożyć możliwie najwygodniej. Sprawdził jego puls; było oczywiste, że nie może mu już pomóc. Śmierć była może kwestią kilkunastu minut.

Po raz ostatni mężczyzna otworzył oczy. Popatrzył na rozgwieżdżone niebo, jakby nigdy dotąd czegoś takiego nie widział, po czym znów skierował spojrzenie na doktora Petrie. Patrzył na jego twarz przez długą chwilę, po czym odezwał się cichym, spokojnym głosem:

— Leonardzie?

— Niech pan nic nie mówi — odparł doktor. — Niech pan spokojnie leży.

— Dziękuję ci, Leonardzie.

— Nie ma pan za co mi dziękować. Proszę spokojnie leżeć, nie będzie pan wówczas czuł tak ogromnego bólu.

— Dziękuję ci za... Dziękuję za... Doktor Petrie zamierzał odpowiedzieć, było już jednak za późno. Mężczyzna nie żył. Doktor puścił jego dłoń i wstał.

Zastanawiał się, czy nie pójść z powrotem do domu Firenzy i powiedzieć policjantom, że niedaleko leżą zwłoki, w końcu jednak stwierdził, że policjanci i tak mają już wystarczająco dużo trupów do zbierania z ulic i nie przyjadą zbyt szybko akurat tutaj. Być może lepiej było pozostawić zmarłego tutaj, pod spokojnym niebem, niż spowodować, że trup wrzucony zostanie do śmieciarki.

Powrócił do lincolna, usiadł w fotelu kierowcy i zatrzaskał drzwiczki. Czuł się kompletnie wykończony fizycznie i psychicznie. Uniósł dłonie przed oczy i przez chwilę wyobrażał sobie, że krążą po nich rozwścieczone, złośliwe bakterie. A jednak wróg był niewidzialny, nieskończenie przebiegły i nieuchwytny. Do tej pory nikt nie wiedział, w jaki sposób z nim walczyć.

Doktor Petrie zwolnił hamulec ręczny, włączył silnik i ruszył samochodem w kierunku wschodnim. Nie było sensu zbyt wiele rozmyślać nad epidemią. Teraz najważniejsza była Prickles. Bezpieczna, zdrowa i szczęśliwa Prickles.

Dotarł do North—South Expressway i pędził ku Norm Miami Beach z prędkością ponad siedemdziesięciu mil na godzinę. Po prawej ręce miał bladobłękitny ocean. Niebo było coraz jaśniejsze. Zegar na tablicy rozdzielczej przypominał mu, że zbliża się świt, a on nie spał przez całą noc. Na drodze prawie



nie było żadnego ruchu i tylko kilka razy musiał zmienić pas, aby ominąć porzucone ciężarówki.

Było prawie zupełnie jasno, kiedy hamował naprzeciwko białego domu, wybudowanego w stylu wiejskiego rancho, otoczonego przez wysokie palmy. Z trzaskiem zamknął drzwiczki samochodu i ruszył w jego kierunku na przełaj, przez trawnik. W budynku było ciemno, jednak kremowy cutlass Margaret stał przed drzwiami. Doktor Petrie podszedł do drzwi i nadusił przycisk dzwonka.

Żadnej odpowiedzi. Zadzwoił jeszcze kilka razy, po czym zawołał:

— Margaret! Margaret! Jesteś tam? Margaret, to ja, Len!

Spróbował zajrzeć do środka przez okno salonu, było jednak zbyt ciemno, aby mógł cokolwiek zobaczyć. Obszedł budynek i spróbował otworzyć boczne drzwi, były jednak zamknięte na klucz i na zasuwę od wewnątrz. Kilkakrotnie szarpnął nimi, jednocześnie wykrzykując imię swojej byłej żony, jednak i tym razem z wnętrza budynku nie dobiegł żaden głos czy hałas.

Już właściwie zrezygnował i szedł z powrotem do samochodu, kiedy niespodziewanie odsunęła się zasłona w sypialni na piętrze.

Prickles otworzyła okno, wychyliła się na zewnątrz i zawołała:

— Tatusiu!

Doktor Petrie odwrócił się.

— Prickles! Jak to dobrze, że tam jesteś. Poczekaj, daj mi kilka minut i zaraz cię zabiorę z tego domu.

— Nie chciałam tutaj przyjechać, ale mamusia powiedziała, że muszę. Tatusiu, jestem przerażona! Mama mówi, że jest chora. Tatusiu, jestem naprawdę przerażona!

Doktor Petrie przystanął niepewnie przed budynkiem i w tej samej chwili otworzyły się frontowe drzwi. Stała w nich Margaret. Była bardzo blada, ubrana jedynie w jaskrawy płaszcz kąpielowy. Ujrzawszy ją, doktor Petrie mimowolnie zadrżał. Oto osoba, którą kiedyś kochał, jednocześnie tak bliska, przyjazna i tak obca, pełna nienawiści. Miała te same ciemne włosy, teraz uroczo zmierzwione, te same, szeroko otwarte oczy. Te same drobne, wąskie, zaciśnięte usta, ten sam długi, spiczasty nos. W postaci, którą widział teraz przed sobą było jednak coś jeszcze: tępe, nie widzące oczy, świadczące o bólu i chorobie.

Nie zmieniło to jednak faktu, że na twarzy Margaret czaiła się złość i nienawiść.

— Margaret — powiedział doktor Petrie, postąpiwszy dwa kroki w jej kierunku.

— Czy dobrze się czujesz? Prickles powiedziała, że jesteś chora.

Margaret skrzywiła się z niechęcią.

— Czuję się troszeczkę słaba, Leonardzie, jeżeli cię to interesuje.

Doktor Petrie wskazał na okno sypialni na piętrze.

— Dlaczego zabrałaś Prickles do siebie? Miałaś zdaje się jechać do Fort Lauderdale, do matki.

Margaret przytrzymała się framugi drzwi z taką siłą, że aż zbiały jej kostki na dłoniach.

— Aha, więc dbasz o swoją córeczkę, kiedy akurat masz na to ochotę — stwierdziła złośliwie.

— Posłuchaj, Margaret, kiepsko wyglądasz. Co się z tobą dzieje?

— Wszystko w porządku ze mną. Chyba zbyt długo przebywałam na słońcu, ale nic mi nie będzie.

— Okropnie wyglądasz.

Margaret roześmiała się beznamiętnie.

— Ty też nie wyglądasz najlepiej. A teraz idź już sobie stąd i zostaw nas same.

Doktor Petrie ruszył przed siebie, chcąc zbliżyć się do Margaret i wejść do środka, był jednak zbyt wolny. Zanim znalazł się w progu, Margaret cofnęła się, zatrzasnęła drzwi i założyła łańcuch od wewnątrz. Znow otworzyła drzwi i popatrzyła na niego przez wąską szparę, niczym dzikie zwierzę, obawiające się pułapki.

Spróbował wyważyć drzwi, ale nie miał żadnych szans.

— Margaret — błagał byłą żonę. — Otwórz te drzwi.

— Nie wejdiesz do środka, Leonardzie, nie wpuszczę cię. Idź sobie stąd i zostaw mnie i moją córkę w spokoju.

— Margaret, jesteś chora, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Być może padłaś ofiarą epidemii, która szaleje dookoła. Ludzie umierają na ulicach, sam widziałem.

— Idź sobie, Leonardzie. Ja i Prickles damy sobie radę bez ciebie.

Doktor Petrie jeszcze raz naparł ramieniem na drzwi. Łańcuch przytrzymujący je napiął się, jednak nie puścił.

— Margaret! Jesteś chora! Na miłość boską, pomyśl o Prickles! Skoro ty jesteś chora, to z pewnością i ją zarazisz, a to oznacza, że obie umrzecie!

Margaret usiłowała zatrzaskać drzwi, jednak doktor Petrie wcisnął but w szparę i uniemożliwił jej to.

Tak bardzo skupił się na swych usiłowaniach wdarcia się do domu, że nie usłyszał, jak przy jego lincolnie zaparkował samochód, z którego wysiadło dwóch policjantów i powoli ruszyli przez trawnik w jego kierunku. Dopiero zdał sobie sprawę z ich obecności, gdy Margaret spojrzała na nich, a jeden odezwał się: — No, dobra, supermenie, o co ci chodzi.

Policjant był nie ogolony i wyglądał na bardzo zmęczonego. Drugi z nich stał dwa kroki z tyłu, z dłonią umieszczoną na wszelki wypadek na rękojeści kolta. Obaj mieli okulary przeciwsłoneczne i chusteczki wokół szyi, gotowi w każdej chwili w razie potrzeby założyć je na usta.

Doktor Petrie odgarnął włosy z czoła. Wiedział, że po nie przespanej nocy nie prezentuje się zbyt korzystnie.

— To jest mój dom — powiedział niepewnie. — To znaczy, to był mój dom.

— To był twój dom — powtórzył policjant. — No i co z tego?

— To był mój dom, a ta kobieta była moją żoną. Teraz troszeczkę pokłóciliśmy się, to wszystko.

Policjant popatrzył na Margaret stojącą w progu.

— Czy to prawda, proszę pani?

Głos Margaret zabrzmiał nagle tak inaczej niż przed chwilą, że doktor Petrie z trudem uwierzył, że jest to ta sama osoba. Zamiast słabego, drżącego, zmęczonego głosu chorej, usłyszał

zniecierpliwioną młodą kobietę, proszącą o pomoc i ochronę przed natrętnym, nie chcianym amantem.

— Próbowałam wmówić mu, że to nie ma sensu, panie oficerze, ale on nie chce zrozumieć. Oszalał. Niech pan patrzy, próbował wyłamać drzwi. Powiedział, że spuści mi lanie i zabierze ode mnie moją małą dziewczynkę.

Doktor Petrie zaniemówił.

— Przecież... przecież to... to jest absurd. Ja... Wiele się nie namyślając, policjant zatrzasnął obręcz kajdanek wokół prawej dłoni doktora Petrie.

— Poinformuję teraz pana, jakie przysługują panu prawa — powiedział. — Ma pan prawo nic nie mówić, ma pan prawo do...

— Ale ja niczego nie zrobiłem! — zawołał Petrie. — Niedawno moja żona wtargnęła do mojego domu i bez mojej zgody zabrała stamtąd moją córeczkę! Teraz zachorowała, tak jak i wiele innych osób w mieście, i nie pozwala mi zabrać dziecka z powrotem. Na miłość boską, tylko popatrzcie na nią! Jest chora, śmiertelnie chora. Jeśli nie pozwolicie mi zabrać córeczki, zarazi się od niej i umrze! Czy nie potraficie tego zrozumieć?

Drugi policjant otwierał drzwi samochodu.

— Niech pan posłucha, człowieku — powiedział z westchnieniem pierwszy policjant.

— Ostatnio mieliśmy cholernie dużo roboty przez tę epidemię. Myślę, że dobrze pan rozumie, o co mi chodzi. Zaledwie pół godziny temu zamknąłem dwóch facetów za włamanie do sklepu ze sprzętem telewizyjnym. Jeden z nich

powiedział, że jego babcia umiera i że chce, żeby swe ostatnie godziny spędziła jak najprzyjemniej, to znaczy, oglądając telewizję. Sytuacja jest nienormalna. Wielu ludzi próbuje niecznie to wykorzystać. A teraz już chodźmy, dobra?

— Czy pomoże, jeżeli powiem, że jestem lekarzem?

Policjant wepchnął doktora Petriego do auta i usiadł przy nim. Drugi policjant zasiadł za kierownicą i ruszył, włączynywszy uprzednio “koguta” na dachu.

— Jest pan doktorem? — odezwał się po chwili pierwszy policjant. — W takim razie zapewne powinien pan teraz pomagać chorym ludziom, a nie zawracać głowę byłej żonie.

Doktor Petrie milczał zniechęcony. Z piskiem opon samochód policyjny skręcił na North—South Expressway i pognął w kierunku centrum miasta.

W komisariacie zabrali mu pieniądze, klucze i krawat, a następnie zamknęli go w celi, która nie miała ścian, a jedynie ze wszystkich stron kraty. W celi przebywało już dwóch Murzynów zamkniętych za grabieże oraz pijak. Doktor Petrie był tak zmęczony, że padł na brudny, szary koc przeznaczonej mu pryczy, i natychmiast zapadł w czterogodzinny sen, podczas którego nie śniło mu się absolutnie nic.

Była godzina jedenasta przed południem, kiedy się obudził.

Był obolały od snu na twardym posłaniu, czuł nieprzyjemny smak w ustach, nie był już jednak tak zmęczony, jak wtedy, gdy tu trafił. Pijaka już nie było, a dwaj Murzyni siedzieli obok siebie i pogrążeni byli w rozmowie prowadzonej półgłosem.

Usiadł i dłońmi przetarł twarz. W rogu celi znajdował się mały zlew z bieżącą wodą, opłukał więc nią twarz i ręce, po

czym wytarł się chusteczką.

Podszedł do krat, żeby lepiej zobaczyć, co dzieje się dookoła, na zewnątrz celi nie było jednak żywego ducha. Nic, tylko szary korytarz, odór ludzkiego potu i karbolowego mydła. Odwrócił się i popatrzył na Murzynów.

— Co trzeba zrobić, żeby zwrócić tutaj na siebie czyjąś uwagę? — zapytał.

Czarni spojrzeli na niego przelotnie, po czym powrócili do rozmowy.

— Jestem lekarzem — powiedział doktor Petrie. — I koniecznie muszę jak najszybciej się stąd wydostać.

Czarni znów na niego spojrzeli. Po chwili jeden z nich wyszczerzył zęby i potrząsnął głową.

— Nikogo dzisiaj nie wypuszczają stąd, człowieku. To nadzwyczajne zarządzenie.

Poza tym w tych dniach bezpieczniej jest chyba w celi niż na ulicach.

Doktor Petrie pokiwał głową.

— Pewnie masz rację. Co jednak powinienem zrobić, żeby zwrócić na siebie uwagę?

Odpowiedzią było milczenie współwięźniów.

Doktor Petrie odczekał kilka chwil, po czym odwrócił się w kierunku korytarza i krzyknął:

— Strażnik!

Murzyni ponownie przerwali rozmowę i popatrzyli na niego. On tymczasem znów chwilę poczekał i zawołał:

— Strażnik! Strażnik! Wypuście mnie stąd natychmiast!

Minęło kilka minut i na korytarzu pojawił się młody

policjant w okularach, kołyszący potężnym pękiem kluczy.

— Doktor Petrie? — zapytał.

— Tak, to ja. Chcę się zobaczyć z moim adwokatem.

— Nie ma takiej potrzeby. Jest pan wolny. Policjant otworzył celę i doktor Petrie wyszedł na zewnątrz. Jeden z Murzynów zawołał za nim:

— Trzymaj się, koleś. Miłego dnia!

Drugi z więźniów wesoło się roześmiał.

Doktora Petriego doprowadzono ponownie do tego pokoju w komisariacie, do którego nad ranem przywieźli go dwaj policjanci. Była tam już Adelaide; pod oczyma miała ciemne obwódki, świadczące o skrajnym wyczerpaniu. Od poprzedniego wieczora nie zmieniła stroju.

— Leonardzie, czy wszystko w porządku? Och, Boże, tak bardzo się martwiłam.

Podeszła do niego i przytulili się do siebie. Na jej widok poczuł taką ulgę i radość, że łzy napłynęły mu do oczu.

Siedzący za biurkiem sierżant niepewnie odchrząknął.

— Kiedy już przestaniecie się mizdrzyć, niech pan nie zapomni pokwitować odbioru osobistych rzeczy — powiedział. Doktor Petrie złożył swój podpis.

— Posłuchaj — odezwał się do Adelaide, zawiązując krawat.

— Muszę teraz wrócić do szpitala. Obiecałem to Selmerowi.

— To właśnie doktor Selmer powiedział mi, że zniknąłeś. Zadzwoił do domu, żeby sprawdzić, czy cię tam nie ma. Kiedy mu powiedziałam, że nie, odszukał cię za pośrednictwem policji. Gdy dowiedziałam się, gdzie jesteś, natychmiast tu przyjechałam.



— Czy plaże już są zamknięte? — zapytał ją, kiedy z ponurego budynku komisariatu wychodzili pod jasne, nieskazitelnie błękitne niebo.

— Jeszcze nie. Dziennikarze mówią, że ta zaraza to poważna sprawa, jednak nie należy zanadto się denerwować. Wygląda na to, że nikt nie ma zamiaru niczego zamykać. A to przecież nie ma sensu. Sama widziałam martwych i chorych ludzi na ulicach; jak się tym nie martwić?

Doktor Petrie rozejrzał się dookoła. Miasto było niezwykle spokojne, wręcz opustoszałe. Zauważył tylko kilka samochodów, poruszających się powoli, jakby we śnie. Kilka z nich załadowanych było ludzkim dobytkiem. Dało się zauważyć krzesła, stoły i materace. Było jasne, że garstka ludzi, którzy zdawali sobie sprawę, co się dzieje, postanowiła uciekać z Miami tak szybko, jak tylko się da.

Chodniki — zwykle pełne turystów i ludzi robiących zakupy — były prawie puste.

Ludzie, którzy musieli coś kupować, szybko przemykali ze sklepów do samochodów, żeby jak najkrócej przebywać na wolnym powietrzu.

— Czy na pewno chcesz wracać do szpitala? — zapytała Adelaide.

— Muszę.

— Czy chcesz, żebym pojechała z tobą? Potrząsnął przecząco głową.

— To jest zbyt ryzykowne. Szpital jest teraz wylęgarnią zarazy. Naprawdę nie wiem, dlaczego sam jestem jeszcze zdrowy. Doktor Selmer przypuszcza, że są ludzie z

niewiadomych powodów odporni na atakujące nas bakterie. Być może jestem jednym z nich.

— Być może? — Adelaide złapała go za ramię. — Leonardzie, co się stanie, jeżeli teraz pojedziesz do szpitala i... i nigdy już się nie zobaczymy? — Odwróciła wzrok.

— Posłuchaj, Adelaide, jestem lekarzem. To miasto na moich oczach umiera.

Rozejrzyj się tylko. Czy kiedykolwiek przedtem widziałaś centrum Miami tak opustoszałe we wtorek w czasie lunchu? Muszę dowiedzieć się, dlaczego ludzie masowo umierają, i muszę ze wszystkich sił pomagać wszystkim potrzebującym.

— Leonardzie, ale ja nie chcę cię teraz opuścić. Nie mogę. Spędziłam najbardziej przerażającą noc w moim życiu, czekając na ciebie, aż powrócisz, i nie chcę, żeby kiedykolwiek taka noc przydarzyła mi się jeszcze raz.

Za rogiem parkował jakiś samochód. Kierowca, mężczyzna w średnim wieku, w trzciniowym kapeluszu na głowie, spokojnie palił papierosa. Odsunąwszy od siebie dłoń Adelaide, doktor Petrie zbliżył się do niego.

— Czy zawiezie mnie pan do szpitala? — zapytał. Kierowca zmierzył go uważnym spojrzeniem.

— Czy jest pan chory? — zapytał.

— Nie, jestem lekarzem.

Kierowca otworzył mu tylne drzwiczki.

— To będzie kosztowało czterdzieści dolców — powiedział, nie racząc wyciągnąć papierosa z ust.

— Czterdzieści dolarów? Co pan sobie wyobraża? Taksówką dojechałbym tam za najwyżej dwa dolary! Kierowca

natychmiast zatrzasnął drzwiczki.

— Niestety, taka jest moja cena — rzekł. — Czterdzieści dolców albo nigdzie nie pojedziemy.

— Chodźmy stąd, Adelaide — powiedział doktor Petrie z wściekłością. — Znajdziemy taksówkę. Myślę, że taksówkarzom nie poprzewracało się jeszcze w głowach.

— Człowieku, daremnie nadziej e! — zawołał kierowca. — Może pan sobie szukać cały dzień i żadnego pan nie znajdzie. Wszyscy taksówkarze już dawno skierowali swoje bryki na północ. Na północ zresztą jedzie w tej chwili każdy, kto sobie zdaje sprawę, co się, do diabła, w tym mieście dzieje.

Doktor Petrie wyciągnął z kieszeni portfel i wydobyl z niego trzy banknoty dziesięciodolarowe.

— Oto trzydzieści dolarów. Jak znajdziemy się przed szpitalem, dostanie pan ostatnie dziesięć. Niech się panu jednak nie wydaje, że z przyjemnością płacę pieniądze takiemu perfidnemu naciągaczowi jak pan.

Kierowca schował pieniądze do kieszeni koszuli, po czym znów otworzył tylne drzwi. Doktor Petrie i Adelaide wsiedli do samochodu, a potem auto szerokim łukiem zawróciło o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyło przez centrum Miami w kierunku szpitala.

— Widziałem już jakieś pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt martwych ludzi na ulicach — odezwał się pojednawczym tonem. Wciąż palił papierosa. — Wyjechałem rano do miasta i aż nie chciałem w to wierzyć. Wiecie, co powiedzieli przez radio? Że to epidemia jakiejś grypy i do końca tygodnia będzie po wszystkim, że nie ma żadnych powodów, aby okazywać

nadmierne zaniepokojenie. Czy myślicie, że jak się zobaczy sześćdziesiąt trupów na ulicy, to rzeczywiście nie jest to jeszcze powód do obaw?

— Dziwię się, że jeszcze nie opuścił pan miasta — powiedziała Adelaide złośliwie.

— A niby dlaczego? — zdziwił się kierowca. — Mam okazję, żeby trochę sobie dorobić. Żyję w tym mieście od urodzenia... Popatrzcie, tam, z lewej strony, na chodniku. Kolejny nieboszczyk.

Spojrzeli we wskazanym kierunku i ujrzeli ciało młodej kobiety w niebieskiej sukni, leżące na betonowym chodniku przed sklepem spożywczym. Zawartość jej koszyka z zakupami leżała porozrzucana wokół niej.

Właściciel delikatesów stał w milczeniu w progu swojego sklepu i tępo wpatrywał się w zwłoki. Nie to jednak uderzyło doktora Petriego najbardziej. Wstrząsnęła nim postawa nielicznych przechodniów. Obchodzili albo przeskakiwali przez martwą kobietę, jakby była to jedynie niewiele znacząca przeszkoda na ich prostej drodze.

— Niech pan nie zwalnia — powiedział doktor Petrie. — Muszę dostać się do tego szpitala jak najszybciej. Adelaide była blada jak papier.

— Leonardzie... — wyjąkała. — Ta kobieta...

— Nic nie możemy jej poradzić. Najprawdopodobniej już jest martwa, czy tego chcemy, czy nie.

— Na pewno jest martwa — wtrącił się kierowca. — Słyszałem, że na ulicach leży tylu sztywniaków, że zbiera się ich już do śmieciarek.

Adelaide z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

— Tak, to prawda — powiedział doktor Petrie. — Też o tym słyszałem.

Doktor Selmer czekał na niego w swoim gabinecie. Wszystkie korytarze w szpitalu pełne były wózków z noszami, a płacz i zawodzenie krewnych zmarłych osób powiększał zamieszanie wywoływane przez biegających na wszystkie strony, miotających się pomiędzy kolejnymi chorymi członków szpitalnego personelu. A i tak pielęgniarki i lekarze mogli jedynie pocieszać, uspokajać. Mimo aplikowania najprzeróżniejszych antybiotyków, ludzie pochwyceni w szpony zarazy, padali jak muchy.

— Mniej więcej przed godziną rozmawiałem z Firenzą — powiedział doktor Selmer.

Siedział za biurkiem w szerokim skórzanym fotelu z nogami na blacie. Widać było, że jest skrajnie zmęczony. — Zgodził się zamknąć plażę.

— Ile mamy ofiar śmiertelnych? — zapytał doktor Petrie, zdejmując marynarkę i podwijając rękawy koszuli.

— Do tej pory jakieś sto dwadzieścia. Łącznie z tymi, którzy zmarli w szpitalu i poza nim, na ulicach. Możemy do tego dodać jakąś trzydziestkę tych, którzy z pewnością spoczywają martwi w mieszkaniach, i będziemy mieli komplet.

— Miasto jest jak wymarłe. Wydaje mi się, że jest więcej ofiar.

Doktor Selmer pokiwał swoją siwą głową.

— Nic się nie martw, Leonardzie, nim minie doba, umrze o wiele więcej ludzi.

Każdy z dotychczas zmarłych kontaktował się z przynajmniej siedmioma, ośmioma osobami, niektórzy z większą liczbą. Wszyscy ci ludzie noszą już w sobie bakterie zarazy.

— Czy Firenzą wspomniał coś o kwarantannie?

— Powiedział, że porozmawia z burmistrzem, kiedy ten wróci z Waszyngtonu dziś po południu. We dwóch zdecydują, jakie środki należy przedsięwziąć.

Doktor Petrie ciężko westchnął.

— Po raz pierwszy od pięciu lat mam ochotę zapalić papierosa.

— Zapal sobie — powiedział doktor Selmer. — Niewykluczone, że to może być twój ostami. — Pchnął w kierunku przyjaciela drewniane pudełko.

Po chwili obaj usłyszeli pukanie do drzwi. Nie czekając na przyzwolenie, do gabinetu weszła Adelaide. Gdy znalazła się z doktorem Petriem w szpitalu, najpierw poszła do łazienki, aby umyć twarz i poprawić makijaż. Mimo to była bardzo blada. Na jej twarzy rysowało się napięcie, a jej ręce się trzęsły.

— Cześć, Adelaide! — zawołał doktor Selmer. — Siądź, proszę. Czy czegoś się napijesz? Ze swej strony proponuję ci doskonałą leczniczą whisky.

— Tak, proszę.

— Leonardzie?

— Napiję się piwa. Być może po raz ostatni mam okazję wypić dobre, zimne piwo.

Selmer przygotował napoje.

— Całkiem możliwe, że się nie mylisz, Leonardzie. Właściwie, to nikt nie wie, co się naprawdę dzieje w tym mieście —

zauważył doktor Selmer. — Prawie niemożliwe jest uzyskanie jakiegokolwiek kompetentnej informacji. Dziennikarze albo są ślepi i głusi, albo po prostu postępują zgodnie z nakazem, który zaleca im milczenie.

Wszyscy mówią, że epidemia już jest opanowana, wyizolowana i że nie będzie się rozszerzać. A przecież wystarczy tylko wejść do tego szpitala albo przejść się po ulicach, żeby stwierdzić, że wcale tak nie jest. Spadła na nas nieznana, śmiertelna epidemia, Leonardzie, a mimo to wszystkie osoby odpowiedzialne za porządek w tym mieście uśmiechają się, uspokajają nas i pieprzą, że to nie jest nic groźniejszego niż zwykły ból głowy.

— A czy rząd federalny jeszcze nic nie wie? — zapytała Adelaide. — Co z departamentem zdrowia w Waszyngtonie? Przecież z pewnością już wiedzą, co tutaj się dzieje.

Doktor Petrie otworzył puszkę piwa i pociągnął spory łyk chłodnego napoju. Następnie wstał i podszedł do okna. Zrobiwszy szparę w zasuniętych żaluzjach, spojrzął na opustoszałe śródmieście Miami. Białe ściany domów odbijały promienie popołudniowego słońca. Niebo pokrywały rzadkie, pojedyncze, drobne chmury.

— Może wiedzą—powiedział. — Może działają tak, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu.

Od rana nie słyszałem dzisiaj żadnego samolotu, który by lądował bądź startował z Miami.

— Och, to nie ma znaczenia — stwierdził doktor Selmer. — Nagle postanowił zastrajkować personel lotniska, co oznacza, że wszystkie loty obsługiwane normalnie przez Miami

International Airport kończą się lub zaczynają albo w Palm Beach, albo w Tampa.

— Cóż za wygodny przypadek! A może to sprawka Fi—renzy, może traktuje sytuację o wiele poważniej, niż chciałby to nam przedstawić?

Doktor Selmer wzruszył ramionami.

— Dlaczego jednak nie zarządzono oficjalnej kwarantanny?  
— Zmarszczywszy czoło, kontynuował doktor Petrie. — Przecież jeżeli Miami jeszcze przez kilka godzin pozostanie otwartym miastem, zaraza rozprzestrzeni się na cały kraj! To zbrodnia.

— Mnie tego nie musisz mówić, Leonardzie. Oficjalna linia postępowania jest bardzo prosta — stwierdził doktor Selmer. — Po prostu mamy tu, w Miami, drobną epidemię choroby, która przypomina hiszpańską grypę i z którą damy sobie radę do końca tygodnia, własnymi środkami. Słyszałem to w telewizji, czytałem w gazetach. O, tutaj.

Podał doktorowi Petriemu poranną gazetę. Tytuł na pierwszej stronie głosił:

“Dwadzieścia śmiertelnych ofiar epidemii grypy”.

— To niewiarygodne! — zawołała Adelaide. — Przecież dziesiątki zwłok leżą na ulicach! Dlaczego oni nie napiszą prawdy?

Doktor Petrie przerzucił kilka stronic, aż wreszcie znalazł numer telefonu działu miejskiego gazety. Bez słowa podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Oczekiwał, aż po drugiej stronie ktoś się zgłosi, a tymczasem Adelaide i Anton patrzyli na niego z pełnym napięciem oczekiwaniem. Wreszcie rozległ się



głos telefonistki i doktor Petrie zażądał połączenia z działem miejskim. Po długiej chwili usłyszał wreszcie nosowy głos dziennikarza.

— Słucham pana. Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Zapewne tak. Nazywam się Leonard Petrie i jestem lekarzem. Telefonuję ze szpitala, obok mnie siedzi doktor Anton Selmer. Otóż przeczytałem poranne wydanie pańskiej gazety i stwierdzam, że przedstawiona w nim informacja o epidemii, która ogarnęła Miami, nie odpowiada prawdzie.

— Tak. Słucham.

— Chciałbym poinformować pana, że mamy do czynienia z *Pasteurella pestis*, co jest medycznym terminem dżumy. Odmiana choroby, która nas zaatakowała, jest bardzo niebezpieczna, gdyż jej bakterie przenoszą się błyskawicznie i atakują coraz to więcej ludzi. W tej chwili, jak nam wiadomo, zmarło już w Miami około sto pięćdziesiąt osób. Pod koniec dnia będzie, jak przewidujemy, pięć lub sześć razy więcej ofiar śmiertelnych.

Po drugiej stronie zapanowała krótka cisza. Dziennikarz odkaszlnął, następnie odezwał się:

— Cóż, doktorze Petrie, pańska teoria jest bardzo interesująca.

— Jaka teoria? To są fakty! Osobiście widziałem martwych ludzi na ulicach Miami!

— Och, wierzę panu.

— Czy pana to nie interesuje? Czy nie powiedziałem panu niczego ważnego? A może jest pan tak przyzwyczajony do

przemocy na ulicach miasta, że sto pięćdziesiąt ofiar nie robi na panu wrażenia?

— Nie jestem przyzwyczajony do przemocy, doktorze Petrie. Po prostu wykonuję swój zawód.

Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Na czym więc polega pański zawód? Bo osobiście odnoszę wrażenie, że na okłamywaniu ludzi.

— Wypraszam sobie.

— Naprawdę? A ja nie życzę sobie w tym mieście dziennikarzy, którzy celowo wprowadzają w błąd mieszkańców. Dziennikarz westchnął.

— Doktorze Petrie, dziennikarze naprawdę nie są idiotami. Doskonale wierny, co się dzieje. Sytuacja znana jest w ratuszu, zna ją departament zdrowia Florydy, pełna informacja o tym, co się dzieje, dotarła już do Waszyngtonu.

— Mam wątpliwości, sądząc po tym, co wypisujecie.

— Rozumiem pana. Otóż dostaliśmy wyraźne instrukcje, aby cały temat traktować bardzo ostrożnie, nie wywoływać zaniepokojenia, które mogłoby przerodzić się w panikę. — Dziennikarz westchnął. — Doktorze, czy zdaje pan sobie sprawę, co by się tutaj działo, gdyby nagle wszyscy mieszkańcy Miami dowiedzieli się, że w ich mieście szaleje dzuma? Wyobraża pan sobie ich reakcję? Panika, grabieże, plądrowanie sklepów, gwałty, przemoc, nastąpiłoby piekło. Miasto zginęłoby w ciągu jednej nocy. Ponadto zarażeni ludzie rozpierzchliby się po okolicy, rozszerzając pasmo śmierci. Niech mi pan wierzy, my, dziennikarze, zwykle nie postępujemy w ten sposób, nie ukrywamy informacji przed społeczeństwem, ale w tym

szczególnym przypadku wszyscy zgodziliśmy się z władzami, że milczenie jest jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

Doktor Petrie w ciszy trzymał słuchawkę.

— Departament zdrowia na Florydzie wie o zarazie już od piątku ubiegłego tygodnia — kontynuował dziennikarz. — Wówczas zachorowało i zmarło trzyletnie dziecko. Lekarze wykonali rutynowe badania i przekazali wyniki panu Firenzii.

Już wówczas nie było wątpliwości, że chodzi o dżumę. Firenza natychmiast skontaktował się z Waszyngtonem. Rząd stwierdził, że im mniej ludzi będzie wiedziało o niebezpieczeństwie, tym bardziej prawdopodobne będzie szybkie opanowanie sytuacji.

— Przecież tego nie da się bez końca trzymać w tajemnicy! — zawołał doktor Petrie. — Szeptane wiadomości roznoszą się w błyskawicznym tempie! Czy widział pan autostradę numer 1, albo North—South Expressway? Ludzie wyjeżdżają z Miami, uciekają niczym szczury z tonącego okrętu!

Dziennikarz znów zakaszłał.

— Nie uciekną daleko — powiedział.

— Nie rozumiem.

— Cóż, nie powinienem tego panu mówić, doktorze, ale i tak dowiedziałby się pan, wcześniej czy później. Wszystkie drogi wyjazdowe z Miami są zablokowane. Miasto jest odcięte od świata zewnętrznego od północy z niedzieli na poniedziałek.

Gwardia Narodowa ma rozkaz zatrzymywać wszystkie osoby zamierzające wjechać albo wyjechać z miasta.

— A co z ludźmi, którzy nie zechcą się temu podporządkować?

— Są zatrzymywani i tak.

Nerwowym ruchem doktor Petrie potarł swój kark.

— Nie wiem, co powiedzieć — stwierdził. — Myślę, że teraz wiem już wszystko.

— A ja mam nadzieję, że teraz we właściwym świetle widzi pan poczynania dziennikarzy. Tak jak i pan kochamy to miasto, jak i pan jesteście przerażeni zarazą, ale właśnie na nas spoczywa obowiązek niedopuszczenia do paniki, niedopuszczenia do chaosu, który zniszczyłby to miasto raz na zawsze. Tym bardziej w sytuacji, gdy ludzie nie mają dokąd uciekać.

Doktor Petrie pokiwał głową.

— Tak, myślę, że ma pan rację — stwierdził głucho. Następnie odłożył słuchawkę i przez długich kilka minut siedział przygarbiony na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— No, powiedz coś — nie wytrzymała w końcu Adelaide. — Nie trzymaj nas w niepewności.

Ujął jej dłoń i ścisnął ją.

— Okazuje się, że do tej pory po prostu z nas drwiono. Donald Firenza wie o zarazie już od piątku. Kiedy tylko władze dowiedziały się o dżumie, poprosiły o radę Waszyngton; zapewne dlatego burmistrz Becker pojechał do Waszyngtonu. Rząd federalny w absolutnej tajemnicy odciął Miami od świata zewnętrznego i zatrzymuje wszystkich, którzy zamierzają przekroczyć granice miasta.

— To oni wiedzieli? — zawołał doktor Selmer. — Wiedzieli przez cały czas o zarazie i nie ostrzegli lekarzy?

— Myślę, że uważali to za bezsens. Ta zaraza zabija ludzi tak szybko, że praktycznie mogą już ją w sobie nosić wszyscy mieszkańcy Miami. Skupiają się nie na leczeniu, lecz na powstrzymaniu rozprzestrzeniania się choroby, w jakikolwiek sposób.

— I co w tym celu robią? Czy próbują znaleźć jakieś antidotum? Co z nami?

Przecież nie wolno odciąć miasta od świata i pozwolić, aby wymarli wszyscy jego mieszkańcy!

Doktor Petrie nerwowo bębnił palcami w blat biurka doktora Selmera.

— Myślę, że nie masz racji, Anton — powiedział wreszcie bardzo cichym głosem. — Oni mogą to zrobić.

W ciągu popołudnia i ciepłego wieczoru stało się jasne, że zaraza rozprzestrzenia się w całym Miami z taką szybkością, z jaką płomienie pożerają suchy las w wietrzny dzień. Doktor Petrie i doktor Selmer wielokrotnie próbowali dodzwonić się do Firenzy lub do departamentu zdrowia w Waszyngtonie, jednak telefony bezustannie były zajęte. Telefonowanie stało się jeszcze bardziej utrudnione, gdy okazało się, że na dżumę zachorowały cztery szpitalne telefonistki.

Poza tym pracowali bez wytchnienia, starając się nieść ulgę ludziom, którzy i tak umierali w strasznych męczarniach. Doktor Petrie był świadkiem straszliwej śmierci dziewięćdziesięciosześcioletniej kobiety; widział, jak gaśnie życie pięcioletniego chłopca; z przerażeniem patrzył, jak ginie dwudziestopięcioletnia dziewczyna w siódmym miesiącu ciąży, z nie narodzonym dzieckiem, które wciąż nosiła w sobie.

Ambulansy i samochody prywatne wciąż podjeżdżały przed izbę przyjęć, zwożąc coraz to nowe ofiary zarazy. Wśród nich było coraz więcej kierowców szpitalnych karettek. Pielęgniarki z braku lepszych miejsc, układały chorych na czystych prześcieradłach, rozkładanych wprost na posadzkach korytarzy.

Podczas krótkiej przerwy w pracy doktor Petrie zatrzymał się na jednym z takich korytarzy i rozejrzał się dookoła. Miał przed sobą sceną jakby z jakiejś dziwnej wojny... Otarł pot z czoła i z oczu, a potem podszedł do następnego pacjenta.

Doktor Selmer spojrzał na niego, podnosząc głowę znad noszy z rudowłosą nastolatką, której właśnie wstrzykiwał streptomycynę.

— Co się dzieje? — zapytał. — Czy oni wciąż przybywają? Leonard Petrie skinął głową twierdząco.

— Tak, z każdą chwilą jest więcej pacjentów. Jak myślisz, ilu już przyjęliśmy?

Ilu leży w innych szpitalach Miami? Doktor Selmer wzruszył ramionami.

— Jeżeli wszystkie szpitale są tak obleżone jak nasz, myślę że mamy do czynienia z sześciuset lub siedmiuset pacjentami. A może jest ich około tysiąca? Może jeszcze więcej?

Doktor Petrie ciężko westchnął.

— To jest piekło — powiedział. — Prawdziwe piekło.

— Masz rację. Czy mógłbyś zaopiekować się doktorem Parkesem? Zdaje się, że nie wygląda najlepiej.

Doktor Parkes był internistą w podeszłym wieku, prowadzącym prywatną praktykę w Opa Locka. Doktor Petrie

spotkał się z nim już wielokrotnie na polu golfowym i bardzo go lubił. Teraz dojrzał, jak siedzi na ławce w izbie przyjęć, spocony, drżącymi rękami przecierający szkła okularów.

— Doktorze — powiedział Petrie, zbliżywszy się do niego.

Doktor Parkes wyciągnął dłoń i dotknął jego ramienia.

— Ze mną wszystko w porządku — powiedział cichym głosem. — Po prostu muszę jedynie chwilę odpocząć.

— Doktorze Parkes, zrobię panu zastrzyk, dobrze?

— Nie, nie — powiedział stary, siwy człowiek. — Niech się pan o mnie nie martwi, wszystko ze mną w porządku. Po prostu jestem zmęczony.

Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Skoro pan tak twierdzi... W końcu jest pan lekarzem. Parkes uśmiechnął się.

Następnie odwrócił wzrok od doktora Petriego i w tej samej chwili osunął się na posadzkę.

— Sostro! — zawołał Petrie do przechodzącej pielęgniarki. — Proszę mi pomóc podnieść doktora Parkesa!

Ułożyli starego człowieka na noszach i doktor Petrie poluźnił jego krawat. Stary lekarz oddychał ciężko i nieregularnie; było oczywiste, że jest bliski śmierci.

— Doktorze Parkes — powiedział Petrie, przytrzymując jego dłoń.

Parkes otworzył blade, przemęczone oczy i spojrzał na niego łagodnym, lecz pełnym żalu spojrzeniem.

— Miałem nadzieję, że jestem zbyt stary, żeby na to zachorować — powiedział.

— Przeżyje pan. Jest pan bardzo zmęczony, tak jak mi pan powiedział.

Doktor Parkes potrząsnął głową.

— Nie oszuka mnie pan, Petrie. Niech pan uniesie moją lewą rękę, dobrze?

Doktor Petrie podniósł drżącą dłoń starego lekarza. Na serdecznym palcu tkwił ciężki, złoty pierścień. Wygrawerowano na nim symbol węża owiniętego wokół berła.

— Ten pierścień dała mi moja matka — wyszeptał doktor Parkes. — Była pewna, że kiedyś stanę się sławny. Umarła bardzo dawno temu, Panie, świeć nad jej duszą.

Chciałbym, żeby teraz pan wziął ode mnie ten pierścień. Być może przyniesie panu więcej szczęścia niż mnie.

— Nie mogę go przyjąć.

— Może pan. — Doktor Parkes ciężko westchnął. — Może pan to zrobić dla starego, umierającego człowieka.

Doktor Petrie ściągnął pierścień z palca Parkesa i z wahaniem założył go na swój palec. Parkes uśmiechnął się.

— Jest odpowiedni dla ciebie, synu. Pasuje.

Wciąż uśmiechał się i zmarł z uśmiechem na ustach. Doktor Petrie przykrył jego twarz papierowym ręcznikiem. Prześcieradeł zaczynało brakować.

Po chwili nadszedł doktor Selmer. .Otarł pot z czoła i zapytał:

— Czy on nie żyje?

Doktor Petrie jedynie pokiwał głową.

— Uważam, że staję się bardzo odporny — stwierdził doktor Selmer. — Nawet, jeżeli nie jestem całkowicie odporny na zarazę, odporny jestem na wszelkie wzruszenia wobec śmierci



moich przyjaciół. Nawet nie wiem, jak wielu doskonałych lekarzy i oddanych pielęgniarek już dzisiaj straciliśmy.

— Zastanawiam się, czy ta nasza praca ma sens. Czy nie lepiej byłoby zostawić to wszystko i uciec, dokąd oczy poniosą.

Doktor Selmer założył na twarz nową maseczkę chirurgiczną.

— Gdyby było jakiegokolwiek miejsce, dokąd mógłbym stąd uciec — powiedział — zostawiłbym ten szpital. Niestety, musimy zdać sobie sprawę, że zostaliśmy niczym w klatce uwięzieni.

Znów otwarły się drzwi wejściowe i do izby zaczęto wtaczać na wózkach nowe ofiary. Tym razem jednak coś urozmaiciło monotonię przyjęć ludzi chorych na dżumę. Pewien czarnowłosy dziewiętnastolatek obficie krwawił z potężnej rany w prawym boku. Jęczał, trząsał się, a kiedy jeden z pielęgniarzy spróbował przywiązać go do posłania, zawył nieludzkim głosem.

Doktor Selmer i doktor Petrie zbliżyli się, aby go uspokoić. Doktor Selmer szybko zrobił mu zastrzyk przeciwbólowy, a doktor Petrie rozciął jego koszulę.

— Popatrz na to — powiedział. Wskazał na szeroką, krwawiącą ranę. — To rana postrzałowa — stwierdził.

Doktor Selmer chusteczką starł brud i pot z twarzy chłopaka. Na jego policzku były krwawe ślady, jakby młodzieniec przejechał nim po asfalcie lub betonie.

— Co się stało, dzieciaku? — zapytał doktor Selmer. — Czy ktoś do ciebie strzelał?

Chłopak zacisnął zęby i skinął głową.

— Kto strzelał? Powiedz mi. Jeżeli się tego dowiemy, zapewne będziemy w stanie udzielić ci skuteczniejszej pomocy. Jeśli będziemy wiedzieli, z jakiej broni zostałeś postrzelony, sprawniej pójdzie nam operacja.

Chłopak głęboko westchnął, otworzył usta, żeby się odezwać, jednak natychmiast wybuchnął płaczem. Doktor Selmer pogłaskał go po czole i kontynuował rozmowę z chłopakiem, uspokajającym, niemal matczynym głosem.

— Spokojnie, dziecko, nic ci nie będzie. Powiedz mi, kto do ciebie strzelał. Kto do ciebie strzelał? Chłopak mocno zacisnął powieki.

— Ja... ja i jeszcze ko... kolega — jękał się — dowiedzieliśmy się o zarazie i... i chcieliśmy uciec.

— I co się stało?

— Wzięliśmy starego buicka mojego ojca. Dojechaliśmy do rogatek i oni... oni nas odesłali.

— Kto was odesłał, dzieciaku?

— Gwardia Narodowa... Powiedzieli, że nie możemy wyjechać.

— I co zrobiliście?

Chłopak tak mocno przygryzł sobie język, że z ust zaczęła mu cieknąć strużka krwi. Potrząsnął desperacko głową, jakby zamierzał usunąć z pamięci wydarzenie, które nigdy nie powinno mu się przydarzyć.

— Co zrobiliście? — powtórzył doktor Selmer. — Czy strzelali do was?

— Mój kolega po... powiedział, że powinniśmy się przedrzeć, powiedział, że na pewno Gwardia Narodowa nie będzie do nas

strzelać. Cofnęliśmy więc samochód i pełnym gazem ruszyliśmy na zaporę. A oni... oni strzelali. Odstrzelili mu całą głowę.

Doktor Petrie położył dłoń na ramieniu doktora Selmera.

— Daj mu spokój, Anton — powiedział. — Powinniśmy nie mieć złudzeń, że ktokolwiek będzie się z nami patyczkował. Wszyscy zginiemy: albo tutaj, albo na granicy miasta.

Doktor Selmer ze smutkiem pokiwał głową. Nakazał jednemu ze swych asystentów, żeby zajął się rannym chłopakiem, po czym poszedł się umyć. Doktor Petrie ruszył za nim.

Gdy wycierali się po wzięciu prysznic, doktor Petrie odezwał się:

— Czy nie przyszło ci do głowy, że staliśmy się ofiarami ataku biologicznego? Że ta zaraza to sprawka Rosjan? Doktor Selmer roześmiał się głucho.

— Rosjanie wcale nie musieli tego robić. Po co? Sami sobie zrobiliśmy ten kawał.

Nie mam pojęcia, skąd to całe gówno znalazło się na naszych plażach, jestem jednak w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonany, że jest produktem społeczeństwa amerykańskiego, które bez umiaru zanieczyszcza ocean, składując w nim każde gówno, jakie tylko zawadza mu na lądzie. Mój drogi, popełniliśmy samobójstwo! Zabiją nas nasze własne gówna!

— Jesteś zmęczony, Anton, odpocznij trochę — powiedział doktor Petrie.

Doktor Selmer przecząco potrząsnął głową.

— Szybkość, z jaką rozprzestrzenia się ta zaraza, wskazuje, że całe miasto zginie najpóźniej w czwartek. Gdybym poszedł

spać, straciłbym połowę tego widowiska.

— Anton, jesteś wykończony. Na miłość boską, odpocznij, dla swego własnego dobra.

— Może później. Teraz potrzebna mi jest filiżanka kawy.

Znów ruszyli korytarzami, stąpając ostrożnie pomiędzy chorymi, umierającymi ludźmi, owiniętymi jedynie w prześcieradła. Co chwilę ktoś wołał lekarza, w odpowiedzi jednak najczęściej słyszał: “Chwileczkę, przyjacielu. Zaraz się tobą zajmimy. Cierpliwości”. Tym zapewnieniom rzadko już towarzyszyła jakaś energiczniejsza reakcja w celu ulżenia doli cierpiącym.

Żadne ludzkie działania, żadne poczynania lekarzy nie były w stanie powstrzymać zarazy. Najrozsądniejszą decyzją ze strony mieszkańców Miami mogło być jedynie pozostanie w domach i umieranie we własnych łóżkach. Doktor Petrie miał łzy w oczach.

Jakiś policjant ruszył powoli w ich kierunku. Nos i usta osłaniał chustą niczym bandyta podczas napadu.

— Panowie doktorzy! — zawołał. — Panowie doktorzy! Doktor Selmer zmierzył go wzrokiem.

— Słucham.

— Tam leży szef policji Miami, panowie. Źle z nim, naprawdę. Wskazał na starszego człowieka, który jęczał i kaszlał; zaraza w błyskawicznym tempie pożerała jego płuca.

— No i co z tego?

Policjant wyglądał na zbitego z tropu.

— Cóż, jest bardzo chory. Myślałem, że może ktoś mógłby mu pomóc.

— Co mu jest? — zapytał doktor Selmer. — Czy to samo, co pozostałym?

Policjant skinął głową. Doktor Petrie zauważył, że jest bardzo młody, w wieku może dwudziestu, a może dwudziestu jeden lat. Jego oczy błagalnie spoglądały na lekarzy.

— Czy nie sądzi pan, że gdybym mógł pomóc tym wszystkim ludziom, nie uczyniłbym tego?

— Oczywiście, doktorze, ale...

— Ale nic, panie policjancie. Nie jestem w stanie uratować pańskiego szefa policji, tak jak nie jestem w stanie pomóc tym wszystkim ludziom, cierpiącym tutaj dookoła. Jeżeli chce mu pan trochę ulżyć, proszę być przy nim aż do śmierci, a potem pochować ciało najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Policjant wyglądał na dezorientowanego. Popatrzył wokół siebie po cierpiących ludziach takim wzrokiem, że doktor Petrie zaczął mu współczuć. Zdziwił się, bo nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie współczuł policjantowi. Dotknął jego ramienia i powiedział:

— Synu, na twoim miejscu uciekałbym stąd jak najszybciej. W tym miejscu nie ma nic poza zarazą; im dłużej będziesz tu przebywał, tym mniejsze są szanse, że się nie zarazisz.

Policjant zastygł na moment w bezruchu, po czym nagle podjął decyzję i szybkim krokiem ruszył w kierunku wyjścia ze szpitala.

— Zaraza zrównuje ludzi ze sobą — zauważył doktor Selmer chrapliwym głosem.

— Szef policji czy nie, umrze w takich samych warunkach jak każdy inny człowiek.

— Jesteś dziś w filozoficznym nastroju, Anton.

— Właśnie. Odkrywam, że urodziłem się filozofem, a nie lekarzem.

Gdy znaleźli się w gabinecie doktora Selmera, Adelaide wciąż tam czekała. Pod ich nieobecność przez cały czas próbowała uzyskać połączenie telefoniczne z Waszyngtonem. Niestety, bezskutecznie. Przygotowała dwie filiżanki kawy, tak że znalazłszy się tutaj, doktor Selmer i doktor Petrie mogli na chwilę usiąść w wygodnych fotelach i wypocząć.

— Czy wciąż jest tak źle? — zapytała. Usiadła przy Leonardzie i delikatnie głaskała jego czoło. Lubił, gdy to robiła, lubił też jej bliskość, zapach jej ciała.

— Jest coraz gorzej — odparł Selmer. — Sytuacja jednak się zmienia. Szpital wkrótce przestanie funkcjonować. Wszyscy ludzie, którzy zajmują się chorymi, wkrótce zachorują sami i to będzie koniec wszystkiego.

Doktor Petrie przetarł oczy.

— Całe miasto ginie na naszych oczach, a my nie jesteśmy w stanie temu zapobiec.

— Niedawno widziałam tutaj księdza — powiedziała Adelaide.

— I co takiego tutaj robił? — zapytał doktor Petrie. — Chował się przed zemstą swojego Boga?

— Nie — odparła Adelaide, odgarniając z czoła brązowe kędziory. — Zdaje się, że opowiadał, iż Ameryka otrzymała to, na co od dawna zasługiwała. Za zabójstwa Indian, za przemoc wobec czarnych, za wynalezienie samochodów, za niszczenie środowiska naturalnego...

— Jednak nie zamierzał wstawić się za nas u Boga, żeby powstrzymał to wszystko, co? — zapytał doktor Petrie z sarkazmem.

Adelaide zaprzeczyła ruchem głowy.

— Moim zdaniem Kościół będzie zadowolony z tego, co się tutaj dzieje. Jeśli dzięki tej zarazie nie przybędzie na świecie kilkudziesiąt milionów katolików, to nie wiem, jakie jeszcze wydarzenie może ludzi skierować ku Bogu.

Zadzwonił wewnętrzny telefon. Doktor Selmer podniósł słuchawkę, po czym po chwili przekazał ją doktorowi Petrie.

— To do ciebie, Leonardzie. Siostra Maloney z izby przyjęć. Siostra Maloney mówiła z wyraźnie irlandzkim akcentem.

— Doktorze Petrie, mamy tutaj pacjentkę, która wymienia pana nazwisko. Chciałaby się z panem zobaczyć.

— Moje nazwisko? Czy siostra wie, kim ona jest?

— Niestety, nie, proszę pana. Ale jest bardzo chora. Sądzę, że dobrze będzie, jeżeli pan doktor się pośpieszy, o ile chce pan ją jeszcze zobaczyć żywą.

— Zaraz tam będę.

Doktor Petrie odłożył słuchawkę, przełknął resztę kawy, po czym włożył fartuch i zieloną maseczkę na twarz.

— Leonardzie — powiedziała Adelaide. — Czy coś się stało?

— Siostra Maloney twierdzi, że jakaś kobieta prosi o spotkanie ze mną. Przypuszczalnie jedna z moich pacjentek. Zostań tutaj z Antonem i spokojnie wypijcie kawę. Niedługo wrócę.

Doktor Selmer odchrząknął.

— Nareszcie we dwoje, Adelaide. Od dawna marzyłem o tej chwili.

Doktor Petrie zamknął za sobą drzwi i szybko ruszył w kierunku izby przyjęć.

Cały szpital rozbrzmiewał szmerem rozmów, które co chwilę przerywały głośne jęki cierpiących i konających. Jakby tysiąc ludzi jednocześnie półgłosem odmawiało modlitwę.

Wkrótce znów znalazł się w piekle, w korytarzu najbliższym izby przyjęć, wśród jęków, wrzasków, zawodzenia konających. Ludzie o twarzach białych jak papier, drżący lub wijący się z bólu, leżeli pod ścianami; ludzie kaszlący, charczący, płaczący, wyjący z rozpacz. Ale byli też tacy, którzy cierpieli i konali w ciszy.

Zaraza nie dzieliła ludzi na biednych i bogatych. Podstarzałe wdowy umierały w swych diademach i perłach. Mechanicy, kierowcy, kelnerki — w strojach roboczych.

Policjanci — w mundurach. Każdy, kto w ciągu ostatnich dni wykąpał się w oceanie, musiał umrzeć. Każdy, kto z kimś takim rozmawiał albo kogoś takiego dotykał, umierał również.

Wkrótce, ostrożnie stąpając wśród ciał rozłożonych na posadzce korytarza, doktor Petrie dotarł do izby przyjęć. Otworzywszy drzwi, od razu zauważył siostrę Maloney, w chirurgicznym płaszczu i maseczce na twarzy. Czekwała na niego.

— Gdzie ona jest? — zapytał. — Czy wciąż żyje?

— Tak, lecz boję się, że to jej ostatnie chwile, doktorze. Proszę za mną.

Doktor Petrie posłusznie podążył za siostrą Maloney. Musiał przecisnąć się obok kozety, na której leżał



dwudziestoczteroletni policjant o nazwisku Herb Stone, właśnie dogorywający. Jego twarz była szara. Mruczał coś do siebie niezrozumiale.

Siostra Maloney, posuwając się pomiędzy pacjentami niczym wielki biały statek, zaprowadziła wreszcie doktora Pe—triego do kozetki w rogu izby przyjęć. Leżąca tam kobieta miała niemal czarne sińce pod oczyma, zaciskała dłonie na prześcieradle i trzęsła się w spazmach.

Doktor Petrie przyjrzał się uważnie jej twarzy. Gdy zrozumiał, poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Kobieta otworzyła oczy. Z trudem skupiła wzrok na jego twarzy.

— Leonardzie — wyszeptała. — Wiedziałam, że przyjdiesz.

— Cześć, Margaret — odparł cicho, niemal niedosły—szalnie.  
— Czy bardzo źle się czujesz?

Pokiwała w odpowiedzi głową i spróbowała przełknąć ślinę.

— Napiałabym się trochę wody.

— Sostro... — poprosił doktor Petrie. Siostra Maloney skinęła głową i odeszła.

Petrie znów popatrzył na swą byłą żonę.

— Gdzie jest Prickles? — zapytał. — Czy jest bezpieczna?  
Margaret znów pokiwała głową.

— Zostawiłam ją z panią Henschel, sąsiadką. Prickles jest zdrowa, Leonardzie, zapewniam cię.

— Nie możesz być pewna.

Margaret wpatrywała się w niego przez chwilę.

— Nie — wyszeptała. — Nie mogę.

— Czy mogę ci w jakiś sposób pomóc? Wygodnie ci?

— Czuję, że bolą mnie wszystkie wnętrzności. Ale nie bardzo.

Dotknął jej dłoni. Nie mógł wprost uwierzyć, że jeszcze dwa lata temu spał z tą kobietą, całował ją i kłócił się z nią, że jest ona matką j ego jedyne go dziecka. Pamiętał jaz sądu, w prostym, czarnym kostiumie oraz z dnia, w którym definitywnie postanowił, że od niej odchodzi: z zaczerwienionymi oczami, płaczącą, wpatrującą się w niego z progu ich domu. Pamiętał też, jak wyglądała w dniu, kiedy brali ślub.

— Leonardzie — powiedziała.

— Tak, Margaret.

— Czy kiedykolwiek mnie kochałeś? Doktor Petrie odwrócił głowę i przez długą chwilę wpatrywał się w ścianę.

— Nie pytaj mnie o to, Margaret. Nie teraz.

— Dlaczego?

— Bo najprawdopodobniej bym skłamał. Albo, co gorsza, powiedziałbym ci prawdę.

— Że kochałeś mnie, czy że mnie nie kochałeś? Sprawdził jej puls. Był bardzo słaby. Życie uchodziło z niej bardzo szybko.

— Jak teraz się czujesz? — zapytał.

— Zmieniasz temat rozmowy.

— Nie, wcale nie. Próbuję traktować cię tak, jak lekarz pacjenta.

— Leonardzie, czy nigdy mnie nie kochałeś? Czy nigdy mnie naprawdę nie kochałeś?

Nie odpowiedział. Patrzył, jak Margaret umiera, trzymał jej dłoń w swojej, jednak milczał. W tej chwili po prostu nie znał prawdy.

— Leonardzie — wyszeptała. — Pocałuj mnie.

— Co?

— Pocałuj mnie, Leonardzie.

Wiedział, że jest już niemal martwa. Nie potrafiła już na niczym skupić wzroku i z trudem nabierała do płuc tyle powietrza, żeby cokolwiek powiedzieć.

Nie zdążył podjąć decyzji, nie zdążył zastanowić się, czy powinien ją pocałować.

Zmarła, gdy się nad tym zastanawiał.

Podeszła do niego siostra Maloney, do tej pory zajęta chorym chłopcem.

— Czy ona odeszła, doktorze? — zapytała.

— Tak — odparł doktor Petrie. — Odeszła.

Siostra Maloney delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. Ponad chirurgiczną maseczką spoglądały na niego współczująco jej zielone oczy.

— Czy to był ktoś, kogo pan dobrze znał, doktorze? — zapytała.

Doktor Petrie głęboko odetchnął i rozejrzał się dookoła.

— Nie, siostro. Prawie wcale jej nie znałem — odparł.

Nie było to kłamliwe zaprzeczenie, lecz prawda. Margaret miała niejedno oblicze, które poznał i które znienawidził. Teraz jednak zdał sobie sprawę, jak mało znał i rozumiał tę istotę, choć tak długo była jego żoną.

Wracając zatłoczonym korytarzem do gabinetu doktora Selmera, czuł w sobie chłód i pustkę. Nigdy, nawet w najtrudniejszych momentach, w chwilach najzajadlej szych kłótni, nie życzył Margaret śmierci. Teraz problem Margaret

został rozwiązany za niego przez *Pasteurella pestis*. W końcu znów był wolny.

Jakaś pielęgniarka podeszła do niego i dotknęła jego rękawa. Była śliczną, młodą, ciemnowłosą dziewczyną. Widywał ją już w tym szpitalu kilkakrotnie i nawet zastanawiał się, czy nie zaprosić jej na drinka.

— Doktorze Petrie — powiedziała. Popatrzył na nią.

— Tak, siostrze? Opuściła wzrok.

— Nie wiem, jak to powiedzieć. To jest aż nieprawdopodobne.

Wbił w nią uważne spojrzenie. Jak każda z pielęgniarek w szpitalu, pracowała już od wielu godzin bez przerwy, widziała wokół siebie inne pielęgniarki i lekarzy umierających na skutek kontaktu z chorymi. Była zmęczona, a jej twarz pokrywały wielkie krople potu.

— Niech siostra spróbuje — zachęcił ją.

— Cóż — powiedziała niepewnie. — Słyszałam plotki...

— Jakie plotki?

— Brat mojego przyjaciela pracuje w straży pożarnej. Zdaje się, że powiedział mu, iż straż pożarna otrzymała specjalne rozkazy. Mają być przygotowani na wielkie pożary.

Doktor Petrie poczuł, że ciarki przebiegły mu po grzbiecie.

— Wielkie pożary? — zapytał. — Co chciał przez to powiedzieć?

— Nie wiem, doktorze — odparła pielęgniarka. Wbiła wzrok w posadzkę, jej głos był ledwo słyszalny. — Myślę, że ktoś chce spalić całe to miasto.

Słowa z trudem przenikały do umysłu doktora Petriego. Ktoś chce spalić całe to miasto! W ten sposób radzono sobie z epidemiami w średniowieczu; chociaż, w gruncie rzeczy, sytuacja w Miami była jakby przeniesiona ze średniowiecza. Po raz pierwszy od stu lat ludzkość zaskoczona została chorobą opierającą się wysiłkom współczesnej medycyny: nie można jej było ani leczyć, ani powstrzymać jej inwazji.

Doktor Petrie wyciągnął rękę i delikatnie ujął pielęgniarkę za podbródek.

— Nie będę udawał, że pani nie wierzę — powiedział. — Nie będę udawał, ponieważ wystarczająco dobrze znam naszą administrację, aby czegoś takiego się po nich spodziewać. Mogę pani powiedzieć, że już w tej chwili Miami zostało rzucone wilkom na pożarcie. Całe miasto otoczone jest przez Gwardię Narodową i zamknięte.

Na moment dotknęła jego dłoni, po czym pokiwała głową.

— Przypuszczałam, że coś takiego nam zrobią—stwierdziła.

Cofnęli się pod ścianę, gdy przejeżdżał obok nich wózek z trzęsącą się kobietą w średnim wieku, wciąż ubraną w biały letni płaszcz.

— No, cóż — westchnęła pielęgniarka. — Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli powrócę do pracy.

Kiedy odwracała się, doktor Petrie powiedział:

— Mogłaby pani spróbować ucieczki. Mogłaby pani spróbować wyrwać się z tego miasta. Jestem przekonany, że kordon Gwardii Narodowej nie jest hermetycznie szczelny.

Popatrzyła na niego.

— Uciekać? — zdziwiła się. — Miałabym uciekać z Miami?

— Właśnie.

— Ale przecież tutaj są ludzie, którzy mnie potrzebują. Jak mogłabym zostawić swoich pacjentów?

— Siostro — powiedział doktor Petrie. — I pani wie i ja wiem, że ci wszyscy ludzie i tak umrą. Chyba nie sądzi pani, że potrafi pani w jakikolwiek sposób temu zapobiec.

— Nie, nie zapobiegnę ich śmierci — odparła bez wahania. — Moim obowiązkiem jest jednak pozostać przy nich do końca i uczynić, co w mojej mocy, żeby jak najmniej cierpieli.

— Wiadomo pani, że w tej sytuacji i pani umrze — zauważył doktor Petrie.

Skinęła głową.

Nie miał już ochoty rozmawiać. Patrzył jedynie na nią i rozmyślał, jakim okropnym bezsensiem będzie jej śmierć. Oto piękna, inteligentna dziewczyna.

Powinna żyć, śmiać się, być szczęśliwą, radosną, cieszyć się każdym dniem.

Niestety, wkrótce będzie musiała umrzeć. Bez sensu.

— Doktorze — powiedziała. — Wiem, o czym pan myśli. Odwrócił wzrok, ona jednak postąpiła jeden krok w jego kierunku i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Doktorze, wszyscy jesteśmy ludźmi. Zwyczajnymi ludźmi. Ja chcę tutaj zostać, taki jest mój wybór. Być może jednak pan pragnie opuścić to miasto. Doktorze, zapewniam pana, nie potrzebuje pan niczyjej aprobaty, aby to postanowienie wprowadzić w życie, a już z pewnością nie potrzebuje pan zgody z mojej strony.

Musi pan po prostu wyjść z tego szpitala i zrobić wszystko, żeby uciec z tego miasta.

— Mam córkę — powiedział drżącym głosem. Pielęgniarka uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Nie musi pan szukać żadnych wymówek. Ani wobec mnie, ani wobec kogokolwiek innego. Po prostu, niech pan stąd odejdzie, doktorze Petrie.

Leonard Petrie zagryzł wargi, odwrócił się i wolnym krokiem zaczął oddalać się od siostry. Na zawsze zapamiętał jej uśmiechniętą, rozumną, wyrażającą współczucie twarz. Pomyślał, że poświęcenie niektórych ludzi sprawia czasami, iż wszystko dookoła wydaje się bez sensu, małe, śmieszne i bez znaczenia.

Kiedy powrócił do gabinetu doktora Selmera, ten drzemał na kanapie. Adelaide siedziała na fotelu. Czytała jakiś medyczny magazyn i ziewała.

— Wyszedłeś tylko na chwilę — powiedziała z wyrzutem. Usiadł przy niej i przetarł oczy dłońmi.

— To była Margaret — powiedział zmęczonym głosem. — Umarła kilka minut temu.

Powoli Adelaide odłożyła magazyn na stolik.

— Margaret? — powtórzyła zaskoczona.

— Tak, ona nie żyje. Zmarła na czarną śmierć. Adelaide zacisnęła dłoń na ramieniu doktora Petrie.

— Ach, Leonardzie... Boże, tak mi przykro. Tak często źle o niej mówiliśmy, ale tego przecież jej nie życzyliśmy. Doktor Petrie ciężko westchnął.

— Cóż, nic już nie poradzimy. Zaraziła się i umarła. To, czego jej życzyliśmy, a czego nie, nie ma najmniejszego znaczenia.

— A co z Prickles? Czy też jest chora?

— Nie wiem. Margaret powiedziała, że nic jej nie jest. Zostawiła ją z kobietą, która mieszka w domu obok, kiedy zabierali ją do szpitala.

Adelaide zmarszczyła czoło. Odgadła, jak bardzo Leonard jest zaniepokojony. Poza tym był krańcowo zmęczony, a ostatnie czterdzieści osiem godzin jakby postarzyło go co najmniej o dwadzieścia lat. Teraz, zupełnie nagle, stanął w obliczu konieczności dokonania wyboru: czy ratować ukochaną córeczkę, czy też zamknąć oczy i serce na swe uczucia, na swoją miłość i pogrążyć się w medycznej batalii, o której przecież wiedział, że jest beznadziejna.

— Leonardzie — powiedziała łagodnie. — Wiem, że jesteś lekarzem i niezależnie od tego, czy masz możliwość wyleczyć tych wszystkich cierpiących ludzi, czy nie, musisz robić wszystko, co w twojej mocy, aby jak najmniej cierpieli.

Długo milczał, po czym odezwał się:

— Czy jest jeszcze kawa? Wciąż ścisnęła dłonią jego ramię.

— Leonardzie, jeżeli zechcesz zostać do końca w tym szpitalu, zrozumiem to i uszanuję. Jeżeli jednak zechcesz stąd pójść, zgodzę się z tym również. Po prostu chcę być tam, gdzie ty, zawsze z tobą.

Doktor Petrie pochylił się i ucałował jej policzek. Odwróciła głowę i pocałowała go w usta. Było w tym zarówno pożądanie, jak i głębokie porozumienie.



Porozumienie dotyczących się ust, języków... Zbędne były słowa.

Gdy oderwali się od siebie, doktor Petrie powiedział:

— Pewna siostra zaczepiła mnie na korytarzu i powiedziała, że władze chcą wkrótce spalić całe to miasto. Usłyszała to od strażaka.

— Co takiego? — Adelaide popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Po prostu nikt nie jest w stanie zapanować nad tą zarazą..

Dlatego miasto zostanie najprawdopodobniej spalone.

— Kto o tym zdecydował?

— Nie wiem. Może Firenza, może burmistrz, może władze federalne? Czy to ma znaczenie?

— Przecież to szaleństwo. Przecież nie są w stanie spalić całego Miami!

Doktor Petrie powstał.

— Są, kochanie, uwierz mi, że są i najprawdopodobniej to zrobią. Napijemy się jeszcze kawy? Adelaide podniosła się również.

— Pieprzyć kawę! — zawołała. — Nie zamierzam dać się usmażyć w tym mieście!

Uważasz, że będę tu spokojnie podawała ci kawę, gdy tymczasem jacyś szaleńcy przygotowują się, żeby nas podpalić? Czy straciłeś rozum?

Doktor Petrie złapał ją za ramiona i potrząsnął nią.

— Nie wpadaj w panikę, Adelaide, na miłość boską. Być może istnieje plan spalenia miasta, ale jest to zaledwie jedno z wielu rozwiązań. Czy nie wiesz o tym, że w wypadku chorób

zakaźnych pali się ciała, ubrania, rzeczy osobiste, po to, żeby jak najskuteczniej powstrzymać ich rozwój? Pomyśl, przecież nie znamy kompletnego obrazu sytuacji. Nie wiemy w tej chwili, jak wiele ofiar pochłonęła zaraza, nie wiemy nawet, czy wciąż się rozszerza, czy już nie! Adelaide spojrzała mu prosto w oczy.

— Leonardzie — powiedziała — nic mnie to nie obchodzi. Uważam, że powinniśmy wyrwać się z tego piekła, zanim ktoś nam to uniemożliwi.

— Nawet, jeżeli zadecyduję, że zostajemy?

— Nie możesz podjąć takiej decyzji! Doktor Petrie odwrócił się.

— Ta pielęgniarka... Ta, która powiedziała mi, że władze chcą podpalić Miami, postanowiła tutaj zostać. Zdecydowała do końca opiekować się pacjentami.

— Bo to jej szpital — powiedziała Adelaide. — To jej praca, jej zawód. Musi tutaj pozostać. A ty... Pomyśl o Pric—kles. Chcesz pozostawić ją na pastwę losu? Czy nie będziesz przez cały czas zastanawiał się, czy jest zdrowa, czy właśnie płonie, albo czy nie gwałci jej akurat jakiś zboczeniec...

— Adelaide!

— Na miłość boską, Leonardzie, to nie jest właściwa chwila na zgrywanie bohatera! Ludzie w tym szpitalu nie potrzebują cię! Przecież wszyscy i tak umrą, czy nie mam racji? Po co miałbyś tutaj zostawać, Leonardzie!

W bezsilnej wściekłości doktor Petrie zacisnął dłonie w pięści. Spojrzał na Adelaide: jej brązowe oczy skrzyły, jej twarz,

częściowo przykryta przez ciemne, kręcone włosy, teraz, gdy denerwowała się, była jeszcze piękniejsza niż zwykle.

— Po to... — zaczął niepewnie — po to, żeby...

— No, widzisz, sam nie wiesz po co! — przerwała mu Adelaide gwałtownie. — Nie jesteś w stanie nikogo wyleczyć, czego więc tutaj szukasz? Czy zależy ci na tym, żeby ostatnią rzeczą, jaką ci biedacy będą oglądać, była twoja twarz, pełna współczucia? Leonardzie, na miłość boską, nie jesteś Albertem Schweitzerem!

Doktor Petrie zamierzał jej odpowiedzieć, ale zmienił zdanie.

— Nie, kochanie — rzekł po prostu. — Nie jestem Albertem Schweitzerem.

— A więc chodźmy stąd — zażądała Adelaide. — Uciekajmy stąd, dopóki jeszcze możemy. Doktor Petrie pokiwał głową.

— I tak zamierzałem stąd pójść. Chyba potrzebowałem kogoś, kto utwierdziłby mnie w tym zamiarze. Cóż, nie czuję się zbyt dumny z siebie.

Adelaide westchnęła.

— Leonardzie, to nie jest kwestia dumy. To kwestia przeżycia.

Doktor Petrie ciężko opadł na fotel i pogrążył twarz w dłoniach.

— Wcale nie musisz szukać usprawiedliwienia dla tego, co robisz. — Adelaide uklękła przed nim i oderwała jego dłonie od twarzy. — Niby po co? Tak jest ze wszystkim. Dlaczego kochamy się? Dlaczego chcę być z tobą? Czy to trzeba usprawiedliwiać, czy trzeba szukać racjonalnych przyczyn?

W tym momencie Anton Selmer, wciąż śpiący na sofie, odchrząknął i zaczął coś mruzczyć przez sen. Doktor Petrie

delikatnie odsunął dłonie Adelaide, podszedł i przystanął nad nim. Twarz doktora była blada i spocona. Dotknął jego przegubu i zmierzył mu puls.

— Czy z nim wszystko w porządku? — zapytała Adelaide.

— Myślę, że tak — odparł doktor Petrie po chwili. Jest jednak kompletnie wycieńczony. Potrzeba mu wielu godzin snu.

— Czy obudzisz go i powiesz mu, że opuszczamy szpital?

— Spróbuję.

Doktor Petrie potrząsnął ramieniem przyjaciela. Śpiący lekarz oblizwał wargi i drgnął. Doktor Petrie potrząsnął nim jeszcze raz.

— Anton, obudź się. To ja, Leonard.

Wreszcie, po długiej chwili, Anton Selmer otworzył oczy. Były przekrwione, czerwone ze zmęczenia. Obudziwszy się, doktor Selmer nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje.

— Leonardzie... co się dzieje? Właśnie śniłem, że gramy w golfa.

— Czy wygrywałem?

— Chciałbyś, cholera. Nic z tego, ja byłem górą. Co się dzieje?

— Podjęliśmy właśnie decyzję, Adelaide i ja — powiedział niechętnie doktor Petrie.

— Wyjeżdżamy z tego szpitala — dodała Adelaide.

— Wyjeżdżacie? — zawołał doktor Selmer i natychmiast wstał. — Nie rozumiem.

Doktor Petrie rozumiał.

— Spróbujemy uciec z tego miasta. Chcę uratować Pric—kles, a potem być może razem z Adelaide przedrzemy się przez

kordon i znajdziemy jakieś ciche miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć, aż to wszystko się skończy.

— A jeżeli przeniesiecie zarazę poza Miami? Chryste, Leonardzie, pomyśl tylko, ta zaraza zagraża całym Stanom Zjednoczonym.

— Dlatego, żeby tego uniknąć, poszukamy odludnego miejsca. Będę w stanie w odpowiedniej chwili stwierdzić, czy jesteśmy chorzy czy zdrowi.

— Gwardia Narodowa was zabije! Widziałeś, co przydarzyło się temu chłopakowi?

— Mała jest szansa, że unikniemy śmierci, jeżeli zostaniemy tutaj. Jaka jest więc różnica? Krążą pogłoski, że całe miasto ma zostać spalone.

Doktor Selmer potrząsnął głową.

— Nie wiem, co powiedzieć. Jestem lekarzem i ty też nim jesteś. Czy uważasz, że mamy prawo pozostawić ten szpital swojemu losowi?

Doktor Petrie nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu nie znał odpowiedzi. Wiedział tylko, że instynkt, cała jego osobowość kieruje go ku ucieczce stąd, ucieczce, która dawała jedyną możliwość przetrwania zarazy. Oczywiście, nie miał wątpliwości, że jako lekarz do końca odpowiedzialny jest za los pacjentów, jednak nie mając nadziei na poprawienie ich beznadziejnej sytuacji, nie był w stanie zaakceptować tego, że powinien zginąć razem z nimi.

Byli przecież niczym ćmy, jedna po drugiej rozbijające się o maskę samochodu pędzącego przez mrok.

— Anton, to, co chcę zrobić, to nie jest ucieczka. Odejdę, bo nie wierzę, że pozostawanie tutaj choćby o minutę dłużej, ma jakikolwiek sens. Nie robimy już tutaj niczego dobrego. Wręcz przeciwnie, szkodzimy sami sobie.

Doktor Selmer zamyślił się.

— Cóż — westchnął po chwili. — Nie potrafię was tutaj zatrzymać. Nie powiem jednak, że nie jestem rozczarowany.

— Czy poszedłbyś z nami?

Doktor Selmer przecząco potrząsnął głową.

— Nie, Leonardzie, ja tutaj pracuję i zostanę tutaj do końca. A przynajmniej tak długo, jak będzie trzeba. Jestem rozczarowany tobą Leonardzie, niemniej życzę wam obojgu powodzenia.

Doktor Petrie popatrzył na zegarek. Była jedenasta czterdzieści siedem; do północy brakowało trzynastu minut.

— Dziękuję ci, Anton — powiedział cicho. — Uczyń mi jeszcze jedną przysługę, dobrze?

— Jeżeli obiecasz mi, że w moim śnie nadal będziesz grał tak fatalnie, jak do tej pory, zrobię dla ciebie, cokolwiek zechcesz.

— Po prostu uważaj na siebie. Chciałbym, żebyśmy obaj, kiedy ten koszmar się skończy, spotkali się ponownie, razem się upili i wyrzucili z pamięci na zawsze to wszystko, co nas teraz spotyka.

Doktor Selmer podrapał się po szyi.

— Umowa stoi. Leonardzie.

Obaj mężczyźni uściskali się serdecznie, po czym doktor Petrie otoczył Adelaide ramieniem i wyprowadził ją na korytarz. Zamykając drzwi, usłyszał jeszcze, jak doktor Selmer woła za nim:

— Leonardzie, uważaj na siebie! Odwrócił się, skinął głową i po raz ostatni zamknął za sobą drzwi gabinetu doktora Selmera.

Szli przed siebie zatłoczonym szpitalnym korytarzem tak szybko, jak tylko byli w stanie. Adełaide przyciskała do twarzy czystą chusteczkę, a doktor Petrie uważał, aby nie zbliżać się do najczęściej chorych ludzi. Zewsząd dobiegały do nich szepty i przyciszone rozmowy, co chwilę przerywane głośnymi okrzykami bólu i złości. Ludzie leżeli i siedzieli dosłownie wszędzie; niezdolni do tego, by się poruszać, lub nie panujący nad swoimi odruchami, umierali gdzie popadnie i w każdej pozycji. Odór martwych ciał był wprost niemożliwy do zniesienia.

Dwóch pacjentów, najwyraźniej umierających, obserwowało lekarza, który — sam w ostatnim stadium choroby — usiłował im jeszcze zrobić zastrzyk ze środków znieczulających. W miarę gdy Adełaide i doktor Petrie zbliżali się do drzwi wejściowych, coraz wyraźniej docierały do nich bezustannie wyjące syreny ambulansów.

Wreszcie wyszli na zewnątrz i znaleźli się na nieoświetlonym szpitalnym dziedzińcu. Noc była bardzo ciepła. Pod szpital wciąż podjeżdżały karetki z chorymi, jednak niemal z każdą minutą ruch tutaj coraz bardziej malał. Samochód doktora Petriego znajdował się wciąż pod domem Margaret, chociaż przez ten czas zapewne już ktoś go ukradł, rozebrał na części albo po prostu zniszczył dla zabawy. Jednak przed budynkiem szpitala znajdował się potężny parking, pełen

samochodów należących do pacjentów i personelu. Wystarczyło odnaleźć taki, w którym tkwiły kluczyki.

— Mój Boże, jest coraz gorzej.

— Popatrz, Leonardzie, zwłoki leżą nawet przy wejściu do szpitala.

Doktor Petrie ujął ją pod rękę.

— Nie przejmuj się tym. Musimy jak najszybciej opuścić to miejsce.

Pół szli, a pół biegli, zmierzając w kierunku szpitalnego parkingu. Był pogrążony w mroku, odgradzony od świateł ulicy czternastopiętrową bryłą szpitala.

— Posłuchaj, Adełaide — powiedział doktor Petrie. — Sprawdź pierwszy rząd samochodów, ja zajmę się drugim. Szarp za drzwiczki kierowcy i sprawdzaj, czy są otwarte. Następnie szukaj kluczyków w stacyjkach.

Tak cicho i ostrożnie, jak tylko potrafili, ruszyli wzdłuż rzędów samochodów.

Szarpnąwszy za kolejne, dwunaste już drzwiczki, znów zamknięte, doktor Petrie pomyślał, że parkują tutaj akurat wyjątkowo ostrożni ludzie. W tej samej jednak chwili usłyszał szept Adełaide:

— Mam!

Otworzyła drzwiczki brązowego grań torino. Doktor Petrie szybkim krokiem ruszył w jej kierunku. Niespodziewanie, gdy brakowało mu już tylko kilku kroków do samochodu, usłyszał za sobą groźny okrzyk:

— Stój! Ręce do góry!



Zamarł, z rękami uniesionymi do góry. Spomiędzy pogrążonych w mroku samochodów wynurzyła się potężna sylwetka człowieka, zmierzającego w jego kierunku. Wkrótce doktor Petrie ujrzał strażnika w średnim wieku, ubranego w niebieski mundur, o zaciętym wyrazie twarzy i z rewolwerem w dłoni.

— Jestem lekarzem — powiedział doktor Petrie. Strażnik zbliżył się jeszcze bardziej i oświetlił latarką jego twarz.

— To dlaczego chce pan ukraść samochód?

— Bo ktoś ukradł mój. Spieszę się do chorego.

— Ma pan jakieś dokumenty?

W kieszeni koszuli. Zaraz je panu pokażę.

— Ani się waż poruszyć.

Strażnik sięgnął do kieszeni doktora Petriego i spróbował jedną ręką otworzyć portfel z dokumentami. Czynił to tak niezdarnie, że w pewnej chwili doktor Petrie rzucił się, aby odebrać mu rewolwer.

Zwarli się i obaj upadli na beton, strażnik jednak nie puścił broni. Doktor Petrie przycisnął dłoń z rewolwerem do ziemi i kilka razy mocno nią szarpnął. To wystarczyło. Strażnik rozkurczył palce i doktor wyrwał mu broń. Natychmiast wstał i odskoczył kilka kroków.

— Nie strzelaj — krzyknął strażnik. Uniósł ręce do góry.

— Mam żonę, inwalidkę.

— Nic ci nie zrobię, ty głupcze — odparł doktor Petrie.

— Wstawaj stąd i spieprzaj, dokąd cię oczy poniosą. Strażnik powstał i otrzepał brud z munduru.

— Daleko nie uciekniecie, wiecie o tym dobrze — powiedział, przezornie cofając się. — Pełno policjantów krąży po mieście, wyłapując takich opryszków jak wy.

Wystarczy, że zadzwonię i podam im wasz numer rejestracyjny, a oni już zrobią swoje.

Doktor Petrie uniósł broń w jego kierunku.

— Hej, człowieku, ja żartowałem! — krzyknął strażnik. — Zabierajcie to auto i jedźcie sobie, dokąd chcecie.

Adelaide przypatrywała się tej scenie z odległości kilku kroków, przytrzymując otwarte drzwiczki grań torino. Doktor Petrie popatrzył w jej kierunku; nie dojrzał jej oczu, a jedynie ciemne kędziory włosów. Strażnik oddalał się od nich coraz bardziej, idąc tyłem, z rękami wciąż uniesionymi wysoko nad głową.

Nie myśląc, nie zastanawiając się nad tym, co robi, doktor Petrie dwukrotnie wypalił z rewolweru w powietrze. Strażnik wrzasnął, niczym zarzynany pies, po czym gwałtownie odwrócił się i pognał przed siebie przez ciemny parking.

— Mogłeś go zabić! — zawołała Adelaide.

— Nic z tych rzeczy. Celowałem w górę.

W milczeniu wyprowadzili samochód z parkingu, po czym ruszyli ulicami, po których szalała zaraza.

Adelaide włączyła radio. Minęła właśnie północ i rozpoczęła się środa. To, co usłyszeli w radiowych wiadomościach, bardzo różniło się od tego, co widzieli, mijając kolejne ulice ciemnego, opustoszałego, ponurego Miami.

Spokojnym, chłodnym głosem, burmistrz, John Becker zapewniał wszystkich mieszkańców Miami, Florydy i całych

Stanów Zjednoczonych, że utrudnienia w komunikacji pomiędzy Miami a światem zewnętrzym są “wyłącznie czasowe, wynikają z przyczyn technicznych i służą najlepiej rozumianym interesom wszystkich ludzi”.

Doktor Petrie popatrzył na Adelaide i uśmiechnął się nieznacznie. Odpowiedziała mu podobnym, słabym uśmiechem.

Tymczasem burmistrz kontynuował:

“Epidemia, której przyczyny przez cały czas są bardzo szczegółowo badane, okazuje się odrobinę trudniejsza do opanowania, niż nam się to początkowo wydawało. W związku z tym, dla ochrony mieszkańców Miami i gości przebywających tutaj na wypoczynku, postanowiliśmy znacznie ograniczyć ruch na autostradach prowadzących do i z miasta. Pragnę jednak was zapewnić, że nie ma najmniejszych powodów do obaw, pod warunkiem, że wszyscy państwo podporządkują się wymogom tej szczególnej sytuacji i zdecydują się nie opuszczać swoich domów, jeżeli nie będzie to absolutnie niezbędne”.

Akurat, gdy burmistrz mówił te słowa, niespodziewanie rzadkie lampy uliczne, utrzymujące dotąd słaby półmrok w mieście, zaczęły gasnąć. I tak większość budynków publicznych, biurowców i sklepów pogrążona była już w ciemnościach; teraz zgasło wszelkie światło. Niczym gwiazdy zamazane przez gęste chmury, zniknęły nagle wszystkie jasne punkciki. Zapadł mrok, który sprawił, że całe miasto stało się w jednej chwili ciemną, przerażającą prymitywną dżunglą z betonu.

— To chyba elektrownia zakończyła działalność — stwierdził lakonicznie doktor Petrie. — I ich dopadła zaraza.

Włączył światła drogowe. Ciemne ulice sprawiały niesamowite wrażenie. Wiele szyb wystawowych było powybijanych, na chodnikach i na jezdniach wałały się śmieci i te towary, które w pośpiechu pogubili rabusie plądrujący sklepy. Mimo ostrzeżeń, że policja bez wahania używać będzie broni palnej, bandyci “pracowali” bez chwili wytchnienia. Kiedy samochód skręcił w 95 Ulicę, doktor Petrie i Adelaide zobaczyli grupę czarnych chłopaków, biegnących pod ścianami domów. Taszczyli telewizor, wieżę hi—fi i mnóstwo płyt i kaset.

Co jakiś czas ulice zablokowane były przez samochody. Ich kierowcy — martwi — w wielu przypadkach wciąż tkwili na swoich miejscach. W kilku punktach Miami wybuchły pożary, stwarzając atmosferę niesamowitości w głębokim mroku miasta.

Dziwaczne wrażenie sprawiały niektóre oświetlone budynki, posiadające własne awaryjne generatory. Całe miasto rozbrzmiewało nieustannym zawodzeniem syren, suchymi trzaskami pojedynczych strzałów, echem kroków ludzi pojedynczych biegających po pustych ulicach.

W ciągu zaledwie czterech dni, jakie minęły od pierwszych sygnałów o zarazie, w Miami rozpętało się pandemonium. Tak powinno wyglądać piekło, z płomieniami strzelającymi wysoko w górę i demonicznymi cieniami na ścianach budynków. Nad tym wszystkim przerażająco wyły policyjne syreny, rozlegały się odgłosy strzałów, dźwięki tłuczonego szkła, samochodowych klaksonów—naciskanych przede wszystkim przez martwe ciała oparte na kierownicach.

Doktor Petrie zwolnił na moment i otworzył boczną szybę. Nasłuchiwał odgłosów miasta z zimnym niedowierzaniem.

— To wygląda jak koniec świata — wyszeptała Adelaide. — Mój Boże, Leonardzie, to jest naprawdę koniec świata.

Odór i nieludzkie odgłosy umierającego miasta bardzo szybko wypełniły samochód.

Wreszcie doktor Petrie postanowił zasunąć szybę. Czuł się krańcowo zmęczony i zrezygnowany. To, co zobaczył, zmuszało do postawienia sobie pytania o sens dalszego bytowania. Z trudem skupiał wzrok na drodze i z trudem usiłował jechać dalej przed siebie. Kołami rozjeżdżał różne przedmioty porozrzucane na jezdni. Kilkakrotnie najechał na ludzkie zwłoki.

Byli prawie przy Gratigny Drive, kiedy musiał zatrzymać auto. Droga zablokowana była przez dwa inne płonące samochody. Jeden z nich, riviera, dopalał się już i właściwie tylko dymił, natomiast biały cadillac strzelał płomieniami wysoko w niebo.

Doktor Petrie otworzył drzwiczki i wysiadł. Na zewnątrz było gorąco, unosił się ciężki, gęsty dym. Osłaniając oczy, podszedł do wraków najbliższej, jak tylko mógł, i z przerażeniem zobaczył, że w cadillacu wciąż siedzi żywa kobieta. Już paliły się jej włosy, jednak otwartą dłonią wciąż osłaniała twarz przed ogniem.

W niemym krzyku otwierała usta. Bezskutecznie, bo na ratunek dla niej było już za późno. Doktor Petrie poczuł, że za chwilę zwymiotuje. Odwrócił wzrok.

— Co się dzieje? — zawołała Adelaide. — Czy nie możemy przejechać?

— Zostań w środku! — krzyknął do niej doktor Petrie. — Proszę cię, zostań w środku!

Wydobył z kieszeni rewolwer, który zabrał strażnikowi, wyciągnął go przed siebie, trzymając w obu dłoniach i modląc się, aby teraz nie spudłować. Strzelił

do walczącej z płomieniami kobiety. Trafił w głowę. Kobieta wstrząsnęła i w tej samej chwili była już martwa. Nie miało to znaczenia dla ognia, który nadal, z taką samą intensywnością, trawił ciało.

Doktor Petrie powrócił do grań torino.

— Czy tam w środku ktoś był? — zapytała Adelaide cicho.

Skinął głową i położył rewolwer obok siebie. Z jakiejś przyczyny zabicie tej kobiety odmieniło go; nagle stał się spokojny, chłodny, zaczął racjonalnie myśleć. Być może dlatego, że wreszcie, po raz pierwszy od poniedziałkowego poranka, kiedy obudził go pan Kelly, był w stanie uczynić coś pozytywnego.

Kochanie powiedział — musimy przedrzeć się pomiędzy tymi wrakami. — Odwrócił się i popatrzył na Adelaide. — Twoja rola będzie polegała tylko na jednym. Trzymaj się mocno.

Cofnął samochód o jakieś trzydzieści do czterdziestu jardów. Spojrzał na płonące wraki i oblizał wyschnięte wargi. Następnie wrzucił drugi bieg i nacisnął na pedał gazu. Torino ruszył powoli, lecz z każdą chwilą nabierał coraz większej prędkości; mknął prosto na płonące wraki.

W momencie uderzenia nastąpił potworny huk i przez moment wydawało się, że torino przewróci się albo po prostu zatrzyma na płonącej barykadzie. Wypalona riviera okazała się

jednak lżejsza, niż to się mogło wydawać i po chwili, przejechawszy po rozbitym szkle, samochód znów mknął na północ.

— Czy nic ci się nie stało? — zapytał doktor Petrie. Adelaide odgarnęła włosy z czoła.

— Zdaje się, że uderzyłam się w kolano, kiedy trzasnęliśmy w te samochody, ale poza tym wszystko u mnie w porządku. Doktor Petrie popatrzył na zegarek.

— Za jakieś dwie lub trzy minuty będziemy na miejscu. Potem nie pozostanie nam już nic innego, jak tylko uciekać z tego przeklętego miasta.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym odezwała się Adelaide:

— Czy to był mężczyzna czy kobieta? Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Jaka kobieta? Jaki mężczyzna?

— W tym płonącym samochodzie. Po prostu zastanawiałam się.

Doktor Petrie musiał nagle szarpnąć kierownicą, aby uniknąć zderzenia z nie oświetlonym, porzuconym samochodem policyjnym.

— Kobieta — rzucił głucho. — Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie wiem. Widzisz, odniosłam wrażenie, że musiałeś kogoś zabić.

Popatrzył na nią.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Pomyślałam o tym już wtedy, kiedy strzelałeś nad głową tego strażnika. Miałeś taką zaciętą twarz, a biedak był przecież

Bogu ducha winien. Wykonywał tylko swoje obowiązki. Pomyślałam, że z trudem powstrzymujesz się, żeby nie położyć go trupem.

Miała rację, jednak doktor Petrie nie zamierzał teraz analizować swoich reakcji, swojego stanu ducha. Wszystko, co robił, miało teraz związek z jego bezsilnością jako lekarza. Gwałt, który musiał zadać, miał być protestem przeciwko jego niemocy, przeciwko straszliwej, nie do opanowania epidemii, ogarniającej miasto.

— Nie jestem pewien, ale chyba nie masz racji — powiedział.  
— Myślę, że jestem po prostu zmęczony i sfrustrowany.

W milczeniu już dojechali przez ciemne przedmieścia North Miami Beach do byłego domu doktora Petrie. Doktor zatrzymał grań torino przy krawężniku i wysiadł.

Razem z Adelaide ruszył w kierunku drzwi domu sąsiadów. Był to różowy budynek, zaprojektowany na wzór małego rancha w hiszpańskim stylu. Jego nazwa, wypisana nad drzwiami, brzmiała “El Hensch”, a zamieszkiwali go państwo Henschelowie.

Przez okno można było dojrzeć małą lampkę naftową palącą się w salonie, co dowodziło, że są na miejscu. Nacisnął na dzwonek i pozytywka zagrała melodyjną piosenkę The Yellow Rose of Texas.

Otworzyły się drzwi z nieprzejrystego szkła i doktor Petrie zobaczył czyjeś oko ukryte za soczewką okularów oraz lufę rewolweru, kaliber 38.

— Kto to? — zapytał David Henschel. — Lepiej spieprzaj stąd, człowieku, zanim zrobię dziurę w twoim brzuchu.



— Panie Henschel — powiedział doktor Petrie. — To ja, Leonard. Byłem kiedyś pana sąsiadem, pamięta mnie pan? Przyjechałem po Prickles.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał głos Glorii Henschel:

— Davidzie, otwórz, do cholery, te drzwi, dobrze? To doktor Petrie. Widziałam go przez okno z góry.

Doktor Petrie usłyszał szcęk łańcucha i drzwi do domu stanęły otworem. Ujął Adelaide pod rękę i oboje weszli do środka. Pan Henschel, gruby mężczyzna około pięćdziesiątki, otworzył przed nimi również drzwi do salonu.

Na jednym ze stolików stała lampka naftowa. Jej słaby płomień sprawiał, że w wielkim pokoju można było się czuć niczym w wielkiej, ciemnej grocie. Prickles leżała na szerokiej kanapie, długie, złote włosy związane miała z tyłu różową kokardą. Tuliła do siebie zniszczonego pluszowego misia. Ubrana była w czerwoną sukienkę. Na lewej nóżce miała czerwony bambosz. Drugi zsunął się na podłogę.

Doktor Petrie uklęknął przy niej, bardzo cicho, ostrożnie, i obserwował śpiące dziecko. Policzki dziewczynki były czerwone, jednak nic nie wskazywało na to, że zaraza i ją dopadła. Opuszką palca czule przebiegł po jej czole i nosku.

Adelaide przystanęła za nim i położyła mu swoje dłoń na ramieniu.

Uniósł wzrok.

— Jest piękna, prawda? — zapytał, kiwając głową; dumny, zadowolony ojciec, który nie może uwierzyć, że jego szczęście jest prawdziwe.

W salonie zjawiała się pani Henschel. Ubrana była w jasnoskrawożółty porannik, a na głowie miała różową siateczkę. Przypominała wielkiego kanarka.

— Doktorze Petrie — zaczęła utyskiwać. — Tak dawno pana nie widziałam. Czy zostanie pan u nas troszkę dłużej? Zawsze jest pan tu mile widzianym gościem.

Doktor Petrie popatrzył na zegarek. Była dwunasta trzydzieści pięć w nocy.

— Przykro mi, Glorio — powiedział — przyjechałem jednak jedynie po Prickles i zaraz muszę ruszać w dalszą drogę. Pan Henschel zmarszczył czoło.

— W dalszą drogę? Czyżby chciał pan opuścić miasto?

— Jasne. Nawet nie macie pojęcia, jak źle dzieje się dookoła.

— Jak źle?

Doktor Petrie poczuł się tak, jak podróżujący w czasie wędrowiec, który nagle powraca do przeszłości.

— Zaraza. Epidemia. Ginie całe Miami. Pan Henschel spojrzał na niego podejrzliwie.

— Zaraza? — zdziwił się. — Mówi pan o tej chorobie? Słyszałem w telewizji, że panuje jakaś grypa i że czterdzieści czy pięćdziesiąt osób zmarło, ale nic ponadto. Oboje z Glorią nie wychodziliśmy dzisiaj z domu; mam akurat wolny tydzień.

— Nic więcej nie mówią w telewizji? — zapytała Adelaide. — Tylko o czterdziestu lub pięćdziesięciu umarłych?

— Właśnie. Twierdzą, że nie ma żadnych powodów, żeby się niepokoić.

Doktor Petrie usiadł na skraju kanapy, na której spała Prickles.

— Powiem wam, jak tragiczna jest sytuacja — oznajmił. — Od tej “grypy”, jak twierdzą władze, przed dwiema godzinami zmarła Margaret. Jest ona tylko jedną z tysięcy ofiar. Mamy do czynienia z dżumą.

Podczas gdy Henschlowie stali w bezruchu, nie dowierzając, z szeroko otwartymi ustami i oczyma, wyjaśnił im szybko, co się dzieje i jak mało czasu potrzeba, żeby czarna śmierć zniszczyła Miami całkowicie i na zawsze.

Mówiąc, widział desperację i przerażenie malujące się na ich twarzach.

Zrozumiał, dlaczego nikt w Waszyngtonie ani w ratuszu miejskim nie uznał za stosowne pionformować ludzi o nieuchronnej zagładzie.

— Pójdę po moją strzelbę — powiedział David Henschel po długim milczeniu, jakie nastąpiło po pełnej grozy opowieści doktora Petriego. — Zabiorę strzelbę i przebiję się przez kordon. Spróbuję wydostać się z tego miasta, nawet gdybym miał po drodze umrzeć.

— Panie Henschel — odezwał się doktor Petrie, gdy stary człowiek ruszył ku drzwiom.

— Słucham?

— Najprawdopodobniej tak będzie.

— Co takiego?

— Zginie pan, próbując wydostać się z miasta.

Stary Henschel przypatrywał mu się przez chwilę bezmyślnym spojrzeniem, po czym bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł po strzelbę.

## ROZDZIAŁ 4

Kenneth Garunisch ciężko padł na wielki, wygodny kolonialny fotel, po czym pociągnął spory łyk zimnego jak lód piwa. Poluźniwszy krawat, oparł stopy na stoliku do kawy. To była ciężka noc i czuł się zupełnie wykończony.

Usłyszał odgłos wody spuszczonej w ubikacji i po chwili przyłączył się do niego Dick Bortolotti, wycierający dłonie w ręcznik.

— Znajdzie się dla mnie jeszcze jedno piwo? — zapytał.

— Jest chyba jeszcze jeden sześciopak w lodówce — mruknął Garunisch. — Poczęstuj się. A jeśli chodzi o śniadanie... Chyba nie byłbym w stanie teraz nic przełknąć.

— Która godzina?

Garunisch popatrzył na zegarek.

— Piąta czterdzieści dwie — odparł.

Po chwili Bortolotti powrócił z kuchni z piwem i usiadł w drugim fotelu. Na stoliku rozpostarta była duża mapa Florydy i Georgii. Kilkanaście punktów było na niej zaznaczonych czerwonym markerem. Podczas minionej nocy Garunisch, obok rządu federalnego i Państwowej Służby Epidemiologicznej, stał się jednym z najlepiej poinformowanych ludzi na temat rozprzestrzeniającej się zarazy. Członkowie jego związku w szpitalach wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża przekazywali mu informacje o nagłych przypadkach śmiertelnej i nieuleczalnej choroby i mimo że nie wiedział jeszcze, że

Gwardia Narodowa kompletnie odcięła Miami od świata, znał tragedię tamtejszych szpitali, które absolutnie nie panują nad sytuacją.

— Co podają dzienniki telewizyjne? — zapytał Bortolotti.

— Ciągłe powtarzają, że chodzi o “świńską grypę”, “hiszpańską grypę”, czy jaką tam grypę jeszcze wymyślą. Z komunikatu na komunikat jednak poważnieją. W końcu ktoś będzie musiał pierwszy powiedzieć prawdę.

— Czy dotarłeś do tego swojego człowieka w “The Daily News”?

— Przed chwilą odłożyłem słuchawkę. Chłopak twierdzi, że w tej sprawie panuje struprocentowe porozumienie i współpraca pomiędzy rządem federalnym a dziennikarzami. Chociaż nie ma takiej harmonii, na jaką mogłoby wyglądać na pierwszy rzut oka. Zdaje się, że ubito jakiś interes. W zamian za współpracę w sprawie tej zarazy Biały Dom ma podobno udostępnić dziennikarzom jakieś informacje na temat tajnych wydatków administracji.

Dick Bortolotti przełknął odrobinę piwa i uśmiechnął się krzywo.

— Oto polityka, jaką kocham.

Kenneth Garunisch otworzył pudełko z papierosami i wyciągnął jednego.

— Nic się nie przejmuj, stary. Najważniejsi w tym wszystkim są członkowie związku. Nie może stać się im żadna krzywda. Poza tym sytuację można wykorzystać z myślą o przyszłości. Na przykład ustalimy skalę wzrostu wynagrodzeń we wszelkich sytuacjach nadzwyczajnych, gdy moi ludzie muszą ryzykować

życiem, aby ratować zagrożonych lub chorych ludzi. Cóż zła to choroba, która nikomu nie przynosi korzyści.

— Żartujesz?

Garunisch wydmuchnął spory kłęb dymu i pokiwał głową.

— Żartuję, kiedy zgrywam się, że cała ta zafajdana sprawa nie spędza mi snu z powiek, bo, cholera, denerwuję się jak wszyscy diabli. Nie mam prawa się jednak rozczulać. Muszę działać zdecydowanie. Jeżeli z tej sytuacji nie wyciągnę korzyści dla moich ludzi, to nie nadaję się na ich przywódcę. Poza tym muszę działać szybko. Popatrz na tę mapę.

Dick Bortolotti pochylił się do przodu.

— Ta cholerna zaraza rozłazi się jak gówno pod podszwą — kontynuował Garunisch.

— Popatrz, pierwszy przypadek choroby zanotowano tutaj, w Miami, w piątek. We wtorek po południu martwych liczono już w setki. We wtorek wieczorem nikt już nie liczył trupów, bo niemożliwe było jakiegokolwiek oszacowanie ich liczby.

Ostatnia informacja, jaką otrzymałem, jest z czwartej nad ranem: ulice Miami są po prostu zawałone trupami. Nie ma już tam żadnej władzy, żadnej policji, żadnego porządku, niczego.

— Czy jacyś nasi ludzie ze szpitali pozostali jeszcze przy życiu?

Garunisch wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Kazałem Evansowi, żeby zadzwonił do Grabowskiego, jednak jego domowy telefon nie odpowiada, a o dodzwonieniu się do szpitala można tylko pomarzyć. Jeśli zapytasz mnie o osobistą opinię, Dick, powiem ci, że ta cholerna epidemia jest o wiele poważniejsza, niż ktokolwiek jest w stanie

to sobie wyobrazić. Popatrz, mieliśmy już informacje o zachorowaniach w Bahia Honda i tutaj, w Fort Lauderdale, i tutaj, w Fort Pierce. Jakies piętnaście minut temu miałem telefon, że przywieziono kogoś do szpitala w Jacksonville; objawy podobne do tych, jakie zaobserwowano w pozostałych miejscach.

— No i co?

— I pstro — odparł Garunisch opryskliwie, ocierając usta wierzchem dłoni. — Z Miami do Jacksonville jest mniej więcej trzysta mil. Dzielę trzysta mil na cztery dni i z prostej matematyki wychodzi mi wniosek, że zaraza posuwa się wzdłuż Wschodniego Wybrzeża z przeciętną prędkością siedemdziesięciu pięciu mil na dobę, a może jeszcze szybciej. A kolejny wniosek jest taki, że jeśli nikt tego marszu nie zahamuje — a nie zanosi się na to — wkrótce dotrze ona i tutaj.

— Tutaj? — Bortolotti zmarszczył czoło i tępo wpatrywał się w mapę.

— Tutaj, ty głupcze — warknął Garunisch. — Tutaj, do Nowego Jorku. Ludzie padają jak muchy na ulicach Miami! Pomyśl sobie tylko przez chwilę, co będzie, jeżeli taka apokalipsa wydarzy się w Nowym Jorku?

Bortolotti zamrugał oczyma.

— Jezu, Chryste — jęknął. — Masakra. Prawdziwa masakra. Pożary, kradzieże, gwałty, morderstwa...

— Zgadłeś wreszcie. — Garunisch podniósł się i podszedł do okna. Popatrzył w kierunku East River. Właśnie świtało. Odsunął ozdobne firanki i odwrócił się.

— Tak, zgadłeś — powtórzył. — A czy wiesz, kto zginie pierwszy? Ci, którzy z racji swych obowiązków będą starali się ratować innych ludzi! Członkowie Związku Zawodowego Personelu Szpitali, nasi ludzie! A co na to rząd, co oni w tej chwili robią, żeby tym ludziom pomóc, w jaki sposób chcą im to wynagrodzić, a jeśli nie im, to osieroconym rodzinom?

— Rząd pieprzy to wszystko — stwierdził Bortolotti z powagą.

— Właśnie, ma nas głęboko w dupie. Im nic się nie stanie, mają kryjówki, bunkry, schrony, prywatnych lekarzy... Cholera jasna!

W nagłym przypływie złości Garunisch rzucił do połowy pełną puszką piwa przez salon. Z trzaskiem uderzyła w ścianę i potoczyła się pod kanapę.

— Cholera jasna, dosyc tego! Pieprzony rząd tego kraju używa członków mojego związku jak niewolników, nie troszcząc się o ich zdrowie i życie. To się musi skończyć!

Dick Bortolotti odchrząknął.

— Co zamierzasz, Ken? — zapytał.

— Chcę, żeby natychmiast zjawili się tutaj wszyscy nasi prawnicy. Do roboty, Dick, powyciągaj ich z łóżek, jeżeli będziesz musiał. Chcę też, żeby przyjechał tutaj Edgar Chol—nik. Rząd może sobie zmuszać do milczenia dziennikarzy, ale ze mną ten numer nie przejdzie. Dopóki nie uzyskamy zapewnień, że zdrowie moich ludzi będzie chronione i że za swoją pracę otrzymają odpowiednią zapłatę, musimy i straszyć, i grozić tym dupkom.

Dick Bortolotti odstawił puszkę z piwem.



— Ken — powiedział niepewnie. — Czy takie postawienie sprawy nie pogorszy sytuacji? Pomyśl, jeżeli zdarzyłoby się, że nasi ludzie odmówią pracy, to ta zaraza zacznie się rozprzestrzeniać z jeszcze większą prędkością: zamiast siedemdziesięciu pięciu mil na dobę osiągnie sto pięćdziesiąt, i co wtedy?

Kenneth Garunisch zbliżył się do niego i poklepał go, odrobinę za mocno, po obydwu policzkach.

— Mały Einstein z ciebie, co Dick? Masz rację, jeżeli nasi ludzie odmówią pracy, wydarzy się dokładnie to, co przewidziałeś. I właśnie dlatego, jeżeli te cholerne mięczaki z rządu, z prezydentem na czele, mają jeszcze odrobinę rozsądku w tych zakutyh łbach, nie będą się ze mną sprzeczać ani pięć minut.

Dick, wynegocjujemy największe ustępstwa i największe pieniądze, jakie kiedykolwiek udało się jednorazowo wywalczyć związkowi zawodowemu.

Herbert Gaines obudził się pięć godzin później. Aby lepiej spać, wypił wieczorem pół butelki Napoleona i teraz czuł okropny niesmak w ustach. Sypiał w długiej koszuli nocnej z czarnego jedwabiu, ozdobionej haftowanymi postaciami smoków oraz w siateczce na głowie, aby we śnie nie zrujnować trwale ułożonej fryzury.

Na ułamek sekundy otworzył oc/y i sięgnął ręką na drugą stronę łóżka, aby się upewnić, że Nicky leży obok niego.

Nicky, oczywiście, był tam, gdzie być powinien. Tak, bywał niegrzeczny, ordynarny i okrutny wobec Herberta. Nigdy jednak nie zapominał, dlaczego mieszka w luksusowym

apartamencie w Concorde Tower; świadomość tego komfortu dominowała ponad wszystkimi kłótniami i sprzeczkami oraz ponad wszelkimi rękoczynami, niezależnie od tego, jak byłyby one poniżające i brutalne. Nicky leżał więc obok Herberta, nagi i anielsko przystojny. We śnie ręce miał wyciągnięte wysoko nad głową. Jego penis spokojnie spoczywał pomiędzy udami.

Herbert uniósł się na łokciu. Po chwili usiadł, pochylił się i czule ucałował penis chłopaka. Następnie zsunął nogi na podłogę i poszedł do kuchni, żeby przygotować sobie porcję soku owocowego.

Zajęcie to niespodziewanie przerwał mu dzwonek u drzwi. Zmarszczył czoło, popatrzył na ścienny zegar i mruknął:

— Kto, do diabła...

Przez chwilę zastanawiał się, kto ze znajomych zdecydował się odwiedzić go przed południem. Tymczasem dzwonek zadzwieczał ponownie, tym razem dłużej, natarczywiej, a po nim nastąpiło pukanie do drzwi. Herbert Gaines ciężko westchnął i ściągnął z głowy siateczkę. Szybkim krokiem ruszył przez ciemny salon; ciężkie zasłony skutecznie uniemożliwiały tutaj wstęp nawet najmniejszym promieniom słońca. Jeszcze trzy kroki po wąskich schodkach i znalazł się przy drzwiach.

— Kto tam? — zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział.

Pochylił się i przyłożył oko do judasza, jednak ktokolwiek znajdował się za drzwiami, najprawdopodobniej zakrywał akurat otwór ręką.

— Nie wpuszczę cię do środka, człowieku, dopóki nie dowiem się, kim jesteś! — zawołał Herbert.

Dłoń, zakrywająca dotąd judasza, odsunęła się. Herbert uważnie spojrział w otwór i dojrzał dobrze zbudowanego, wysokiego mężczyznę, w starannie skrojonym, szarym wełnianym garniturze.

— Czego pan chce? — zawołał Herbert.

, Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie. Był to promienny, wystudiowany, zawodowy uśmiech polityka.

— Nazywam się Jack Gross — powiedział przez drzwi. — Chciałbym, żeby poświęcił mi pan kilka minut swojego cennego czasu, panie Gaines.

— Czy ja pana znam? — zapytał Herbert z irytacją.

— Powinien pan. Czy czytuje pan “Time”?

— Jasne. Przede wszystkim dział show businessu.

— Jeżeli więc weźmie pan do ręki egzemplarz z ubiegłego tygodnia, w dziale politycznym znajdzie pan coś o mnie. Niech pan odejdzie od drzwi i się przekona.

Ja mogę poczekać.

Herbert westchnął.

— Niech pan posłucha, panie...

— Gross, Jack Gross.

— Dla mnie to wciąż jest bardzo wczesna godzina, panie Gross. O tej porze nad ranem nie jestem jeszcze sobą. Nawet jeżeli jest pan tym, za kogo się pan podaje, obawiam się, że kilka minut, które bym panu teraz poświęcił, byłoby z pewnością stratą pańskiego cennego czasu.

Jack Gross, którego Herbert widział teraz doskonale przez judasza, jeszcze raz uśmiechnął się promiennie.

— Jestem pewien, że nie ma pan racji, panie Gaines. Zamierzam złożyć panu bardzo interesującą ofertę.

Herbert Gaines wyprostował się, odsunął od drzwi i przetarł oczy. Do południa, a przynajmniej dopóki nie wlał w siebie potężnej porcji soku owocowego i szklanki czystego džinu, jego umysł niemalże nie funkcjonował. Dlatego też teraz doszedł do wniosku, że łatwiej będzie wpuścić tego zadowolonego z siebie pana Grossa do mieszkania, niż nakłonić go, żeby sobie poszedł do wszystkich diabłów.

— Panie Gaines... — usłyszał zza drzwi.

— No, już dobrze — burknął Herbert i otworzył drzwi.

Wszedłszy do środka, Jack Gross z szacunkiem zdjął z głowy kapelusz i popatrzył w kierunku ciemnego salonu. Powietrze było stęchłe, bo na noc Herbert wyłączył klimatyzację.

— Nigdy dotąd nie byłem w Concorde Tower — powiedział.  
— Wygląda na bardzo przyjemne miejsce.

— Mnie w każdym razie odpowiada — stwierdził Herbert. — Czy będzie miał pan coś przeciwko temu, że przygotuję sobie śniadanie?

— Ależ proszę bardzo — uprzejmie zgodził się Jack Gross. — Niech się pan nie krępuje.

Herbert Gaines poczłapał do kuchni, aby kontynuować przygotowywanie soku. Jack Gross ruszył za nim, zerkając naj— dyskretniej, jak tylko potrafił, do sypialni i innych pomieszczeń. Znalazłszy się w kuchni, usiadł na taborecie, ostrożnie położył na kolanie kapelusz i zaczął mówić. Mówił spokojnie, pewnym głosem i szybko, a jego wzrok przez cały czas badawczo oceniał całe pomieszczenie. Nie mógł nie stwierdzić, że kuchnia

Herberta urządzona jest funkcjonalnie i nowocześnie. Warta była forsy, którą Herbert Gaines wpakował w jej zaprojektowanie. Nawet widok z kuchennego okna, zamglona panorama Gabriels Park i centralnego Manhattanu, wart był więcej pieniędzy, niż większość ludzi na świecie była w stanie zgromadzić podczas całego życia.

— Panie Gaines — mówił Jack Gross szorstkim, pewnym głosem. — Dla wielu ludzi wciąż jest pan ucieleśnieniem bohatera.

Herbert popatrzył na niego niechętnie.

— Myśli pan, że tego nie wiem? W Atlancie po skończeniu filmu ludzie nadal wstają z miejsc i biją brawo kapitanowi Dashfootowi. W trzydzieści cztery lata po premierze, uwierzy pan?

— Wiemy o tym. Dlatego właśnie pozwalam sobie niepokoić pana dziś z samego rana.

— Mów pan wreszcie, o co chodzi, panie Gross. Być może widzi pan tylko, że spokojnie przygotowuję śniadanie, proszę mi jednak wierzyć, jestem pańską wizytą coraz bardziej zaintrygowany.

— Miło to słyszeć — stwierdził Jack Gross. W miarę jak kontynuował swoją kwestię, jego uśmiech przemieniał się w wyraz oficjalnej powagi. — Widzi pan, przybyłem do pana, żeby porozmawiać o uczuciach, którymi wciąż darzy pana szeroka rzesza publiczności.

— Nie rozumiem. Niech pan mówi jaśniej.

— Proszę bardzo. Otóż polityk i aktor mają ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż mogłoby to się wydawać na pierwszy

rzut oka. Niech pan tylko pomyśli o Ronaldzie Reaganiu. Albo o Shirley Tempie. Nie musieli wcale z mozołem budować wśród ludzi swoich wizerunków jako politycy, gdyż byli już od dawna doskonale znani, dzięki filmom, w których wystąpili. Jedynym ich zadaniem było przekonanie Amerykanów, że mówią do nich zupełnie poważnie, że tym razem to nie jest kolejny film, kolejna fikcja, a następnie doprowadzenie do tego, aby identyfikowano ich z konkretną linią polityczną, z konkretnymi celami. Proste, prawda?

Herbert Gaines zapomniał o soku owocowym.

— Czy coś mi pan sugeruje, panie Gross? Jack Gross uśmiechnął się ciepło.

— Jest to sugestia moich ludzi, panie Gaines.

— A kim są ci pańscy ludzie?

Jack Gross zrobił minę, jakby to pytanie go zmieszało.

— Cóż, panie Gaines, powiedzmy, że moi ludzie to polityczni realiści. Wywodzą się głównie z samego skraju prawego skrzydła Partii Republikańskiej, a także z kręgów przemysłowych i finansowych. Nie są to jednak, żeby pan sobie coś złego nie pomyślał, ani tak zwani twardogłowi, ani staromodni konserwatyści. Myślę, że najłatwiej będzie opisać tę grupę słowami: młodzi, postępowi ludzie prawicy.

— Czy są bardziej na prawo od Forda?

— Oczywiście.

— Innymi słowy — podsumował Herbert — to Zielone Berety starej, dobrej Partii Republikańskiej.

— Bardzo dobrze pan to ujął, panie Gaines. Herbert Gaines spojrział ostro na gościa.

— Panie Gross — powiedział zdecydowanym tonem. — Przez całe życie głosowałem tylko na republikanów. Kilku przywódców partii to moi bliscy znajomi, łożę poważne kwoty na ich akcje charytatywne, wspomagam finansowo związki inwalidów i weteranów wojen...

— Wszystko to doskonale wiemy, panie Gaines. Posiadamy doskonale informacje na pański temat.

— Nie wątpię, panie Gross. Jednak najwyraźniej jednej informacji panu zabrakło.

— Jakiej, panie Gaines?

— Otóż nie jestem politykiem i nigdy nie zamierzam być politykiem. Wypełniłem swe patriotyczne obowiązki wobec ojczyzny, mam jednak prywatne i osobiste obowiązki wobec mojej sztuki.

— Pańskiej sztuki?

Herbert Gaines dumnie uniósł głowę.

— Tak, sztuki, panie Gross, mojej sztuki. Jestem... byłem, jednym z najdoskonalszych aktorów, jacy kiedykolwiek pojawili się przed kamerami filmowymi. Nakręciłem dwa filmy i oba zalicza się dzisiaj do klasyki. Nawet dzisiaj, po trzech dziesięcioleciach, ludzie urządzą w kinach owacje na stojąco po ich obejrzeniu. Panie Gross, wobec tych ludzi mam ogromne zobowiązania. Zadaniem mojego życia jest pilnowanie, aby postaci, które kreowałem za młodu, pozostawały wciąż żywe w ludzkiej pamięci. Jeżeli teraz pokażę się widzom, niczym szkielet, który właśnie wyszedł z szafy, i na bazie filmów sprzed trzydziestu lat zechcę robić karierę polityczną, wszystko, co

osiągnąłem przez swoje aktorstwo, pryśnie w jednej chwili niczym bańka mydlana.

Któż zechce jeszcze kiedykolwiek spojrzeć na kapitana Dashfoota po tym, jak zobaczyłby mnie dzisiaj, perorującego o prawach obywatelskich i polityce podatkowej? Jack Gross wciąż się uśmiechał.

— Panie Gaines — powiedział łagodnie — wcale nie chcemy, żeby wypowiadał się pan na takie tematy. Chcemy, żeby mówił pan o zarazie.

Herbert Gaines zmarszczył czoło.

— Słucham pana?

— O zarazie, parne Gaines. O kłesce żywiołowej, która w dawnych czasach dziesiątkowała całe narody. O czarnej śmierci.

— Nie rozumiem.

— Czy słucha pan wiadomości?

— Na miłość boską, jeszcze nie zjadłem śniadania!

— Niech więc pan posłucha mnie. — Jack Gross zaczął wyjaśniać. — Na Florydzie wybuchła bardzo poważna epidemia. Rząd i prasa, jak nigdy, współpracują ze sobą, ukrywając rzeczywiste rozmiary zagrożenia, twierdząc, że mamy do czynienia zaledwie z ciężką odmianą grypy, jednak my wiemy lepiej. To wyjątkowo zaraźliwa, śmiertelna choroba: dżuma. W dodatku taka jej odmiana, która jeszcze nigdy na ziemi nie wystąpiła i której nikt nie potrafi leczyć ani powstrzymać. Miami to w tej chwili piekło, szans na przeżycie nie ma nikt, kto znajduje się w tym mieście, a miasto jest całkowicie odcięte przez rząd od świata. W tej chwili



prorowadzone są bardzo poważne rozmowy, których rezultatem może być, moim zdaniem, tylko jedna decyzja: zrównanie z ziemią całego miasta wraz z wszystkimi mieszkańcami. Dodam, że zachorowania na dżumę odnotowano wczoraj również w Fort Lauderdale, Jacksomedle, Brunswick i Charlestonie.

— Czy pan sobie ze mnie nie kpi? Jack Gross przecząco potrząsnął głową.

— To nie jest żart, panie Gaines. To najbardziej katastroficzny rezultat rządów obecnej administracji, jaki moglibyśmy sobie wyobrazić. Państwowa Służba Epidemiologiczna jest bezradna, a rząd faderalny jest po prostu tak zaskoczony sytuacją, że miota się, nie potrafiąc w żaden sposób chronić obywateli przed klęską, która na nich nagle spadła. Są przerażeni, tak przerażeni, że nie mają odwagi oznajmić narodowi, co naprawdę się dzieje.

— Ale...

Jack Gross uniósł rękę.

— Przez to pojawiła się szansa, na którą czekali moi ludzie. Panie Gaines, oto pojawiła się okazja, żeby pokazać tym mięczakom, liberałom, kim naprawdę są, co sobą reprezentują. Oto stoi przed nami szansa, aby uczynić Partię Republikańską znów sprawną i efektywną maszyną do sprawowania władzy.

— I aby tę szansę wykorzystać, potrzebuje pan mojej pomocy. Czy dobrze zrozumiałem?

— Chcemy, aby stał się pan naszym symbolem, sztandarową postacią. Kapitan Dashfoot przybywa na pomoc narodowi w potrzebie! Czyż to nie brzmi wspaniale?

Herbert Gaines podsunął sobie kuchenny stołek i usiadł. Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

— Panie Gross — odezwał się po dłuższej chwili. — Czy ta epidemia to naprawdę aż tak poważna sprawa? Jack Gross skinął głową twierdząco.

— Oceniamy, że zmarło już od sześciu do siedmiu tysięcy ludzi. Kolejnych kilkanaście tysięcy nie przeżyje dzisiejszego dnia.

— A więc musi tam być teraz okropna panika! — Herbert spojrzał uważnie na Grossa. — To znaczy na Florydzie i w Georgii.

— Ma pan rację. Na wszelki wypadek Gwardia Narodowa i policja tworzą już drugą linię kwarantanny, na granicy stanu Floryda. Nikt, ale to dosłownie nikt, nie wysłizgnie się z Florydy.

Herbert Gaines wstał z taboretu i podszedł do kuchennego okna. Przez chwilę patrzył na panoramę Gabriels Park, po czym powiedział:

— Panie Gross, proszę mnie pan, żebym uczynił coś, co zraniłoby moje uczucia.

— Przepraszam, panie Gaines, ale nie rozumiem.

— Skoro na południu mojego kraju wybuchła epidemia, z powodu której ludzie masowo umierają, ostatnią rzeczą, jaką chciałbym w tej sytuacji robić, jest zbijanie na tym politycznego kapitału. Wbrew mojej naturze leży parcie do przodu poprzez strach, łzy i cierpienie innych ludzi. Popełniłem w życiu kilka straszliwych pomyłek, panie Gross, i miałem to nieszczęście, lub szczęście, panie Gross, że zostałem za nie ukarany. Nie zamierzam do listy moich grzechów dodawać gruboskórności i

czegoś tak ohydneho, jak wykorzystywanie cudzych, niezawinionych nieszczęść.

— Uważam, że przesadza pan z tymi skrupułami, panie Gaines.

Herbert Gaines milczał. Stał bez ruchu, dając gościowi wyraźnie do zrozumienia, że czeka, aż ten sobie pójdzie.

Jack Gross wbił wzrok w podłogę.

— Nie chciałem tego robić, panie Gaines — powiedział cicho.

— Robić czego? — zapytał niecierpliwie.

— Wywierać na pana nacisku.

— Niech mnie pan nie rozśmiesza! — zawołał Herbert. — Jakież to nacisk mógłby pan na mnie wywrzeć?

Jack Gross wzruszył ramionami, wciąż wpatrując się w podłogę.

— Zawsze jest Nicky...

— No i co z tego?

Jack Gross milczał, jedynie nieznacznie się uśmiechając.

— Co ma Nicky do tego? — warknął Herbert. Jack Gross podniósł wreszcie wzrok.

— To z tego, że patriotyczne obowiązki należy czasami przedkładać ponad osobiste uczucia. Zawsze natomiast należy je stawiać na pierwszym miejscu, przed osobistymi przyjemnościami.

— Czy to jest jakaś groźba? Na miłość boską, pan ośmiela się mi grozić?

Jack Gross podniósł kapelusz z kolana i starannie nałożył go na głowę.

— Będę zupełnie szczery, panie Gaines. Potrzebujemy pana, i to potrzebujemy teraz, natychmiast. Jeżeli nie zechce pan dobrowolnie nam pomóc, wówczas kilku naszych przyjaciół złoży panu nie zapowiedzianą wizytę. Dodam, że będą to ludzie z Chicago, mający doświadczenie w pewnych sprawach. W tym konkretnym przypadku, panie Gaines, z powodu pańskiego niezrozumiałego oporu, Nicky najprawdopodobniej zostałby wykastrowany.

Wszystko to Jack Gross mówił z takim samym szczerym uśmiechem na twarzy, jaki gościł na niej od początku wizyty w mieszkaniu Herberta. Wypowiedziwszy tę kwestię, ruszył do wyjścia, jednak w progu kuchennych drzwi zatrzymał się i odwrócił.

— Niech pan to wszystko przemyśli, panie Gaines. Będę z panem w kontakcie — powiedział, po czym na dobre już skierował się do drzwi wyjściowych. Opuściwszy mieszkanie, ostrożnie i cicho je za sobą zaniknął.

Herbert Gaines, nagle bardzo blady, poszedł do sypialni. Przez długą chwilę przyglądał się Nicky’emu, śpiącemu spokojnie w atłasowej pościeli.

— Och, Boże — jęknął z rozpaczą, po czym skierował się do salonu, gdzie nalał sobie potężną porcję koniaku.

O czternastej trzydzieści, krótko przed popołudniowym posiedzeniem sądu w sprawie Glantz kontra Forward, całe Stany Zjednoczone obiegła wiadomość, że Floryda i część Georgii objęte są epidemią dżumy.

“The New York Post” opublikował dodatek nadzwyczajny, w którym na pierwszej stronie widniała fotografia zrujnowanego

Civic Center w Miami, z wielkim nagłówkiem u góry: “Superzaraza niszczy południe kraju. Tysiące ofiar śmiertelnych!” Nowym Jorkiem jakby wstrząsnęło. Ludzie, którzy wyszli na lunch, pozostawali w barach i restauracjach jeszcze dobrze po trzeciej, oglądając w telewizji półgodzinny specjalny reportaż o epidemii.

W specjalnym wywiadzie telewizyjnym prezydent, wyglądający na zmęczonego, lecz bardzo pragnący sprawić wrażenie rozluźnionego i spokojnego, wyjaśniał narodowi, że “czyni się wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy, żeby opanować epidemię”. Ogłosił, że cały stan Floryda został poddany kwarantannie aż do odwołania i że zakazana została kąpiel w Oceanie Atlantyckim, od Cape Fear do Key West.

“Jak wynika z pierwszych ustaleń, źródłem zarazy jest organiczne zanieczyszczenie oceanu. Co jednak to spowodowało, w jaki sposób w morskich wodach wykształciły się tak śmiertelne bakterie, pozostaje nadal nieodgadnioną tajemnicą. Być może wyjątkowe warunki klimatyczne tego roku, które wpłynęły na zmianę kierunków prądów morskich, miały tutaj decydujące znaczenie”.

Prezydent poprosił o modlitwy w intencji zmarłych i cierpiących oraz zapewnił, że najtęższe umysły medyczne w kraju zatrudniono, aby jak najszybciej wyodrębnić najskuteczniejszy środek do walki z zarazą..

Ivor Glantz, siedzący razem ze swym adwokatem, Man—nym Friedmanem w ciemnym i zatłoczonym barze przy Wall Street, obserwował ekran telewizyjny zza pustych butelek po Jacku Danielsie. Gdy prezydent wreszcie skończył, powiedział:

— Mam nadzieję, że wiesz, co to znaczy. — Jego głos był bardzo poważny.

— Jasne — odparł Manny Friedman, przez cały czas nerwowo przerzucający stertę różowych papierów prawniczych. — Oznacza to koniec cywilizacji w takim znaczeniu tego słowa, w jakim używaliśmy go do tej pory. Teraz jednak proszę cię, porozmawiajmy chwilę o twoich patentach.

— To znaczy, głupcze — warknął Ivor — że nie znaleźli jeszcze żadnego lekarstwa, żadnego środka, żeby zapobiegać rozprzestrzenianiu się epidemii albo leczyć nieszczęśników, na których spadła zaraza. Gdyby mogli ją leczyć albo powstrzymać, natychmiast by to ogłosili. Ale nic z tego. Widzisz, co jest w tej gazecie? “Superzaraza”. Normalnie dżumę można leczyć sulfonamidami albo antysurowicą Haffkine’a. W tym wypadku najwyraźniej te środki zawodzą.

— Ivor — przerwał mu Manny niecierpliwie. — Dzisiaj jest twój najważniejszy dzień w sądzie. Skoncentruj się więc na swoich sprawach, a sprawy prezydenta zostaw jemu samemu.

Ivor spojrział na zegarek.

— Wracajmy więc do sądu. Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o tej zarazie. Czy zdajesz sobie sprawę, że być może chodzi o zupełnie nową chorobę? O odmianę dżumy, która nigdy dotąd na świecie nie wystąpiła?

Zebrali wszystkie dokumenty ze stolika i wyszli na zewnątrz. Popołudniowe słońce prażyło niemiłosiernie. Manny złapał taksówkę i po chwili już jechali do sądu.

Kierowca z trudem torował sobie drogę w gęstym ruchu. Ivor pocił się na tylnym siedzeniu w zbyt ciasnej i zbyt grubej

marynarce. Niecierpliwym ruchem otarł czoło czystą chusteczką.

Zatrzymawszy się po raz któryś z kolei przed czerwonymi światłami, taksówkarz, Czech o wielkim nosie i w okularach w grubej rogowej oprawie, zaczął opowiadać, co myśli o zarazie.

— Jeśli zapytacie mnie, powiem wam, że to sprawka Sowietów.

— Jak do tego doszedłeś, człowieku? — zdziwił się Ivor. — Czyżbyś był kumplem Kosygina? Taksówkarz roześmiał się.

— Żartuje pan. Moim zdaniem Sowietci są odpowiedzialni za co najmniej połowę kłopotów tego kraju. Kupują nasze zboże, prawda? Kupują je i za doskonale amerykańskie ziarno płacą bezwartościowymi sowieckimi rublami, prawda? Po co nam te ich ruble? Zboże to co innego. Zboże to chleb, zboże to życie.

Ivor wyszczerzył zęby.

— Czy nie jesteś przypadkiem Polakiem, przyjacielu?

— zapytał.

— Nie — warknął taksówkarz i nie wiadomo dlaczego obrażony, zamilkł.

Korytarze sądowe były zakurzone i fatalnie oświetlone. Odnosiło się wrażenie, że jeszcze przed chwilą buszował tu jakiś złodziejaszek i ukradł przynajmniej co drugą żarówkę. Nie inaczej było w sali posiedzeń. Zająwszy swoje miejsce, Ivor i Manny natychmiast zniknęli za stertą papierów i grubych ksiąg prawniczych; wszystkie były niezbędne w czasie rozprawy, która trwała już czwarty dzień.

Naprzeciwko nich siedział w błękitnym garniturze, o bardzo krótko ściętych włosach, Siergiej Forward, bakteriolog fińskiego

pochodzenia. Ani na moment nie podniósł wzroku, żeby popatrzeć na Ivora. Rozmawiał ze swoim prawnikiem. Był spokojnym, opanowanym mężczyzną. Jego akcent tylko w nieznacznym stopniu zdradzał obce pochodzenie. Kiedy mówił, odrobinę pochylał się w kierunku rozmówcy.

O piętnastej sala sądowa była już pełna. Ludzie zasiadający w ławach dla publiczności rozmawiali pomiędzy sobą. Charakterystyczne, że gwar tych rozmów był o wiele głośniejszy niż podczas porannego posiedzenia sądu. Do wszystkich dotarły już wieści z Florydy, a na sali znajdowało się wielu bakteriologów i dziennikarzy — specjalistów z tej dziedziny. Każdy chciał wypowiedzieć swoje zdanie. Dla wszystkich wybuch epidemii dżumy na Florydzie był największą sensacją medyczną, z jaką kiedykolwiek się zetknęli.

Esmeralda, wyniosła i elegancka w blad różowym kostiumie stylizowanym na lata trzydzieste, z diamentową bro—szką wpiętą w różowy kapelusz, weszła na salę sądową na kilka chwil przed sędzią. Usiadła bezpośrednio za ojczymem i dotknęła jego ramienia.

— Czy słyszałeś o tej strasznej zarazie? — zapytała.

— Czy to nie jest okropne?

— Tak, słyszałem podczas lunchu — odszepnął jej, nieznacznie odwracając głowę.

— Odnoszę wrażenie, że to jest o wiele straszniejsze, niż władze mają na razie zamiar przyznać.

— Armia otoczyła kordonem Pensacole i Mobile — powiedziała Esmeralda.



— Słuchałam wiadomości w samochodzie. Mówią, że dziennie umiera mniej więcej dwa tysiące ludzi.

W tym momencie na salę sądową wkroczył sędzia Se—combe i wszyscy wstali. Kiedy sędzia usiadł i założył na nos okulary, podniósł rękę prawnik Siergiej a Forwarda, aby wygłosić oświadczenie.

— Mój klient zwraca się z uprzejmą prośbą o odroczenie posiedzenia, wysoki sędzie. Doceniając powagę sprawy sądowej o naruszenie praw patentowych, wyraża on przekonanie, że w sytuacji, jaka zapanowała, obowiązkiem jego i wszystkich bakteriologów jest natychmiastowe skupienie wszystkich sił na poszukiwaniu antidotum przeciwko zarazie, która, jak słyszymy, w zastraszającym tempie dziesiątkuje południowe stany naszego kraju. Pan Forward jest pewien, iż pan Glantz nie będzie oponował w sytuacji najwyższego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych i jest przekonany, że przyłączy się do prac badawczych, których efektem powinno być ocalenie naszej ojczyzny przed straszliwym spustoszeniem.

Manny Friedman zaklął pod nosem.

— O co mu chodzi? — zapytał go Ivor Glantz. — On nie może tego zrobić.

— Może i robi — odparł Manny. — Jeżeli w tej sytuacji nie zgodzisz się na odroczenie rozprawy, będziesz wyglądał w oczach Amerykanów jak samolubny szarlatan, któremu bardziej zależy na własnej forsie niż na interesie Ameryki.

Niestety, złapał cię za jaja, bezczelny skurwysyn.

Ivor zmarszczył czoło.

— Ale nie rozumiem, po co mu to odroczenie?

— Nie pytaj runie. — Manny wzruszył ramionami. — Cokolwiek jest jego celem, nie podoba mi się to.

Sędzia Secombe przerwał im tę wymianę zdań.

— Panie Friedman — powiedział. — Czy pański klient wyraża sprzeciw wobec propozycji przerwania procesu? Manny Friedman wstał.

— Mój klient wyraża szacunek wobec stanowiska, jakie pan Forward prezentuje w interesie spraw publicznych, jednak nie uważa przerwy za konieczną. Wyraża przekonanie, że nieszczęście w naszych południowych stanach zostanie opanowane najpóźniej w ciągu dwudziestu czterech godzin; ten czas jest zbyt krótki nawet dla pana Forwarda, żeby dojść do jakichś istotnych osiągnięć badawczych w związku z epidemią. Pozwolę sobie przypomnieć wysokiemu sądowi, iż wielkie odkrycia w dziedzinie bakteriologii zawsze były efektem długich lat prac badawczych w laboratoriach, nie wyłączając badań, których dotyczy niniejszy proces.

Prawnik Siergieja Forwarda zaprotestował.

— Wysoki sędzie, wyrażamy przekonanie, że dwadzieścia cztery godziny, nawet cztery godziny, mogą mieć istotne znaczenie. Zaraza, z którą mamy do czynienia, w ciągu zaledwie tygodnia spustoszyła cały stan. Ludzie masowo umierają, nawet w tej chwili, gdy my się tutaj sprzecząmy, zmarło z jej powodu co najmniej kilkanaście osób.

Manny Friedman popatrzył na Ivora Glantza, który bezsilnie wzruszył ramionami.

Następnie spojrział w kierunku ławy prasowej, gdzie reporterzy z “The New York Timesa”, “The Daily News” i

“Associated Press” siedzieli czujni, z długopisami uniesionymi nad notatkami, gotowi do zrobienia sensacji z każdej informacji związanej z zarazą. Oczywiście wyobraźni ujrzał tytuły w gazetach: “Znany naukowiec lekceważy epidemię!”

— Dobrze więc — odpowiedział Manny, głęboko westchnąwszy. — Wyrażamy zgodę na odroczenie procesu, do chwili gdy zostanie zażegnany obecny kryzys.

— Odraczam posiedzenie — oznajmił sędzia Secombe tubalnym głosem, po czym wstał i natychmiast wyszedł z sali. Zaraz zaczęli wstawać wszyscy inni i w pomieszczeniu zrobił się straszny tumult.

Podczas gdy Manny Friedman starannie zbierał wszystkie papiery, Ivor Glantz siedział bez ruchu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Esmeralda podeszła i pogłodziwszy go po głowie, usiadła obok niego.

— Nie przejmuj się, papciu — powiedziała. — To jeszcze nie jest koniec świata.

Odchrząknął, po czym uśmiechnął się ciepło i ujął ją za rękę.

— A ty nie martw się za mnie — szepnął. — Jestem rozczarowany, to wszystko.

— Kiedy tylko skończy się ta historia z zarazą, rozprawa będzie kontynuowana.

Ivor zmęczonym ruchem przetarł oczy.

— Sądząc po tym, w jaki sposób rozszerza się epidemia, mam obawy, że to może już nigdy nie nastąpić. Wkrótce wszyscy będziemy wachać kwiatki od spodu.

— Naprawdę uważasz, że sytuacja jest aż tak poważna? Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Męczy mnie to, że władze nie dysponują absolutnie żadnymi środkami, żeby powstrzymać rozwój epidemii. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do życia w społeczeństwie, w którym potrafimy znaleźć pigułki i lekarstwa na wszystkie choroby, że gdy przytrafia się coś naprawdę śmiertelnie groźnego, stajemy bezradni.

— Daj spokój, Ivor — wtrącił się Manny Friedman. — Cały strach skończy się za dwa tygodnie najpóźniej, tak jak skończyło się ze świńską grypą. W jednym momencie jest jeszcze strach i panika, a w drugim wszyscy już pytają: “Zaraza? Jaka zaraza? Nigdy o niczym takim nie słyszałem”.

Friedman poprowadził Ivora i Esmeraldę do wyjścia.

— Co zamierzasz teraz robić? — rzucił ponad ramieniem. Ivor wzruszył ramionami.

— Nie wiem — powiedział. — Ten proces stanowczo za dużo mnie kosztuje. Kontrakty leżą na ulicy, ale wszyscy czekają i robią pod siebie na samą myśl, że mógłbym przegrać sprawę. Cholera jasna, pieprzony Forward.

Przed budynkiem sądu, na schodach zalanych gorącymi promieniami słońca, spotkali Siergieja Forwarda i jego prawnika. Forward podszedł do Ivora z wyciągniętą dłonią i z głupawym uśmiechem na swym pociągłym, nordyckim obliczu.

— Mam nadzieję, że nie jesteśmy wrogami — powiedział. Ivor zignorował wyciągniętą dłoń Forwarda i zrobił głupią minę.

— Sądzę, że spełniłem swój patriotyczny obowiązek, jako Amerykanin — kontynuował Forward.

Wreszcie Ivor wbił w niego wzrok i powiedział:

— Jest pan Amerykaninem zaledwie od czterech miesięcy. W dniu, w którym stwierdzę, że jest pan w stanie udzielać mi lekcji patriotyzmu, spakuję walizki i wyniosę się do Rosji.

Manny Friedman ujął Ivora pod ramię.

— Daj spokój, Ivor, nie daj się wciągnąć w żadną awanturę.

— Żaden fiński półgłówek... — zawołał Ivor.

— Półgłówek, nie półgłówek, jestem twoim adwokatem i nakazuję ci teraz milczeć.

— On ma rację, papo — odezwała się Esmeralda, przez cały czas stojąca o krok za nimi. — Strzel sobie drinka i zapomnij na kilka dni o tym oszuście.

Ivor poddał się i chwycił dłoń swej pasierbicy.

— W porządku, Es, wygrałaś. Wracajmy do domu, a tam zacznę od szkockiej.

Przeszli kilkaset jardów w kierunku parkingu, na którym Esmeralda zostawiła swojego skylarka. Gdy Ivor i Manny siedzieli już w samochodzie, a ona sama zamierzała usiąść za kierownicą, niespodziewanie ktoś zawołał:

— Panno Baxter!

Esmeralda odwróciła się. Z chodnika, przez ulicę, kiwał do niej młody, przystojny, wysoki mężczyzna w białej marynarce.

— Czy chodzi panu o mnie? — odkrzyknęła.

Lawirując wśród jadących sznurem samochodów, młody mężczyzna przebiegł przez jezdnię. Gdy dotarł do Esmeraldy, przez chwilę nie był w stanie złapać tchu.

Miał ciemne, odrobinę kręcone włosy, prosty nos i wystające kości policzkowe.

Esmeralda pomyślała, że najprawdopodobniej jest Włochem.

— Proszę się na mnie nie gniewać, panno Baxter — powiedział — ale czekam już na panią od dłuższego czasu. To pani jest Esmeralda Baxter, właścicielką “Esmeralda’s Gallery”, prawda?

Esmeralda popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Tak, to prawda — odparła. — Czy ja jednak pana znam? Nie przypominam sobie pańskiej twarzy. Młody człowiek uśmiechnął się.

— Och, bardzo przepraszam. Powinienem był się przedstawić. Nazywam się Charles Thurston. Charles Thurston III w gruncie rzeczy, ale ani mój ojciec, ani dziadek niczym się w tym kraju nie wyróżnili, tak że jeżeli będzie pani o mnie mówić po prostu Charles Thurston, wszyscy będą wiedzieli, o kogo chodzi. Piszę książki o sztuce. Być może widziała pani moją książkę na temat Mana Raya.

Esmeralda lekko zaczerwieniła się.

— Obawiam się, że nie. Niech pan posłucha, czy zechce się pan spotkać ze mną kiedy indziej? Niestety, teraz jestem bardzo zajęta.

— Czy mogę zatelefonować do pani do galerii?

— Bardzo proszę.

Niespodziewanie Charles Thurston III ujął dłoń Esmeraldy i pocałował ją.

— Do zobaczenia — powiedział. Kiedy jechali do Concorde Tower, Ivor skomentował tę scenę z sarkazmem:

— Widziałaś, w jaki sposób on pocałował twoją rękę? Cholera, prawie ją zjadł!

Może te dzisiejsze dzieciaki nie mają dosyć jedzenia?

— Och, papo — zaprotestowała Esmeralda. — To nie dzieciak. Prawdę powiedziawszy, uważam, że to wspaniały, przystojny mężczyzna.

W komfortowym zaciszu swojego mieszkania pan Yictor Blaufoot razem z żoną bezskutecznie próbowali dodzwonić się do swej córki mieszkającej na Florydzie.

Linie przez cały czas były zajęte. Po czterech godzinach beznadziejnych prób, pani Blaufoot padła wreszcie na jedwabną kanapę. Nerwowo bawiła się pierścieniem z wielkim diamentem (prezent zaręczynowy od męża) i ze zdenerwowania zaciskała i przygryzała wargi.

Pan Yictor Blaufoot podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

— Nic dziwnego, że nie można się dodzwonić — powiedział uspokajającym tonem.

— Jest poważny kryzys. Ale nie martw się. Jeżeli Rebecca jest w kłopotcie, z pewnością znajdzie jakiś sposób, żeby nas o tym poinformować. Zawsze się jej to udawało, prawda? Zawsze, kiedy miała problemy.

Niespodziewanie pani Blaufoot zaczęła płakać. Jej pełne rozpacz łyżki kapały na dywan.

— Ale jeśli ona nie żyje? — załkała. — Jeżeli złapała tę chorobę i umarła? Jak nam o tym powie?

O piątej dwadzieścia po południu Kenneth Garunisch wystąpił w telewizji i ogłosił, że Związek Personelu Szpitali rozpoczyna strajk po fiasku negocjacji z rządem federalnym, dotyczących podwyżki płac w związku z ekstremalnymi warunkami pracy spowodowanymi wybuchem epidemii dżumy. Stwierdził, że od tej chwili szpitale opuszczają

portierzy, sprzątaczkę, personel administracyjny i techniczny, wszyscy kierowcy, elektrycy i farmaceuci.

Zdaniem rządu podwyżka płac w zaistniałej sytuacji byłaby ugięciem się władz przed “obrzydliwym szantażem” i stanowiłaby “precedens o charakterze destruktywnym dla przyszłości kraju”.

O godzinie szóstej po południu ogłoszono o przypadkach dżumy w Newport News, a zakaz kąpielii wzdłuż Wschodniego Wybrzeża rozszerzono w kierunku północnym aż do Delaware Bay. Mieszkańców miast i osiedli położonych wzdłuż wybrzeża proszono o zachowanie spokoju, a przede wszystkim o niepodejmowanie nie przemyślanych decyzji. Wszystkie przedsiębiorstwa lotnicze odnotowały wzrost frekwencji na liniach w kierunku zachodnim, a policja — wzmożony ruch w tym samym kierunku na autostradach.

Powoli, lecz niepowstrzymanie strach zaczął ogarniać mieszkańców wschodnich stanów, chociaż nikt jeszcze tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak poważne zagrożenie niesie ze sobą zaraza; środki masowego przekazu wciąż były bardzo oszczędne w relacjach. Poza tym nikt nie wiedział, że już czterysta osób — mężczyzn, kobiet i dzieci — zostało zastrzelonych przez żołnierzy i funkcjonariuszy Gwardii Narodowej podczas prób wydostania się z obszarów poddanych kwarantannie.

Edgar Paston w spokoju spożywał obiad w swoim domu w Elizabeth, w stanie New Jersey. Jego żona, Tammy, wróciła z pracy w kompanii telefonicznej pół godziny wcześniej niż normalnie i zdążyła już przygotować mu pudding czekoladowy.



— Dlaczego nic nie mówisz? — zapytała Tammy, wchodząc do jadalni. Była niską kobietą o dużym biuście. Miała trzydzieści trzy lata, kręcone jasne włosy i wydęte policzki. Na suknię, w którą była dzisiaj ubrana, narzucony miała kuchenny fartuch.

— Myślę — odparł Edgar.

— Wciąż martwisz się tymi dzieciakami? Westchnął i nałożył na łyżkę resztkę puddingu.

— Nie, chyba już mi przeszło. Rozmyślałam o tej epidemii.

— Och, nie przesadzaj. To całe mile stąd. Jak daleko jest z Georgii do New Jersey?

— Nie wiem. Jakieś osiemset mil.

— No właśnie.

Edgar Paston odłożył łyżkę i odsunął od siebie talerz.

— To jest osiemset mil, ale tylko dzisiaj — powiedział. — Tam, kochanie, jak myślisz, ile czasu potrzeba, żeby ta zaraza dotarła aż tutaj? Bo ja uważam, że bardzo niewiele. Dlatego jestem zmartwiony.

Tammy zabrała talerz i rąbkiem fartucha przetarła stół. Głośno pocałowała męża w czoło.

— W telewizji mówili, że epidemia nie rozprzestrzenia się szybko i że nie ma powodu do obaw, a tym bardziej do paniki. Skoro tak twierdzą w telewizji...

Edgar wstał, odstawił krzesło i poszedł za Tammy do kuchni, żeby pomóc jej w zmywaniu.

— Chyba masz rację — powiedział. — Telewizja zazwyczaj mówi prawdę. Mimo wszystko jednak powinniśmy jakoś się

zabezpieczyć, na wypadek, gdyby ta zaraza wciąż się rozprzestrzeniała.

Tammy włożyła naczynia do zmywarki. Kuchnia Pasto—nów była urządzona bardzo prosto i funkcjonalnie, w jasnoczerwonym kolorze. Nad jedynymi drzwiami wisiał niewielki portret prezydenta Eisenhowera.

— Eddie, nie przesadzaj z obawami — zaproponowała Tammy. — Czy pamiętasz ostatni raz, kiedy się zabezpieczaliśmy podczas kryzysu kubańskiego? Cały tydzień spędziłeś w ogrodzie, kopiąc dziurę na schron przeciwoatomowy.

Edgar roześmiał się na wspomnienie tamtych dni.

— Chyba masz rację, Tam. Pamiętam, jak wówczas się wygłupiłem.

Wytarłszy naczynia, oboje przeszli do salonu, gdzie znajdowały się już ich dzieci: dziesięcioletni Marvin i czternastoletnia Chrissie. Oboje oglądali telewizję.

— Czy są jakieś nowe wiadomości o zarazie? — zapytał Edgar.

— Niewiele, tato — odparła Chrissie. — Kilka osób leży w szpitalu w Newport News, nie wiadomo jednak, czy chorzy są na dżumę, czy na coś innego.

— Już w Newport News? Myślałem, że zaraza sięgnęła najdalej do Georgii.

— Cóż... — Chrissie wzruszyła ramionami. — Na razie tak właśnie twierdzą.

Niedługo mają nadawać jeszcze jedno wystąpienie prezydenta.

Edgar zmarszczył czoło.

— To nie wróży nic dobrego. Pozostaje nam tylko nadzieja, że to cholera nie posunie się na pomoc.

— Tatusiu, co to takiego jest zaraza? — zapytał Marvin. Edgar Paston zamrugał oczyma.

— Zaraza? To taka choroba. Bardzo poważna choroba, na którą można umrzeć.

— Jasne, tatusiu. Ale w jaki sposób? Edgar popatrzył na Tammy, ale ona przecież nie wiedziała więcej od niego.

— Nie wiem. Najlepiej będzie, jak zajrzesz do swojej dziecięcej encyklopedii. W końcu była na tyle droga, że mógłbyś do niej od czasu do czasu zaglądać.

Edgar gapił się w telewizor aż do siódmej, po czym podniósł się, żeby pojechać do sklepu i go zamknąć. Geny trwał na posterunku, Edgar lubił jednak sam codziennie przeliczyć utarg i sprawdzić, czy wszystko jest na noc starannie pozamykane. W drzwiach pocałował jeszcze Tammy i wyszedł w chłodną ciemność, zmierzając do samochodu.

Na frontowym trawniku wesoło cykał świerszcz. Edgar wskoczył do szoferki mercury'ego i włączył światła. Stojąc w progu, Tammy jeszcze raz pomachała do niego. Edgar wyjechał na drogę i ruszył na krótką przejażdżkę do skrzyżowania, przy którym stał jego supermarket.

Nie zdawał sobie sprawy, że stało się coś złego, dopóki nie zahamował na przysklepowym parkingu. Dopiero wówczas ujrzał Geny'ego w jasno oświetlonym sklepie, nie wiadomo dlaczego zgiętego wpół. Gdy wyskoczył z auta, już wiedział, co się wydarzyło. Biegiem ruszył przed siebie i gdy wpadł do

sklepu, ciężko dyszał, ze złości i z wyczerpania. Geny miał czerwoną szramę pod lewym okiem.

— Przepraszam, panie Paston, próbowałem ich powstrzymać, ale było ich więcej i mnie pobili — powiedział Geny.

— Właśnie miałem zamiar wziąć się w garść i posprzątać.

Edgar z przerażeniem przebiegł wzrokiem po wnętrzu supermarketu. Wszystkie towary zostały zrzucone z półek na podłogę. Słodycze, napoje, konserwy i mrożonki warte tysiące dolarów walają się bez ładu i składu; większość nie nadawała się już do sprzedaży.

Jak lunatyk ruszył wzdłuż półek. Kilku klientów wciąż było w sklepie. Milczeli — przestraszeni i zmieszani.

— Co tutaj się stało? — krzyknął Edgar ochryłym głosem, kiedy podszedł do rozbitej lodówki. Geny podszedł do niego.

— Oni... oni nasikali do środka — powiedział jękając się. — Robiłem, co w mojej mocy, żeby im przeszkodzić...

Edgar jeszcze nie dowierzał własnym oczom, wciąż rozglądał się i rozglądał dookoła, jednak to, co widział, nie było koszmarnym snem, który w każdej chwili powinien się skończyć. Bardzo powoli docierała do niego smutna prawda. Jego supermarket został kompletnie zdewastowany.

— Kto to był? — cichym głosem zapytał Gerry'ego.

— McManus?

Geny wbił spojrzenie w podłogę.

— Powiedzieli, że zabiją mnie, jeżeli pisnę choć słówko. Tak mi przykro, panie Paston, naprawdę mi przykro... Edgar położył dłoń na jego ramieniu.

— Rozumiem cię, chłopcze. Cóż, najlepiej będzie, jeżeli wezwę policję.

— Sam już bym po nich zadzwonił, ale po wczorajszym dniu nie sądzę, żeby się tu bardzo spieszyli.

— A co to ma do rzeczy? Muszą wykonywać swoje obowiązki.  
— Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

Wykręcał właśnie drugą albo trzecią cyfrę, gdy usłyszał czyjś śmiech dochodzący z zewnątrz. Gwałtowny, szyderczy śmiech. Zamarł na chwilę, po czym odłożył słuchawkę z powrotem na widełki. Szybko, zwinnie, starając się, żeby nie deptać po porozrzucanych towarach, ruszył w kierunku kasy, jednocześnie szukając w kieszeni spodni kluczyków.

— Panie Paston!... — zawołał Geny, jednak zignorował go. Wyciągnął kluczyki, wybrał ten właściwy, po czym otworzył szufladę i wyciągnął z niej rewolwer, kaliber 38.

Trzymając broń za plecami, wolnym krokiem zbliżył się do wyjścia. Pchnął szklane drzwi i wyszedł na zewnątrz. Wiał lekki, ciepły wiatr. Popatrzył w kierunku swojego samochodu i zobaczył przy nim grupkę wesołych dzieciaków. Podskakiwały i śmiały się radośnie; doskonale wiedział, kim są.

— McManus! Shark McManus! — krzyknął.

Dzieciaki ucichły i popatrzyły w jego kierunku. Uniósł rewolwer w prawej ręce, przytrzymał jej przegub lewą dłonią i powoli odciągnął kurek. Wycelował. Chłopcy stali w zwartej grupie i stanowili łatwy cel.

— McManus! — zawołał Edgar drżącym głosem. — McManus, wystąp do przodu, wymierzę ci karę, na którą zasłużyłeś!

Dzieciaki najwyraźniej nie zdawały sobie sprawy, że Edgar ma broń, bo wesoło się roześmiały. Edgar starannie wycelował w najwyższego i wstrzymawszy oddech, strzelił. Rewolwer podskoczył w jego dłoni. Nastąpił krótki, suchy trzask, który odbił się echem od ściany supermarketu. Jeden z dzieciaków bezwładnie osunął się na ziemię. Reszta nagle rozpierzchnęła się.

Trzymając rewolwer przed sobą, Edgar powoli ruszył w kierunku swojej ofiary.

Chłopak leżał na brzuchu, a obok jego głowy robiła się coraz szersza kałuża krwi. Edgar przyklęknął i popatrzył na niego. Kula przebiła mu czaszkę i zabiła na miejscu.

Rozejrzał się dookoła. Otaczał go cichy, pusty parking.

Po długiej chwili, nie wiadomo dlaczego stąpając na palcach, podszedł do niego Geny.

— Panie Paston... — jęknął.

— Słucham cię, Geny.

— Panie Paston, nie powinien pan... Edgar wstał.

— Nie powinienem? Czy nie widziałeś, co te bękarty zrobiły z moim sklepem? To są zasrane, przeklęte bękarty, Geny, nie zapominaj o tym. A ten gówniarz chciał zniszczyć całe moje życie! Żeby się przed nim obronić, mogłem wybrać tylko jedną drogę: musiałem zniszczyć jego parszywe życie.

Edgar trząsał się. Wciąż trzymał broń w ręce. Nie bardzo wiedział, co z nią zrobić.

— Panie Paston — powiedział Geny cicho — to nie jest Shark McManus. To nie był jego gang.

Edgar zamarł. Poczuł, jak ciarki przebiegają mu po krzyżu. Popatrzył na zwłoki leżące u jego stóp. Krew wciąż wypływała z

rany po kuli i nie było już sposobu, aby z powrotem skierować ją do żył i znów tchnąć życie w młode ciało.

— Nie rozumiem cię. Przecież się śmiał. Wszyscy się ze mnie śmiali.

— Oni tu przychodzą bardzo często — powiedział Ger—ry. — Nie czynią nic złego.

Znam nawet kilku z nich. Przychodzą do sklepu po swoich spotkaniach i kupują słodycze.

— Po spotkaniach? — zdziwił się Edgar. — Jakich spotkaniach?

— To są skauci, panie Paston. Co tydzień mają zbiórki. Edgar wbił wzrok w martwe ciało.

— Skauci — wyszeptał. — Skauci...

Wciąż stał nad martwym chłopakiem, gdy na parkingu zahamował z piskiem opon biało—czarny samochód policyjny. Otwarły się drzwiczki i szybkim krokiem ruszyli w jego kierunku funkcjonariusze Trent i Marowitz.

Podszedłszy, popatrzyli na ciało.

— Czy on nie żyje? — zapytał Marowitz opryskliwie.

— Czy ktoś to sprawdził?

— Z całą pewnością jest martwy — odparł Edgar. — Trafiłem go prosto w czaszkę.

Bez słowa wręczył policjantowi rewolwer.

— Wygląda na to, że to jest skaut — zaczął wyjaśniać.

— Wziąłem go za wandala i przez pomyłkę strzeliłem. Marowitz popatrzył na Edgara, a potem znów na zwłoki.

— Przez pomyłkę zastrzelił pan skauta?

— Tak.

\_ W tej sytuacji — oznajmił Marowitz z ponurym uśmiechem na twarzy — muszę pouczyć pana o pańskich prawach. Jest pan aresztowany, panie Paston, w związku z podejrzeniem o dokonanie zabójstwa.

\_ Tak — mruknął Edgar. Przeszedł nad martwym chłopakiem i samodzielnie ruszył w kierunku policyjnego samochodu.



# KSIĘGA DRUGA

## Śmierć

# ROZDZIAŁ 1

Jechali już od dobrych dziesięciu minut, kiedy Adelaide odezwała się z tyłu samochodu:

— Popatrz!

Doktor Petrie już od dawna widział we wstecznym lusterku płomienie ognia, mogły jednak oznaczać wszystko: od płonącego samochodu do wielkiego budynku. Teraz jednak, kiedy znacznie zwolnił i odwrócił głowę, stwierdził, że cały południowy horyzont pogrążony jest w czerwonych płomieniach. Płonęło całe Miami, niczym gigantyczny okręt na ciemnym, niespokojnym oceanie.

— Miami — wyszeptał pan Henschel, siedzący obok doktora Petriego ze strzelbą na kolanach. — Świnie, podpalili całe miasto.

Doktor Petrie znów przyspieszył. Jechał na północ, oświetlając sobie drogę jedynie słabiutkimi światłami postojowymi.

— Niewykluczone, że to sprawka władz — powiedział. — Jednak równie dobrze te pożary mogli spowodować najróżniejszego autoramentu bandyci, grabieżcy i podpalacze.

Wszyscy byli bardzo zmęczeni. Było już dobrze po pierwszej; najstraszniejsze, najdłuższe godziny nocy znajdowały się jednak dopiero przed nimi. Prickles spała w ramionach pani Henschel, pozostali pasażerowie torino byli jednak zbyt spięci, aby chociaż na chwilę zmrużyć oczy.

— Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, iż być może właśnie wywozimy zarazę z Miami — zauważyła Adelaide. — Ktoś z nas może być przecież zarażony.

Doktor Petrie pokiwał głową. Na jego twarzy odbijał się zielonkawy blask światła tablicy rozdzielczej.

— To jest możliwe, ale mało prawdopodobne — powiedział. — Ja sam byłem przez długi czas narażony na zachorowanie, a mimo to wciąż jestem zdrowy. Może mam w sobie coś takiego, że jestem odporny na tę dżumę. Z tego, co mi do tej pory wiadomo, zaraza uderza bardzo szybko. Jeżeli nikt z nas nie czuje się osłabiony w tej chwili, znaczy to, że na razie wszyscy jesteśmy zdrowi.

— Boże, żeby tak właśnie było — westchnęła pani Henschel.

— Tak, boska pomoc jest nam bardzo potrzebna — przytaknął doktor Petrie.

Przez kilka minut znów jechali w milczeniu. Rozpoczęła się środa i mass media niczego jeszcze oficjalnie nie mówiły o zarazie, stąd z samochodowego radia wciąż płynęły informacje o “hiszpańskiej” albo “świńskiej” grypie, która nadal paraliżuje Miami i południową Florydę. Usłyszawszy to po raz kolejny, doktor Petrie spojrział we wsteczne lustro. Ujrzał potężny słup ognia, najprawdopodobniej trawiący hotele wzdłuż Miami Beach. Nie po raz pierwszy w życiu zaczął zastanawiać się, na czym właściwie polega odpowiedzialność polityków i dziennikarzy za to, co mówią i czynią.

Wciąż rozmyślał o tym, gdy pan Henschel wskazał coś z przodu i powiedział:

— Widzę światła. Wygląda na to, że przed nami jest blokada.

Doktor Petrie zwolnił i wszyscy zaczęli wpatrywać się przed siebie, w gęsty mrok. Rzeczywiście, jakieś pół mili przed nimi paliły się białe światła oświetlające drogę oraz czerwone, tylne światła stojących samochodów osobowych i ciężarówek.

— Gdzie to jest? — zapytała Adelaide.

— Zdaje się, że w Hallandale — odparł doktor Petrie. — Najwyraźniej przesunęli blokady na północ.

— Co zrobimy? — spytał pan Henschel. — Jeżeli nas zatrzymają, to koniec.

Jeszcze kilka chwil i prawie dotarli do blokady. Pilnowała jej Gwardia Narodowa; autostrada była przegrodzona stojącymi w poprzek ciężarówkami i barierami, na których migąły ostrzegawcze światła. Gdy nadjeżdżający samochód został zauważony, na szosie pojawił się gwardzista w pełnym umundurowaniu, uzbrojony i pomachał ręką. Doktor Petrie zwolnił, aż wreszcie zatrzymał samochód obok żołnierza.

Gwardzista miał przewieszony przez ramię pistolet maszynowy, a jego postawa nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do gotowości użycia broni w razie potrzeby.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Jego wychudła twarz była w cieniu, który rzucał duży, ciężki hełm. W obawie przed zarazą, przezornie nie podchodził zbyt blisko auta.

— Bardzo mi przykro, ludzie — zawołał — ale musicie zawrócić.

— Jestem lekarzem — powiedział doktor Petrie. — Mam przy sobie odpowiednie dokumenty. I stwierdzani, że ludzie, którzy jadą ze mną, są zdrowi.

Gwardzista potrząsnął głową.

— Przykro mi, proszę pana, ale mamy rozkazy, żeby nie przepuszczać absolutnie nikogo, pod żadnym pozorem.

— Ale ja przecież jestem lekarzem — nalegał doktor Petrie. — Wyciągnął z kieszeni legitymację i pomachał nią przed oczyma gwardzisty. — Podróżuję w bardzo ważnej sprawie służbowej i muszę przejechać przez tę blokadę.

Gwardzista zrobił krok do przodu i spojrzał na legitymację. Następnie znów się wycofał i powiedział:

— Niech pan chwilę poczeka. Zobaczę, co się da zrobić.

Siedzieli w samochodzie przez długie pięć minut, zanim strażnik powrócił wreszcie z oficerem. Oficer był wysokim, stanowczym mężczyzną, ostrzyżonym na jeża. Swoje obowiązki przy blokadzie traktował bardzo poważnie.

— Dzień dobry. — Doktor Petrie odezwał się pierwszy. — Nazywam się Leonard Petrie.

Oficer popatrzył na samochód i obszedł go dookoła. Dopiero potem oznajmił:

— Przykro mi, doktorze, będziecie jednak musieli powrócić tam, skąd jedziecie.

— Przecież nie ma dokąd wracać. Całe Miami płonie.

— Nic na to nie poradzę, doktorze. Mam rozkaz zawracać wszystkie samochody, które się tutaj pojawiają.

Doktor Petrie nie znalazł już żadnych argumentów. Popatrzył na oficera i szeregowca, stojących w odległości kilku stóp od samochodu, po czym odwrócił się i spojrzał na pana Henschla.

— Davidzie — odezwał się, po raz pierwszy zwracając się po imieniu do swojego byłego sąsiada. — Czy dasz radę załatwić tego młodego chłopaka?

— Jasne — przytaknął zapytany, niemal nie otwierając ust.

— Skręcę teraz i objadę ich dookoła. A ty zastrzelisz najpierw chłopaka, bo ma automat, a potem dopiero oficera.

— Jestem gotowy.

Doktor Petrie wychylił się przez okno.

— Odjeżdżamy — powiedział do gwardzistów. — Zdecydowaliśmy się zawrócić.

— Leonardzie, proszę, nie zabijajcie ich — szepnęła Adelaide. — Ten żołnierz to jeszcze dziecko. Doktor Petrie odwrócił się i popatrzył na nią.

— Adelaide, musimy ich zabić. Jeżeli tego nie zrobimy, to my zginiemy zamiast nich. Siedź spokojnie i jak najniżej pochyl głowę.

Zwolnił ręczny hamulec i powoli, na pierwszym biegu, zaczął zawracać. Tymczasem pan Henschel oparł strzelbę na jego ramionach i przez okno kierowcy wycelował w żołnierza.

— Teraz! — krzyknął doktor Petrie w chwili, gdy znajdowali się najbliżej gwardzistów.

Huk był niemal ogłuszający! Henschel wystrzelił dwa razy, zabijając obu gwardzistów na miejscu. Doktor Petrie poczuł, jak na jego ramionach podskakuje strzelba, a na kolana opadają mu puste łuski po nabojach. Jeszcze zanim oficer zdążył paść na ziemię, z powrotem wykierował grań torino w kierunku pomocnym i ruszył wprost na drewniane barierki barykadujące szosę.

Samochód uderzył w nie z głuchym łoskotem i odrzucił na boki. Po chwili z pełną szybkością mknął już przez mrok, zmierzając na północ.

— Zdaje się, że było ich tam tylko dwóch — zauważył pan Henschel. — W przeciwnym wypadku, już by nas gonili. Doktor Petrie otarł rękawem pot z czoła.

— Dobrze strzelałeś, Davidzie — powiedział. — Wybawiłeś nas z poważnych kłopotów.

Strzały w samochodzie obudziły Prickles. Zaczęła płakać, domagać się mamy i dopiero pani Henschel ją uspokoiła.

— Mama pojechała na krótkie wakacje — szeptała jej do ucha. — Nie ma mamy, ale popatrz, jest tatuś. Teraz tatuś będzie się tobą opiekował.

Adelaide ciężko westchnęła.

— Och, dobry Boże. Gdyby ktokolwiek powiedział mi w ubiegłym tygodniu, że przydarzy mi się coś takiego, nie uwierzyłabym. Przecież to koszmar.

Leonard milczał, pogrążony w swoich myślach.

Wkrótce dotarli do przedmieść Fort Lauderdale. Do tej pory nie zauważyli ani żadnego samochodu, ani kolejnego stanowiska Gwardii Narodowej. Ponieważ w dalszym ciągu samochód oświetlał drogę jedynie światłami postojowymi, doktor Petrie musiał bardzo wysilać wzrok, wyglądając ewentualnych pułapek. Zaczęła go boleć głowa. Adelaide podała mu puszkę ciepłej coli; przyjął ją z wdzięcznością.

Z autostrady ujrzeli, że w Fort Lauderdale sytuacja jest nie lepsza niż w Miami. Miasto było opustoszałe, pozbawione elektryczności. Na ulicach stały w nieładzie porzucone albo wypalone samochody, gdzieś leżały trupy. W zaledwie kilku budynkach paliły się słabe światła. Było tak cicho, że aż do autostrady docierał słaby szum niezbyt odległego oceanu.

W oddali ujrzeli potężny budynek, stojący przy plaży. Właśnie płonął, a gęste, żółte płomienie strzelały na kilkaset metrów w górę. Pan Henschel bezbłędnie odgadł, że to Holiday Inn Oceanside. Nie było widać ludzi, nic nie świadczyło o tym, że ktoś próbuje ratować hotel.

Skręcili w North Atlantic Boulevard i teraz, niczym podróżnicy w jakimś dziwnym śnie, jechali wzdłuż wybrzeża. Widzieli białe grzywy fal, tańczące po zanieczyszczonej wodzie. Wszyscy byli bardzo zmęczeni i prawie nie odzywali się.

Prickles znów zasnęła i ciężko oddychała przez sen.

Pani Henschel powiedziała wreszcie, że Prickles chyba ma anginę.

— Może ma anginę, ale niewykluczone też jest, że zaraziła się dżumą od Margaret

— stwierdziła Adelaide. — Byłaby to jej wspaniała zemsta z za grobu.

— Adelaide! — zawołał doktor Petrie. — Przecież ta kobieta nie żyje! Daj jej spokój!

Adelaide milczała przez chwilę, po czym odezwała się:

— W porządku, masz rację. Przepraszam.

Krótko przed świtem zatrzymali się na parkingu niedaleko Palm Bay. Na gołej ziemi, pomiędzy palmami, rozłożyli koce i wszyscy zasnęli. Nikt z nich nie wiedział, że nie tylko im udało się uciec z Florydy. Każdy, kto przerwał kordon, uciekał najszybciej, jak tylko mógł, na pomoc. Na pomoc postępową jednak również zaraza. Ocean przez cały czas wyrzucał na brzegi czarną, śmierdzącą maź, a setki zachorowań na dżumę



stwierdzono już tej nocy w Georgii oraz w Północnej i Południowej Karolinie.

Gdy doktor Petrie otworzył oczy, słońce było już wysoko na niebie. Państwo Henschel, Adelaide i Prickles wciąż spali. Doktor Petrie podniósł się na łokciu i rozejrzał dookoła.

Mieli towarzystwo. Przy ich samochodzie kręcili się dwaj nie ogoleni żołnierze Gwardii Narodowej, w mundurach i hełmach. Na oczach mieli okulary przeciwsłoneczne. Obaj wyposażeni byli w automatyczne pistolety, a żaden z nich nie wyglądał na przyjaźnie usposobionego.

— Cześć—powiedział jeden z nich. Beznamiętnie żuł gumę.

Doktor Petrie szturchnął Adelaide, która leżała obok niego. Drgnęła i otworzyła oczy. Gwardziści zbliżyli się i uważnie zlustrowali zaimprovizowane obozowisko.

— Jedziecie na północ? — zapytał jeden z nich. Doktor Petrie nie odpowiedział.

Państwo Henschel akurat obudzili się i teraz patrzyli na niego zaspanymi oczami.

— Odradza się wszelkie podróże na północ — powiedział gwardzista, krążąc między nimi.

— Jest jakiś zakaz? — spytał doktor Petrie. Gwardzista przez chwilę w milczeniu żuł gumę.

— Nie ma — odparł wreszcie. — Ale się odradza.

— Odradza się?

— Tak. Tak nam właśnie powiedziano i to mamy powtarzać.

— Hm... A co byście doradzili? Gwardzista wzruszył ramionami.

— Nie moja sprawa, żeby panu cokolwiek doradzać. Sam pan zdecyduje, co robić.

Czy to pana samochód?

— Należy do przyjaciela.

— Może pan to udowodnić?

— Chyba nie. On nie żyje. Dwa dni temu dopadła go dżuma.

Gwardzista popatrzył na kolegę.

— Czy ktoś z was jest chory? — zapytał.

— Nie sędzę.

— A co z tą dziewczynką? Nie wygląda najlepiej.

— Dostała kataru, to wszystko.

— Na pewno?

— Jestem lekarzem, chyba znam się na tym.

— Skoro pan jest lekarzem, to dlaczego nie pomaga pan gdzieś chorym, zamiast tutaj spokojnie spać?

— Zrobiłem swoje w szpitalu w Miami — odparł doktor Petrie. — W nocy szpital spłonął, tak zresztą jak i całe miasto. Nie zostało mi nic do roboty.

Gwardzistów wiadomość ta nie poruszyła.

— Ma pan rację — powiedział ten, który żuł gumę. — W tej sytuacji nie pozostało już nic do roboty.

Zapadła długa, nieprzyjemna cisza, którą przerwało dopiero pytanie pana Henschla:

— Puściecie nas, czy mamy tu tak siedzieć przez cały dzień?

— Możecie jechać, dokąd chcecie.

— Ale odradzacie nam jazdę na pomoc?

— Tak.

— Czy autostrady są zablokowane? Obaj gwardziści pokiwali głowami.

— Cały stan Floryda został objęty kwarantanną, przyjacielu. Możesz sobie jechać na północ, jeśli zechcesz, ale mówię ci, tu i teraz, że nikt nie jest w stanie przekroczyć granic Florydy — ani żywy, ani martwy. Wszelkie próby to strata czasu.

— Was to chyba też dotyczy — zauważył doktor Petrie. Gwardziści potrząsnęli głowami.

— Nic z tego, doktorze. Cała Gwardia Narodowa jest odporna na dżumę.

Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Odporna? Co ma pan na myśli? Gwardzista zrobił ruch naśladujący wbijanie igły od strzykawki w ramię.

— Zastrzyk. Lekarze mówią, że w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach skuteczny.

Doktor Petrie popatrzył na Adelaide, po czym rozłożył ręce.

— Hmm... Nie wiem, jak wam to powiedzieć — odezwał się do gwardzistów.

— Co takiego?

— Cóż, cokolwiek wam wstrzyknięto, jest to bezużyteczne. Na razie nie istnieją żadne środki, za pomocą których można by kogokolwiek chronić przeciwko tej zarazie.

Gwardziści milczeli.

— Czy próbowaliście już przedostać się z powrotem przez granicę stanu? — zapytał doktor Petrie.

— Jeszcze nie. To nasza pierwsza służba. Doktor Petrie wstał i poprawił na sobie ubranie.

— Przykro mi więc, ale muszę was poinformować, że jest to zarazem wasza ostatnia służba. Nie ma żadnej możliwości uchronienia was przed czarną śmiercią. Na razie wiemy, że atakuje przede wszystkim płuca, nie wiemy jednak, w jaki sposób się przenosi, a już w ogóle nikt nie wie, w jaki sposób ją leczyć.

— Bzdury — stwierdził jeden z gwardzistów, zmarszczywszy czoło.

— Chciałbym, żeby to były bzdury. Niestety jednak, ktoś was nabił w butelkę.

Chodziło chyba o to, żeby zachować resztki prawa i porządku, żeby nie doszło w całym stanie do kompletnego zdziczenia, posłali was więc tutaj, uprzednio wmówiwszy wam, że nie jesteście narażeni na żadne niebezpieczeństwo. A niestety, grozi wam to samo, co wszystkim ludziom na Florydzie, śmierć w okropnych męczarniach.

— To wariat — powiedział drugi gwardzista. — Nie słuchaj go, Cal, to wariat, nabiera nas.

— Mogę pokazać wam legitymację potwierdzającą, że jestem lekarzem. — Doktor Petrie sięgnął do kieszeni i wyciągnął ją przed siebie. Machał nią przed oczyma gwardzistów.

— Ani kroku dalej! — warknął jeden z nich, unosząc automatyczny pistolet.

Jeszcze długo później doktor Petrie nie był w stanie dokładnie uzmysłwić sobie tego, co wówczas nastąpiło. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, zbyt nielogicznie, zbyt nagle. Nie widział, jak David Henschel sięga po swoją strzelbę, jednak odgadł, że to właśnie zrobił. Gwardzista wykonał

błyskawiczny półobrót i puścił serię pocisków w kierunku drzew. Henschel nie zdążył nawet krzyknąć, gdy padł martwy na ziemię. Dwie albo trzy kule trafiły panią Henschel, która przewróciła się, jęcząc, ciężko ranna.

Doktor Petrie działał instynktownie. Czując, że jego najważniejszym zadaniem jest ochrona Prickles, rzucił się przed siebie i wyrwał automat z rąk gwardzisty. Drugi gwardzista wymierzył w jego kierunku swoją broń, jednak doktor Petrie posłużył się jego kompanem jak ludzką tarczą.

Skierował automat w kierunku stojącego samotnie gwardzisty i zażądał:

— Rzuć broń i podnieś ręce do góry.

Mężczyzna zawahał się na moment, jednak zaraz odrzucił automat na ziemię. Pani Henschel wyła z bólu; Adelaide podeszła do niej, chcąc sprawdzić, czy jest w stanie jej pomóc. Prickles stała samotnie pod drzewami, głośno płacząc.

— Odwróć się! — zawołał doktor Petrie do gwardzisty. — I trzymaj ręce nad głową.

Żołnierz wykonał polecenie. Wówczas doktor Petrie odepchnął od siebie jego kolegę i nakazał mu zrobić to samo. Gdy stanęli obok siebie na skraju szosy, podniósł z ziemi drugi automat.

— A teraz — powiedział — jeżeli mi nie pomożecie, odstrzele wam głowy. Gdzie macie bandaże i opatrunki?

— Ja mam w kieszeni — odparł jeden z gwardzistów.

— Włóż więc powoli łapę do kieszeni, ostrożnie wyciągnij opatrunek i odrzuć kawałek za siebie.

Mężczyzna wykonał polecenie. Doktor Petrie podniósł opatrunek, wciąż trzymając broń wycelowaną w swoich jeńców. Następnie cofnął się i uklęknął przy pani Henschel. Wręczył broń Adelaide i powiedział, żeby bez wahania strzelała, kiedy tylko któryś z gwardzistów wykona zbędny ruch.

Z panią Henschel było bardzo źle. Jedna z kul trafiła w klatkę piersiową i utkwiała w lewym płucu. Z każdym oddechem na powierzchni jej sukni pojawiały się czerwone bąbelki krwi. Druga kula strzaskała jej czaszkę za uchem. Nie była w stanie znieść bólu. Minęło jeszcze kilkanaście sekund i jej głośne jęki urwały się. Straciła przytomność.

Pracując tak szybko, jak tylko był w stanie, doktor Petrie oczyścił i obandażował jej rany. Prickles stała za nim i obserwowała go, cicha już, z zaczerwienionymi oczyma.

— Czy pani Henschel umarła, tatusiu? — zapytała. Doktor Petrie spróbował uśmiechnąć się.

— Nie, kochanie, pani Henschel po prostu się skaleczyła. Nic się nie martw, wkrótce wyzdrowieje.

Teraz Prickles wskazała na pana Henschla, leżącego w kałuży krwi.

— A co z nim? Czy on też wyzdrowieje? Doktor Petrie ciężko westchnął i odparł.

— Pan Henschel chyba pójdzie do nieba. Nie żyje.

— Ale czy wróci? — pytało dalej dziecko. Doktor Petrie wstał i odebrał broń Adelaide. Pogłaskał Prickles po głowie.

— Nie, kochanie, on już nie wróci. Dokądkolwiek jednak poszedł, na pewno będzie tam bardzo szczęśliwy.

— Czy on jest teraz aniołem? Ze skrzydłami? Adelaide popatrzyła na Leonarda smutnym wzrokiem.

— Chyba tak — powiedziała. — Jest aniołem i ma skrzydła.

Zebrawali koce i kilka innych drobiazgów, które posłużyły do przygotowania noclegu i schowali wszystko do samochodu. Następnie, podczas gdy doktor Petrie wciąż trzymał na muszce gwardzistów, Adelaide przebrała Prickles w krótką niebieską sukienkę i sandały. Sama włożyła białą koszulkę i dżinsy, a dla Leonarda przygotowała zieloną rozpinaną koszulę i białe spodnie.

Kiedy byli gotowi do drogi, doktor Petrie podszedł do pani Henschel. Znów była przytomna i ciężko oddychała. Uklęknął przy niej i przyłożył dłoń do jej czoła.

— Jak się pani czuje? — zapytał.

— Źle — jęknęła. — Naprawdę źle.

— Czy może pani podróżować?

Zakrztusiła się krwią i spróbowała potrząsnąć głową.

— Niech mnie pan zostawi — powiedziała z trudem. — Jedźcie już i zostawcie mnie.

— Pani Henschel, zabierzemy panią do szpitala, jeżeli jakikolwiek szpital funkcjonuje jeszcze w okolicy... Znów zacharczała i potrząsnęła głową.

— Zostawcie mnie i Davida. David będzie się mną opiekował, prawda, Davidzie?

Doktor Petrie przygryzł wargi i popatrzył na zwłoki Da—vida Henschla.

— Pani Henschel — powiedział łagodnie. — Nie mogę pojechać i zostawić tu pani, żeby pani umarła. Zakrztusiła się i

wypluła trochę krwi.

— Umarła? — zdziwiła się. — A kto tu mówi o umieraniu?

— Musi pani zdać sobie sprawę, że potrzebuje pani opieki. Dave, czy ona potrzebuje fachowej opieki? Zamilkł na chwilę, po czym znów odezwał się:

— Widzi pani? Dave też mówi, że potrzebuje pani opieki. Pani Henschel szeroko otworzyła oczy.

— Niech mi pan pozwoli zobaczyć — powiedziała. — Davidzie, jesteś tam, Davidzie?

Spróbowała unieść się, lecz nagle zaczęła kaszleć, bryzgając daleko od siebie krwią płynącą z ust.

— Nie czuję się najlepiej — powiedziała. — Niech mi pan da minutkę na odpoczynek.

Położyła się, a Leonard i Adelaide czekali. Lekki wiatr poruszał wierzchołkami palm. Gwardziści niepewnie szurali nogami po asfalcie. Niebo było jasnobłękitne.

Gdyby nie absolutna cisza i dziwna pustka na autostradzie, zdawałoby się, że jest to dzień jak każdy inny.

Doktorowi Petriemu na zawsze utkwily w umyśle te chwile: przerażająca cisza na autostradzie przy Palm Bay i oczekiwanie na śmierć pani Henschel.

Odeszła z tego świata bez słowa: w jednej chwili jeszcze oddychała, w następnej już nie. Początkowo doktor Petrie myślał, że zasnęła, ale zaraz stwierdził, że przestała oddychać, a jej prawa ręka powoli otwiera się niczym pogniecione płatki pięknego kwiatu.

Wstał i zbliżył się do gwardzistów, wciąż do nich celując. Był zmęczony i nie ogolony, pod oczyma miał ciemne sińce, a jego



ubranie wciąż nosiło ślady zgniecenia po wyjęciu z walizki. Wiatr rozwiał mu włosy.

— Powinienem was zabić — powiedział. — Powinienem zlikwidować was od razu.

Ten, który żuł gumę, odwrócił się i popatrzył na niego.

— Takie masz prawo, człowieku — powiedział. — Masz broń, to możesz nas zabić.

Doktor Petrie wycelował w jego plecy. Przez chwilę miał autentyczny zamiar zastrzelić obu gwardzistów, chwila ta jednak nie trwała długo. Ogarniająca go gorycz zaczęła ustępować miejsca świadomości, że oni wszyscy, włączając w to gwardzistów, znajdują się w takiej samej sytuacji, której nie są w stanie ani kontrolować, ani zrozumieć.

— Dla naszego bezpieczeństwa — powiedział — życzę sobie, żebyście poszli autostradą kilkaset jardów na południe. My przez ten czas odjedziemy.

— A co z naszą bronią? Nie możemy stracić automatów. Czy pan je również zostawi?

Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Po co wam? I tak długo już nie pożyjecie. To, co mówiłem o nieskuteczności tych zastrzyków, to prawda. A teraz ruszajcie już.

Powiedział do Adelaide, aby razem z Prickles wsiadły do samochodu. Po chwili wrzucił automaty na tylne siedzenie i zasiadł za kierownicą. Włączył silnik i ruszył autostradą numer 1 w kierunku północnym. Za sobą zostawiał dwa trupy i dwóch gwardzistów, którzy w milczeniu przyglądali się odjeżdżającemu samochodowi.

Dzień był jasny i gorący. Po drodze minęli kilka innych samochodów, jednak ich pasażerowie tylko podejrzliwie przyglądali się im zza zamkniętych okien, nie wykazując żadnej ochoty do nawiązania kontaktu. Przy wyjeździe z Melbourne kilkoro autostopowiczów bezskutecznie próbowało zatrzymać jakieś auto, jednak w rowach i na poboczach leżało zbyt wiele zwłok, aby ktokolwiek chciał zaryzykować i zabrać przygodnego pasażera. Przecież wystarczyła kropelka plwociny, powiew oddechu, aby przenieść zarazę, a doktor Petrie nie zamierzał ryzykować życia osób, które kochał, jeżeli czynić tego nie musiał.

Kawałek dalej policja i Gwardia Narodowa ustawiły kolejną blokadę. Doktor Petrie ostrożnie do niej podjechał i zatrzymał się. Do samochodu podszedł wysoki, dobrze zbudowany policjant i powiedział:

— Przykro mi, proszę pana, ale musi pan zawrócić.

Doktor Petrie pokiwał głową. Błyskawicznie ocenił sytuację i stwierdził, że nic innego, niż posłuchanie rozkazu, nie pozostaje mu. Barykadę otaczało siedmiu albo nawet ośmiu policjantów i gwardzistów. Nie było szansy, żeby przebić się przez nią z życiem. Zawrócił grań torino i pojechał z powrotem na południe.

Wszyscy pasażerowie samochodu byli głodni i spragnieni, a dzień robił się coraz bardziej gorący. Klimatyzacja w aucie była popsuta i powietrze w środku stawało się coraz gęstsze. Prickles, przytulona do Adelaide, była czerwona i spocona, doktor Petrie coraz częściej sprawdzał jej puls. Najprawdopodobniej dostała jedynie kataru, ale przecież nie

mógł być tego pewien. Usta miała suche i oddychała z coraz większym trudem.

Kiedy znów mijali Palm Bay, nie było ani śladu po gwardzistach, których zostawili przy parkingu. Niedaleko miejsca, gdzie nocowali, doktor Petrie zjechał z autostrady i grań torino pojechał wąską, pełną kurzu szosą. Tak dotarli do drogi między stanowej numer 95. Wówczas doktor Petrie skręcił znów na północ. Przeciąwszy autostradę numer 192, zaczął zbliżać się do St. Cloud i Lakę Tohopekaliga. Teraz nie natrafiali na żadne blokady ani posterunki, ale ślady zarazy były dosłownie wszędzie. Przy drodze leżały zwłoki, nad którymi latały roje much, a na każdym niemal skrzyżowaniu stały porzucone ciężarówki i samochody osobowe.

Mniej więcej w porze lunchu dojechali do opuszczonej restauracji MacDonalda.

Doktor Petrie zaparkował na zewnątrz i nakazał Adelaide i Prickles czekać w samochodzie, sam tymczasem, z bronią gotową do strzału, sprawdził teren. Przy tylnym wejściu leżały dwa trupy, nad którymi bzyczało pełno much, poza tym jednak wszystko świeciło pustką. Wkrótce cała trójka weszła do restauracji.

Usiedli.

Doktor Petrie wszedł za kontuar w poszukiwaniu pieczywa, mleka, sera i czegoś do picia.

— Są tu lody! — zawołał. — Jednak całkowicie stopione. Ale jeśli chcielibyśmy je wypić, będziemy mieli doskonałą ucztę.

Prickles wciąż miała gorączkę, jednak zjadła bułkę, którą popiła odrobiną mleka.

Doktor Petrie jadł szybko, zachłannie, wciąż wyglądając na pustą szosę przed restauracją.

— No, dobra — powiedział, ocierając chusteczką usta. — Nie był to lunch u Ritza, ale przynajmniej coś zjedliśmy. Adelaide uśmiechnęła się słabo, z przymusem.

— Czy coś jest nie tak? Nie wyglądasz na bardzo zadowoloną. Połknęła resztę sera i dopiero wówczas mu odpowiedziała:

— Bo nie jestem, jeżeli już musisz wiedzieć.

— Dlaczego nie? Adelaide, przeżyliśmy ciężkie chwile, ale to nie powód, żeby tracić dobre samopoczucie. Wybrniemy z tego wszystkiego zobaczysz. Potrzeba jednak trochę optymizmu.

— Cóż — westchnęła, opuszczając wzrok. — Chyba nie stać mnie na to.

Doktor Petrie przyjrzał się jej uważnie.

— Nie rozumiem cię — powiedział. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— A powinieneś — stwierdziła. — Myślę, że Prickles zachorowała na dżumę. Uważam, że powinniśmy ją zostawić.

Doktor Petrie popatrzył na córkę. Jej twarz była purpurowa z powodu wysokiej temperatury. Nie było wątpliwości, że jest chora.

— To niemożliwe! — wybuchnął. — Czy wiesz, co mi proponujesz?

Adelaide wyciągnęła rękę i zacisnęła dłoń na jego pięści.

— Leonardzie — powiedziała. — Wiem, jak ci ciężko, ale to jest kwestia przetrwania. Twojego i mojego przetrwania. Jeżeli Prickles jest zarazona, wszyscy możemy umrzeć. Jeżeli

potrafimy podjąć decyzję i pozostawimy ją gdzieś, w jakimś wygodnym miejscu, wówczas mamy szansę przeżycia.

— Co ty opowiadasz? To szaleństwo! Chyba postradałaś zmysły. Prickles jest moją córką.

— Twoją i Margaret. Pochylił się ku Adelaide.

— To dlatego? To dlatego chcesz, żebym ją zostawił? Dlatego, bo jest córką Margaret?

— Och, Leonardzie, nie o to mi chodzi. Po prostu uważam, że jeśli mamy zrobić wszystko, żeby przetrwać, to zrobimy naprawdę wszystko. Wszystko! Postępujemy wobec siebie tak, jak wobec innych ludzi.

Doktor Petrie nie wiedział, co powiedzieć. Przez chwilę w milczeniu głąskał rozpalone czoło córki.

— Leonardzie — nalegała Adelaide. — Nie chcę widzieć, jak umierasz, a sama też chcę żyć!

Powoli, ważąc w myślach każde słowo, doktor Petrie odpowiedział jej:

— Gdyby cię dopadła ta zaraza, kochanie, z pewnością nie pozostawiłbym cię na pastwę losu. Nie dziw się więc, że nie opuszczę również Prickles.

Adelaide westchnęła i zaczęła bębnić palcami w blat stolika.

— W tej sytuacji, to ja od was odejdę. Przykro mi, Leonardzie, kocham cię. Ale jeszcze bardziej kocham życie. Doktor Petrie otarł dłonią spocone czoło.

— W gruncie rzeczy, nie mogę cię powstrzymać. Nie mam do tego prawa. Jeżeli cię to interesuje, to również cię kocham.

— Ale Prickles kochasz bardziej. Zmierzył ją wzrokiem i powiedział:

— Nie próbuj żadną miarą porównywać moich miłości, Adelaide, to nie ma sensu.

Powiedziałem, że cię kocham, i tylko ja wiem, jak mocno. Jeżeli chcesz ode mnie odejść, nie stanę na twojej drodze, chociaż nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mnie rani ta twoja decyzja. Chcę, żebyś jednak była realistką. Prickles jest sześćioletnią dziewczynką i jest moją córką. Żaden ojciec na moim miejscu nie pozostawiłby córki, aby umarła w męczarniach i w osamotnieniu.

Prickles popatrzyła na Adelaide, potem na swego ojca i jeszcze raz na Adelaide.

— Czy ja umrę? — zapytała. Doktor Petrie otoczył ją ramieniem.

— Oczywiście, że nie, kochanie. Tak sobie po prostu gadamy.

— Właśnie, że rozmawiamy bardzo poważnie — zaprzeczyła Adelaide. — Posłuchaj, Leonardzie, nie jestem egoistyczną, nieczułą idiotką. Kocham cię i proszę... Co jeszcze mam powiedzieć? Kocham cię i chcę, żebyś żył!

— Czy zostanę aniołkiem? — zapytała Prickles.

— Nie, kochanie, nie będziesz aniołkiem — odparł Leonard Petrie.

Wstał, podnosząc karabin automatyczny. Adelaide nie ruszyła się; nerwowo grzebała plastikowym nożem w resztkach jedzenia.

— Adelaide, bardzo chciałbym, żebyś nadal podróżowała z nami — powiedział doktor Petrie. — Naprawdę uważam, że Prickles nie jest chora na dżumę i bardzo chcę, abyś nas nie opuszczała.

— Nigdy nie przyznałbyś, że Prickles zaraziła się, prawda? Przecież jesteś kochanym i kochającym ojcem.

W milczeniu doktor Petrie ujął Prickles za rękę i poprowadził ją na zewnątrz, do samochodu. Było już po południu i na dworze panował okropny żar. Słońce, odbijające się od betonu, oślepiało. Wszedłszy razem z Prickles do samochodu, doktor Petrie uruchomił silnik. Adelaide wciąż siedziała w restauracji. Jej twarz była niewidoczna przez przyciemnioną szybę McDonalda.

Doktor Petrie czekał, z silnikiem samochodu pracującym na wolnych obrotach, przez pięć minut. Adelaide wciąż trwała przy stoliku, nie poruszając się.

— Czy Adelaide nie pojedzie z nami, tatusiu? — zapytała Prickles.

Doktor Petrie zmęczonym ruchem otarł pot z czoła.

— Nie, kochanie — odparł. — Myślę, że nie.

Zwolnił ręczny hamulec i powoli zaczął jechać przez parking w kierunku szosy.

Przy wyjeździe zwolnił i jeszcze raz popatrzył w lusterko. Adelaide wciąż siedziała przy stoliku, nawet nie spoglądając w kierunku odjeżdżającego samochodu. Doktor Petrie oblizał usta, wjechał na szosę i mocniej przycisnął pedał gazu. Miał ochotę gorzko zapłakać, lecz w oczach zabrakło mu łez.

Adelaide spędziła prawie godzinę na przygotowaniach do samotnej ucieczki z Florydy. Na tyłach McDonalda zauważyła opuszczoną deltę 88, z kluczykami w stacyjce i pełnym zbiornikiem paliwa. Podjechała przed restaurację, po czym

załadowała bagażnik konserwami zjedzeniem, na które natknęła się w kuchni.

Zabrała też trochę służbowych ubrań McDonalda, na wypadek, gdyby musiała przebrać się w coś czystego.

Była już prawie gotowa do odjazdu, gdy jakiś dźwięk kazał jej unieść głowę i nasłuchiwać. Początkowo nie mogła być pewna, jednak wkrótce odległy dźwięk stał się wyraźniejszy i bardziej dobitny. Unoszony przez wiatr, nie pozostawiał wątpliwości, że jest to warkot szybko zbliżających się motocykli. Prędko zapakowała resztę swego wyposażenia i zatrzasnęła bagażnik. Hałas motocykli rósł z każdą chwilą i wkrótce nie było wątpliwości, że jest ich pięć albo sześć i że podróżują bardzo szybko. Adelaide wskoczyła na fotel kierowcy i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Starter zaskoczył, silnik jednak milczał. Adelaide w panice zaczęła naciskać na pedał gazu, jednocześnie przytrzymując kluczyk, aż wreszcie elektryczny silniczek startera zawył w proteście.

Motocykle były już tak blisko, że słyszała ich warkot mimo zasuniętych szyb w samochodzie. Pot zalewał jej twarz. Klimatyzacja nie miała prawa zadziałać, dopóki nie zaskoczy silnik i Adelaide siedziała teraz jakby w saunie na siedzeniach z rozgrzanego plastiku.

Na łuku szosy pojawił się pierwszy motocykl. Był ogromny, a prowadził go muskularny Anioł Piekieł, w ciemnych okularach, z rozwianymi włosami i w kurtce nabijanej metalowymi napami. Adelaide otworzyła drzwiczki samochodu, szybko wyskoczyła na zewnątrz i pobiegła do McDonalda.



Aniołowie Piekieł całą piątką wjechali na parking z dzikim warkotem motocykli.

Adelaide dobiegła do restauracji i spróbowała zamknąć drzwi na klucz. Niestety, nie było ani śladu klucza, poza tym zamek był wyłamany. Zdesperowana, głośno oddychając z wyczerpania, postanowiła zablokować wejście ciężkimi stolikami.

Na zewnątrz, Aniołowie Piekieł zaparkowali motocykle, wyłączyli silniki i powoli zeszli z siodełek. Ściągnęli kurtki i kaski, po czym powoli ruszyli w kierunku restauracji.

Adelaide szybko pobiegła do kuchni i spróbowała tylnych drzwi. Były otwarte.

Wyjrzała na zewnątrz i ujrzała ciała, które wcześniej widział doktor Petrie.

Krążyły nad nimi roje much. Poza tym jednak było tu pusto. Za sobą usłyszała, jak Aniołowie kopniakami otwierają drzwi restauracji.

Wstrzymując oddech, Adelaide wyszła na zewnątrz i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Następnie, tak szybko, jak tylko potrafiła, przebiegła dziedziniec i znalazła się na tylnym parkingu. Wciąż rozglądała się na prawo i lewo, jednak najwidoczniej nikt jej nie obserwował.

Niestety, już gdy zaczynała oglądać samochody, dojrzał ją jeden z Aniołów, który wyłonił się zza rogu budynku. Był to wysoki blondyn o długiej brodzie, ubrany jedynie w dżinsy i buty do jazdy na motocyklu. Z szyi zwisał mu ciężki złoty łańcuch.

Serce Adelaide podskoczyło do gardła. Zaczęła biec przed siebie, na oślep, byle jak najdalej od tego osobnika. Była już niemal przy rogu restauracji i już miała skręcić, gdy kolejny Anioł pojawił się przed nią. Był rudy, muskularny, w przepoconej purpurowej koszulce. Adelaide zdążyła odwrócić się i pobiegła na przełaj przez dziedziniec, w kierunku jakichś odległych zabudowań.

Coraz gorzej widziała. Przez pot, spływający na oczy, jasne słońce, rozgrzany beton, lśniące, opuszczone samochody zlewały się w jedno. Za sobą słyszała oddechy dwóch mężczyzn, goniących ją w zupełnej ciszy. Słyszała uderzenia podkutych butów o beton, słyszała szcęk złotych łańcuchów. W oddali majaczyły wysokie palmy i białe, niczym oazy, spokojne budynki.

Złapał ją blondyn. Przez chwilę słyszała jego oddech obok siebie, a w następnym momencie już spadła na nią jego ciężka ręka i szarpnąwszy jej ramieniem, spowodowała, że upadła na twarde, rozgrzany beton. Anioł stanął nad nią, złapał ją za dłonie i postawił na nogi. Przycisnął ją do siebie. W milczeniu przypatrywali się sobie, pocąc się i ciężko oddychając.

Gdy blondyn był już w stanie złapać oddech, oblizał wargi i powiedział:

— No i popatrz, Trumbo! Wreszcie mamy coś smacznego! Cóż za wspaniała, dorodna kózka! Jak ci na imię, ślicznotko?

Adelaide nie odpowiedziała mu. Wciąż ciężko oddychała, wyczerpana biegiem ponad siły. Bolały ją ręce w miejscach, w których Anioł zaciskał swoje łapy.

— Milczka, co? — stwierdził Anioł. — Nic się nie martw, ślicznotko, takie właśnie lubimy. Prawda, Trumbo?

Rudy Trumbo, wciąż ciężko oddychając, skinął głową i odchrząknął na znak zgody.

Zaczęli iść z powrotem w kierunku MacDonalda. Pozostali trzej Aniołowie oczekiwali już przy tylnych drzwiach, obserwując ich i jednocześnie osłaniając oczy przed słońcem. Adelaide mechanicznie stawiała kolejne kroki.

Szef Aniołów z uznaniem zmierzył Adelaide wzrokiem, gdy dwaj kompani przyprowadzili ją przed jego oblicze.

— No i proszę, panowie, upolowaliście smakowity kawałek mięska — pochwalił ich.

— Sam miałbym kłopoty ze znalezieniem czegoś lepszego. Masz jakieś imię? — zapytał dziewczynę.

— Adelaide.

— Bardzo ładnie. Mnie nazywają Kapitanem. Ten tam to Trumbo, a ten, który ściska twoje rączki, ma na imię Fritz. Pozostali to Okey i Sbarbaro. Jesteśmy swego rodzaju zespołem, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

Adelaide milczała.

— Mam nadzieję, że nie myślisz, iż jesteśmy wstrętni — kontynuował Kapitan.

— Zapewniam cię, że nie zamierzamy uczynić ci żadnej krzywdy.

Adelaide popatrzyła mu w oczy. Mimo zderającego ją strachu starała się mówić spokojnie:

— Puśćcie mnie, proszę.

— Puścić cię? — powtórzył Kapitan. — Uważasz to za dobry pomysł?

— Chcę stąd odejść — powiedziała Adelaide cicho. — Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Kapitan potrząsnął głową, udając ogromne zmartwienie.

— To nie jest takie łatwe, jak myślisz — powiedział zamyślonym głosem. —

Widzisz, cała ta historia z dżumą wszystko postawiła na głowie. Gliniarze zaczęli pomagać chorym ludziom i w efekcie sami się pochorowali: niewielu już ich pozostało na chodzie. A to oznacza, że tacy faceci, jak my, mają wreszcie święty spokój.

Jesteśmy spokojni i żywi i teraz my odpowiadamy za cały porządek dookoła.

— Puśćcie mnie — powtórzyła Adelaide. Zaczęła płakać. Kapitan delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

— Proszę cię, nie wprowadzaj się w paskudny nastrój — powiedział. — Puścimy cię, oczywiście, musisz jednak wiedzieć, że najpierw pragniemy, żebyś doświadczyła z nami swoich praw.

Jeden z Aniołów zaczął chichotać. Kapitan spojrzał na niego niby to karcącym, lecz w gruncie rzeczy wesołym spojrzeniem.

— Każdy ma jakieś prawa, moja droga — kontynuował Kapitan uspokajającym głosem.

— Ty masz prawo powiedzieć “tak”, chciałabym zabawić tych dżentelemenów, lub powiedzieć “nie”, nie chcę tego uczynić.

Adelaide czuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

— Co się stanie, jeżeli nie zechcę? — zapytała. Kapitan wbił w nią spojrzenie.

— Taki problem nigdy nie istnieje. Wszystkie mówicie “tak”.

Adelaide przestała płakać i przyjrzała się mu. Nastąpiła długa chwila ciszy. Z dala dobiegały odgłosy sporadycznych strzałów karabinowych.

— Nie obchodzi mnie, co mówią inne — oznajmiła wreszcie.

— Ja mówię “nie”.

Kapitan słabo pokiwał głową.

— W porządku — powiedział. — Jak sobie życzysz. To twój przywilej odmówić.

Zacisnął dłonie w pięści, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Przywykli do brutalności Trumbo i Fritz zawlekli jaz powrotem do restauracji, przez kuchnię, i pchnęli na jedną ze ścian. Stała przy niej, drżąca, przerażona, z wytrzeszczonymi oczyma. Po chwili podszedł do niej Kapitan. Stał bardzo blisko i ujął w garść jej koszulkę pod brodą. Widziała strugę potu na jego górnej wardze, czuła jego ciężki, śmierdzący, bydlęcy zapach. Jego dłonie były gwałtowne i silne; na środkowych palcach nosił ciężkie, złote sygnety z trupimi główkami.

— Ostatnie słowo? — zapytał cicho. Adelaide zamknęła oczy. To się musiało stać, tak czy inaczej, i “tak” czy “nie” było bez znaczenia.

— W porządku więc — powiedział Kapitan i rozdarł jej koszulkę jednym gwałtownym, szybkim ruchem, obnażając jej piersi.

Próbowała osłonić się ramionami, ale użył swej siły i zaczął brutalnie bawić się piersiami, ściskając je, ciągnąc, szczypiąc

brodawki.

— Och, mój Boże — jęknęła Adelaide. — Proszę cię, nie rób tego.

Chwycił w pasie jej dzinsy i rozerwał je. Spróbowała się wyrwać, ale Okey i Trumbo przytrzymali ją za ręce i niemal przykleili do ściany, podczas gdy Kapitan ściągał jej spodnie.

Kiedy była zupełnie naga, wszyscy Aniołowie otoczyli ją i śmiejąc się głośno, dotykali. Nie mogła się bronić. Stała jedynie bez ruchu, patrzyła na nich i łkała, skamlała. Nie było najmniejszego sensu krzyczeć. Była sama z tymi zwierzętami w świecie, w którym nikt nie mógł jej usłyszeć, nikt nie mógł — i nie chciał — obronić, w świecie, gdzie los drugiego człowieka nikogo nie interesował.

Kapitan powoli rozpiął zamek błyskawiczny swych dzinsów i wydobył penis. Był sztywny i czerwony; Kapitan dzierżył go w dwóch palcach, prezentując go Adelaide.

— Czy jesteś gotowa na przyjęcie specjału Kapitana? — zapytał cichym głosem.

Oderwali ją od ściany i przycisnęli jej twarz do któregoś ze stolików. Jej piersi zwisały swobodnie przed blatem, stała na nogach szeroko rozwartych.

Próbowała odegnąć z umysłu myśli o tym, co się z nią właśnie dzieje, próbowała przywołać do siebie przyjemne wspomnienia, na przykład dzieciństwa w Maine, twarz matki...

Kapitan wbił się w nią. Jego członek zdawał się przerażająco wielki i pierwsze pchnięcie sprawiło Adelaide tak wielki ból, że przygryzła język. Brutalne dłonie Kapitana błędziły po jej piersiach i udach, przyciągając jej ciało, w miarę jak członek

posuwał się w niej rytmicznie. Nie mogła nic zrobić, nie mogła się bronić, mogła jedynie biernie stać i mieć nadzieję, że to się kiedyś skończy.

Zgwałcili ją wszyscy, jeden po drugim, i zabrało im to półtorej godziny. Po godzinie nie musieli już jej nawet przytrzymywać, ponieważ leżała, oparta tułowiem na stoliku, obojętna na wszystko, co się wokół niej dzieje, co z nią robią. Potem nawet nie usłyszała, kiedy było już po wszystkim, jak wyszli z restauracji i odjechali na swych głośno warczących motorach. Leżała na stoliku bez ruchu, a tymczasem świat powoli zaczął ogarniać mrok.

Niedługo po północy, w pierwszych minutach czwartku, doktor Petrie i Prickles przekroczyli Suwannee River drogą numer 75, niecałe trzydzieści mil od linii wyznaczającej granicę stanu Georgia. Była czarna, pochmurna noc. Jechali z szybami nisko opuszczonymi, czując ciepły nocny wiatr na twarzach.

Od czasu, gdy rozstali się z Adelaide, nie mieli żadnych problemów z blokadami na drogach. Jadąc przez Clermont, Gainesville i Lakę City, widzieli jedynie opuszczone domy, zwłoki, nad którymi krążyły uparte i niezliczone muchy, oraz płonące samochody. Jeżeli ktokolwiek przeżył zarazę w tej części Florydy, dawno już uciekł na pomoc.

Prickles wciąż była blada i pociła się, jednak jej puls jakby się ustabilizował.

Poza tym łatwiej już oddychała. Doktor Petrie wciąż był przekonany, że zachorowała jedynie na letnią gripę. Ból, jaki sprawiłaby mu teraz jej śmierć, mógłby okazać się zabójczy i dla niego.

Często spoglądał we wsteczne lusterko, sprawdzając, czy mimo wszystko Adelaide nie jedzie za nim. Za Clermont ujrzał zgraję motocyklistów, skręcili jednak na zachód ku

Groveland, zanim dobrze się im przypatrzył. Na wszelki wypadek trzymał w pogotowiu karabin zdobyty na gwardzistach, każdy mógł okazać się wrogiem — policjanci, Aniołowie Piekieł czy zwykli złodziejaskowie. Północna Floryda była w tej chwili jednak bardziej grobem niż dziką dżunglą.

W ciągu czterdziestu pięciu minut po północy, używając jedynie świateł postojowych, dotarł do granicy stanu. Zanim zobaczył przed sobą cokolwiek innego, ujrzał światła reflektorów. Dwie mile przed nim autostrada była jasno oświetlona. Na otaczające ją drzewa i krzaki co chwilę rzucano badawcze strumienie silnych reflektorów. Znow Gwardia Narodowa. Pilnowali, aby nikt nie zdołał przekroczyć granicy stanu, uznanego już za martwy.

Zatrzymał samochód na poboczu, wyłączył silnik i przetarł oczy. Przekroczenie granicy stanu okazywało się o wiele trudniejsze, niż się tego spodziewał. Do tej pory, przypuszczał, całe siły Gwardii Narodowej, którym wyznaczono zadanie powstrzymania exodusu mieszkańców Florydy, ciągnących wraz z zarazą, na północ, zapewne cofnięte już zostały do granicy stanu i tam ustawione. Floryda, z jedynie dwudziestką dróg łączących ją z kontynentalną Ameryką, nie sprawiała trudności w odcięciu od świata.

— Prickles — wyszeptał — prześpij się. Myślę, że musimy poczekać do rana, a dopiero potem ruszymy dalej.



Prickles od dawna była śpiąca i poza snem niczego chyba w tej chwili nie pragnęła, nie pozwalał jej jednak spać na wypadek, gdyby znienacka wpadli w jakieś kłopoty. Przez całą drogę z Lake City mówił coś do niej i śpiewał, byleby tylko nie zasnęła.

Teraz momentalnie opadły jej powieki i po minucie już twardo spała. Zmierzył jej puls. Był normalny.

Zasunął szyby w samochodzie, pozostawiając jedynie jedną wąską szparkę dla wentylacji, i rozłożył fotel, aby samemu trochę odpocząć. Od ciągłego siedzenia za kierownicą czuł się zmęczony i zeszywniały. Przez pięć minut odnosił wrażenie, że nie zaśnie; wydarzenia minionych dni wciąż krążyły przed jego oczami.

Potem jednak opadły mu powieki i wkrótce twardo spał, z głową opuszczoną na piersi, jakby się modlił.

Cztery godziny później obudził go chłód panujący w aucie. Uniósł głowę i zamrugał oczyma. Czuł, jakby na karku ktoś położył mu stalową szynę. W stopach w ogóle nie miał czucia. Popatrzył na Prickles, która wciąż spała, głośno oddychając, a potem wyjrzał na zewnątrz. Był wczesny, szary poranek.

Znajdował się bliżej granicy, niż do tej pory przypuszczał. Wyraźnie widział, milę z przodu, barykadę wzdłuż autostrady. Było jednak jeszcze zbyt szaro, żeby mógł ocenić, ilu strażników wartowników. Nie miał wątpliwości, że wielu.

Wysiadł z samochodu i przeciągnął się. Następnie otworzył bagażnik i wyciągnął trochę żywności: ser, pudełko krakersów i puszkę soku pomarańczowego. Przez moment z zadumą przypatrywał się rakiecie tenisowej i butom sportowym

Adelaide, wrzuconym do bagażnika, zaraz jednak zatrzasnął maskę i starał się wymazać Adelaide z pamięci. Przez całe wczorajsze popołudnie martwił się o nią i zastanawiał się, czy nie powinien jednak po nią wrócić. W zarazie tkwiło jednak coś, co nakazywało odrzucać normalne do tej pory uczucia i wartości, normalne sentymenty. Zapewne wokół było zbyt dużo” śmierci, aby rozmyślać o miłości.

Zbudził Prickles. Ziewnęła i potrząsnęła główką jak małe zwierzątko. W ciszy jedli krakersy i popijali sokiem pomarańczowym. Patrzył na nią, na swą córkę i z goryczą rozmyślał, na jaki kazał jej przyjść świat. Za niecałe pół godziny będą próbowali przedrzeć się przez granicę stanu, a to oznaczało, że za niecałe pół godziny oboje mogą już nie żyć, zastrzeleni przez Gwardię Narodową.

— Najadłaś się? — zapytał, kiedy dopiła resztkę soku.

— Zjadłabym jeszcze grzanekę — odparła, zupełnie poważnie. Uśmiechnął się słabo.

— Ja także — odparł. — Wiele dałbym teraz za dobrą grzanekę.

Posprzątał po posiłku, strząsnął resztki ze swych pogniecionych spodni, a potem ruszył kawałek przed siebie autostradą w nadziei, że przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł na skuteczne przejechanie granicy. Osłonił oczy przed porannym słońcem, które właśnie wstawało, jednak nie dostrzegł żadnego ruchu na barykadzie.

Widział jedynie pojazdy Gwardii Narodowej i drut kolczasty. Pomyślał, że najlepiej będzie porzucić torino i spróbować przejść granicę polami, na wschód od barykady.

Potem mógłby wraz z Prickles wyjść na drogę 41 i postarać się o następny samochód. Straciłby na to cały poranek, przede wszystkim ze względu na Prickles, której raczej nie było stać na szybki marsz, było to jednak bardziej racjonalne rozwiązanie niż samobójczy atak na barykadę. Nawet gwardzistom zdarzały się czasem celne strzały.

Powrócił do torino, włączył silnik i zjechał z autostrady pomiędzy rzadkie palmy. Przewiesił karabin przez ramię, szybko napełnił torbę puszkami soku pomarańczowego i żywnością, po czym uklęknął przed Prickles, wciąż siedzącą w samochodzie, aby założyć jej na nogi turystyczne buty.

— Czy będziemy musieli iść? — zapytała. Wyglądała o wiele lepiej, niż poprzedniego dnia, wciąż jednak była jeszcze bardzo blada.

— Niestety, tak. Nie chcesz chyba skończyć jako aniołek, prawda?

— Nie chcę. Nie lubię aniołków.

Oddalając się od autostrady, ruszyli na pomoc, w kierunku granicy stanu Floryda.

Wiatr powoli rozwiewał chmury i dzień robił się coraz gorętszy. Szli obok siebie: wysoki mężczyzna i mała dziewczynka. Kilkakrotnie zatrzymywali się i doktor Petrie wyjmował kamyki z butów Prickles.

W pewnej chwili usłyszeli dochodzący z autostrady odległy warkot samochodu, który nadjeżdżał z południa. Doktor Petrie odwrócił się i osłonił oczy. Słońce odbiło się od przedniej szyby nadjeżdżającego samochodu, a szum jego silnika był coraz głośniejszy.

Samochód jechał niezbyt szybko; kierowca najwyraźniej zamierzał przyspieszyć przed barykadą i przebić ją z impetem. Doktor Petrie koniecznie chciał zobaczyć, co się stanie, jak wielu gwardzistów pojawi się, żeby zatrzymać auto, jakiej użyją broni.

Biegiem ruszył w kierunku autostrady i nagle, rzuciwszy uważne spojrzenie na sylwetkę kierowcy zakurzonej delty 88, zrozumiał, kto prowadzi samochód.

— Adelaide! — krzyknął i zaczął wymachiwać rękami. — Adelaide!

Ani go nie zobaczyła, ani nie usłyszała. Jechała w kierunku barykady i wkrótce do niej dotarła. Doktor Petrie ujrzał, jak rozbłyskują czerwone światła oznaczające, że zahamowała. Zatrzymała deltę przy jakimś pojeździe Gwardii Narodowej i tam czekała.

Doktor Petrie wybiegł na autostradę i zagryzając wargi, obserwował barykadę z niepokojem. Mijały długie minuty, a nie wyłaniał się ani jeden gwardzista.

Ujrzał, jak Adelaide wysiada z samochodu i rozgląda się dookoła.

Minęło jeszcze pięć minut, zanim zrozumiał, co się wydarzyło. Szybko powrócił do Prickles, a potem, z nią na rękach, pobiegł do ukrytego torino. Usiadł za kierownicą, włączył silnik i w białej chmurze kurzu wjechał z powrotem na autostradę.

Dojechał do barykady i zatrzymał się. Adelaide wciąż tam stała, rozglądając się dziwnie zamglonym, nieobecny wzrokiem, opierając się dłonią o maskę delty.

Wysiadł i podszedł do niej.

Odwróciła się. Jej twarz była pokaleczona, a wargi spuchnięte. Włosy miała w kompletnym nieładzie. Ubrana była jedynie w czerwony fartuch ze znaczkiem McDonalda na kieszeni. Jej oczy spojrzały na niego, jakby miała trudności ze skupieniem wzroku.

— Adelaide — powiedział cicho. Podszedł bliżej i wyciągnął ku niej ramiona.

Wciąż patrzyła na niego, jakby był kimś obcym.

— Adelaide... to ja, Leonard. Milczenie.

— Adelaide, co się stało?

Opuściła oczy. Łzy ciekły po jej policzkach i kapwały na czerwony fartuch.

— Och, Leonardzie — jęknęła. — Leonardzie, tak mi przykro.

Ujął ją za rękę. Drżała mimo gorąca i najwyraźniej nie była w stanie powstrzymać tego drżenia.

— Przykro ci? Adelaide, co ci się stało? Kto cię doprowadził do tego stanu?

— Przepraszam cię — łkała. — Och, jak mi przykro. Przepraszam cię.

— Adelaide... — powiedział.

Ale w tej samej chwili przywarła do niego całym ciałem i zaczęła płakać, głośno, desperacko. Nie był w stanie zrobić nic innego, jak tylko trzymać ją w swoich objęciach i powoli uspokajać. Prickles tymczasem siedziała w samochodzie i obserwowała ich oboje ze zmarszczonym czołem.

Strażnicy z Gwardii Narodowej byli bardzo młodzi i wszyscy nie żyli. Zaraza zaatakowała ich w nocy. Ich poskręcane ciała

leżały wokół posterunku.

Doktor Petrie upewnił się, że Adelaide i Prickles są w od— l powiedniej odległości, gdy obchodził barykadę i oglądał ze | dwadzieścia trupów. Na usta założył przepaskę na wypadek, | gdyby nie był tak odporny na zarazę, jak to sugerował doktor :i Selmer. Barykada śmierdziała ludzkimi wydzielinami i śmiercią, a krążyły nad nią setki much.

Obok jednego z młodych gwardzistów znalazł otwarty portfel, a w nim fotografię uśmiechniętej kobiety, która zapewne była matką chłopaka. A przecież to nie była wojna i matka z całą pewnością nie czekała w domu zaniepokojona, aż jej syn powróci z pola bitwy. Jeżeli mieszkała na Florydzie — z pewnością już nie żyła. Zaraza nie wybierała.

Skończywszy oględziny barykady, doktor Petrie szybko usunął przeszkodę z drewnianych kłoców i kolczastego drutu. Następnie podszedł do delty 88, którą zdecydował się podróżować zamiast torino. Jej klimatyzacja działała bez zarzutu, a w baku było przynajmniej dwa razy tyle benzyny co w torino. Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Adelaide spróbowała uśmiechnąć się do niego.

— Bezsensem jest wystawianie wartowników przeciwko dżumie.

— Chyba tak — przytaknęła Adelaide.

— Dlaczego ci mężczyźni pozwalają, żeby muchy chodziły im po twarzach? — niespodziewanie spytała Prickles. Doktor Petrie popatrzył na nią.

— Oni nie żyją, kochanie. Są martwi, więc nie ma to już dla nich żadnego znaczenia.

— Ja nie pozwolę muchom chodzić po mojej twarzy, nawet jak będę już martwa.

Doktor Petrie spojrział z powrotem na drogę. Milczał.

Wjechali do Georgii we wczesnych godzinach rannych w czwartek i już na samym początku przekonali się, jak błyskawicznie rozszerza się zaraza. Poruszali się drogą 75 w kierunku Atlanty, lecz nawet jadąc w kierunku północno—zachodnim, z dala od zanieczyszczonych wschodnich wybrzeży, napotykali na trupy na poboczach, dopalające się zgliszcza domostw, porzucone samochody, zrabowane sklepy i mnóstwo innych śladów gwałtu, grabieży, przemocy i nieszczęścia.

Przez długie godziny Adelaide siedziała w milczeniu, z głową opartą o szybę samochodu. Doktor Petrie nie zadawał pytań. Zgadywał, co się wydarzyło, mimo że Adelaide niczego nie powiedziała. Już wcześniej widywał ofiary gwałtów i wiedział, że tym, czego Adelaide potrzebuje w tej chwili najbardziej, jest spokój.

Jechał bardzo szybko i po jakimś czasie zaczął wyprzedzać inne samochody, w większości duże rodzinne chevy i fordys, wypełnione ludźmi i dobytkiem. Zadziwiające, co ludzie w desperacji zabierali ze sobą, uciekając przed zarazą. Zdarzyło się ciężkie pianino na małej przyczepie campingowej, a nawet buda dla psa.

Wszyscy uciekali na północ albo na zachód. Podróżowali z zasuniętymi do samej góry bocznymi szybami samochodów i niechętnie spoglądali na boki, na innych nieszczęśników. Blade, napięte twarze, zamknięte w klatkach pojazdów. Z każdą chwilą ruch stawał się coraz większy i podróż coraz wolniejsza.

Wreszcie, jakieś dwadzieścia albo trzydzieści mil przed Atlantą, samochody utknęły w gigantycznym korku, rozpościerającym się na sześciu pasmach autostrady.

— Och, Boże — jęknęła Adelaide ochryple. — Co teraz zrobimy?

Doktor Petrie pomasował obolały kark i wzruszył ramionami.

— Nic nie poradzimy. Może niedaleko jest jakiś zjazd, wtedy spróbujemy pojechać bocznymi drogami.

Najbardziej przerażający w tym korku był fakt, że kierowcy umierali na dżumę w swych pojazdach. Doktor Petrie widział przerażone matki i dzieci, wykrzykujące przez okna wołania o pomoc, gdy ojcowie—kierowcy konali w męczarniach. Samochody jechały jednak już tak gęsto, że nie sposób było otworzyć drzwiczek. Poza tym każde opuszczenie samochodu przez zdrowego człowieka oznaczało nierozważne porzucenie azylu, który dawał nadzieję uchronienia przed zarazą..

Adelaide spała przez dwie godziny i kiedy się obudziła, f wyglądała trochę lepiej. Podczas gdy samochód bardzo powoli f posuwał się do przodu, przygotowała posiłek, składający się f z konserw warzywnych i coca—coli oraz soku pomarańczowego. Nad sznurami pojazdów zaczęły krążyć helikoptery. Ponad hałasem przez nie wywoływanym, przebijały się apele z umocowanych na nich gigantofonów nawołujące, aby kierowcy, którzy czują się źle, spróbowali zjeżdżać na pobocza autostrady. Nie było sposobu, aby powstrzymać exodus ludzi uciekających przed zarazą i nikt nawet tego nie próbował.



Wewnątrz swego klimatyzowanego samochodu doktor Petrie, Adelaide i Prickles odbierali tę podróż jako dziwaczny sen. Drzewa i znaki drogowe mijali z taką powolnością, że wprost męczyło patrzeć na nie i odczytywanie ich znaczeń.

Natomiast spoglądając przed siebie, widzieli jedynie szeroką rzekę dachów samochodowych, lśniących w popołudniowym słońcu. Widok za nimi był identyczny.

Ruch tej rzeki coraz częściej hamowany był przez samochody, które się zepsuły albo wypaliły całą benzynę, a kierowcy nie mieli możliwości uzupełnienia paliwa.

Tylko paralizujący strach powstrzymywał uczestników tego przerażającego konwoju przed wybuchem paniki. Zdarzały się jednak ataki wściekłości i irracjonalne zachowania. Doktor Petrie zauważył starego buicka, który niespodziewanie strącony został z autostrady przez dwa inne samochody. Buick stoczył się po nasypie i przewrócił na dach. W środku ugrzęzła czteroosobowa rodzina, bezradna, zdana tylko na siebie. Nikt nie mógł, ani też nie usiłował, im pomóc.

Zaczęli nasłuchiwać wiadomości radiowych. Początkowo radio trzeszczało i sygnał zanikał; jasne było, że najbliższy nadajnik znajduje się bardzo daleko. To Adelaide pierwsza odgadła, jakiej stacji słuchają. Był to dziennik radiowy z Waszyngtonu. Fale radiowe były osłabione i rozproszone przez dzielące ich od stolicy wysokie szczyty Appalachów.

W końcu udało się ustawić radio tak, że biuletyn stał się słyszalny:

“...jak dotąd nie odnotowano zachorowań na dżumę dalej na północ niż Wildwood na Cape May, w stanie New Jersey, jednak

ponad siedemdziesiąt mil plaż na południowym wybrzeżu Long Island zostało zamkniętych krótko przed południem, ze względu na nieczystości, które zostały wyrzucone przez fale oceanu. Zakazana została kąpiel morska od Long Beach, również od Rockaways w Queens, w kierunku wschodnim aż do zachodnich krańców Hamptons, w Suffolk County”.

“W głębi kontynentu zanotowano dwa przypadki zarazy w Baltimore. Patrząc w kierunku południowym, zaraza w dużym stopniu wdarła się na teren Georgii, Południowej i Północnej Karoliny, Wirginii i na niektóre obszary Marylandu.

Prezydent wciąż, wbrew radom swoich doradców, pozostaje w Waszyngtonie, oczywistym jest jednak, że podlega ścisłej ochronie i kwarantannie. Na trawniku przed Białym Domem wciąż dyżuruje helikopter, którego załoga gotowa jest do podjęcia natychmiastowych przedsięwzięć ewakuacyjnych...”

“Specjalna Komisja do Spraw Epidemii, powołana przez prezydenta w dniu wczorajszym, ogłosiła miasto Nowy Jork strefą ścisłej kwarantanny, ze względu na gęstość zaludnienia i nieprzewidziane wręcz konsekwencje wybuchu właśnie tam zarazy... Wszelkie próby wjazdu na Manhattan Island będą ograniczane i kontrolowane przez specjalne oddziały paramilitarno—medyczne. W razie konieczności Manhattan zostanie całkowicie odcięty od świata”.

Doktor Petrie wyłączył wreszcie odbiornik.

— Nie wygląda to dobrze — powiedział. — Być może powinniśmy skręcić na zachód.

Kiedy miniemy Atlantę, moglibyśmy skierować się na Birmingham albo na Chattanooga.

Adelaide milczała. Doktor Petrie zaklął, gdy jadący za nimi wielki brązowy mercury po raz dwudziesty uderzył w ich tylny zderzak.

Prickles, która do tej pory drzemała na tylnym siedzeniu, otworzyła zaspane oczy i odezwała się:

— Czy już jest czas na Batmana? Doktor Petrie przecząco potrząsnął głową.

— Nawet Batman nic nam nie poradzi, kochanie. Ugrzęźliśmy wśród tych samochodów.

Prickles wyjrzała na zewnątrz, rozczarowana.

— A może byśmy wrócili do domu? — zapytała. Doktor Petrie odwrócił się i ujął jej dłoń.

— Przez bardzo długi czas nie będziemy mogli powrócić do domu, kochanie. W tej chwili musimy szukać sobie innego domu. Dla ciebie, dla mnie i dla Adelaide.

Prawda, Adelaide?

Adelaide popatrzyła na niego i powiedziała cicho:

— Czego tylko zechcesz, Leonardzie. Prickles była usatysfakcjonowana tą wymianą zdań, doktor Petrie jednak spochmumiał.

— To nie było podobne do ciebie, Adelaide—powiedział.

— Co takiego? — zapytała, nie rozumiejąc go.

— To, że się ze mną zgodziłaś. Zwykle, chociażby z przekory, przeczysz wszystkiemu, co mówię. Wbiła wzrok w podłogę samochodu.

— Cóż — wyszeptała. — Ludzie się zmieniają, prawda?

— W jaki sposób?

— Pewnego dnia można się obudzić i stwierdzić, że sens ma tylko zgoda.

Nie próbował jej dotykać. Na to będzie jeszcze czas. Teraz zamierzał jedynie spowodować, żeby powiedziała mu, co się wydarzyło.

— Jak to się stało? — zapytał, tak cicho, że jego słowa były zaledwie odrobinę głośniejsze niż oddech. Uniosła głowę.

— Czy to było w tej restauracji? W MacDonalddie? Powoli odwróciła głowę i popatrzyła na niego. W jej oczach lśniły łzy.

— Ty wiesz — powiedziała, potrząsając głową. — Skąd wiesz?

— Jestem lekarzem, Adelaide, co więcej, jestem mężczyzną, który cię kocha i który cię dobrze zna.

Łzy swobodnie już popłynęły po jej policzkach. Nie była w stanie nic powiedzieć, zresztą, nie potrzebowała mówić. Oparła głowę o ramię doktora Petriego i cicho płakała.

Prickles popatrzyła na nią z niejakim zainteresowaniem i powiedziała:

— Adelaide płacze, tatusiu. Czy jest chora?

Doktor Petrie uśmiechnął się.

— Nie, kochanie, nie jest chora. Wręcz przeciwnie, uważam, że właśnie zupełnie wyzdrowiała.

Kłęby czarnego dymu unoszące się nad Atlantą ujrzeli, zanim zobaczyli zabudowania samego miasta. Wieczór był ciepły i bezwietrzny, w związku z czym dym nad miastem unosił się niczym potężny, czarny słup. Gdy w powolnym wężu samochodów dotarli wreszcie bliżej miasta, mogli wreszcie zobaczyć płonące zabudowania przedmieść. Nie było wątpliwości, że Atlanta w całości jest zniszczona.

Doktor Petrie znów włączył radio w nadziei, że usłyszy jakieś ważne wiadomości, z głośników dobiegały jednak wyłącznie gęste trzaski.

— Może wyjedziemy wreszcie z tej autostrady i spróbujemy bocznych dróg — zasugerowała Adelaide. — Podróż w tym sznurze traci sens.

— Dobrze, spróbujemy — zgodził się doktor Petrie. — Zdaje się, że niedługo będzie zjazd.

Najtrudniejszym zadaniem było przecięcie dwóch gęstych sznurów pojazdów po ich lewej stronie. Po długim dniu powolnej jazdy cal po calu, w gorączce, chmurze spalin i wśród szalejącej zarazy, nie było wielu kierowców, którzy zechcieliby przepuszczać innych, przecinających prostą drogę. Doktor Petrie otworzył okno i zaczął dawać znaki, że chce zjechać na bok, jednak na wiele się to nie zdało. Po chwili uderzył karoserią w samochód jadący z boku.

Jego kierowca, starszy grubas o czerwonej twarzy, podróżujący z całą rodziną, z miejsca obrzucił go stekiem najgorszych przekleństw. Nie otworzył jednak okna.

Był zbyt przestraszony możliwością zarażenia się dżumą.

— Przepuść nas! — krzyknęła Adelaide. — Chcemy tylko zjechać z tej autostrady.

Mężczyzna za kierownicą nie miał najmniejszego zamiaru jej wysłuchać. Siedział i gapił się przed siebie, jakby nic dookoła nie istniało. Przez długich pięć minut dwa samochody jechały obok siebie, trąc się karoseriami.

Wreszcie doktor Petrie ciężko westchnął i sięgnął po automatyczny karabin.

Uniósł go i wystawił lufę przez otwarte okno, celując prosto w głowę grubasa.

Czekał. Mężczyzna, który wciąż go ignorował, początkowo nie zorientował się, co się dzieje. Wreszcie jego równie tłusta żona spojrzała w bok, zamarła i szturchnęła go. Grubas popatrzył w kierunku delty i ujrzał karabin, wycelowany prosto w jego łeb. Nagle przestraszony, nacisnął na hamulec tak gwałtownie, że samochód jadący za nim, wpadł na jego tył.

Doktor Petrie, w jednej ręce trzymając karabin, a drugą kierując, w ciągu minuty przejechał dwa pasy ruchu. Następnie znalazłszy się na wąskim poboczu, przyspieszył, wzbijając białe tumany kurzu. Wkrótce skręcił w wąski zjazd z autostrady. Samochód zaczął trząść się i podskakiwać na nierównej drodze, wkrótce jednak rzeka samochodów sunących na północ pozostała daleko z tyłu.

Wąska, wyboista droga wiała się wśród pól, zielonych drzew i nielicznych zabudowań.

Ujrzeni przed sobą czerwonawe słońce wczesnego wieczoru, niewyraźne, spowite przez dym, a za sobą odległą autostradę, sprawiającą wrażenie, że jest to błyszczący łańcuch, dzięki tysiącom zapalonych świateł w samochodach. Przez otwarte okno do pojazdu wdzierał się zapach spalenizny, zmieszany z wieczornym zapachem świeżej, wilgotnej zieleni.

Doktor Petrie nie miał pojęcia, dokąd prowadzi ta wiejska droga, był jednak gotów jechać nawet przez pola i strumienie, jeżeli zaszłaby taka konieczność.

Jego jedynym celem była ucieczka jak najdalej na zachód, wyprzedzenie błyskawicznie rozprzestrzeniającej się zarazy.

Przypuszczał, że wciąż znajduje się w ogarniętym przez nią terytorium. Dopóki z niego nie ucieknie, istniała groźba natknięcia się na czujną Gwardię Narodową, grasujących bandytów, spanikowanych kierowców, no i na źródła zarazy.

Zapadł zmrok i musiał zapalić przednie światła samochodu. Niebo przybierało ciemnobłękitną barwę, ćmy coraz częściej uderzały w szybę. Prickles znów spokojnie spała z tyłu, owinięta w koc, a Adelaide zaczynała układać się wygodniej do drzemki.

— Leonardzie — odezwała się w pewnym momencie — zastanawiam się...

— Hmm?

— Chodzi mi o tę zarazę. Zastanawiałam się, dlaczego cię jeszcze nie zaatakowała. Pokiwał głową.

— Sam dużo o tym myślałem. Przecież w Miami, głównie w szpitalu, byłem tak narażony na zarażenie się, jak mało kto. Poza tym byłem wówczas słaby, zmęczony.

A mimo to wciąż jestem zdrowy. I ty także.

— Och, w moim przypadku to po prostu szczęście — stwierdziła Adelaide. — Jeśli jednak chodzi o ciebie, niczego nie rozumiem. Doktor Selmer także był zdrowy, kiedy wyjeżdżaliśmy, prawda? Przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Obaj, zdaje się, dotykaliście tego chłopca, który był pierwszą ofiarą, z jaką się zetknęliście. To było w poniedziałek rano, prawda? Gdyby logicznie pomyśleć, to obaj powinniście zarazić się od niego.

Doktor Petrie poprawił się w fotelu. Droga była coraz węższa i zaczynał podejrzewać, że w pewnym momencie się po prostu

skończy. Kilka gałęzi otarło się o bok samochodu. Coraz trudniej było odgadnąć, gdzie jest droga, gdzie pobocze, a gdzie po prostu szczerze pole.

— Zastanawiam się nad tym już od początku — powiedział. — Najpierw pomyślałem, że chłopaka zaatakowała mniej złośliwa postać choroby, która stała się antidotum dla najzłośliwszej odmiany, która właśnie niszczy Stany Zjednoczone. Ale w takim wypadku David by nie umarł. Poza tym, dlaczego zmarli jego rodzice? Co z innymi ludźmi, którymi opiekowałem się wraz z Antonem? Dlaczego nie zaraziliśmy się od nich? Jedyłą odpowiedzią jest przypuszczenie, że Anton i ja uczyniliśmy coś, co uodporniło nas na zarazę. Część naszej pracy, coś, co robiliśmy w szpitalu, podczas leczenia ludzi, zabezpieczyło nas. Nie pytaj mnie jednak, co to było, ponieważ absolutnie nie mam pojęcia.

— Cokolwiek to było, dziękujemy Bogu — westchnęła Adelaide. Wyciągnęła dłoń i dotknęła doktora Petriego. — Leonardzie — powiedziała — bardzo cię Kocham, wiesz?

Nie opowiedział.

— Wiem, że w pewnych okolicznościach to brzmi niedorzecznie, ale naprawdę Kocham cię — powtórzyła. Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— To zawsze brzmi dorzecznie, Adelaide — powiedział. — A teraz nic już nie mów i trochę wypocznij.

Pocałowała go w policzek, po czym odsunęła do tyłu oparcie fotela i ułożyła się wygodnie do snu. Leonard postanowił jechać tak długo, jak długo będzie to miało jakiś sens, po czym zatrzymać samochód i samemu przespać się kilka godzin.



Droga wciąż była ledwo widoczna, a jednak chciał wyrwać zarazie tak wiele mil, jak tylko się da.

Prowadząc auto, znów powrócił myślami do natarczywego pytania, dlaczego sam ustrzegł się dżumy. Przecież to nie była zwyczajna czarna śmierć, do czynienia miał z jej błyskawicznie rozprzestrzeniającą się odmianą, atakującą ludzi z taką szybkością i gwałtownością, że nawet surowica aplikowana pół godziny po zarażeniu nie dawała żadnych szans utrzymania pacjenta przy życiu. Zresztą, nie istniała w tej chwili żadna efektywna surowica. Dlaczego więc on sam i doktor Selmer uciekli zarazie? Być może, gdyby był w stanie odpowiedzieć na to pytanie, potrafiłby zwolnić i wreszcie zatrzymać rozwój epidemii. Byłoby to wielkie osiągnięcie...

Czy może obaj byli chorzy na coś, czego bakterie obroniły ich przed tą superzarazą? Musiało ich coś łączyć, jakiś wspólny element, którego wykrycie doprowadziłoby do rozwiązania zagadki. Zanim jednak byłby w stanie tworzyć jakąś teorię, potrzebował więcej faktów, więcej danych.

Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Głośno chrzęściły i brzęczały insekty; zdawało się, że samochód dojechał do kresu cywilizacji. Doktor Petrie nie był już nawet pewien, czy jedzie na zachód, czy na wschód. Postanowił zatrzymać samochód na noc i przespać się.

Zahamował w końcu pod dużym rozłożystym drzewem. Gdy wyłączył silnik, zapanowała cisza niemal dzwoniąca w uszach. Powyłączał wszystkie światła i wysiadł z samochodu, żeby się rozprostować. Dookoła rosły drzewa — gęste, ciche i ciemne.

Usłyszał z oddali odgłos lądującego samolotu. Aż dziwne wydawało się, że gdzieś tam, daleko od strefy zarazy wciąż trwa normalna cywilizacja, normalne życie, że w Nowym Jorku, w Chicago i w St. Louis ludzie regularnie budzą się i chodzą spać, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

Otworzył tylne drzwiczki, aby upewnić się, czy Prickles ma wystarczająco wygodnie. Następnie ściągnął buty, przygotowując się do snu w fotelu za kierownicą i spędzenia kolejnej niewygodnej nocy w roli gościa General Motors.

Nagle usłyszał suchy trzask. Coś przebiło przednią szybę samochodu i wyleciało z niego, rozbijając również boczną szybę w przednich drzwiczkach pasażera.

Błyskawicznie opadł na liściasty grunt i sięgnął ręką do samochodu po karabin.

Adelaide obudziła się, wyprostowała i zapytała:

— Leonardzie? Co się stało?

— Padnij! — szepnął, podkreślając polecenie ruchem ręki. — Głowa jak najniżej.

Ktoś na nas poluje.

Włączył instalację elektryczną i natychmiast nacisnął na przycisk opuszczający boczną szybę w drzwiach kierowcy. Następnie, używając drzwiczek jako osłony, naśladując policjantów, których oglądał w telewizji, uniósł broń i wyjrzał do przodu.

Panowała absolutna cisza. Nic się nie działo. Wytrzeszczył oczy, nie miał jednak szansy nic zobaczyć. Na wszelki wypadek wypalił dwukrotnie w ciemność, przed siebie, i nasłuchiwał, lecz po tych strzałach cisza zdawała się jeszcze głębsza.

Długie minuty, podczas których nic się nie działo, przerwał wreszcie czyjś chrapliwy głos, bardzo blisko samochodu:

— Odlóż karabin na ziemię i powoli podnieś ręce do góry.

Doktor Petrie zaklął w duchu. W czasie, który stracił na wpatrywanie w ciemność i bezsensowne strzelanie, przeciwnik okrążył go.

Położył karabin i powoli wstał, z rękami uniesionymi nad głową. Nie mógł widzieć napastnika. Noc była zbyt gęsta, poza tym ten w ogóle się nie ruszał.

— Jedziesz ze wschodu, co? — zapytał mężczyzna, z typowym akcentem prowincjonalnej Georgii.

— Jesteśmy zdrowi, jeśli o to panu chodzi — odparł doktor.

Mężczyzna roześmiał się bez wesołości.

— Może jesteście zdrowi, a może nie. Tej zarazy nie można zobaczyć, prawda? Ani w dzień, ani w nocy.

— Nie robimy nic złego. Po prostu tędy przejeżdżamy.

— Wiem — potwierdził mężczyzna. A jednak was nie przepuszczę.

— Dlaczego nie? Co pan przez to zyska? Mężczyzna znów się roześmiał.

— Bardzo dużo, proszę pana. Skorzystam na tym, ja i moja rodzina i wszyscy ludzie na zachód stąd. Tutaj, właśnie tutaj, znajduje się granica zarazy. Ja i wielu innych ochotników z okolicy utworzyliśmy ochotniczy komitet w celu zabezpieczenia granicy, przeciwko wszystkim, którzy zechcą pokonać ją ze wschodu. Sami decydujemy o tym, czy przetrwamy, czy nie. I postanowiliśmy, że będziemy strzelać do wszystkich intruzów i ich zabijać. Dam wam jednak szansę.

Możecie nawrócić i pojechać tam, skąd przybywacie.

— A jeśli tego nie zrobimy?

— Zrobicie.

— Przypuśćmy jednak, że nie.

— Cóż. — Mężczyzna był bardzo cierpliwy. – Jeśli mimo wszystko nie zechcecie zawrócić, będę musiał was jednak zastrzelić.

— A jeżeli ja zastrzelę pana pierwszy?

— Nic z tego.

— A jeśli jednak?

Nastąpiła cisza, którą nagle przerwał zupełnie inny głos, dobiegający z gęstych krzaków.

— Panie, jeżeli pan zastrzeli Harry'ego pierwszego, może pan być pewien, że zginie pan jako drugi, z mojej ręki. Doktor Petrie opuścił rękę.

— W porządku — powiedział. — Myślę, że wygraliście. Czy mogę jednak spędzić tutaj noc. Mam ze sobą małą dziewczynkę i nie chciałbym jej obudzić.

— Wynoś się pan stąd do diabła! — krzyknął Harry.

— A jeżeli odmówię? Nie, nie odpowiadajcie, wiem, że nas wtedy zastrzelicie. W

porządku, odjeżdżamy. Doktor Petrie pochylił się, żeby podnieść karabin.

— Proszę to zostawić — powiedział Harry.

— Chwileczkę—zaprotestował doktor Petrie.—Jeżeli mam wrócić tam, gdzie panuje zaraza, nie mogę jechać bez broni.

— Niech pan to zostawi.

Doktor Petrie pozostał w bezruchu przez pięć albo sześć sekund, pochylony nad bronią, leżącą na ziemi. Mrugał oczyma i wypatrywał w ciemności najmniejszego chociażby śladu obecności Harry'ego. Drugi osobnik na razie się nie liczył, ponieważ wystarczyło paść na ziemię, żeby znaleźć się poza zasięgiem jego ognia.

— No dalej, człowieku — zniecierpliwił się Harry. — Zostaw broń i wynoś się stąd. Nie zdobyłem dotąd żadnego medalu za cierpliwość i wcale nie zamierzam teraz na niego zasłużyć.

Doktor Petrie zauważył wreszcie króciutki błysk. Mogły to błysnąć oprawki okularów, na które na moment padł blask słabego księżyca lub coś innego.

Cokolwiek to było, w zupełności wystarczyło. Padł na ziemię, szarpnął za automat, przekulnął się o sto osiemdziesiąt stopni i oddał serię dokładnie w miejsce, w którym zauważył błysk.

Rozległ się strzał z dubeltówki i na boku delty rozprysł się nabój śrutowy.

Doktor Petrie wsunął się pod samochód i wystrzelił kolejną serię w kierunku, z którego padł strzał do samochodu. Kule mogły, ale wcale nie musiały trafić napastnika.

I znów zapadła cisza. Szybko wydostał się spod samochodu i wszedł do środka, trzymając głowę jak najniżej.

— Nic ci nie jest? — zapytała Adelaide. — Czy trafiłeś ich?

Doktor Petrie włączył silnik, szaleńczo manewrując odwrócił samochód o sto osiemdziesiąt stopni i jak szalony wyrwał do przodu. Wreszcie z tyłu odezwała się dubeltówka. Wystarczył jeden strzał i tylna szyba delty 88 zrobiła się biała jak mleko. Samochód jechał niemalże na oślep i minęły prawie dwie

minuty, zanim doktor Petrie uznał, że są już bezpieczni, że można włączyć światła.

Adelaide podniosła się. Od pewnej śmierci przy pierwszym strzale uratowało ją tylko to, że miała opuszczony fotel. Pric—kles nie spała, była jednak tak zmęczona, że nie miała siły nawet płakać. Nic jej się nie stało. Strzały z dubeltówki nie uszkodziły też wnętrza samochodu.

— Czy słyszałaś, co on powiedział? — rzucił doktor Petrie.

— O ochotnikach?

— Właśnie. Wygląda na to, że granicę zarazy wyznaczono przed Appalachami i każdy, kto zechce ją przekroczyć, naraża się na śmierć. Być może ci ochotnicy mają jakieś federalne poparcie. Sytuacja rozwija się tak błyskawicznie, że jest to całkowicie możliwe.

— Co teraz zrobimy?

— Powinniśmy spróbować w innym miejscu, jednak szansa na przekroczenie granicy w samochodzie jest mizerna. Może spróbujemy szczęścia na północy? Jedźmy do Nowego Jorku. Jeżeli będziemy trzymać się bocznych dróg, stracimy dwa albo trzy dni, jednak gra jest warta świeczki; zdaje się, że wkrótce Nowy Jork pozostanie jedynym, wolnym miejscem od zarazy.

Adelaide zmęczonym ruchem przetarła oczy.

— Tak chyba będzie najlepiej. Ale na razie znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli zatrzymać się, wykąpać i zjeść coś ciepłego. Jeżeli wkrótce nie wydostanę się z tego wstrętnego fartucha, prześmierdnę nim do końca życia.

Doktor Petrie uśmiechnął się do niej w ciemności.

— Mam ten sam problem.

Adelaide ponownie ułożyła się do snu w rozłożonym fotelu, starając się znaleźć wygodną pozycję w trzęsącym samochodzie.

Świtało już, gdy delta 88 wynurzyła się spomiędzy drzew, sunąc ku autostradzie.

W baku było coraz mniej benzyny i znalezienie stacji paliw było teraz podstawowym problemem. Dopiero potem, z pełnym zbiornikiem, podróż do Nowego Jorku stanie się realna.

Adelaide ziewnęła.

— Jak myślisz, uda się nam? Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Może tak, może nie. Zależy, jak szybko będzie się rozszerzać zaraza. Prawdę jednak mówiąc, bardziej boję się teraz ludzi niż dżumy.

Popatrzyła na niego. Przez długą chwilę milczała.

— Tak — powiedziała. — Doskonale rozumiem, co masz na myśli.

## ROZDZIAŁ 2

Esmeralda zastanawiała się właśnie, gdzie umieścić resztę obrazów Marka Bronowskiego na jego autorskiej wystawie, gdy do galerii wkroczył Charles Thurston III. Nie było wątpliwości, że ubrał się całkowicie na 5 Alei. Miał lekką marynarkę z wełny koloru kremowego i kapelusz o szerokim rondzie. Ściągnął okulary przeciwsłoneczne i zatrzymał się przed jedną ze ścian, ostentacyjnie podziwiając płótna.

— Proszę, proszę — rzuciła Esmeralda. — Czyżbym miała przyjemność z samym Charlesem Thirstym Trzecim?

Charles uśmiechnął się słabym, wystudiowanym uśmiechem.

— Thurstonem, jeśli chodzi o ścisłość. Jeśli mamy zostać przyjaciółmi, nie powinnaś mylić mojego nazwiska.

Esmeralda, w ciemnoczerwonym kostiumie, umieszczała ostami hak w zielonej ścianie galerii.

— Kto powiedział, że mamy być przyjaciółmi? — zapytała. W ustach zaciskała jeszcze kilka małych, stalowych haków.

— Mam nadzieję, że jednak się zaprzyjaźnimy.

Esmeralda zawiesiła obraz i wyprostowała go. Stanowił gmatwaninę kolorów: czerwonego i żółtego, w różnych odcieniach. Charles Thurston postąpił krok do przodu i uważnie odczytał tytuł obrazu na metalowej tabliczce.

— To ma być Coney Island? — zdziwił się. — Przypomina raczej piekło w upalny dzień.

— Nie widzę różnicy — stwierdziła Esmeralda.



Zabrała młotek i skrzyneczkę z narzędziami i ruszyła w kierunku swojego eleganckiego gabinetu, całego w bieli, znajdującego się na tyłach galerii.

Charles Thurston podążył za nią. Znalazłszy się w gabinecie, przysiadł na skraju biurka.

— Jesteś niezwykle pewny siebie — zauważyła Esmeralda.

— Jasne. Oto ja, sławny pisarz, zajmujący się tylko sztuką, i ty, piękna dama, prowadząca własną galerię. Pasujemy do siebie jak dwie krople wody.

Esmeralda roześmiała się. Stwierdziła, że Charles Thurston jest trochę przesadnie elegancki i nadmiernie wygadany, było jednak w nim coś, co się jej spodobało. W końcu był przystojny i sprawiał wrażenie, że jak już znajdzie się z kobietą w łóżku, nie zmarnuje czasu. Esmeralda lubiła takich mężczyzn.

— No i co? — zapytała, sięgając do ozdobnego pudełka z papierosami. — Czyżbyś przyszedł tutaj, żeby kupić jakiś obraz? Bronowski jest młody, pełen twórczej energii i, co najważniejsze, wciąż stosunkowo tani.

— Czy to dlatego, że go jeszcze nikt nie odkrył, czy raczej został zauważony, ale nikt go nie chce?

— Nie bądź cynikiem. To nowa fala w gwaszu\*. No, śmiało, kup któryś z jego obrazów.

— A jeżeli kupię, czy zjemy razem lunch? Esmeralda prowokacyjnie spuściła rzęsy na oczy.

— Czy to jeden z warunków kupna? — zapytała. Charles Thurston roześmiał się.

— Ile jest wart ten twój młody, pełen twórczej energii i tani artysta?

— Jak dla ciebie, pięćset dolarów.

Esmeralda nie podniosła wzroku. Oto przeprowadzała swój ulubiony test. Cena była zaporowa i jeżeli Charles Thurston uważał, że pięćset dolarów to zbyt wiele, żeby poznać ją, Esmeraldę, bliżej, powinna od razu zgasić cały jego entuzjazm.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Charles Thurston bez słowa wyciągnął z kieszeni książeczkę czekową i szybko, złotym, ręcznie wykonanym piórem, wypisał żadaną przez nią kwotę. Przez chwilę machał czekiem w powietrzu, żeby wysechł atrament, następnie płynnym ruchem podał go Es—meraldzie. Zdziwiła się, gdy ujrzała, że opiewa aż na tysiąc dolarów.

— To za dużo — powiedziała, marszcząc czoło. Charles Thurston wzruszył ramionami.

— Jaki jest sens kupować tylko jeden obraz? Mam jeszcze wolne miejsce po obu stronach drzwi do mojego saloniku. Myślę, że pan Bronowski będzie tam doskonale pasował.

Wstał i schował pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki.

\* Gwasz — jedna z technik malarskich (przyp. tłum.).

— Może kiedyś kupię jeszcze więcej — powiedział. — Sądzę, że te dzieła ożywiłyby moją sypialnię. Esmeralda uśmiechnęła się.

— Bronowski maluje raczej krajobrazy, a nie erotyki — zauważyła.

— Nikt nie jest doskonały — stwierdził Charles. — No, a teraz może poszlibyśmy coś zjeść?

Esmeralda stanęła przed lustrem. Poprawiła makijaż i fryzurę, po czym oznajmiła, że jest gotowa.

— Czy słyszałaś jakieś nowe wiadomości na temat epidemii dżumy? — zapytał Charles Thurston, kiedy taksówką jechali przez miasto.

— Nic konkretnego. Ojca bardzo to wszystko denerwuje.

— Naprawdę?

— Czyżbyś nie słyszał o rozprawie w sprawie kradzieży patentu z bakteriologii?

Ojciec postawił przed sądem pewnego perfidnego Fina, jednak ten doprowadził do przerwania procesu właśnie ze względu na tę epidemię na południu, twierdząc, że w tej chwili wszyscy bakteriologowie powinni walczyć z zarazą, a nie procesować się.

Charles Thurston pokiwał głową.

— Rozumiem — powiedział. — Zdaje się, że ta zaraza to bardzo poważna sprawa, prawda? Władze ustawiły gliniarzy przy Tunelu Lincolna i na moście na 59 Ulicy.

Zawracają wszystkich, którzy na samochodach mają tablice rejestracyjne z Południa.

— Żartujesz.

— Ani mi się śni. Sam to widziałem dzisiaj rano. Złapali jakiegoś faceta w furgonetce z tablicami z Marylandu i zawrócili go z powrotem. W radiu podawali, że powstał plan całkowitego odizolowania Manhattanu.

Esmeralda założyła nogę na nogę.

— Sama nie wiem, co o tym sądzić — westchnęła. — Odnoszę jednak wrażenie, że władze cokolwiek przesadzają. Charles Thurston roześmiał się.

— Cieszę się, że chociaż ktoś jest optymistą. Tym bardziej, że jest to córka jednego z najsłynniejszych bakteriologów w tym kraju.

— Pasierbica.

— Czy to jakaś różnica?

— Żebyś wiedział. Dokąd zabierzesz mnie na lunch?

— Znam pewne wyjątkowo małe bistro. Ceny są tam astronomiczne, natomiast jedzenie wprost okropne.

— Jak ono się nazywa?

— “Chez—moi”.

— Masz na myśli to samo “chez—moi”, w którym są puste miejsca po obu stronach drzwi do salonu i sypialnia, którą należałoby ożywić dziełami sztuki?

— Zgadłaś — odparł Charles Thurston, z czarującym uśmiechem na ustach.

Esmeralda nie wyglądała na zaskoczoną.

— W takim razie — powiedziała — każ taksówkarzowi zawrócić i zawieźć mnie z powrotem do mojej galerii. Słyszałam coś o uwodzicielach, którzy działają z prędkością błyskawicy, ty chyba jednak przesadziłeś.

— Rozumiem, że chcesz przez to powiedzieć, iż nie zdążyłaś jeszcze sprawdzić, czy mój czek ma pokrycie.

— Chcę powiedzieć, panie Thurston, że ja nie jestem obrazem z galerii. Nie można mnie ot tak kupić za tysiąc dolarów, żeby wypełnić pustą przestrzeń w łóżku.

— Czyżbyś mnie nie polubiła?

— Polubiła? Ja cię przecież nawet nie znam. Charles Thurston westchnął.

— No dobrze, skoro nie chcesz zjeść ze mną lunchu, masz do tego pełne prawo. Ale przyjedź chociaż i popatrz na to wszystko. Wszystko przygotowałem sam — zimną zupę, wędzoną rybę, sałatki i mrożony, najdroższy szampan w okolicy.

— Dobrze — odparła Esmeralda po chwili wahania. — Obejrzę sobie twoje dzieła kulinarne. Ale na nic więcej nie licz.

Wysiedli z taksówki na rogu bocznej, ale bardzo eleganckiej ulicy. Była to taka dzielnica, w której mieszkają starzy ludzie, zbyt zmęczeni życiem, aby u jego kresu przeprowadzać się, mimo że wokół panoszy się coraz więcej biedoty i ludzi z marginesu.

— Dziwne miejsce — powiedziała Esmeralda, rozglądając się.

Wszedłszy do jednej z kamienic, pojechali pięć pięter w górę starą, żelazną windą, która przez całą drogę drżała, szarpała i trzeszczała.

Mieszkanie Charlesa Thurstona było bardzo drogo urządzone, w typowo skandynawskim stylu, co zaskoczyło Esmeraldę. Było tu dużo szkła, drewna i naturalnych kamieni. Dominował biały i brązowy kolor, a wszystkie narzuty i obicia wykonane były z tkanej wełny i skóry.

— To nie jest podobne do ciebie — powiedziała, siadając na miękkiej kanapie ze skóry koloru jasnego orzecha.

— Czego się napijesz? — zapytał.

— Wódki i martini z lodem.

Przygotował drinki i podał jeden Esmeraldzie. Upiła mały łyk. Napój był zimny i smakował tak nietypowo, jak nietypowe było całe mieszkanie Charlesa Thurstona.

— Dlaczego twierdzisz, że to mieszkanie nie jest w moim stylu? — zapytał.

— Ty jesteś ciepły, uśmiechnięty, a w mieszkaniu dominuje surowość i chłód.

Wyobrażałam sobie, że żyjesz pomiędzy starannie dobranymi antykami, a spacerujesz po pięknych indiańskich dywanach.

Podszedł do okna.

— A jednak wolę tę surowość. W mieszkaniu najważniejsi są ludzie, którzy tu żyją i się kochają. Nie chcę, żeby nawet najcudowniejsze przedmioty odwracały w tym mieszkaniu uwagę od ludzkiego piękna, które uważam za najważniejsze.

— Twoja sprawa. Wiedz jednak, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Charles Thurston odwrócił się od okna i uśmiechnął się do Esmeraldy.

— Czy zechcesz teraz zobaczyć lunch, którego nie zamierzasz zjeść? — zapytał.

— Z przyjemnością.

Ujął ją za rękę i poprowadził do jadalni. W taksówce mówił prawdę. Stół

zastawiony był dla dwóch osób. Wzrok Esmeraldy przyciągnęła przede wszystkim ręcznie zdobiona szwedzka zastawa z porcelany.

— Cóż — powiedziała. — Muszę przyznać, że nie czuję się oszukana.

Charles Thurston podrapał się w głowę.

— A może chociaż usiądziesz przy stole i popatrzysz, jak ja jem? — zapytał. W jego głosie brzmiała delikatna kpina, która wcale nie podziałała na Esmeraldę negatywnie.

Nie potrafiła powstrzymać chichotu.

— W porządku — powiedziała. — Ponieważ jednak nie chciałabym być niegrzeczna, zgadzam się, żebyś poczęstował mnie odrobiną ryby i talerzykiem zupy.

— I kieliszkiem szampana? Esmeralda uśmiechnęła się.

— Wypiję również kieliszek szampana.

Charles Thurston zadzwonił małym dzwoneczkiem stojącym na stole. Tego Esmeralda się nie spodziewała, chociaż po chwili doszła do wniosku, że to przecież oczywiste, iż młody człowiek z jego pozycją musi mieć służbę.

Przysunął jej krzesło i usiadła. Sam usiadł naprzeciwko, włożył serwetkę pod brodę i uśmiechnął się.

Służąca, jak wszystko dookoła, była niezwykła. Kiedy weszła z wazą zupy, Esmeralda rzuciła na nią szybkie spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Charlesa, by sprawdzić, czy jej wejście odmieniło chociażby na moment wyraz jego twarzy. Nic takiego nie nastąpiło.

Dziewczyna była czarna, włosy miała spięte w wysoki kok, a na głowie miała srebrną przepaskę. Była nieprawdopodobnie piękna. Miała głębokie, duże oczy i szerokie usta o doskonałym kształcie. Poza tym była bardzo wysoka — wzrostu miała co najmniej sześć stóp, mimo iż w tej chwili chodziła boso. Ubrana była w zwiewny kaftanik, który z trudem zakrywał jej duże, pełne piersi.

— To jest Kalimba. — Charles Thurston uśmiechnął się zdawkowo. — W naszym języku Kalimba znaczy “skarb”.

Esmeralda w milczeniu i z podziwem przyglądała się czarnej dziewczynie, podczas gdy ta niemalże tanecznym krokiem poruszała się po jadalni. Cienki materiał kaftanika nie pozostawiał wątpliwości, że oprócz niego nie ma na sobie nic.

— Tak, “skarb” to właściwe słowo — powiedziała Esmeralda cichym głosem.

Po chwili w milczeniu zaczęli jeść zupę. Nabrawszy kilka łyżek, Esmeralda jednak nie wytrzymała.

— Czy może zamierzasz mi wmówić, że Kalimba jest jedynie twoją służącą i nikim więcej? — zapytała.

Charles Thurston zamarł z łyżką uniesioną w połowie drogi do ust.

— Niczego nie zamierzam ci wmawiać.

— W każdym razie ona mnie intryguje. Jest piękna i wprost emanuje z niej seks.

Czy jesteście przyjaciółmi?

— Uważam, że służba winna żyć w przyjaźni ze swoimi chlebodawcami.

— Nie kpij sobie ze mnie, Charles.

— Ani mi to w głowie. Kalimba jest dla mnie wszystkim, cokolwiek by ci przyszło do głowy. Jest piękna i pełna seksu. Poza tym bardzo dobrze gotuje, ścieli łóżka, sprząta i odkurza. Wystarczy?

Esmeralda zmarszczyła czoło.

— Nie wiem. Kpisz sobie ze mnie.

— A to niby dlaczego?



— Ponieważ przyprowadziłeś mnie tutaj nie bez powodu, przez cały czas o coś ci chodzi i ja nie wiem o co. Do chwili, w której zobaczyłam Kalimbę, myślałam, że o moje ciało, a teraz...

Charles przełknął łyk zupy i odłożył łyżkę.

— Reagujesz tak, jak każda dziewczyna, która po raz pierwszy widzi Kalimbę.

Wszystkie sobie myślicie: czego on, u diabła, ode mnie chce, skoro ma tutaj pod ręką taką kobietę. Od razu jesteście pełne podejrzeń, że tym razem nie wszystko jest tak, jak zwykle.

Esmeralda uniosła brwi.

— I dlatego ona tutaj jest? Żeby dodawała nowego sma—czku zwyczajnemu uwodzeniu kobiet?

Charles wstał i nalał jej do kieliszka sporą dawkę Moët Chandon 1966. Szampan był dobrze schłodzony i bardzo wytrawny.

— Kalimba jest tutaj, żeby obsługiwać nas podczas lunchu — powiedział. Na jego twarzy gościł jedynie nikły uśmiech.

Kilka minut później Kalimba powróciła po puste talerze. W czarnej dziewczynie, w milczeniu usługującej przy stole, było coś niesłychanie erotycznego. Wyglądała jak niewolnica z fantastycznych baśni. Jej urodę podkreślały zmysłowe usta i oczy, wciąż opuszczone nisko, ku ziemi. Esmeralda nie mogła powstrzymać się przed spojrzeniem na jej kaftanik, pod którym rysowały się duże, sztywne brodawki czarnych piersi. Ku jej ogromnemu zdziwieniu widok ten niesłychanie, zupełnie bezsensownie ją podniecał. Czasami bawiła się z ojczymem w łóżku w pana i niewolnicę i teraz przypomniała sobie te chwile.

Wyobraziła sobie, jak dałaby sobie radę w tej roli tajemnicza i śliczna Kalimba.

Tymczasem z Charlesem w milczeniu jadła lunch. O godzinie trzeciej były już puste dwie butelki szampana i trzecia dobrze napoczęta. Kalimba cicho weszła z kawą i słodyczami. Esmeralda czuła się dziwnie: miała zastanawiająco lekką głowę i wszystko dookoła wydawało się jej takie nierealne, lecz jakby zabawne. Charles Thurston i Kalimba nie wydawali się jej już ani zagadkowi, ani niebezpieczni, lecz zabawni. Śmiała się niemal z każdej opowiastki Charlesa, a kiedy zasugerował, że teraz powinni przejść do salonu i otoczył ją ramieniem, ani jej w głowie było się temu sprzeciwiać. Znów pili szampana, a Charles nastawił płytę, która zawierała rytmiczną muzykę; jak zdawało się Esmeraldzie, z głośników dochodził jedynie skomplikowany i nie kończący się rytm, podawany przez perkusję. Siedząc na miękkich taboretach, ustawionych na grubym dywanie, wspólnie palili jednego papierosa i bez przerwy się śmiali.

— Wciąż mnie zadziwiasz — mówiła Esmeralda, po raz kolejny upiwszy spory łyk szampana. — To znaczy, w ogóle jesteś bardzo dziwnym osobnikiem.

— Och, wydaje mi się, że jestem prostolinijny — stwierdził Charles.

— I to jest właśnie w tobie najbardziej zadziwiające. Niby jesteś prostolinijny, płytki, a w rzeczywistości bardzo głęboki. Jesteś niczym gumowy tunel.

— Co takiego? — roześmiał się Charles. — Nigdy nie słyszałem takiego porównania.

Esmeralda zaczęła tak intensywnie chichotać, że dopiero po dłuższej chwili, z trudem, była mu w stanie wyjaśnić, co miała na myśli.

— Widzisz — odezwała się — wyobraź sobie, że jedziesz samochodem i widzisz przed sobą tunel. Dokładnie na wprost. No i wyobraź sobie, że wjeżdżasz w ten tunel, po czym w pewnym momencie jakaś siła odrzuca cię z powrotem, bo to jest przecież guma. Taki właśnie jesteś. Odnoszę wrażenie, że już zaczynam cię rozumieć i nagle wrażenie to pryska. Po chwili się powtarza. Właśnie dlatego, bo jesteś takim gumowym tunelem.

Znów przez długą chwilę głośno się śmiali; Esmeralda odniosła wrażenie, że ten śmiech wkrótce zamieni się w płacz. Zdołała się jednak uspokoić. Wówczas Charles ujął ją pod ramię i powiedział:

— Esmeraldo, chciałbym ci coś zaproponować.

Przetarła oczy.

— Co takiego?

— Czy korzystasz czasami z masażu?

— Z masażu? — zdziwiła się. Pomysł Charlesa jednak ją jeszcze bardziej rozweselił.

— Posłuchaj, mówię zupełnie poważnie. Masaże czasami mogą wpływać na ludzi w fantastyczny sposób. Uspokajają, koją... Nie chcę, żebyś myślała, że proponuję ci zwyczajny masaż. Mam na myśli coś absolutnie niezwykłego, masaż medytacyjny.

— A kto by mnie masował? — zapytała chichocząc. — Ty?

Charles potrząsnął przecząco głową.

— Nie ja, lecz Kalimba. Jest absolutnym ekspertem w dziedzinie masażu medytacyjnego, naprawdę. Często mi go robi, sprawiając, że staję się nowym człowiekiem, odkrywam w sobie nowe wnętrze.

— Hmm. — Esmeralda chrząknęła. — Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć.

— Spróbuj. Nic cię to przecież nie będzie kosztowało, nic na tej próbie nie stracisz.

— Nie jestem pewna...

Charles popatrzył na drogi zegarek, który miał na ręce.

— Posłuchaj — powiedział. — Muszę wykonać ważny telefon, a potem przez chwilę zająć się papierami. To oznacza, że możecie mieć z Kalimba pół godziny dla siebie. Zostaniecie zupełnie same.

— Nie wiem, Charles... Kalimba robi na mnie takie dziwne wrażenie, jeżeli rozumiesz...

— To tylko dlatego, że jej dobrze nie znasz. Jest bardzo spokojna, czuła i wyrozumiała. Daj jej szansę, niech zrobi ci masaż, a zrozumiesz, co mam na myśli.

Pomysł poddania się masażowi w wykonaniu pięknej, czarnej dziewczyny był sam w sobie dziwaczny, jednak dla Esmeraldy, w obecnym nastroju, był również niezwykle ekscytujący. Wypiła znów trochę szampana, przez chwilę zastanawiała się, aż wreszcie oznajmiła:

— W porządku. Robiłam już bardziej głupie rzeczy. Charles Thurston pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Jesteś nadzwyczajna — powiedział. — Zaraz zawołam Kalimbę, a z tobą zobaczę się za pół godziny. Kiedy zamierzał

odejść, pociągnęła go za rękaw.

— Charles — powiedziała — jeżeli nie będzie mi się podobało i powiem jej, żeby przestała, chyba się na mnie nie obrazi, co?

— Kalimba? Nigdy w życiu! To bardzo ułożona osoba. A teraz baw się dobrze. Do zobaczenia.

Gdy Charles opuścił pokój, Esmeralda usiadła z podkurczonymi nogami na dywanie.

Usłyszała, jak Charles rozmawia z Kalimba w kuchni; właściwie to mówił tylko Charles. Dziewczyna ani razu się nie odezwała. Może była głuchoniema, a może jedynie mówiła bardzo niewiele? W każdym razie Esmeralda nie uważała jej w tej chwili ani za wyrozumiałą, ani za czułą. Pociągnęła kolejny łyk szmpana i stwierdziła, że popijając śmieje się sama do siebie.

Wyczuła obecność Kalimby w pokoju, jeszcze zanim się odwróciła i ją zobaczyła.

Czarna dziewczyna roztaczała wokół siebie aurę silną jak pole magnetyczne. Nie miała teraz kaftanika; była zupełnie naga, jeżeli nie liczyć cienkiego złotego łańcuszka wokół bioder i złotych bransolet na kostkach.

Kalimba przeszła powoli przez pokój i przykucnęła obok Esmeraldy. Ta od razu poczuła dziwny dreszcz, który przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa. Nagle wcale już nie miała ochoty się śmiać. Ciało Kalimby było czarne jak atrament, lśniące, pachniało intensywnie perfumami. Roztaczało seksualne ciepło i niespodziewanie Esmeralda poczuła, że jej również jest bardzo ciepło.

Nie wyrzekłszy ani słowa, Kalimba otworzyła słoiczek jakiegoś pachnącego olejku.

Następnie wskazała na strój Esmeraldy i uczyniła ruch, nakazujący jej ściągnąć wszystko z siebie. Esmeralda zawahała się, Kalimba więc wyciągnęła dłoń i zaczęła powoli ją od przodu rozpinać. Pracowała pewnymi, płynnymi ruchami i wkrótce Esmeralda była naga.

Kalimba uklękła obok niej i Esmeralda usłyszała, jak naciera dłonie olejkiem. Po chwili już poczuła delikatne dłonie czarnej dziewczyny, o łagodnych, długich palcach, śliskie od olejku, błędzące po jej szyi i ramionach. Dłonie zaczynały pieścić ją i uspokajać.

Esmeralda pochyliła głowę czując, jak od ramion stopniowo na całe jej ciało przenika spokojne, relaksujące ciepło. Przymknęła oczy. Nigdy dotąd czegoś takiego nie zaznała, nie miała pojęcia, dlaczego tak kojąco działa na nią najzwyklejszy masaż.

Gdy Kalimba zbliżyła dłoń do jej piersi, uniosła rękę, aby ją powstrzymać, jednak czarna dziewczyna delikatnie ją odsunęła. Esmeralda nie protestowała.

Dlaczego nie, pomyślała, przecież to jest tylko kobieta, kobieta, która mnie właśnie masuje.

Śliskie i szybkie dłonie Kalimby przesuwwały się po mięśniach pleców Esmeraldy, sprawiając, że dziewczyna zapomniała o wszelkich problemach. Wkrótce nie miała już wątpliwości, że może pozwolić Kalimbie na dotknięcie swych piersi. Poczowała nagle na nich jej dłonie; masowały je, uciskały, a potem delikatnie głaskały.

Esmeralda powoli, niechętnie otworzyła oczy i spojrzała na swą klatkę piersiową.

Długie, czarne palce rytmicznie poruszały się po jej białej skórze. Różowe brodawki stawały się coraz bardziej sztywne, coraz ostrzej sterczały.

Znów przymknęła oczy. Uczucie, które ją ogarnęło, było tak przyjemne, że pragnęła, aby trwało wiecznie. Poczowała brodawki piersi Kalimby, przyciskające się do jej własnych nagich pleców. Murzynka ocierała się brzuchem o jej plecy i te jednostajne tarcia sprawiły, że Esmeralda nagle zapragnęła sama wymasować piersi Kalimby.

Tymczasem pachnące olejkami dłonie czarnej dziewczyny powędrowały niżej. Kalimba zaczęła głaskać pośladki Esmeraldy. Długie palce co chwilę docierały do wrażliwych miejsc w kroczu.

— Mm... Jakie to wspaniałe — mruknęła Esmeralda. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Kalimby, aby skierować jej palce w kierunku śliskiej i wilgotnej pochwy.

Nie miała pojęcia, jak długo trwa ten masaż. Mogło to być dziesięć minut, mogła to być godzina. Wypiła dużo szampana i wszelkie bodźce, jakie odbierała, były bardzo wyraźne, lecz oderwane od siebie.

Pamiętała ruchliwy języczek Kalimby, penetrujący jej pochwę. Pamiętała, że trzymała czarną dziewczynę za włosy i namiętnie całowała ją prosto w zmysłowe usta. Pamiętała ciemny, lśniący kwiat, który, gdy zbliżała się do niego ustami, rozwarł przed nią swe wilgotne wnętrze. Pamiętała muzykę, jednostajny, ale skomplikowany rytm, pamiętała usta, oczy,

palce i magiczne wrażenia, które były tak wspaniałe, że nigdy nie powinny były się skończyć.

Gdy się obudziła, leżała na podłodze, owinięta w gruby indiański koc. Czowała w ustach obrzydliwy smak, a jej oczy kleiły się od snu.

Uniosła głowę. Bolała ją szyja. Spróbowała skupić na czymś wzrok, w pokoju jednak panował głęboki półmrok. Za oknem nowojorskie niebo słabo lśniło metaliczną zieleniną. Jakby za chwilę miała rozpocząć się elektryczna burza.

Popatrzyła na zegarek. Była godzina siódma piętnaście wieczorem.

Stopniowo, niepewnie, potykając się, zdołała wstać. Ból niemal rozsadzał jej głowę. Wciąż opatulona w indiański koc, przeszła kilkanaście kroków i zawołała:

— Charles! Jesteś tu gdzieś? Charles!

Nie zanosilo się na to, że w mieszkaniu jest ktoś jeszcze. Przeszła przez jadalnię; na stole nie było śladów po lunchu. Weszła do głównej sypialni. Łóżko było starannie przykryte szarobrązową skórą z renifera. Z pewnością przez ostatnie kilka godzin nikt tutaj nie spał. Na ścianie wisiał duży obraz, przedstawiający krajobraz zaśnieżonej Laponii.

Powróciła do salonu. Znów zawołała, ale w tym samym momencie zadzwoniły klucze i ktoś wszedł do mieszkania. Był to Charles, uśmiechnięty, zadowolony z siebie.

— Esmeraldo! — zawołał. — Wreszcie się obudziłaś. Pokiwała głową.

— Tak — powiedziała. — Właśnie się obudziłam. Cholernie się czuję. Dlaczego czekałeś, aż sama wstanę, dlaczego mnie nie



budziłeś? O pół do ósmej muszę być w domu. Razem z tatą wychodzę dziś na kolację. On dostanie białej gorączki, jeżeli się spóźnię.

Charles pocałował ją.

— Nie ma powodu do zmartwień — stwierdził. — Najwyżej piętnaście minut się spóźnisz. To nic takiego.

— Co to znaczy “nic takiego”?

Charles sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś niewielkiego, długiego na kilka cali. Esmeralda spróbowała skupić na tym wzrok, jednak nie była w stanie.

— Co to takiego? — zapytała.

— To jest, moja piękna damo z galerii, rolka filmu. Właśnie wróciłem z laboratorium. Kazałem wywołać film i zrobić kilka ślicznych odbitek.

Esmeralda zastygła w bezruchu. Przez bardzo długą chwilę w milczeniu przypatrywała się Charlesowi.

— Kalimbaija? — zapytała wreszcie ochryplym głosem.

— Odgadłaś bezbłędnie.

Zrzuciła z siebie koc. Miała gdzieś to, że jest naga. Podeszła do miejsca, gdzie porozrzucone były jej rzeczy i powoli, absolutnie się nie spiesząc, ubrała się.

Charles Thurston krążył od niechcienia po pokoju, przerzucając rolkę filmu z jednej dłoni do drugiej i powtarzając do siebie pod nosem:

— No cóż, takie jest życie, prawda? Samo życie. Esmeralda ubrała się i odrobinę uporządkowała zmierzwione włosy. Podniosła torebkę i była gotowa do wyjścia.

— Czy nie zamierzasz zapytać mnie, czego chcę? — odezwał się Charles Thurston. —

Chyba wiesz, że my, szantażyści, zawsze czegoś chcemy w zamian.

Popatrzyła na niego.

— Dobrze — powiedziała zmęczonym głosem. — Czego więc chcesz?

— Czy to nie jest oczywiste?

— Być może jest, ale chcę, żebyś mi wszystko jasno powiedział.

Popatrzył na nią niemal czule.

— Moja droga, w zamian za te wysoce kompromitujące negatywy chcę, żeby twój ojciec wycofał skargę z sądu.

W tym właśnie momencie wszystko, co wydarzyło się tego dnia, stało się dla niej jasne jak słońce. Rozejrzała się po schludnym, skandynawskim mieszkaniu i powiedziała:

— To jest mieszkanie Siergieja Forwarda, prawda? Od razu wiedziałam, że to miejsce zupełnie do ciebie nie pasuje. A co z Kalimbą?

— To nie jest jej prawdziwe imię. Jeśli chodzi o ścisłość, została po prostu wynajęta, wyłącznie do tej roboty.

Esmeralda wpatrywała się w przystojną, w tej chwili tak obrzydliwą, twarz Charlesa Thurstona.

— A może wolałbyś pieniądze? — zapytała cicho. — Dostałbyś za ten film, powiedzmy, pięć tysięcy dolarów. Charles Thurston przecząco potrząsnął głową.

— Robota jest robotą, śliczna damo z galerii. Muszę dbać o swoją reputację.

— Rozumiem. Ile mam czasu? Thurston popatrzył na zegarek.

— Jest teraz pół do ósmej. W ciągu dwudziestu czterech godzin chcemy wiedzieć, co twój ojczulek myśli o całej sprawie. Jeżeli po upływie tego terminu nie będziemy usatysfakcjonowani, każde pismo pornograficzne w tym mieście otrzyma po kilka odbitek. Oczywiście, wciągniemy na listę wysyłkową również "Scientific American" i wszystkie periodyki naukowe, w których kiedykolwiek publikował coś twój ojczulek.

Esmeralda przygładziła dłonią włosy na głowie.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak wam zależało na przerwaniu procesu — powiedziała.

— Gdyby rozprawa odbyła się choćby jeszcze dzisiaj, Siergiej Forward przegrałby z kretesem. A tak wykorzystał swoją szansę, dzięki niewielkiej pomocy przyjaciół.

— Nie jestem jego przyjacielem — zaprotestował Charles Thurston III, gdy wraz z Esmeralda czekał na windę. — Po prostu pracuję dla niego. Jeśli o mnie chodzi, Forward to śmieszny fiński śmieć.

Gdy winda nadjechała, Esmeralda zatrzasnęła za sobą drzwi i popatrzyła na Thurstona przez stalowe pręty.

— Nie ma jednak nic gorszego niż amerykański śmieć — oznajmiła. W tym momencie winda ruszyła, zwożąc ją w dół.

W piątkowe popołudnie, to samo popołudnie, które Esmeralda spędziła w mieszkaniu Siergieja Forwarda na 81 Zachodniej Ulicy, obszar ogarnięty zarazą, oficjalnie poszerzono do Nowego Orleanu na południu. Wspólnymi siłami Gwardii

Narodowej, ochotników i kadetów ze szkół wojskowych utworzono szczerłą zaporę, rozciągającą się pomiędzy Jackson, Missisipi, Tuscaloosą, Chattanooga, Charleston i Cumberland.

W porze lunchu w telewizji pojawił się prezydent i z “bólem serca” oznajmił, że musi polecić wszystkim Amerykanom, by z bronią w ręku bronili tych obszarów kraju, które są wolne od zarazy. Oznaczało to, że ktokolwiek zechce opuścić oficjalną strefę zarazy i przedostać się tam, gdzie choroba jeszcze nie dotarła, ma natychmiast zostać zastrzelony.

— Wszelkimi środkami — mówił prezydent — musimy powstrzymać zagrożenie godzące w zdrowie i dziedzictwo naszego narodu. Musimy też podjąć działania, aby jak najszybciej znaleźć lekarstwo, które powstrzymałoby nieokiełznany, jak dotąd, rozwój strasznej zarazy. Jeżeli jej nie zahamujemy i jeżeli będzie niepowstrzymanie rozszerzać się w takim tempie, jak obecnie, ogarnie całe Stany Zjednoczone Ameryki w przeciągu sześciu tygodni.

Reporter NBC zapytał prezydenta, czy można wyróżnić ludzi bardziej i mniej podatnych na atak zarazy. Prezydent odparł, że pewne szacunki wskazują, iż choroba bardziej gwałtownie przebiega u dorosłych niż u dzieci. Ponadto rzeczywiście, pewne grupy ludzi okazują się częściowo lub wręcz całkowicie odporne na zachorowania. Chodzi tu przede wszystkim o personel szpitali, żołnierzy, marynarzy i rybaków, dentystów i lekarzy oraz przedstawicieli kilku innych profesji.

Na pytanie, czy istnieje odpowiedź wskazująca na przyczynę takiej sytuacji, prezydent odpowiedział przecząco,

zdecydowanym głosem zapewnił jednak, że “nad zagadką tą pracują najlepsi naukowcy z całego kraju”.

Związek Zawodowy Personelu Szpitali wciąż strajkował, chociaż najbardziej spustoszone przez zarazę stany — Georgia, Alabama i Południowa Karolina — pozbawione były niemal całkowicie łączności ze światem i nie można było z całą pewnością stwierdzić, co tam się dzieje. Nie latały tam już nawet policyjne helikoptery w obawie, iż na wysokości, na której działają, unoszą się, gnane wiatrem, zarazki. Naród amerykański coraz bardziej pogrążał się w paraliżującym strachu. Mimo drobiazgowych kontroli na autostradach i przerwaniu połączeń lotniczych z zachodnią i południową częścią kraju, z zagrożonych stref przedostawały się przez kordony tysiące ogarniętych paniką ludzi.

O godzinie piątej w piątkowe popołudnie oficjalnie podano, że ofiarą padło do tej pory około siedemnaście milionów ludzi. Od Key West na Florydzie do Portland w stanie Maine zamknięte były wszystkie atlantyckie plaże. W tym samym czasie Amerykanów poruszyła szokująca wiadomość, dotycząca źródeł zanieczyszczeń, które spowodowały zarazę. NBC i CBS zasugerowały, że wschodnie wybrzeże kraju zarzucone zostało odpadami, których centrum znajduje się na Oceanie Atlantyckim, około dwanaście mil od brzegu Long Island.

Nowojorskie władze sanitarne natychmiast zdementowały to doniesienie.

Dziennikarze stwierdzili, że od niepamiętnych czasów, codziennie wypływają z Long Island barki, wywożące na ocean wszelkie nowojorskie śmieci. Odpady powinny tonąć w

morskiej wodzie i rozkładać się, na niewielkiej wysokości nad dnem przesuwać się w kierunku środkowego Atlantyku. Nowojorski Departament Higieny wraz z Federalną Agencją Ochrony Środowiska przyznały, że odpady te mogą zawierać aktywne bakterie, jednak łączenie ich z zarazą, która przecież wybuchła początkowo tylko w południowych stanach, jest wysoce nieodpowiedzialnym rozumowaniem.

— Proszę państwa, nie mamy wątpliwości, iż kraj nasz zaatakowała dżuma, *Pasteurella pestis* — mówił rzecznik prasowy Departamentu Higieny. — Zapewniam jednak, iż naukowcy stanowczo wykluczają jakąkolwiek możliwość, by pałeczki dżumy rozwinęły się pod powierzchnią oceanu, a zwłaszcza w tę szczególnie złośliwą formę superzarazy, która gnębi nasz kraj od tygodnia. Ponadto nie ma absolutnie żadnej możliwości, aby zanieczyszczenia składowane przy Long Island dotarły na południe aż do Miami.

Jeden z reporterów CBS zapytał znanego oceanografa, czy butelka z zamkniętą w niej wiadomością, wrzucona do oceanu przy Long Island, ma szansę dotrzeć do Miami. Oceanograf odparł, że owszem, o ile spełnione zostaną pewne warunki pogodowe. Reporter postawił więc na antenie telewizyjnej pytanie, dlaczego takiej samej drogi nie byłyby w stanie pokonać nowojorskie odchody.

Rzecznik Departamentu Higieny nie odpowiedział na to pytanie.

Herbert Gaines wkroczył do sali konferencyjnej Summit Hotel z rękami wzniesionymi w górę, niczym odnoszący sukcesy w kampanii czołowy kandydat do urzędu

prezydenckiego. W zatłoczonym pomieszczeniu błysnęły flesze aparatów; w ciągu dwudziestu sekund Herbertowi zrobiono więcej fotografii niż przez ostatnie dwadzieścia lat. Miał staranny makijaż, wykonany w tym celu, aby jego skóra wyglądała w miarę zdrowo w kolorowej telewizji. Siwe włosy były starannie zaczesane do tyłu.

— Witamy ponownie, Herbercie — powiedział jakiś gruby dziennikarz w wygniecionej niebieskiej marynarce.

— To miło spotkać po latach dawnego bohatera.

Obok Herberta Gainesa, bardzo blisko, czuwał Jack Gross — nienagannie ubrany i uśmiechający się do wszystkich zgromadzonych. To on przeprowadził swojego bohatera przez tłum dziennikarzy, pomiędzy telewizyjnymi kamerami, ku czerwono—biało—niebieskiemu podwyższeniu. Gdy Herbert stanął na nim, flesze zaczęły błyskać jeszcze intensywniej. Herbert bez powodzenia spróbował się uśmiechnąć.

Jack Gross machnął ręką, prosząc dziennikarzy o ciszę.

— Panie i panowie, nazywam się Jack Gross i reprezentuję przed wami organizację, która nazywa się OP. Czy ktokolwiek z was zna już organizację OP?

Miało to być pytanie retoryczne, jednak jakiś dziennikarz z “New York Post” wyrwał się:

— Czy to Organizacja Pederastów? W sali rozległ się głośny, wesoły śmiech. Jack Gross, którego uśmiech odrobinę przybladł, znów machnął ręką, aby uciszyć zebranych.

— OP — powiedział szybko — oznacza Oblicze Prawdy. Oblicze Prawdy grupuje najbardziej oddanych temu krajowi senatorów i kongresmanów, ludzi, których celem działania jest

przywrócenie uczciwości i jawności w życiu politycznym tego kraju.

— Niewiarygodne — stwierdził sardonicznie dziennikarz “Time’a”.

— A jednak takie są właśnie nasze zamierzenia — kontynuował Jack Gross. —

Pomyślcie przez chwilę, dlaczego amerykańscy politycy cieszą się w kraju tak fatalną opinią? Otóż dlatego, że postrzegani są jako ludzie, którzy mijają się z prawdą i nie szanują jej wartości. My jednak postanowiliśmy walczyć o prawdę, o to, aby szczerść i zaufanie do współobywateli powróciły do życia politycznego w naszym kraju.

Obniżył głos i kontynuował wolniej, spokojniej, jakby przemawiał teraz do swoich słuchaczy w wielkim zaufaniu.

— Być może w niedawnej jeszcze przeszłości prawda nie była wartością o tak ogromnym znaczeniu jak dzisiaj. Jednak właśnie dzisiaj, niemal dokładnie dziś wieczorem, dowiadujemy się, że Ameryka stoi w obliczu katastrofy o niespotykanych rozmiarach i okrucieństwie. Wiemy już, że południowe stany naszego kraju zniszczyła śmiertelna zaraza, wiemy, że dotarła ona już nawet do części New Jersey. Tutaj, w Nowym Jorku, zostaliśmy postawieni pod ścianą i — panie, panowie — nie możemy dalej z zamkniętymi oczyma udawać nieświadomych tego, co nam grozi.

— Obecny kryzys jest tak poważny, że powrócić musi do nas amerykański bohater, musi przybyć ponownie i powiedzieć nam prawdę. Musi powrócić mężczyzna, który już kiedyś przemawiał do nas z ekranu filmowego, nawołując do



uczciwości, czystości i zachowania tego wszystkiego, co w amerykańskim życiu najlepsze.

Człowiek ten przerwał teraz zasłużony odpoczynek na emeryturze, by razem z nami wszystkimi podźwignąć ogromny ciężar, który tak znienacka na nas spadł. Panie i panowie, przed wami kapitan Dashfoot, lepiej znany jako Herbert Gaines.

Nastąpiły umiarkowane oklaski. Filmy Herberta wciąż oglądano na domowych magnetowidach, od czasu do czasu też nadawały je w późnych godzinach stacje telewizyjne, większość dziennikarzy znała więc przynajmniej jeden z nich.

Herbert Gaines wstał. W świetle reflektorów telewizyjnych prawie nie było widać, jak bardzo się postarzał. Mógł z powodzeniem zeskoczyć przed chwilą z konia, bohater wojny secesyjnej, opromieniony sukcesami, tak jak to było w Incydencie w Yicksburgu. Uniósł rękę w niemej prośbie o ciszę.

— Panie i panowie — zaczął, głębokim, stanowczym, dźwięcznym głosem. — Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie jeszcze czas, gdy uznam znów za swój obowiązek wystąpić w obronie amerykańskiego narodu.

Znów nastąpiły oklaski, a z tyłu sali ktoś krzyknął:

— Dashfoot na ratunek! Herbert uśmiechnął się słabo.

— Bardzo chciałbym, żeby kapitan Dashfoot mógł przybyć tutaj, aby ocalić Amerykę. Niestety, współczesny scenariusz niczego takiego nie przewiduje. Kraj nasz padł na kolana przed złośliwą i śmiercionośną zarazą i dla jego ratowania nie potrzebujemy samotnych bohaterów na koniach, lecz szybkiej i efektywnej akcji administracji federalnej.

— Potrzebujemy kogoś, panie i panowie, kto o zarazie powie nam prawdę. Kogoś, kto powie nam, co jest przyczyną jej wybuchu, co jest prazródłem nieszczęścia.

Mówią nam o jakichś zanieczyszczeniach, nieczystościach. A my chcemy wiedzieć, czyje to nieczystości. Czy ktoś z was, panie i panowie, chorował kiedyś na dżumę? Czy to wasze odchody są zarażone?

Herbert mocniej ścisnął pulpity przed sobą i pochylił głowę.

— To, co muszę wam dzisiaj powiedzieć, przyjaciele, z pewnością nie spotka się z entuzjazmem. Nie będzie to łatwe, ani popularne. — Uniósł w górę palec. — Będzie to jednak prawdą, której poszukujemy. Wiem, że taka jest właśnie prawda i również wy o tym dobrze wiecie. Ufam, iż żaden prawdziwy Amerykanin, w całych Stanach Zjednoczonych, nie ośmieli się podnieść głowy i powiedzieć, że kłamię.

Wszystkie te brudy, brudy zanieczyszczone zakaźną, śmiertelnością chorobą, pochodzą z trzewi czarnych ludzi, pochodzą z odbytów Portorykańczyków, są nieczystościami niezliczonych śmierdzących żebraków i nigdy nie myjących się hippisów! To oni, nie tylko zatruli stan ducha naszego społeczeństwa dywersyjnymi poglądami i rewolucyjnym maniactwem. Zatruli nas również fizycznie, swoimi niosącymi śmierć ekskrementami! Jak mało im brakuje w tej chwili do całkowitego zniszczenia Ameryki!

Wśród słuchaczy Herberta zaczął narastać dziwny szum. Szum składał się z jęków zdziwienia, okrzyków niedowierzania, odgłosów wydawanych przez szurające po podłodze buty, szelestu ubrań gwałtownie poruszających się ludzi. Nagle

czarny dziennikarz z “The New York Timesa” zerwał się i ruszył w kierunku drzwi wyjściowych. Zanim je za sobą zatrzasnął, krzyknął głośno:

— Nie jesteś pan żadnym zbawcą, jesteś rasistą! Młoda dziewczyna z “Yillage Yoice” zawołała:

— Faszysta!

A Herbert Gaines, z oczyma zimno wpatrującymi się w salę, z dłońmi zbielełymi od gorączkowego przyciskania ich do pulpitu, odpowiedział:

— Faszysta? — Jego głos był cichy i spokojny. — Czy to właśnie faszysta wyróżnia się mówieniem prawdy? Jeżeli tak, to dobrze, jestem faszystą. I będę mówił wam prawdę. Prawdą więc jest, że czarni i ludzie pochodzenia latynoskiego najczęściej chorują w Ameryce na choroby układu trawienia. Prawdą jest, że nieczystości wywożone z Long Island pochodzą głównie od czarnych i zawierają aktywne bakterie. Czy dlatego, że te wstrętne gówna już w nich nie tkwią, kończy się odpowiedzialność czarnuchów za ich dalszy los i za nieszczęście, które wywołali?

Korzystając z krótkiej przerwy w wypowiedzi Herberta, wtrącił się któryś z dziennikarzy telewizyjnych:

— Panie Gaines, zdążył pan obwinić kolorowych mieszkańców naszego kraju za wybuch epidemii. Jakie jednak widzi pan wyjście z sytuacji?

Herbert Gaines popatrzył na niego groźnie.

— Sugeruję, że przede wszystkim należy odnowić elity intelektualne Ameryki. Należy na boczny tor odsunąć polityków, którzy są przychylni kolorowemu. Należy przywrócić

do władzy polityków, którzy wskażą wszystkim czarnym i emigrantom miejsca, do których należą. Z całą pewnością miejsca dla nich nie ma w Ameryce.

— Panie Gaines, to bardzo skrajne poglądy.

— Oczywiście, że skrajne. Ale skrajna, ekstremalna jest też sytuacja. Stan, w jakim się znaleźliśmy, wymaga od nas błyskawicznych i zdecydowanych działań.

Oblicze Prawdy jest jedyną grupą polityczną, która ośmiela się głosić ten niepopularny pogląd, jest jedyną organizacją, która potrafi uratować naród amerykański od ruiny i chaosu uczynionych rękami i... odbytami czarnego człowieka.

— Co mamy więc robić? — zapytał kolejny dziennikarz. — Załadować ich wszystkich na statki i wywieźć na Złote Wybrzeże?

Herbert Gaines uśmiechnął się wyrozumiale i potrząsnął głową.

— Oczywiście, że nie. W dwudziestym wieku jest to niewykonalne. Mam jednak kilka propozycji, które raz na zawsze rozwiążą problem rasowy w Ameryce. Po pierwsze, tylko czarni lekarze i czarne pielęgniarki powinni pracować w szpitalach, w których leżą ofiary zarazy. To czarni wywołali zarazę i oni muszą ponieść nieuchronne konsekwencje jej leczenia. Po drugie, kiedy już opanujemy zarazę, należy w ciągu maksymalnie dziesięciu lat wszystkich czarnych przesiedlić do rezerwatów. Tam, ze swymi skłonnościami do życia w brudzie i w bałaganie, nie będą już zagrażali prawdziwym Amerykanom.

— Zgodnie z Konstytucją, każdy obywatel Stanów Zjednoczonych ma prawo do życia w wolności i szczęściu. Czy

możemy z czystym sumieniem stwierdzić, że bronimy tych praw, jeżeli narażamy obywateli na nieszczęścia takie, jak to obecne? Zwróćcie uwagę na prawo do ż y c i a, panie i panowie. Jeżeli będziemy zezwalać, by chory czarny człowiek spacerował obok białych ludzi, by jadał z tych samych talerzy, by siadał na tych samych krzesłach, srał w tych samych publicznych toaletach, okaże się, że nie chronimy tego podstawowego prawa, gwarantowanego przecież przez Konstytucję.

Okaże się, że my, przywódcy wielkiego narodu, zarzuciliśmy swoje obowiązki.

Pytam się: w imię czego?!

— Panie Gaines, pan jednak nie jest przywódcą wielkiego narodu — odezwał się dziennikarz z “Christian Science Monitor”. — Jest pan zaledwie emerytowanym aktorem.

— Myli się pan, kolego dziennikarzu! — zawołał Herbert. — Jestem przywódcą, ponieważ mówię prawdę! A pan, kwestionując tę prawdę, ujawnia, że nie jest nawet patriotą!

W normalnych czasach Herbertowi poświęcono by zaledwie piętnaście sekund w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Czasy jednak nie były normalne, a dowód stanowił fakt, że dziennikarze w ogóle pozostawali w Summit Hotel, słuchając jego wynurzeń. W czasie trwania tej burzliwej konferencji prasowej, na sali, wśród uczestników, narastało napięcie. Herbert stopniowo zdobywał coraz więcej zwolenników. Wszystkim przekonany o słuszności jego słów zdawało się, że oto odkrywają prawdę, której przez wiele lat usilnie i skutecznie im odmawiano.

Już przed szóstą wieczorem sprzedawano “New York Post” z wielkim tytułem na pierwszej stronie: “CZARNI WINNI ZARAŻY — twierdzi kapitan Dashfoot”, a to był dopiero początek. Herbert Gaines udzielił tego wieczoru aż siedmiu wywiadów telewizyjnych dla lokalnych i krajowych stacji. Stopniowo kontynent zaczynała ogarniać fala nienawiści wobec czarnych. Jack Gross wykalkulował trafnie, że cała Ameryka, nie wyłączając prezydenta, zacznie poszukiwać kozłów ofiarnych.

Tak jak Adolf Hitler z powodzeniem obwinił Żydów za depresję początku lat trzydziestych, tak Herbert Gaines odniósł sukces, obciążając całą winą za wybuch zarazy amerykańskich Murzynów.

Gdy nad Nowym Jorkiem zapadła noc, w Harlemie wybuchły pożary, a w sklepach i restauracjach prowadzonych przez Murzynów zaczęły wypadać szyby, rozbijane przez młodociane gangi. Piątek w Nowym Jorku kończył się monotonnym zawodzeniem syren i zapachem dymu, unoszącego się w powietrzu. Do pomocy zanotowano trzydzieści sześć podpaleń, pięćdziesiąt dwa przypadki chuligańskiej dewastacji mienia, udzielono pomocy medycznej ponad stu osobom, przeważnie z ranami tłuczonymi głów i ranami po ugodze—niach nożami. Zauważalnie spadła liczba innych przestępstw.

Półświatek zgodnie uznał, że na ulicach jest zbyt niebezpiecznie tego wieczoru.

W sobotę, krótko po pomocy, Herbert Gaines wracał do Concorde Tower, pólężąc na tylnym siedzeniu cadillaka, należącego do Jacka Grossa. Był wykończony i tęsknił za dużym koniakiem i długim snem.

— Byłeś wspaniały — powiedział Jack Gross. — W ciągu jednego dnia uczyniłeś dla Ameryki więcej niż Geny Ford w ciągu trzech lat.

Herbert przetarł oczy.

— Wydaje mi się, że wywołałem jedynie zamieszanie i nienawiść — powiedział. —

— Nawet, jeżeli to wszystko, co plotłem, nie jest kłamstwem, bywają takie prawdy i takie czasy, że lepiej jest milczeć, niż krzyknąć na cały głos.

Jack Gross uśmiechnął się.

— Herbercie, jesteś człowiekiem o głębokim poczuciu odpowiedzialności i o ogromnej wrażliwości. Czy mogę przyjechać po ciebie o trzeciej?

— To znaczy, że chcesz jeszcze?

— Oczywiście. To był dopiero początek twojej misji.

— Posłuchaj mnie, młody człowieku, nie mam ochoty na więcej.

Jack Gross lekceważąco machnął ręką.

— Nawet nie myśl, że to koniec, Herbercie. Teraz jesteś po prostu zmęczony.

Wypocznij, odśwież się, a jutro znów będziesz sobą. Czeka nas bardzo ważne wystąpienie, więc musisz być w formie.

Herbert Gaines popatrzył na niego ponuro.

— A jeżeli odmówię?

— Dobrze wiesz, co się stanie. Jeżeli odmówisz, młody Nicky wkrótce będzie śpiewał w dziewczęcym chórze.

Herbert popatrzył na opustoszałą 43 Ulicę. Czuł, że jest bardzo stary i bezsilny.

— W porządku — powiedział po kilku minutach milczenia. — Skoro mam z tobą współpracować, spróbuję chociaż dobrze się przy tym bawić. Zobaczymy się jutro o trzeciej.

Kenneth Garunisch, w chwili gdy z piątku robiła się sobota, rozmawiał jeszcze z urzędnikami z Belleuve Hospital. Wybrał Belleuve na koniec dnia, ponieważ po skończeniu rozmów mógł przejść do domu i Aleją, a uważał, że mały spacer pod koniec dnia pracy ożywczo wpływa na szare komórki.

W pomalowanym na różowo pokoju konferencyjnym aż gęsto było od dymu z papierosów. Na wielkim stole roily się popielniczki. W ogromnym nieładzie leżały tu gazety, teczki papierowe, drewniane ołówki i luźne spinacze do papieru.

Rozmowy rozpoczęły się o szóstej w piątkowy wieczór i do północy wciąż rozmawiano o tym samym, ani na krok nie zbliżając się do porozumienia.

Poszczególne wystąpienia niczego nowego nie wносиły. Negocjatorzy zachowywali się jak pies, który bezustannie goni własny ogon.

Garunisch, z poluźnionym krawatem i w przepoczonej nylonowej koszuli, odpalał każdego kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego. Pod oczyma miał ciemne sińce. Obok niego siedział Dick Bortolotti. Jego cera przybrała już kolor wosku.

Był skrajnie zmęczony. Obaj znajdowali się w stanie ogromnego napięcia od chwili, w której ogłosili strajk. Cały dzień spędzili na rozmowach i negocjacjach. Związek Garunischa był zdyscyplinowany. Strajk trwał i nie zanosilo się na jego przerwanie, dopóki personel szpitali nie uzyska



gwarancji wynagrodzenia adekwatnego do ponoszonego ryzyka.

Ernest Seidelberger, rzecznik Belleuve, chudy, w okularach, siedział za stołem naprzeciwko Garunischa. Z grobową miną, bezskutecznie usiłował zapalić fajkę.

Zdawał się osobą bardziej odpowiednią do tego, by wyklądać historię średniowiecza dla znudzonych gospodyń domowych, niż by prowadzić negocjacje z takim wyjadaczem jak Kenneth Garunisch. Był jednak systematyczny i uparty, co czasami doprowadzało jego rozmówców do wściekłości.

— Panie Garunisch — powiedział teraz spokojnie, powoli. — Ile razy będę jeszcze musiał powtarzać, że administracja tego szpitala nie może zapewnić członkom pańskiego związku niczego ponad to, co do tej pory otrzymują, jeżeli związek ze swej strony nie zaproponuje niczego nadzwyczajnego w zamian. W tej chwili oczekuje pan wysokich podwyżek wynagrodzeń za tę samą pracę, którą określają aktualnie obowiązujące umowy.

Kenneth Garunisch wydmuchnął kłęb dymu.

— Dotychczasowe umowy o pracę nie wspominają nic o epidemii dżumy — stwierdził chrapliwym tonem. Seidelberger cierpliwie pokiwał głową.

— Drogi panie Garunisch, umowa o pracę z zasady nigdy nie wymienia żadnej choroby. To jest szpital i z najróżniejszymi chorobami mamy do czynienia na co dzień. Niech pan się nad tym zastanowi. Akcja pańskiego związku w powszechnym przekonaniu przyśpieszyła rozprzestrzenianie się choroby o co najmniej dwa dni.

Jeżeli podtrzymywać pan będzie decyzję o strajku, a zaraza w tym czasie dotrze na Manhattan, nie będziemy mieli absolutnie żadnych możliwości, aby się jej przeciwstawić.

Garunisch miał mu właśnie odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody mężczyzna w garniturze. Uśmiechnął się nerwowo do wszystkich zebranych, po czym podszedł do Ernesta Seidelbergera, pochylił się nad nim i zaczął coś mu szybko szeptać do ucha. Seidelberger wysłuchał go uważnie z kamienną twarzą, po czym, gdy ten skończył, machnął ręką, że może sobie pójść.

Garunisch zdusił w popielniczce kolejnego papierosa.

— Czy dowiedział się pan o czymś, co powinniśmy usłyszeć wszyscy? — zapytał niegrzecznie. — Czy też była to informacja do wyłącznej wiadomości ważniaków ze szpitala?

Seidelberger potrząsnął głową.

— To nic zastrzeżonego, panie Garunisch, lecz wiadomość z telewizji. Zaraza pochłonęła już tak wiele ofiar w New Jersey, że cały stan ogłoszono obszarem kwarantanny. Nikt nie może do niego wjechać ani z niego wyjechać, a każdy, kto zechce naruszyć ten zakaz, zostanie brutalnie powstrzymany przez Gwardię Narodową.

Jeden ze szpitalnych negocjatorów nagle pobladł i zawołał, zszokowany:

— Moja żona jest dzisiaj w Trenton, u matki! I moje dzieci... Pojechały razem z nią! Co mam teraz robić?

— Niech pan idzie do domu, Rootes — odparł Ernest Seidelberger spokojnie. — Może uda się panu przynajmniej do

nich dodzwonić. Ja tymczasem zamienię jeszcze kilka zdań z panem Garunischem.

Rootes drżącymi rękami zebrał swoje papiery i wyszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Seidelberger spojrział ostro na Garunischa i powiedział:

— Chyba wie pan, co zamierzam teraz powiedzieć, prawda? Kenneth Garunisch wzruszył ramionami.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, panie Seidelberger.

— Żądam od pana, aby nakazał pan członkom związku natychmiast powrócić do pracy.

Skoro zaraza dotarła do New Jersey oznacza to, że możemy się jej spodziewać na Manhattanie jutro nad ranem. Nie mam wątpliwości, że się tutaj przedostanie.

Umrą tysiące ludzi, panie Garunisch, a śmierć wielu z nich będzie pańską wątpliwą zasługą.

Garunisch z trudem zachował spokój.

— Panie Seidelberger — zagrzmiał. — Nie jest pan po stronie aniołów tylko dlatego, że nosi pan biały fartuch i pracuje w szpitalu. Moi ludzie, jeżeli zdecydują się opiekować ofiarami zarazy, znajdą się na najlepszej drodze do masowego samobójstwa. Najprawdopodobniej popełnią je; jak zawsze przystąpią do pracy, narażając swoje życie, ale niech będą przeklęty, jeżeli pozwolę im pracować, skoro rząd federalny i władze szpitali odmówią im dodatkowego wynagrodzenia. W Japonii pilotom kamikaze dodatkowo płacono, byli pod wieloma względami uprzywilejowani. Ginęli samobójczo za ojczyznę, ponieważ hołubiono ich i doceniano ich poświęcenie.

Moi ludzie wykażą odwagę i poświęcą się, panie Seidelberger, jednak nie za darmo.

Ernest Seidelberger westchnął.

— Piękne słowa, panie Garunisch, lecz nie na miejscu. Zdaje się, że pańscy ludzie wcale nie zamierzają wykazywać odwagi ani poświęcenia. Oni zamierzają sprzedawać te przymioty za cenę, o którą pan właśnie bezwzględnie się targuje.

Pańscy ludzie to nie bohaterowie, lecz sprzedajne dziwki, a pan jesteś ich alfonsiem.

Kenneth Garunisch przez chwilę wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, po czym głośno się roześmiał.

— W takim przypadku, panie Seidelberger, wszyscy jesteśmy dziwkami. Wszystkim nam płacą za to, że tutaj właśnie siedzimy. Mam nadzieję, że kiedy wyjdzie pan dumnie na ulicę, dopadnie pana jakiś głodny seksu osobnik i przeleci pana tak, że w końcu zrobi się panu jakiś porządek pod tą głupią czachą. Dick, chodźmy już stąd, jest późno.

Seidelberger siedział w milczeniu, podczas gdy Garunisch i Bortolotti podnieśli się i zaczęli zbierać do teczek swoje dokumenty, gotowi do wyjścia. Kiedy otworzyli drzwi, zawołał jednak: . — Panie Garunisch!

Garunisch zatrzymał się.

— Słucham? Czyżby powrócił panu rozsądek do głowy?

Seidelberger potrząsnął głową.

— Nie przyszło mi do głowy nic takiego, co pan nazwałby “rozsądkiem”. Chciałbym jedynie życzyć panu spokojnej soboty i długiego życia, ponieważ im dłużej pański związek zawodowy strajkuje, tym mniejsze ma pan na nie szansę.

Kenneth Garunisch w milczeniu zacisnął wargi. Następnie odwrócił się na pięcie i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Przed szpitalem, na 1 Alei, wiał lekki, ciepły wietrzyk z południowego zachodu.

Drapacze chmur odbijały się w oleistych głębinach East River. Rzeką z mozolem sunęła ciężka barka, płynąc w kierunku Roosevelt Island. Od północy słychać było syreny. Na niebie widoczna była dziwna bursztynowa poświata.

Budynek pikietował jakiś samotny aktywista Związku Zawodowego Personelu Szpitali. Kenneth Garunisch rozpoznał go. Był to niejaki Tipanski, który w przeszłości w kilku szpitalach pracował jako palacz. Ramiona miał szerokie jak taksówkarz, a na głowie nosił niebieską czapczkę baseballową.

Garunisch klepnął go w plecy.

— Jak leci?

Tipanski z zadowoleniem pokiwał głową.

— Dobrze, dziękuję, panie Garunisch.

— O której ktoś cię zmieni?

— O pół do trzeciej przyjdzie Foster.

— Jakież kłopoty?

— Nie. Ale niech pan patrzy na te pożary.

— Pożary? Ten pomarańczowy kolor na niebie to pożary?

— Jasne. Ten cały Gaines powiedział w telewizji, że to Murzyni spowodowali zarazę, białe gangi biegają więc po Harlemie i podkładają ogień, gdzie tylko się da.

Aleją przemknął wóz strażacki.

— Panie Garunisch — mówił Tipanski — czy to prawda, co opowiadają o zarazie? Że ona przyjdzie do nas? Dziennikarze

twierdzą, że nie ma żadnej możliwości, żeby ją zatrzymać.

Kenneth Garunisch spoglądał na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że nie jest w stanie bronić swoich ludzi. Miał wobec nich instynkt matki, która przygarnia młode do siebie, gdy tylko odbiera sygnał o zagrożeniu. Teraz po drugiej stronie Hudson River czaiło się zagrożenie, którego nie można było zobaczyć ani usłyszeć, niosące jednak nieuchronną śmierć w strasznych męczarniach.

Nagle Kenneth Garunisch poczuł strach.

— Jestem pewien, że lekarze wkrótce znajdą lekarstwo — powiedział bez przekonania. — Poza tym, zawsze przecież można odciąć Manhattan od lądu, niczym łódź ratunkową, prawda? Zamkniemy wszystkie tunele i wszystkie mosty i będziemy bezpieczni.

Tipanski zmarszczył czoło.

— Wiadomości są jednak takie niepokojące, panie Garunisch. Mówią już nawet, jak się zachowywać, kiedy się zachoruje.

— Nie martw się, bracie. Kiedy nadejdzie nasz czas, poradzimy sobie.

— Z pewnością, panie Garunisch. Kenneth Garunisch miał już powiedzieć dobranoc, gdy usłyszał czyjeś kroki na chodniku obok siebie.

— Ken... — odezwał się nerwowo Dick Bortolotti i pociągnął go za rękaw. Kenneth Garunisch odwrócił się.

Było ich pięciu. Mieli zacięte twarze i byli potężnie zbudowani. Mogli być jedynie policjantami, akurat nie na służbie. Żaden osiłek z półświatka nie miewa tak starannej fryzury ani tak dobrze utrzymanych wąsów. Ubrani byli w

czarne kurtki ze skóry i otoczyli Kennetha Garunischa i Dicka Bor—tolottiego tak, że ci nie mieli możliwości ucieczki.

— Czy ty jesteś Kenneth Garunisch? — burknął jeden z nich.

Kennet Garunisch błędniał wzrokiem od jednego gliniarza do drugiego. Próbował zapamiętać ich twarze.

— A po co pytacie?

— Kenneth Garunisch, szef Związku Zawodowego Personelu Szpitali?

— A po co pytacie?

— Tak, czy nie?

— Tak. No i co z tego?

Garunisch był dobrze zbudowany i silny, był już jednak zbyt stary i zbyt powolny. Policjant, który dotąd zadawał mu pytania, błyskawicznie zgiął rękę i trzasnął go pięścią w twarz. Garunisch poczuł, jak pęka coś w jego ustach i zatoczył się na ścianę szpitala. Kolejny cios złamał mu kość policzkową.

Następne padały już tak gęsto, że trudno było odróżnić jeden od drugiego. Gdy upadł, policjanci zaczęli go kopać.

Tipanski, krzyknąwszy z wściekłości, próbował go bronić, był jednak zbyt słaby, żeby w czymkolwiek przeszkodzić silnym i znającym swój fach policjantom. Jeden z nich wykręcił mu rękę, a drugi z całej siły kopnął go w żołądek. Tipanski opadł na kolana i zgiął się wpół, nie mogąc złapać oddechu.

Dick Bortolotti uciekł. W panice przeciął 34 Ulicę i zatrzymał się dopiero przy 2 Alei. Oparł się o jakąś ścianę, żeby złapać oddech, a potem powoli, rozglądając się na wszystkie strony, zaczął wracać do Belleuve. Po drodze zrozumiał, że nagle, w

jednej chwili, wszystko się odmieniło i życie nie będzie już takie, jak do tej pory.

Powróciły prawa dżungli i Bortolotti zdał sobie sprawę, że będzie musiał się ich nauczyć.

Edgar Paston leżał na niewygodnej pryczy w swojej celi, czytając tygodnik "Supermarket Report", który Tammy przyniosła mu razem z lunchem. Czytał, że postępująca zaraza sprawiała, iż błyskawicznie rosły ceny pomarańcz i innych cytrusów, mimo że plantatorzy z Kalifornii, wobec prawie zerowych zbiorów prognozowanych dla Florydy przewidywali dla siebie największe zyski w historii.

Odłożył gazetę i sprawdził, która godzina na zegarze, wiszącym na łuszczącej się ścianie naprzeciwko jego celi. Było dziesięć minut po północy, właśnie rozpoczynała się sobota, dźwignął się ciężko z pryczy i ziewnął. Był zmęczony, ale nigdy nie potrafił spać przy zapalonym świetle, a gliniarz, który miał właśnie służbę, odmówił jego wyłączenia.

Przez chwilę zastanawiał się, o czym właśnie rozmyśla Tammy. Najprawdopodobniej też nie spała, leżąc samotnie w ich szerokim małżeńskim łóżku, nad którym wisiał obraz Yellowstone River na wiosnę, nasłuchując, czy dzieci spokojnie śpią w swoich sypialniach, samotna, nieszczęśliwa. Myśląc o tym, prawie się rozplakał, więc natychmiast skupił uwagę na czymś innym.

Zadręczał się martwym skautem. Policjanci przesłuchiwali go ponad cztery godziny i nie uwierzyli mu w to, co im opowiadał o morderstwie. Niczym na filmie, w zwolnionym tempie



powracał mu przed oczy moment, w którym strzelił do chłopaka.

Widział siebie, jak wychodzi ze sklepu. Widział, jak unosi broń. A oni śmiali się, i to było przyczyną nieszczęścia. Gdyby się nie śmiali, nigdy by nie strzelił. Widział zwłoki leżące na betonowym parkingu i słyszał, jak ktoś pyta:

— Czy on nie żyje?

Położył się znów i drzemał trochę, kiedy usłyszał czyjeś kroki. Zamrugął oczyma.

Policjanci prowadzili nowego więźnia. Był w stanie rozróżnić poszczególne głosy.

Postanowił udawać, że śpi; nie miał zamiaru rozmawiać z nowym współwięźniem.

Męczyło go to i nudziło.

— Tutaj — usłyszał głos policjanta.

— Czy to znaczy, że nie dostanę osobnej celi? — zapytał czyjś młody głos. — Co to za porządki?

— To nie Hilton — warknął policjant. Drzwi celi otworzyły się, a potem trzasnęły, ponownie zamknięte. Policjant zadzwonił kluczami. Edgar miał oczy zamknięte, twarzą zwrócony był do ściany.

Przez chwilę nasłuchiwał, jak nowy więzień krąży po celi. Skrzypnęły sprężyny dolnej pryczy i młody człowiek usiadł. Potem wstał znowu, nachylił się nad Edgarem i potrząsnął jego ramieniem.

— Hej, człowieku, śpisz? — zapytał. Edgar Paston otworzył jedno oko.

— Właśnie mnie obudziłeś — warknął.

— Przepraszam. Myślałem, że po prostu nie śpisz.

Edgar przetarł dłonią twarz i usiadł na pryczy. Następnie opuścił nogi w dół i po raz pierwszy przyjrzał się swojemu nowemu współwięźniowi.

W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom. Zaraz jednak poczuł dławienie w gardle i zacisnął pięści. Dosłownie stopę albo dwie od niego, blady, o lisiej twarzy, miarowo żując gumę, stał Shark McManus.

— Czy podają tutaj kawę? — zapytał Shark.

— Nie rozumiem — powiedział Edgar ochryplym nagle głosem.

— Nie rozumiesz mnie, człowieku?

— Czy ty nie wiesz, kim ja jestem? — jęknął Edgar zduszonym głosem. — Nie rozpoznajesz mnie? Shark McManus wzruszył ramionami.

— Przykro mi, człowieku, ale nie.

— Poprzedniej nocy ty i twoja banda chuliganów włamała się do mojego supermarketu i kompletnie go zdemolowała.

McManus wyglądał na zaskoczonego. Zmrużył oczy i powiedział:

— To nie ja, człowieku. Ktoś musiał ci napleść bzdury. Powoli Edgar zsunął się na podłogę. Stał przed McMa—nusem, jakieś sześć cali od niego.

— Nikt nie naplótł mi bzdur, McManus. To byłeś ty ze swoją bandą.

McManus jeszcze przez chwilę żuł gumę, z każdą chwilą jednak coraz wolniej, aż wreszcie zupełnie przestał. Patrzył na Edgara, nerwowo drapiąc się po karku.

— Ty i tacy jak ty doprowadzają mnie do wymiotów — powiedział Edgar, ściągnając okulary i przechodząc kilka kroków. Zaraz jednak znów odwrócił się do McManusa. — Jesteście wstrętnymi dzikimi bestiami.

McManus miał niepewną minę. Trwało kilka minut, zanim się odezwał. Jego głos drżał i był niespodziewanie cichy.

— Cóż, człowieku, pewnie masz rację.

— Rację? — warknął Edgar. — Oczywiście, że mam rację. Niszczysz, burzysz wszystko dookoła, zabiłbyś, gdybyś musiał. Co ty, do diabła sobie myślisz, czym jest świat? Jakąś dżunglą, czy co?

McManus usiadł.

— Tak, człowieku. — Pokiwał głową. — Masz rację. Edgar pochylił się nad nim.

— O, pewnie sobie myślisz, że w ten sposób mnie ułagodzisz, wyłgasz się tą swoją śmieszną skruchą? Nic z tych rzeczy. Przysięgam ci, że jeżeli tylko będę miał

okazję, zrobię wszystko, żeby tacy chuligani jak ty, musieli wynieść się z Elizabeth, raz na zawsze. Słyszysz mnie?

McManus pokiwał głową.

— Słyszę cię. Słyszę cię dobrze i wyraźnie. Edgar ponownie założył okulary i przyjrzał się McMa—nusowi z bliska wzrokiem pełnym wściekłości i gniewu.

— Po tym co zrobiłeś, tylko tyle masz mi do powiedzenia?

McManus zmarszczył czoło, jakby o czymś intensywnie myślał, po czym uśmiechnął się na chwilę z przymusem.

— Chcę ci powiedzieć jeszcze jedno. — Niemal wyszeptał.

— Co takiego?

— To jest właściwie pytanie. A pytanie brzmi: Skoro jesteś taki prawy i uczciwy, to co takiego robisz tutaj, w więziennej celi, razem ze mną?

Edgar wyprostował się. Wziął głęboki oddech.

— Zeszłej nocy — oznajmił — po tym, jak zniszczyłeś mój sklep, pobiegłem za tobą z rewolwerem.

— Nie mów mi, że nie był zarejestrowany. Edgar potrząsnął głową.

— Był zarejestrowany, miałem na niego pozwolenie. Zamierzałem złapać cię i dać ci nauczkę. Niestety... McManus spojrzał na niego uważnie.

— Tak?

— Niestety...

Edgar z trudem wymawiał słowa. Wspomnienie morderstwa, którego dokonał

poprzedniej nocy niespodziewanie odebrało mu mowę.

— No powiedz mi wreszcie, człowieku — zażądał McManus. W jego głosie brzmiało współczucie zmieszane z ironią. — W końcu to mnie chciałeś zastrzelić.

Edgar głęboko westchnął.

— Wybiegłem ze sklepu i zastrzeliłem kogoś, kogo wziąłem za ciebie. Niestety, to nie byłeś ty i dlatego się tutaj znalazłem.

McManus spojrzał na niego z niedowierzaniem. Następnie, bardzo powoli, na jego ustach zaczął pojawiać się uśmiech, z każdą chwilą coraz szerszy. Wreszcie chłopak dwukrotnie parsknął i zaczął rubasznie się śmiać. Z celi obok dobiegł czyjś pełen złości głos:

— Ludzie, dajcie mi się, kurwa, wyspać! McManus, nadal z wyrazem zaskoczenia na twarzy, odezwał się:

— Ukatrupiłeś kogoś, kogo pomyliłeś ze mną? Naprawdę to zrobiłeś? Och, człowieku, jesteś wspaniały! Powiedz mi, kto to był!

Edgar opuścił wzrok.

— Skaut. Nie znam jego nazwiska.

— Skaut! Och, człowieku, jesteś nieobliczalny! Nieprawdopodobne! Zamiast mnie zabiłeś skauta!

Edgar uderzył pięścią w ścianę celi i zawołał chrapliwie:

— To nie jest śmieszne! Posłuchaj mnie, skurwysynu, to nie jest śmieszne!

McManus przestał się śmiać i zamyślił się.

— Przepraszam cię, człowieku — powiedział po chwili. — Nie zamierzałem sprawić ci przykrości. Muszę jednak przyznać, że ubawiłeś mnie setnie.

— Ubawiłem cię...

— Tak. Przecież taka historia nie zdarza się codziennie. Edgar odwrócił się od niego.

— Gdyby na tym świecie była sprawiedliwość, leżałbyś teraz w kostnicy, zamiast tego niewinnego dzieciaka. McManus wzruszył ramionami.

— Och, przestań, człowieku. Nie bądź taki zgryźliwy. I tak nic mu już nie wróci życia.

Edgar milczał. Czuł się zmęczony, zdesperowany, zniechęcony do życia.

— Przecież i tak każdy z nas kiedyś umrze — mówił McManus. — I to szybciej, niż nam się zdaje. Szczególnie teraz,

gdy w kraju szaleje dżuma.

Wstał i zaczął krążyć wzdłuż ścian celi.

— Wiesz co, człowieku, chyba mamy szczęście, że tu siedzimy, a nie chodzimy po ulicach. Myślę, że jest to teraz bardzo ryzykowne.

Edgar spojrział na niego.

— Co masz na myśli?

Shark McManus znów miarowo żuł gumę.

— Chodzi, oczywiście, o zarazę, człowieku. Od jak dawna tutaj jesteś?

— Zarazę...

— Pewnie nie wiesz, że zaraza jest już w całym Jersey. Władze zaleciły, żeby wszyscy pozamykali się w domach i nie wychodzili z nich. Gwardia Narodowa pilnuje granic stanu i jeśli ktokolwiek chce się przez nie przedrzeć, jest na miejscu zabijany. Tak, to prawda! A mnie zamknęli, bo wszedłem sobie do opuszczonego sklepiku, wyobraź sobie, tylko wszedłem, a już mnie mieli.

Edgar Paston gapił się przez moment z niedowierzaniem na McManusa, po czym rzekł:

— Gadasz nonsensy, młodzieńcze. Moja żona była tutaj zaledwie cztery godziny temu. Nic mi o tym nie mówiła. Poza tym, dlaczego milczą na ten temat policjanci? McManus wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Jeszcze niedawno radio trąbiło, że jest tylko kilka osób chorych w szpitalu w Atlantic City, ale ktoś chyba stamtąd uciekł i od razu powstała wielka panika, zakazy, ograniczenia, i tak dalej.

— Ale... Tammy! — zawołał Edgar. — Moje dzieci! Przecież one są w domu, tu, niedaleko! Podszedł do krat i zawołał strażnika.

— Zapomnij o tym — westchnął McManus. — Cały ten burdel jest praktycznie pusty.

Wszyscy policjanci są na ulicach i pilnują, żeby nikt się po nich nie kręcił. Ja nie żartuję, człowieku.

Edgar popatrzył zimno na niego.

— Dzieciaku — powiedział. — Jeżeli teraz ze mnie kpisz, czuj się, jakbyś już nie żył. Tym razem się nie pomyłę i zginiesz ty, a nie niewinny człowiek.

Shark McManus po prostu się uśmiechnął.

— Nie kpię.

— W takim razie musimy się stąd wydostać.

— Dlaczego? To teraz jest najbezpieczniejsze miejsce w całym stanie!

— Zapominasz, że w mieście jest moja żona i dzieci.

— Człowieku, nie porywaj się z motyką na słońce. Nawet jeżeli dotrzesz do domu, nie wyjedziesz z tego stanu.

— To nie ma znaczenia. Istotne jest jedynie to, że jestem ojcem, a moja rodzina jest w niebezpieczeństwie. Muszę wrócić do domu.

Shark McManus powrócił na pryczę i legł na niej w milczeniu. Edgar kilkakrotnie krzyknął, jednak kiedy więzień z celi obok kazał zamknąć mu swój pieprzony ryj, powrócił na pryczę i usiadł na niej z szarą, zmartwioną twarzą, ukrytą w dłoniach.

Minęła godzina. Edgar Paston zdążył się położyć i nawet drzemał przez chwilę; był to urywany sen, gdyż ciągle przeszkadzało mu światło i McManus, który w pewnej chwili zaczął sobie cicho pogwizdywać. Teraz znów siedział i drapał się po głowie.

— Nie śpisz, człowieku? — zapytał go McManus.

— Tak, nie śpię.

— Posłuchaj, czy naprawdę chcesz stąd się wydostać?

— A niby jak? Mam gołymi rękami odgiąć kraty?

— To nie musi być aż tak skomplikowane. Jeżeli chcesz uciec, mogę ci to załatwić. Musiałbyś jednak coś mi obiecać.

Edgar zsunął się z pryczy i popatrzył na Sharka McMa—nusa wzrokiem człowieka, który nagle znalazł pod swym łóżkiem martwego kota.

— Obietnica? — powtórzył. — Tobie? Shark McManus zrobił niewinną minę.

— To twoja jedyna szansa, człowieku. Albo złożysz mi obietnicę, albo tutaj pozostaniesz.

Edgar wbił wzrok w podłogę i westchnął.

— Co to ma być za obietnica?

— Chcę, żebyś zabrał mnie ze sobą. Potrzebny mi jest środek transportu i towarzystwo statecznego człowieka. Z twoją pozycją i moimi umiejętnościami możemy przedostać się z Jersey na Manhattan. Z tego, co mówią w radiu i telewizji, Manhattan jest jakby strefą wolną od zarazy i jest odcięty od świata, żeby nikt nie przeniósł tam choroby.

— Naprawdę, potrafisz mnie stąd wyciągnąć?

— Jasne. A więc obiecujesz mi?



— Cóż...

— Wszystko zależy od ciebie, człowieku. Jeśli o mnie chodzi, nie mam żadnej rodziny. Mogę tu siedzieć do końca świata i wcale nie będę narzekał.

Edgar Paston przybrał surowy wyraz twarzy.

— Żądasz ode mnie, żebym przyzwolił ci dalej żyć, choć potępiam z całego serca twoje postępowanie — powiedział cicho. — Wolałbym raczej poprosić o pomoc żmiję. Ale nie mam wyboru, wygrałeś.

Zabiorę cię ze sobą. Shark McManus wyszczerzył zęby.

— A więc wszystko jest jasne. Połóż się więc teraz na pryczę i drzyj, poć się i jęcz.

— Co ty bredzisz?

— Mówię to, co słyszysz, człowieku. Drzyj, poć się i jęcz.

Edgar Paston powrócił na swoją pryczę i położył się na plecach. Po chwili już trząsał rękami w miarowych drgawkach.

Shark McManus wstał i popatrzył na niego z rozdrażnieniem.

— Powiedziałem, drzyj, poć się i jęcz, człowieku. Wkrótce masz być chory. Masz udawać chorego i przeklinać cały swój parszywy żywot.

Edgar krzyknął:

— Och! Oooo... Mój Boże, umieram, ooo...!

Gdy Shark McManus uznał, że już jest wystarczająco przekonywający, postanowił

zawołać strażnika. Krzyczał zupełnie inaczej, niż przed godziną Edgar, wyzywająco, przeraźliwie, jak potępieniec.

— Straaaaaaż! — wrzasnął.

Strażnik, dzwoniąc kluczami, pojawił się niemal natychmiast, biegnąc w kierunku celi.

— Kurwa, co się dzieje? — zawołał.

— Człowieku, wypuść mnie stąd natychmiast. Ten facet jest chory! To zaraza!

Popatrz na niego, on umiera!

Strażnik niepewnie spojrział przez kraty. Edgar wił się i charczał, sprawiając wrażenie, jakby znajdował się na ostatnim etapie walki ze śmiercią. Jego przedstawienie było wystarczająco przekonujące, by policjant otworzył drzwi celi. Uczyniwszy to, wszedł niepewnie do środka i podejrzliwie przyjrzał się Edgarowi. Edgar krzyczał i wył jeszcze głośniej. Przewracał oczyma tak, że widoczne były tylko białka.

Shark McManus błyskawicznie znalazł się za policjantem i zwinnie, z wprawą zawodowego kieszonkowca, wy dobył mu rewolwer z olstra. Wówczas zawołał:

— No, dobra, człowieku, na dzisiaj to jest koniec zarazy!

Strażnik odwrócił się, sięgając odruchowo po rewolwer, którego już nie było na miejscu. McManus mierzył do niego, trzymając broń w obu rękach, ze zwycięskim uśmiechem na lisiej twarzy.

— Rzuć klucze na ziemię! — zażądał. — Na ziemię, człowieku, i nie próbuj żadnych sztuczek!

Policjant wykonał polecenie. Edgar wstał z pryczy i stanął niepewnie obok Sharka—przestępca z przypadku, przerażony i nadal jeszcze skłonny ze wszystkiego się wycofać. Spróbował uśmiechnąć się uspokajająco do policjanta, ale ten jedynie wpatrywał się w niego w milczeniu, pustym wzrokiem.

Zamknęli go w ich własnej dotąd celi i ostrożnie, po cichu, ruszyli w kierunku schodów.

Na górze, wciąż bardzo ostrożni, przekonali się, że McManus miał rację.

Posterunek był opuszczony, jeżeli nie liczyć oficera dyżurnego, który siedział w przeszklonym pomieszczeniu tyłem do nich i bezustannie odbierał telefony.

Zbiegowie spokojnie przeszli przez pusty hol i po przejściu przez obrotowe drzwi znaleźli się na mrocznej ulicy.

— Widzisz? — powiedział McManus. — To było proste, prawda?

Edgar nie odpowiedział. Teraz, gdy wyszedł z więzienia, właściwie nie widział

powodów, żeby trzymać z McManu—sem. Obietnica była jednak obietnicą. Poza tym, argumentem ważniejszym niż honor był fakt, że McManus miał broń.

— Chodźmy tędy — warknął i ruszyli w kierunku skrzyżowania.

Trzymali się bardzo blisko wszelkich budynków i cieni, ale nawet Edgar zwątpił, czy ktoś będzie ich tutaj szukał. Noc była jakaś dziwna. W powietrzu unosiło się coś specyficznego, coś, co zarazem przerażało i ekscytowało. Słysząc było syreny ambulansów podążających autostradą w kierunku Newark. Poza tym nie jeździły żadne samochody. Minął ich tylko jeden policyjny samochód, na tę chwilę jednak wcisnęli się w jakieś ciemne drzwi. Policjanci mieli jednak najwidoczniej ważniejsze zadania, niż ściganie dwójki samotnych zbiegów.

— Jak daleko stąd jest twój dom?—zapytał Shark McMa—nus.  
— Chyba nie masz wątpliwości, że jeżeli zaczną nas szukać, będzie to pierwsze miejsce, które sprawdzą.

— To jest zaraz za rogiem — odparł Edgar. — Ten budynek, stylizowany na hacjendę. McManus pokiwał głową.

— Miła rezydencja, człowieku. Zdaje się, że supermarket przynosi niezłe dochody.

Edgar popatrzył na niego w milczeniu.

— Mam nadzieję, że jesteś ubezpieczony od takich chuliganów jak ja — dodał McManus.

Po chwili Edgar stał już w drzwiach własnego domu i naciskał guzik dzwonka.

Długi czas za drzwiami panowała jedynie głucha cisza i już zdążył pomyśleć, że Tammy wyjechała albo leży w sypialni na piętrze, martwa. Wreszcie jednak rozbłysło światło w holu i wkrótce jego żona podeszła do drzwi, w różowej koszuli nocnej i w papilotach na głowie.

— Edgar?! Co się stało? Wypuścili cię?

Edgar szybko wszedł do środka, ponaglił Sharka McMa—nusa, żeby zrobił to samo, i zatrzasnął drzwi. Przytulił do siebie Tammy i pocałował ją. Był tak wzruszony i szczęśliwy, że przez chwilę nie mógł mówić.

— Hmm... Tammy, to jest ktoś, kto mi pomógł — odezwał się wreszcie.

— Ktoś, kto ci pomógł? W czym?

— Razem uciekliśmy z więzienia. Dookoła szaleje zaraza i z pewnością nikt nie będzie nas szukać. Musimy stąd wyjechać. Tammy nie dowierzała mu.

— Uciekliście? Ale dlaczego?

— Tammy, musieliśmy. Shark mówi, że na drogach, przy ulicach, leżą ludzkie zwłoki. Zaraza jest już wszędzie. Ludzie padają jak muchy.

— To prawda, proszę pani — przytaknął McManus. — Jak muchy.

Tammy z wahaniem patrzyła to na Sharka, to na swego męża.

— W telewizji mówią, że wszystko jest w porządku. Stan poddany został kwarantannie i nikomu nie wolno z niego wyjechać. Nikomu też, kto przez najbliższe dni pozostanie zamknięty w domu, nic nie grozi.

Shark potrząsnął głową.

— Bzdury. Chodziłem po ulicach i wszystko widziałem. Ta zaraza zabija błyskawicznie, niespodziewanie. Sam widziałem trzech sztywnych na głównej ulicy.

Obejrzałem ich sobie dokładnie, szukając forsy i biżuterii. Musieli umrzeć bardzo szybko.

Tammy z zaniepokojeniem popatrzyła na Sharka i zapytała:

— Edgarze, czy ten chłopak jest kryminalistą?

— Niech się pani nie boi, pani Paston — odpowiedział Shark za jej męża. — Z mojej strony nic wam nie grozi. Przyszedłem tu z pani mężem tylko po to, żeby wam pomóc.

Edgar ujął Tammy pod rękę i ścisnął ją mocno, żeby podkreślić swoje zaniepokojenie, napięcie i powagę sytuacji.

— Kochanie, to jest nasza jedyna szansa. Shark zna ulice, wie, w jaki sposób wymknąć się policjantom. Wydostał mnie z

więzienia i uwierz mi, trwało to zaledwie pięć minut. Poza tym, popatrz, on ma rewolwer.

Shark pomachał czarnym policyjnym rewolwerem, kaliber 38.

— Niech pani spojrzy, mam w nim również komplet nabojów.

Tammy popatrzyła na Sharka i ujrzała w jego oczach to, czego dotąd nie zauważył Edgar: chłód, okrucieństwo i zdecydowanie.

— Rozumiem — powiedziała cicho. — W takim razie przygotuję dzieci do drogi.

Edgar zauważył, że jego żona nie jest zachwycona. Gdy zaczęła wchodzić na schody, podbiegł do niej, znów chwycił za ramię i powiedział:

— Tammy, musisz zrozumieć, że to jest nasze jedyne wyjście.

Tammy nawet się nie odwróciła.

— Skoro tak twierdzisz, Edgarze... Ruszyła na górę, a Edgar patrzył na nią, zaciskając usta. Tymczasem Shark, chowając rewolwer z powrotem za pasek, odezwał się:

— Hej, człowieku, mam nadzieję, że nie spowodowałem żadnego małżeńskiego nieporozumienia u ciebie w domu. To prawda, czasami zabiorę coś nie swojego ze sklepu, jednak bardzo nie lubię zakłócać spokoju bliźnich.

Edgar potrząsnął głową.

— Nawet, gdybyś chciał, młodzieńcze, nie potrafiłbyś zakłócić naszego spokoju.

Tammy i ja... widzisz, o takich ludziach jak my mówią, że są nierozłączni.

Shark wyszczerzył zęby.

— To wzruszające. Mam nadzieję, że wasza historia skończy się happy endem.

Pakowanie i przygotowanie dzieci do drogi nie zabrało Tammy dużo czasu.

Załadowała furgonetkę konserwami, kocami, lekarstwami, poza tym wodą, napojami i rzeczami do ubrania na zmianę. Shark rozglądał się za samochodami policyjnymi, ale ulice w sąsiedztwie domu Edgara Pastona były puste. Jedyłą oznaką życia dookoła był ruch zasłony w domu sąsiadów, obserwujących przygotowania Pastonów do drogi.

O trzeciej piętnaście zamknęli na klucz dom. Chrissie i Marvin, ziewając, zajęli miejsca z tyłu samochodu razem z Tammy. Edgar usiadł za kierownicą, a Shark McManus usiadł obok niego. Co chwilę dotykał chłodnej kolby swojego rewolweru.

Zachowywał się uprzejmie i grzecznie, zarazem jednak jego postawa wyraźnie zdradzała, że nie będzie zadowolony z żadnej sprzeczki ani różnicy zdań.

Włączyli radio w samochodzie na wypadek, gdyby podawano jakieś wiadomości o blokadach Gwardii Narodowej na potencjalnych drogach ucieczki z Jersey.

Co pół godziny podawano najnowsze informacje o epidemii, powtarzano też instrukcje dla wszystkich Amerykanów, co powinni robić, jeżeli stwierdzą u siebie dżumę. Większość wiadomości brzmiała absurdalnie pocieszająco i optymistycznie. Ktoś, kto nie miał pojęcia, w jakim tempie zaraza przetoczyła się przez wschodnie stany i jak okrutne

zebrała żniwo, mógł zupełnie spokojnie i z przeświadczeniem, że jest na to przygotowany, oczekiwać jej nadejścia.

Mercury Pastonów ruszył, przecinając mrok nocy, jadać na wschód, w kierunku nadchodzącego świtu. Wkrótce zostali zatrzymani przez policjanta na motocyklu, ten jednak bardziej zainteresował się prawem jazdy Edgara niż celem ich podróży.

Przez chwilę uważnie rozglądał się po wnętrzu samochodu, a potem machnął ręką, że mają jechać. Wyraźnie był zmęczony po całonocnej, niespokojnej służbie.

Po kilku minutach radio podało kolejną wiadomość:

“W tej chwili bardzo ważne jest, aby wasze obawy i strach przed epidemią nie przerodziły się w panikę i nie dały początku do nie przemyślanych i zgubnych działań. Federalny sztab kryzysowy postawił sprawę jasno: najlepszym wyjściem dla amerykańskich rodzin, zamieszkujących w strefach kwarantanny, jest pozostawanie w domach aż do odwołania. Jeżeli nie dysponujecie wystarczającą ilością żywności, aby przetrwać kilka dni we własnym mieszkaniu, wystawiajcie za okna białe flagi, a lokalna policja dowiezie wam prowiant. Ludzie, zostańcie w swoich domach — w tej chwili jest to zachowanie najrozsądniejsze, najbezpieczniejsze”.

— Mam wrażenie, że zaraz nas ktoś zatrzyma i odeśle z powrotem do domu — powiedziała Tammy. — Edgarze, może lepiej jednak będzie, jeżeli sami zawrócimy?

Proszę cię, wracajmy!

Shark McManus odwrócił się do niej.

— Oczywiście, że ktoś nas wreszcie zatrzyma. Ale nie damy się zawrócić. A teraz niech się pani uspokoi, dobrze? Mam parę



spraw do przemyślenia i potrzeba mi ciszy.

Hałaśliwie i miarowo żując gumę, z wprawą eksperta prowadził Edgara przez Jersey. Miasto było martwe. Zdawało się, że po cywilizacji pozostały jedynie puste samochody na ulicach i niesione wiatrem śmieci. Powoli blednące niebo czyniło krajobraz jeszcze bardziej księżycowym.

Tammy siedziała w kącie samochodu z bladą twarzą i sińcami pod oczyma. Dwoje dzieci spało; ich głowy kiwały się na boki przy każdym zakręcie. Tammy zgodziła się na tę podróż, ponieważ Edgar był jej mężem i ponieważ ona była jego żoną.

Jakimś szóstym zmysłem zaczynała jednak wyczuwać, że Edgar to już nie jest ten sam człowiek, którego znała, zanim zabił człowieka.

Zaczynała nawet podejrzewać, czy za tym morderstwem nie kryje się coś więcej niż tylko tragiczny przypadek, jaki przytrafił mu się, gdy bronił swojej własności.

Widziała niemal tę nić porozumienia, która zaczyna się zawiązywać pomiędzy pospolitym chuliganem, Sharkiem McManusem, a jej mężem. Popatrzyła na jego szyję. Zdawało jej się, że ma przed sobą zupełnie obcego człowieka, którego nic a nic nie kochała.

O piątej trzydzieści nad ranem zatrzymali się. Tammy otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że bardzo długo spała. Stali na trzecim miejscu w sznurze samochodów, sprawdzanych przez policję i Gwardię Narodową przy wjeździe do Tunelu Lincolna.

— Edgarze — odezwała się. — Co się dzieje? Edgar nawet się nie odwrócił.

— To Tunel Lincolna — powiedział głucho. — Dotarliśmy aż tutaj, nie zatrzymani przez nikogo. Możemy dziękować za to Sharkowi.

— To prawda, proszę pani—powiedział McManus z uśmiechem. — Nikt tak jak ja nie zna bocznych dróg z Jersey. Jeżeli kiedyś utkwi pani w korku, proszę zadzwonić po Sharka McManusa i będzie pani uratowana. Obsłużę z uśmiechem na ustach.

— Tutaj jednak nas nie przepuszczą — stwierdziła Tammy.

Shark ruchem głowy wskazał na szare wody Hudson River i na rysujące się w szarym świetle drapacze chmur Manhattanu. Tego ranka miasto wyglądało jak oaza szczęścia na pustyni zarazy.

— Widzi to pani? — zapytał. — Tam właśnie jedziemy, proszę pani, i nie ma takiej siły, która by nas powstrzymała.

Do ich samochodu podeszło tymczasem dwóch policjantów w okularach o ciemnych szklach. Dali Edgarowi znak, aby opuścił szybę w swoich drzwiczkach. Wyglądali na zmęczonych, lecz stanowczych. Za ich plecami czaiło się w pogotowiu aż pięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy Gwardii Narodowej.

— Dzień dobry państwu — powiedział pierwszy z policjantów, rozglądając się po wnętrzu mercury'ego. — Czy mógłbym zapytać, skąd i dokąd jedziecie?

— Wyjechaliśmy z Elizabeth, w New Jersey — powiedział Edgar przytłumionym głosem.

— A zmierzamy tam — dodał Edgar, wskazując na Manhattan.

Policjant jakby się zamyślił. Jeden z gwardzistów za jego plecami głośno ziewnął.

— Przykro mi, proszę państwa — powiedział wreszcie policjant. — Mamy stanowcze rozkazy, aby nie wypuszczać nikogo ze stanu New Jersey ani też nie wpuszczać nikogo na Manhattan.

Edgar Paston ze zniechęceniem opuścił głowę.

— Oznacza to, że powinniśmy zawrócić i pojechać do domu, czy tak? — zapytał.

— Obawiam się, że właśnie to muszę wam zaproponować — stwierdził policjant.

Edgar popatrzył na Sharka.

— Zdaje się, że nie mamy wyboru — zauważył.

— Nigdy nie jest tak, żeby nie było wyboru — powiedział Shark.

Nagle wydobył z pasa rewolwer, przytknął go do głowy Edgara i spojrzał na policjanta. Ten, razem z obstawą, od razu cofnął się o dwa kroki do tyłu. Obaj wydobyli pistolety z kabur.

— Hej, George, mamy kłopoty! — krzyknął gliniarz groźnie. — Albo będziesz mądry, albo martwy. Odłóż broń i opuść wóz z rękami podniesionymi do góry.

— Włącz silnik, Edgar — syknął McManus.

— Co takiego? — zapytał Edgar drżącym głosem.

— Włącz ten cholerny silnik. Uruchom to pudło!

— Przecież oni nas zabijają.

— Nic z tych rzeczy. To porządni chłopcy. A teraz ruszaj. Edgar z wahaniem przekręcił kluczyk w stacyjce, a Shark wrzasnął:

— Jeżeli któryś z was odda chociaż jeden strzał, rozwalę łeb tego faceta!

Słyszycie mnie? Wystarczy mi do tego jeden strzał!

— McManus, proszę cię — jęknęła Tammy. — Przecież ty nie wiesz, co robisz.

— Doskonale wiem — warknął Shark. — Mam zamiar wjechać z wami na Manhattan. A teraz ruszaj, Edgar, bo naprawdę odstrzelę ci łeb!

Powoli samochód zaczął toczyć się w kierunku tunelu. Kilku policjantów i gwardzistów odskoczyło sprzed maski, pozostali pobiegli do wozów patrolowych i ruszyli za autem Pastonów, zachowując kilkunastojardową odległość.

Gdy wjechali do tunelu z policyjnego gigantofonu rozległy się skierowane do nich słowa, zwielokrotniane przez echo:

— Dzieciaku! Odrzuć tę broń! Nie masz najmniejszej szansy! Posterunki blokują oba krańce tunelu! Nie dostaniesz się na Manhattan! Wyrzuć broń, poddaj się, a nic ci się nie stanie!

Tammy łkała. Chrissie i Marvin siedzieli sztywno, z pobladłymi twarzami. Tylko Shark wyglądał na odprężonego. Trzymał rewolwer przy głowie Edgara i spokojnie żuł gumę.

— Dalej, Edgar — odezwał się. — Jedź trochę szybciej, człowieku.

Edgar przyśpieszył. W lusterku widział poruszające się za nim czarno—białe policyjne samochody. Miały włączone wszystkie światła. Jechali teraz za szybko, aby mogli ich dogonić

biegnący gwardziści i kiedy ci zostali z tyłu, McManus zdobył się nawet na tyle fantazji, aby im pomachać.

— Cześć! — krzyknął. — Do zobaczenia w mieście.

Jazda w Tunelu Lincolna wydawała się nie mieć końca. Na samym środku pod Hudson Tammy jeszcze mocniej niż dotąd odniosła wrażenie, że miejsce to jest końcem świata. Dłonie zaciskała między kolanami, a po policzkach ciekły jej łzy.

Stopniowo docierało do nich od przodu szare światło poranka. Wkrótce ujrzeli policyjne samochody, blokujące przejazd, i oczekujących już na nich policjantów.

— No, dobra — westchnął Shark. — Przed nami najtrudniejsza część zadania. Tylko bądźcie spokojni<sup>^</sup> a wszystko doskonale się uda.

— Co mamy robić? — zapytał Edgar cicho.

Shark przez chwilę uważnie wpatrywał się w blokadę.

— Zdaje się, że nie rozbijemy tej przeszkody pojazdem, będziemy musieli więc ją przejść na własnych nogach. Dokładnie przed samą blokadą ostro zahamuj. W tym momencie wszyscy razem wyskoczmy z samochodu i pobiegniemy prosto na policjantów. Chcę, żebyś biegł pierwszy Edgarze, i chcę, żebyś pamiętał, że przez cały czas będę trzymał rewolwer wycelowany w twoją głowę. Pani Paston razem z dziećmi musi tak się poruszać, żebym przez cały czas był otoczony; z tyłu i z boków. Wówczas żaden policjant nie ośmieli się strzelić. Wszystko jasne?

Edgar pokiwał głową. Brakowało im już tylko siedemdziesięciu jardów do blokady.

Widział policjantów, którzy przykucnęli za samochodami i celowali z najróżniejszej broni w ich kierunku. Za nimi wciąż jechał samochód patrolowy. Jego reflektory, odbijające się we wstecznym lusterku, przez cały czas raziły Edgara.

Byli coraz bliżej. Samochód patrolowy niemal dotykał teraz ich tylnego zderzaka.

— Stop! — zawołał McManus i otworzył drzwiczki.

Zapadła cisza. Shark szarpnął Edgara i ten wyszedł przed nim przez drzwi pasażera. Chwycił wówczas jego kołnierzyk jedną ręką, a rewolwer, który trzymał w drugiej, przyłożył do jego karku.

— Niech nikt się nie rusza! — krzyknął. — Jeden ruch i rozwalę tego faceta.

Następnie skinął na Tammy.

— No, chodź, damulko. Podnieś wreszcie dupę i stań tutaj obok mnie.

Tammy otworzyła drzwiczki. Nikt już nigdy nie dowiedział się, co w tej chwili pomyśleli nowojorscy policjanci. Mieli jednak prawo przypuszczać, że Tammy była uzbrojona. Nagle tunel zadudnił serią strzałów. Okna furgonetki popękały, do środka posypało się szkło i trysnęła krew. Ed—gar jęknął i spróbował wrócić do samochodu, McManus szarpnął go jednak gwałtownie i mocnej przycisnął lufę rewolweru do jego karku.

— Nie strzelajcie! — wrzasnął McManus. — Jeszcze jeden strzał i go zabiję.

Policjanci przerwali ogień. Powoli, przyciskając się do Edgara, Shark poprowadził go w ich kierunku. Jeden z

funkcjonariuszy uniósł karabin, jednak sierżant nakazał mu opuścić broń.

W absolutnej ciszy Shark McManus i Edgar Paston wyszli z tunelu. Policjanci przez cały czas trzymali ich na muszce, gotowi w każdej chwili do strzału, nie mieli jednak jeszcze rozkazów, by strzelać do wszystkich, nawet potencjalnych nosicieli zarazy, przepuścili ich więc.

— Idźcie za nimi — powiedział ze złością w głosie jakiś porucznik. — Nie mogą maszerować jak bracia syjamscy przez resztę życia. W chwili, gdy ten młody puści zakładnika, natychmiast go zastrzelcie.

Niechętnie podszedł do mercury'ego. Młody lekarz zajmował się już Tammy i dziećmi. Krew wewnątrz wozu była dosłownie wszędzie. Tammy otrzymała postrzał w pierś i lewe ramię. Chrissie została trafiona w ucho, a Marvin dwukrotnie w klatkę piersiową. Wszyscy żyli, jednak lekarz kiwał nad nimi głową i przypatrywał się im sceptycznie.

— Czy oni muszą wracać do Jersey? — zapytał porucznika. — Kilka najbliższych minut będzie decydowało o ich życiu. Porucznik wzruszył ramionami.

— Znasz rozkaz, Jack. Nikomu nie wolno dostać się na Manhattan, żywemu czy umarłemu. Przykro mi.

— Jezu Chryste — westchnął lekarz. — Zastrzeliliście ich. Porucznik odchrząknął.

— Musieliśmy.

Lekarz ruchem głowy wskazał na powoli znikających Sharka McManusa i Edgara.

— A co z tymi dwoma? — zapytał.

— Dostaniemy ich, nie martw się.

Jeszcze długo po tym, jak Shark i Edgar oddalili się od tunelu, na Manhattanie słychać było żałosny płacz tego ostatniego.

Jedną z trzech osób, które zmarły z powodu zarazy na głównej ulicy Elizabeth, w New Jersey, w piątkowy wieczór, był 52—letni agent ubezpieczeniowy o nazwisku Henry Casarotto. Jego śmierci towarzyszyły tak wielkie męczarnie i ból, że przegryzł sobie lewą rękę i jego zainfekowana ślina dostała się na palce, w tym na sygnet ze złota najwyższej próby. Sygnet ten, jak odkryła policja z New Jersey, ściągnął mu ktoś z palca krótko po zgonie.

Nikt jednak nie wiedział, że sygnet ten w piątkowy wieczór znalazł się na środkowym palcu lewej ręki Sharka McManusa. Nie było możliwości, żeby ostrzec policjantów podążających za McManusem wzdłuż Zachodniej 39 Ulicy w sobotni poranek, iż jedynym sposobem na niewpuszczenie zarazy na Manhattan jest natychmiastowe zastrzelenie tego osobnika i towarzyszącego mu zakładnika.

Była godzina szósta minut sześć. Zaraza wdarła się właśnie na Manhattan.



## ROZDZIAŁ 3

W niedzielne popołudnie zaczął padać deszcz. Temperatura spadła o kilka stopni, a znad oceanu zaczął wiać wiatr, przynosząc ze sobą ciężkie, ciemne chmury.

Doktor Petrie wciąż jechał na północ wzdłuż atlantyckiego wybrzeża. Adelaide spała, siedząc w fotelu pasażera obok niego, a Prickles, na tylnym siedzeniu, cicho coś sobie nuciła.

Zaraza pochłonęła New Jersey szybko i nieubłaganie. W ciągu jednej nocy praktycznie zamarło życie na obszarze siedmiu tysięcy mil kwadratowych. Ciała leżały wszędzie, splukiwane przez deszcz i targane przez wiatr. Porzucone pojazdy sterczały na autostradzie. W niektórych tkwili wciąż martwi kierowcy.

Przez ten księżycowy krajobraz niestrudzenie sunął przed siebie doktor Petrie.

O siedemnastej czterdzieści pięć minął Perth Amboy i miał nadzieję, że dotrze na Manhattan, zanim zrobi się zbyt ciemno. Deszcz wciąż bił w przednią szybę samochodu, a spod jego kół tryskały strumienie wody. Doktor Petrie ssał miętowego cukierka i patrzył bezmyślnie, jak wycieraczki oczyszczają szybę z deszczu. Próbował przypominać sobie różne choroby, z którymi się zetknął, i diagnozy, które wystawiał — tylko po to, by nie zasnąć.

Radio milczało. Z głośników dobiegały jedynie sporadyczne gwizdy i trzaski, czasami słychać było, jak ktoś nadaje

wiadomość alfabetem Morse'a. Mniej więcej w porze lunchu umilkła stacja nowojorska. Nie miał żadnych wiadomości o zarazie już od niemal sześciu godzin. Nie wiedział, jaka jest sytuacja na Manhattanie: czy został odcięty od świata, czy też uciekinierzy z innych stron kraju mają możliwość przekroczenia Hudson River i znalezienia tam azylu przed epidemią.

Doktor Petrie czuł się tak, jakby cały świat wokół niego umarł. Odnosił wrażenie, że już do końca życia będzie tak jechał razem z Prickles i Adelaide przez ponure, splukiwane deszczem ulice, przez puste osiedla i miasta, poszukując Ameryki, która odeszła na zawsze, która nigdy już nie pojawi się na nowo.

Od czasu do czasu na zachmurzonym niebie pojawiały się helikoptery. Jeden z nich zauważył samochód i przez kilka minut nad nim krążył, wkrótce jednak oddalił się, zmierzając w kierunku zachodnim, jak wszystkie poprzednie.

Do tej pory, odwiedzając Nowy Jork, doktor Petrie zawsze lądował na lotnisku La Guardia. Doskonale znał kształty Empire State albo Chrysler Building, pamiętał gęsty ruch na Roosevelt Drive i na moście Triboro. Teraz, gdy ze ściany deszczu wynurzyły się przed nim drapacze chmur World Trade Center, a potem wysoka ściana Wall Street i dziesiątki drapaczy chmur centralnego Manhattanu, od razu odniósł wrażenie, że w ich wyglądzie jest coś nienormalnego. Wkrótce odgadł, dlaczego.

Mimo deszczu i szarugi, w żadnym oknie nie było światła. Manhattan pozbawiony był prądu.

Zjechał do krawężnika i zahamował. Od chwili, gdy wyłączył silnik, jedynym dźwiękiem na całym świecie stał się odgłos ciężkich kropli deszczu, uderzających o karoserię. Przetarł oczy i wysunął głowę do przodu, próbując w monotonnym, ale jakże złowieszczym widoku, odnaleźć coś, co podsunęłoby mu do głowy jakiś pomysł. Po raz pierwszy bowiem od wielu dni, nie miał najmniejszego pojęcia, co robić, dokąd pojechać.

Adelaide poruszyła się i otworzyła oczy.

— Co się stało? Dlaczego stoimy? — zapytała.

Doktor Petrie popatrzył na nią, a następnie ruchem głowy wskazał jej drapacze chmur.

— Leonardzie! — zawołała Adelaide. — To jest przecież Nowy Jork! Udało nam się!

W przyływie radości pochyliła się ku niemu i pocałowała go. Natychmiast jednak delikatnie ją odepchnął i powiedział:

— Popatrz jeszcze raz. Zmarszczyła czoło.

— Co się stało? — Zawahała się. — Gdzie są światła? Doktor Petrie wzruszył ramionami.

— Może to jedynie awaria w elektrowni? W przeszłości już to się zdarzało.

Adelaide popatrzyła mu w oczy. Zapadła straszna cisza, podczas której oboje bili się z własnymi myślami, oboje odrzucili od siebie wnioski, który sam się narzucał, nie chcieli zaakceptować tego, co przecież było oczywiste. Wreszcie jednak Adelaide wyszeptała:

— To zaraza, prawda? Dotarła tutaj przed nami. Doktor Petrie pokiwał głową.

— Tak — powiedział — Zaraza jest już na Manhattanie.

— Co teraz zrobimy? Leonardzie, przecież nie możemy tak jeździć bez końca. Ta zaraza jest najwidoczniej szybsza od nas. Doktor Petrie odkasznął.

— Nie wiem, co robić. Nie wiem. Myślę, że nadejdzie chwila, kiedy i my zachorujemy, tak jak tylu ludzi przed nami.

— Na razie się nam udaje.

— Nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy nie. Jaki jest sens żyć, kiedy na świecie nie ma już nikogo innego? Po co komu lekarz, kiedy wszyscy jego pacjenci leżą już sześć stóp pod ziemią?

Adelaide znów pochyliła się ku niemu i pocałowała go.

— Leonardzie, jesteś przemęczony. Od wielu dni pożądnie nie odpocząłeś. Wpadasz w skrajne przygnębienie.

Zupełnie niespodziewanie doktor Petrie zaczął łkać. Minęły całe lata, odkąd płakał po raz ostatni. Teraz gorzko i głośno łkał, a po policzkach ciekły mu łzy. Adelaide patrzyła na niego z czułością. Milczała.

Po długiej chwili doktor Petrie uspokoił się.

— Przepraszam — powiedział, wycierając nos. — To było głupie z mojej strony.

Adelaide potrząsnęła głową.

— Wcale nie. Masz wiele powodów, żeby płakać.

— Ale to mi w niczym nie pomoże.

— A może się mylisz? Jeżeli się nie rozładujesz, jeżeli nie wyrzucisz z siebie tego wszystkiego, co od tak wielu dni cię gnębi, będziesz kłębkim nerwów, wrakiem człowieka. Płacz więc, jeśli masz na to ochotę.

— Jestem lekarzem. Lekarze nie zachowują się tak głupio. Adelaide uśmiechnęła się.

— Nie wierz w to.

Niespodziewanie obudziła się Prickles. Poruszyła się, głośno ziewnęła i zapytała:

— Czy to już czas na Star Treka?

Adelaide popatrzyła na nią, robiąc zdziwioną minę.

— W jaki sposób chciałabyś oglądać Star Treka w samochodzie?

— Och, zapomniałam — westchnęła Prickles. — Właśnie śniło mi się, że wcale nie jadę samochodem.

— Przynajmniej masz z tej podróży jakiś pożytek — stwierdziła Adelaide.

— Przymusowa przerwa w oglądaniu telewizji to najlepsza rzecz, jaka ci się mogła przydarzyć. Pomyśl tylko, jakie szkodliwe promieniowanie działa na ciebie, kiedy siedzisz przed telewizorem. Pomyśl, jak męczą ci się oczy, jak je wysilasz, wpatrując się godzinami w ekran.

Doktor Petrie miał właśnie przekręcić silnik w stacyjce, ale nagle zamarł w bezruchu. Po chwili popatrzył na Adelaide i zapytał:

— Co? Zmieszala się.

— O co ci chodzi?

— Co przed chwilą powiedziałaś?

— Nie wiem. Coś o wysilaniu wzroku.

— Wcześniej.

— Masz na myśli promieniowanie?

— Właśnie! Promieniowanie z kolorowych telewizorów!

— No i co z tego?

— Jeszcze dokładnie nie wiem — rzekł doktor Petrie.

— Ale chyba pamiętasz audycję radiową, podczas której jakiś mądrała mówił, kto jest bardziej odporny na zarazę, a kto nie? Wyszło na to, że między innymi dzieci, dentyści, lekarze i jeszcze parę innych kategorii ludzi, to grupy, których dzuma tak masowo nie dopada.

— Nie rozumiem cię.

— To bardzo proste. Posłuchaj, od dawna zastanawiałem się, dlaczego Anton Selmer i ja umknęliśmy zarazie, mimo że przez cały czas niemal igraliśmy ze śmiercią. W szpitalu w Miami było też kilku innych lekarzy, do których, jak się zdawało nie miała dostępu. Teraz ty wspominasz dzieci, no, przynajmniej jedno, moje dziecko, wysiadujące przed ekranem kolorowego telewizora. Jak myślisz, przez ile godzin dziennie przeciętny amerykański dzieciak ogląda telewizję?

— Nie pytaj mnie. Może sześć, może siedem godzin. Doktor Petrie pokiwał głową.

— Właśnie. Im trwa to dłużej, tym silniejsze pochłania promieniowanie.

Promieniowanie, które wchłaniamy przy pracy, to jest to, co mam wspólnego z Antonem Selmerem. Pomyśl tylko, promieniowanie działa również na robotników niektórych branż, na personel elektrowni. Wchłaniając promienie X, ludzie stają się radioaktywni, w jakimś minimalnym stopniu, ale jednak.

Adelaide przez chwilę zastanawiała się.

— To jest jednak tylko teoria, prawda? — stwierdziła.

— Chociaż zawsze lepsza jest taka teoria niż żadna. Doktor Petrie uruchomił samochód i powoli ruszyli.

— To może być nonsens, ale to jest jedyna rzecz, która trzyma się kupy. Skoro zwykła dzuma przeszła jakąś mutację i stała się nieuleczalną superzarazą, przyczyną tego może równie dobrze być radioaktywność, jak cokolwiek innego. A wszystko wskazuje, że właśnie o to chodzi.

W gęstym deszczu zbliżali się do Holland Tunnel.

— Jedziemy na Manhattan? — zapytała Adelaide. Doktor Petrie skinął głową.

— Musimy. Mam nadzieję, że zaraza dopiero co tutaj dotarła, a skoro właśnie doszedłem do jakiejś teorii, dotyczącej jej leczenia, muszę komuś o niej powiedzieć.

— Ale, Leonardzie...

— Co takiego? Nie chcesz tam jechać?

— Leonardzie, to nie jest kwestia, czy ja chcę, czy nie chcę. Popatrz tylko: jest ciemno i niedługo będzie jeszcze ciemniej. W tym mieście jest niebezpiecznie i w dzień, i w nocy, gdy działa elektryczność. Teraz jest ono zapewne dżunglą. Nie możesz nas wwieźć do tej dżungli, nie możesz zrobić tego Prickles!

Doktor Petrie odrobinę zwolnił.

— Adelaide — powiedział cicho. — Niestety, nie mamy wyboru. Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, w którym przetrwamy noc, a jutro skontaktujemy się z którymś ze szpitali. Jeżeli zechcesz, wyjedziemy stąd, gdy tylko przedstawię swoją teorię komuś kompetentnemu.

— Leonardzie! — zawołała Adelaide. — Ja się boję! Czy ty tego nie rozumiesz?

Popatrzył na nią z ukosa.

— A czy ty nie rozumiesz, że ja się też boję?

— No to po co tam jedziemy? Okrążmy Nowy Jork i jedźmy do Catskills. Tam będziemy bezpieczni. Już wcześniej mówiłeś, że musimy znaleźć jakieś miejsce, w którym przeczekamy, aż ta zaraza się skończy. Szukajmy takiego miejsca!

Dojeżdżali już do wjazdu w tunel. Przez moment Leonarda Petriego kusilo, żeby zawrócić i uciec przed zarazą, dokąd oczy poniosą. Mogli dalej jechać na północ, do Kanady, mogli uciekać ze Stanów Zjednoczonych, jak najdalej od czarnej śmierci, która czaiła się, żeby zgotować im straszny los. Zdecydował jednak inaczej.

— Adelaide — odezwał się. — Być może nie mam racji, być może moja teoria nic nie jest warta, ale możliwe jest też, że jest ona trafna i że nikt do tej pory nie dodał dwóch do dwóch i nie wpadł na to samo, co ja. Może dzięki mnie zatrzymamy epidemię, może chociaż zwolnimy jej rozwój. Czy mając tę nadzieję, mam jednocześnie prawo zawrócić i pozostawić Manhattan swojemu losowi? Czyż nie miałbym później wyrzutów sumienia do końca życia? W tym mieście jest siedem milionów ludzi, Adelaide, i jeśli przyczynię się do ocalenia chociażby siódmej części z nich, wciąż będzie to cały milion. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy, ocalić od śmierci milion ludzkich istnień?

Adelaide opuściła głowę.

— Czy sądzisz, Leonardzie, że ktokolwiek z tego miliona nadstawiałby karku, żeby ocalić twoje życie?

— Nie wiem. To niestosowne porównanie.

— To nie jest niestosowne! Narazasz własne życie, żeby ratować ludzi, których nie znasz, którzy nie kiwnęliby palcem,



gdybyś zdychał w najgorszych męczarniach. Narażasz przy tym mnie i Prickles. O co ci chodzi, o sławę? Co ci po sławie, kiedy będziesz martwy?

— Nie chodzi o sławę, Adelaide. Istnieje jeszcze coś takiego, jak sumienie albo zwykły wstyd. Zostawiłem w Miami Antona Selmera, zupełnie samego. Jeśli chcesz wiedzieć, wstydzę się tego. Czuję się, jakbym go zdradził.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Kochanie, jeśli nie chcesz wjechać ze mną na Manhattan, możesz zostać —

powiedział doktor Pertie. — Jeśli jednak chodzi o mnie, muszę wjechać do miasta i to nie podlega dyskusji. Cokolwiek zadecydujesz, pamiętaj, że bardzo cię kocham.

— Naprawdę?

Pokiwał głową w odpowiedzi.

— Nie wiem, czy ci wierzyć, czy nie. Jadę jednak z tobą. Tego chyba ode mnie chcesz.

Wreszcie rozmowę przerwała im Prickles.

— Czy już jesteśmy w tym miejscu? — zapytała.

— W jakim miejscu, kochanie?

— W Unorku? Adelaide roześmiała się.

— To jest Nowy Jork, a nie Unork. Tak, słoneczko, prawie jesteśmy na miejscu.

Tatuś zaraz się rozejrzy, czy tunel jest bezpieczny i pojedziemy. Prawda, tatusiu?

Doktor Petrie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jasne. Zaraz wracam. Nigdzie nie odjeżdżajcie.

Wziął automat i ostrożnie wyszedł z samochodu. Było ponuro, wilgotno i zbliżając się do tunelu, w pierwszej chwili nie pojął, co się stało. W poprzek jezdni parkował wielki uzbrojony samochód policyjny, a dwa inne, czarno—białe, stały po bokach. Gdzieś za samochodami palił się jakiś ogień, dając słabe światło. Wokół nie było żywej duszy. Deszcz padał intensywnie.

Po chwili Leonard Petrie miał kompletnie przemoczone buty.  
— Halo! — zawołał. — Czy jest tam kto?

Nic. Odpowiedziała mu cisza, w której słycać było jedynie monotonny szum deszczu. Odniósł wrażenie, jakby po drugiej stronie rzeki, usłyszał zawodzenie syren, nie był jednak tego pewien.

Podszedł do policyjnej furgonetki i przez mokrą szybę zajrzał do środka. Ujrzał pięciu, może sześciu policjantów, skulonych na siedzeniach. Wszyscy byli martwi.

Z karabinem gotowym do strzału obszedł wszystkie samochody i znalazł kolejnego martwego policjanta. Leżał na trotuarze, z twarzą w kałuży. Smagany wiatrem, przemoknięty, wpatrywał się przez chwilę w zwłoki, po czym powrócił do Adelaide i Prickles.

— I tutaj zaraza zwyciężyła — powiedział. — Wszyscy są martwi.

— Och, Boże — westchnęła Adelaide.

— Czy to jest Unork, tatusiu? — zapytała Prickles. — Czy możemy tam już jechać,?

Doktor Petrie popatrzył na nią i uśmiechnął się ze smutkiem.

— Zaraz ruszamy, kochanie.

Po chwili uruchomił samochód i powoli przejechał pomiędzy samochodami policyjnymi. Delta 88 znalazła się w tunelu. Wszystkie światła były pogaszone, było tu gorąco, duszno i ponuro.

Podróż przez tunel przypominała przerażającą jazdę po—ciągiem—widmem. Odgłos jedyne go jadącego samochodu był upiorny, jego światła wyławiały z mroku co chwilę okropne kształty. Musieli jechać bardzo powoli, ponieważ niemal co chwilę natykali się na opuszczone pojazdy i leżące wprost na asfalcie zwłoki.

Kilkakrotnie doktor Petrie niechcący najechał na ludzkie ciało. Każdej takiej chwili towarzyszył odruch wymiotny.

Jechali powoli przez tunel niemal pół godziny. Na każdym jardzie towarzyszyła im obawa, że sfatygowany samochód odmówi posłuszeństwa i na zawsze pozostaną już w tym przerażającym grobowcu.

W końcu jednak wyjechali. Gdy wynurzyli się na powierzchnię na Canal Street, wciąż padał deszcz i było nieprawdopodobnie ciemno. Z prędkością pięciu, a może sześciu mil na godzinę ostrożnie ruszyli na wschód, ku Bowery. Światła samochodu badawczo przeczesywały drogę przed nimi, w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia albo śmierci. Mroczne miasto otaczało ich niczym labirynt z nocnych koszmarów; nieprzyjazne, przerażające, obce.

Pierwsze zwłoki zauważyli na Bowery. Nie było ich wiele, widok był jednak wstrząsający. Oczy zmarłych ślepo wpatrywały się w ciemne niebo.

— Czy nie spotkamy już nikogo żywego? — zapytała Adelaide, z uporem wpatrując się w mrok. — Przecież oni nie mogli umrzeć wszyscy naraz.

Kiedy skierowali się do centrum, zobaczyli pierwsze światła: głównie świeceki płonące wysoko w oknach bloków mieszkalnych i hoteli. Po raz pierwszy też zobaczyli żywych ludzi. Zdawało się, że wszystkie wejścia do budynków są zamknięte na solidne zamki i dodatkowo strzeżone przez ochroniarzy i ochotników z pochodniami i bronią palną. Na 2 Alei doktor Petrie zahamował przy krawężniku i zawołał na człowieka, stojącego przed wysokim biurowcem, z karabinem automatycznym i psem obronnym u nogi:

— Hej, może mi pan powiedzieć, co się tutaj dzieje? Mężczyzna uniósł broń.

— Spierdalaj! — krzyknął.

— Właśnie przyjechałem z Jersey! — zawołał doktor Petrie. — Chciałbym się dowiedzieć, co się tutaj dzieje! Mężczyzna tym razem groźnie machnął karabinem.

— Jeżeli natychmiast stąd nie odjedziesz, rozwalę ci łeb!

— Posłuchaj mnie człowieku... .

Mężczyzna wystrzelił w powietrze. Strzał rozbrzmiał potężnym echem na całej Alei. Doktor Petrie szybko zasunął szybę i jak najszybciej odjechał.

Dalsza droga była pogrążaniem się coraz bardziej w przerażające piekło. Ujrzeni wkrótce ogromne pożary: to biali młodzieńcy z uporem podpalali Harlem i hiszpańskie getto. Mimo deszczu czuć było ogromny swąd. Biali i kolorowi, pomieszani, jakby zjednoczeni w dzikości, biegali wściekle po

ciemnych ulicach, wybijając szyby, rabując, co tylko się dało, z opustoszałych sklepów.

Zwłoki leżały dosłownie wszędzie. Należały do osób, którym życie zabrała dżuma albo bezwzględni, zdziczali zabójcy. Pewna czarna dziewczyna leżała martwa przy krawężniku, z suknią zadartą wysoko pod pachy. Piętnastoletni, może trochę starszy chłopak zawisł szyją na oknie wystawowym; szyba poderżnęła mu gardło, gdy próbował rozbić ją czołem.

Najbardziej przerażający był jednak hałas. W mieście wyły syreny, bez końca dzwoniły tłuczone szyby w oknach, wciąż padały strzały, krzyczeli i wyli ludzie.

Jakby jakiś demon krążył po mieście, grząc złowieszczo, rżąc radośnie na widok szalonej paniki i ludzkiej desperacji, którą wywołał.

— Czy wiesz, gdzie jest najbliższy szpital? — zapytała Adelaide zduszonym głosem, kiedy przecinali 23 Ulicę. W jej głosie brzmiał śmiertelny strach.

Doktor Petrie pokiwał głową.

— Musimy dostać się do Bellevue, na 1 Aleję. Byłem tam tylko raz i znam zaledwie dwie, czy trzy osoby z personelu. Jednak to dobry szpital. Mam nadzieję, że ktoś jeszcze tam żyje.

Zobaczyli grupę czarnych nastolatków. Właśnie podpalali luksusowego lincolna.

Niespodziewanie eksplodował zbiornik paliwa i ubranie jednego z chłopaków zajęło się ogniem. Płonący zaczął szaleć z przerażenia, uderzając dłońmi w płonące miejsca. Nie miał już jednak szansy na ratunek. Jego koledzy otoczyli go kołem i śmiali się, obserwując jego daremne wysiłki.

Adelaide opuściła głowę i zwymiotowała pod nogi.

— Och, mój Boże, Leonardzie, to nie może być prawda, to tylko koszmar — wyjąkała po chwili. — Ja tego nie wytrzymam.

Doktor Petrie wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po policzku.

— Proszę cię, uspokój się, kochanie — powiedział. — Jesteśmy już prawie na miejscu.

Niespodziewanie usłyszeli syrenę policyjnego samochodu, bardzo blisko za sobą.

Jeden z gliniarzy dawał znak, aby zjechali na bok i się zatrzymali. Doktor Petrie posłusznie zatrzymał samochód i czekał.

Policjanci, z rewolwerami w dłoniach, wysiedli z auta i ruszyli w kierunku delty. Obaj mieli zasłonięte twarze i rękawiczki na dłoniach. Stanęli w odległości kilku stóp i jeden z nich zawołał:

— Wsiadajcie z samochodu!

Doktor Petrie otworzył drzwiczki i wykonał polecenie.

— Ręce na dach! — znów krzyknął gliniarz.

Doktor Petrie oparł dłonie na mokrej karoserii. Deszcz trochę osłabł, wciąż był jednak wystarczająco silny, by w ciągu kilku sekund na człowieku stojącym przed samochodem nie pozostało suchej nitki.

— Nie słyszałeś o godzinie policyjnej, człowieku? — zapytał policjant. — Co robisz o tej porze na ulicy?

— Właśnie przyjechałem z Jersey. Nie miałem pojęcia, że tu jest godzina policyjna.

— Z Jersey?

— Tak. Wszyscy w samochodzie jesteście jednak zdrowi. Nikt z nas nie ma dżumy.

— Skąd jesteś taki pewien?

— Wszyscy troje pochodzimy z Miami. Przez sześć dni mogliśmy zachorować, będąc w centrum zarazy, jednak nic takiego się nie stało. Jestem lekarzem. Czy chce pan zobaczyć moje dokumenty?

— Wyciągnij je przed siebie.

Doktor Petrie zrobił, co kazał mu policjant. Jeden z nich poświecił latarką, pochyliwszy się, by dokładniej spojrzeć na legitymację doktora Petrie.

— Wygląda w porządku.

— Czy dawno zaraza, tutaj dotarła? — zapytał doktor Petrie.

— O ile mi wiadomo, zamierzaliście odciąć całe miasto od świata.

Policjant potrząsnął głową.

— Tak chcieliśmy zrobić, ale wyszło na to, że jakiś zarażony bękart przedostał się przez kordony. Teraz, co się dzieje, sam widzisz. Pierwsze zachorowania nastąpiły wczoraj wieczorem. Dzisiaj panuje już totalna panika i bezład.

— Czy nikomu nie wolno poruszać się po ulicach?

— Człowieku nie pytaj. Nikt, kto ma choć trochę oleju w głowie, nie opuszcza mieszkania. Ulicą w tej chwili rządzą psychole i najróżniejszego autoramentu przestępcy. To ich godziny. Wylegli jak krety z nory.

— Czy rząd federalny wam pomaga? Policjant wzruszył ramionami.

— A kto to wie? Ostatnia moja wiadomość jest taka, że prezydent rozkazał nowojorskiej policji działać stanowczo i zdecydowanie dla ratowania miasta.

Chryste, ta zaraza jest nieuleczalna, więc po co to wszystko?

— Może jednak istnieje lekarstwo — powiedział doktor Petrie. — Jadę właśnie do Bellevue, żeby o tym porozmawiać.

Policjant schował broń do olstra.

— Jeżeli naprawdę potrafi pan coś wymyślić przeciwko tej zarazie, ogłoszą pana świętym.

Doktor Petrie wsiadł z powrotem do samochodu. Policjant ostrzegł go jeszcze:

— Niech pan będzie ostrożny, dojeżdżając do Bellevue. Personel szpitali wciąż strajkuje. Lepiej unikać tych ludzi, są w nie najlepszym nastroju. Czy ma pan broń?

Doktor Petrie pokiwał głową.

— Niech pan ją trzyma pod ręką i nie waha się strzelać, jeżeli będzie potrzeba.

Po ulicach krążą dzisiaj dzikie zwierzęta; nie chciałbym, żeby porządni ludzie padali ich ofiarami.

Gliniarz miał rację, mówiąc o Bellevue. W słabym świetle lamp awaryjnych grupa pracowników stała przed szpitalem, pikietując go. Kręciło się tu też wielu rozwścieczonych ludzi, zainteresowanych losem swoich dzieci i krewnych, znajdujących się już w szpitalu. Słychać było zawodzenie syren. Ambulansy jeździły ze szpitala i do szpitala bez wytchnienia, wciąż przywożąc nowe ofiary zarazy.

Doktor Petrie zaparkował delte i pomógł Adelaide i Pric—kles wysiąść z samochodu. Zabrał broń i dodatkową amunicję, po



czym zamknął samochód na klucz.

Szansę, że nie znajdą się amatorzy na ich skromny dobytek były niewielkie, ale liczył na łut szczęścia.

Wszyscy troje z trudem przepchnęli się przez tłum kłębiący się przed szpitalnymi drzwiami. Jakaś kobieta z rozwianą fryzurą, w poszarpanym ubraniu, wrzeszczała:

— Bandyci! Mordercy! Wszyscy pójdziecie do piekła! Pikietujący nie pozostawali dłużni:

— To nieprawda! — wołał któryś z nich. — To nieprawda! Nie jesteśmy mordercami!

My też chcemy żyć! Jeżeli tak wam zależy na chorych ludziach, to opiekujcie się nimi sami.

Ktoś inny zawołał:

— Czy wiecie, co uczynił Jezus? Powiedzcie, wiecie, co uczynił Jezus?

Wreszcie doktor Petrie stanął przed drzwiami, do których dostępu bronili krępy biały i wysoki Murzyn, w ubraniu poplamionym krwią. Popatrzył na nich groźnie, lecz ani im w głowach było, żeby wpuścić całą trójkę do środka. Po chwili nieznacznym ruchem odsłonił przed nimi lufę automatu.

Czarny, spocony i agresywny, zrobił zdziwioną minę i warknął:

— Do kurwy nędzy, o co ci chodzi człowieku?

— Z drogi! — zawołał doktor Petrie. — Tylko zejdz mi z drogi!

— A co mi zrobisz? Zastrzelisz mnie? Kurwa, nie wyglądasz na takiego, co to potrafi pociągnąć za cyngiel.

Przestraszony, ale i rozwścieczony, doktor Petrie strzelił mu w nogi. Ten natychmiast padł na ziemię.

— Moja stopa — jęknął, ściskając dłonią but. — Ty skurwysynu, przestrzełeś mi, kurwa, stopę!

Na betonie pokazała się krew. Tłum, stojący dotąd blisko drzwi, cofnął się.

Strzał przstraszył ludzi, a automatyczny karabin w dłoniach doktora Petriego wzbudzał szacunek. Nikomu nawet do głowy nie przychodziło, aby mu go odebrać.

Szalejąca zaraza budziła strach i niepewność o dalszy los, nikt jednak ze zgromadzonych przed szpitalem nie był samobójcą. Doktor Petrie wykorzystał niepewność ludzi, aby szybko przedostać się do szpitala. Gwałtownie pchnął

Adelaide i Prickles i już po chwili był w środku. Zanim szpitalny strażnik zdążył zorientować się w sytuacji, ryglował za sobą drzwi.

— Jestem lekarzem — rzucił do strażnika i pokazał mu legitymację.

Strażnik zrobił zdziwioną minę.

— Lekarzem? Z karabinem?

— Człowieku, czy nie wiesz, co się dzieje na zewnątrz? Czy nie byłeś tam, niczego nie rozumiesz?

— Czego pan chce? — zapytał strażnik. — Czy to pan strzelał przed chwilą?

Prickles płakała.

— Chcę rozmawiać z ordynatorem szpitala — zażądał doktor Petrie. — Mam do przekazania bardzo ważne informacje. Proszę natychmiast go przywołać.

Strażnik nie miał zbyt mądrej miny. Tłum z zewnątrz znów tkwił przed drzwiami.

Teraz jednak nie była to jedynie pikieta. Ktoś rozbił szybę i wyciągnął rękę, aby odsunąć zasuwę od środka.

— Zdaje się, że ma pan poważne kłopoty — powiedział strażnik. — Przykro mi przyjacielu, nie możesz tutaj pozostać. Nie chcę stracić życia przez ciebie.

Doktor Petrie znów uniósł automat na wysokość bioder.

— Och, Leonardzie, proszę, żadnej więcej strzelaniny.

— Adelaide zakryła twarz dłońmi.

Nie słuchał jej. Wściekłość sprawiała, że niemal nic nie widział, a w szpitalnym holu zrobiło się jakby ciemniej.

— Połóż rewolwer na podłodze — zażądał od strażnika.

— Pośpiesz się tylko, bo moja cierpliwość za chwilę się skończy. Widząc, że to nie żarty i że za chwilę może zginąć, strażnik wykonał polecenie doktora Petriego.

— A teraz dzwoń do naczelnego lekarza – powiedział doktor Petrie zimnym tonem. — I dobrze ci radzę, pośpiesz się, bo będzie z tobą źle.

Strażnik podniósł słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie i wcisnął kilka cyfr.

Doktor Petrie niespokojnie wpatrywał się w zaryglowane drzwi, podczas gdy strażnik przekonywał telefonistkę, żeby połączyła go z doktorem Murrayem. Ludzie na zewnątrz napierali barkami na drzwi; jeden z zawiasów zaczynał już puszczać.

Wreszcie, po oczekiwaniu, które zdawało się trwać wieczność, doktor Petrie otrzymał słuchawkę od strażnika.

— Doktor Murray? — zapytał Leonard Petrie. — Muszę mówić bardzo szybko, bo mam tutaj pewne kłopoty przy

wejściu do szpitala. Nazywam się Leonard Petrie, jestem lekarzem z Miami na Florydzie. Dużo wiem o zarazie, widziałem jej początki w Miami, poza tym mam pewną teorię, w jaki sposób leczyć ludzi, których dopadnie ta choroba. Czy mógłbym się z panem spotkać?

Doktor Murray mówił bardzo zmęczonym głosem. Poza tym był ostrożny.

— Mówi pan, że przyjechał pan z Miami? O ile mi wiadomo, z tego miasta nic nie zostało.

— Udało mi się uciec, razem z córką i przyjaciółką. Dosłownie przed chwilą dotarłem do Nowego Jorku i koniecznie muszę się z panem zobaczyć.

— Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, doktorze Petrie.

— Wiem o tym, doktorze Murray. Ale mam nadzieję, że potrafię udzielić panu wskazówek, w jaki sposób ocalić tysiące ludzi. Może miliony.

Drzwi do szpitala były już prawie wyrwane. Rozwścieczeni ludzie kopali futryny i szkło. Adelaide przycisnęła do siebie Prickles i cofnęła się daleko w głąb korytarza.

— Doktorze Murray! — zawołał do słuchawki Leonard Petrie, przerywając przedłużającą się po drugiej stronie ciszę. Doktor Murray ciężko westchnął i powiedział po chwili:

— No, dobrze, spotkam się z panem. Będę mógł jednak poświęcić panu tylko kilka minut. Zapraszani do siebie, na piąte piętro, do pokoju numer 532.

Doktor Petrie odwiesił słuchawkę. Niemal w tym samym momencie rozwścieczeni ludzie rozbili drzwi i wdarli się do środka.

Petrie uniósł automat. Na ten widok tłum zatrzymał się. Ci z pierwszego szeregu patrzyli na doktora złowrogo, groźnie, jak cofa się w kierunku Adelaide i Prickles. Po chwili, jakby na sygnał, ruszyli w jego kierunku, zachowując jednak dystans.

— Leonardzie! — zawołała Adelaide. — Leonardzie! Oni nas zabijają.

Doktor Petrie zatrzymał się. Wycelował broń w najbliższego napastnika. Ten gest sprawił, że zatrzymali się wszyscy. Wyczuł, że nie bardzo wiedzą, co teraz robić.

Powoli i głośno powiedział:

— Macie dziesięć sekund, żeby się stąd wynieść. Potem zacznę strzelać i nie bardzo mnie obchodzi, w kogo trafią kule.

Ludzie stali w miejscu. Przez jedną krótką chwilę był pewien, że ludzie nie dowierzają mu i pomyślał, że jednak będzie musiał strzelać. Poczul pot na całej twarzy i pod koszulą, jego ręce zaczęły się trząść.

— Czy nie słyszycie? — wrzasnął. — Dziesięć sekund!

Jakiś mężczyzna, dzierżący w dłoniach siekiere, zabraną ze stanowiska przeciwpożarowego, postąpił krok naprzód. Doktor Petrie natychmiast wycelował w jego głowę. Mężczyzna zatrzymał się.

— Osiem sekund.

Ludzie niepewnie popatrzyli na siebie. Z tylnych szeregów ktoś odezwał się:

— Och, pieprzyć skurwysyna, dostaniemy go później. — Mówiąc to, odrzucił jednocześnie na posadzkę ciężką drewnianą nogę od stołu. Powoli, jeden po drugim rezygnowali z ataku pozostali napastnicy.

Doktor Petrie szybko ujął pod rękę Adelaide, trzymającą na rękach Prickles, i wycofał się w kierunku schodów. Nie dowierzał windom. Prąd z awaryjnych generatorów w każdej chwili mógł przestać płynąć.

— Dasz radę wejść na piąte piętro? — zapytał Prickles. Dziewczynka, blada i przerażona, tylko pokiwała głową. Odnaleźli doktora Murraya w zagrożonym gabinecie na piątym piętrze, rozmawiającego akurat przez wewnętrzny telefon i pijącego czarną kawę z plastikowego kubka. Miał siwe włosy, ciężkie okulary w rogowych oprawkach i niezwykle duże uszy. Mimo wszystko sprawiał jednak wrażenie mężczyzny stanowczego, który wie, czego chce.

— Doktor Murray? — zapytał doktor Petrie, wyciągając rękę.

Doktor Murray potrząsnął nią.

— Usiądźcie, gdzie się da — powiedział. — Jeżeli nie ma miejsca, to pozrzucajcie papiery na podłogę. Nie zaszkodzi im to już. — Był w fatalnym nastroju, a jego ponury głos dochodził jakby zza grobu.

Usiedli. Doktor Petrie zupełnie świadomie oparł automat o biurko, na doktorze Murrayu gest ten jednak najwyraźniej nie wywarł żadnego wrażenia.

— A teraz do rzeczy — powiedział bez wstępów. — W jakiej sprawie chciał pan się ze mną zobaczyć?

— Oczywiście, chodzi o zarazę — zaczął wyjaśniać doktor Petrie. — Zaczęła się w Miami, osobiście zetknąłem się z pierwszymi przypadkami i próbowałem tych nieszczęsnych ludzi ratować.

— Z jakim powodzeniem? — zapytał doktor Murray.

— Zerowym. Razem z kolegą doszliśmy jedynie do tego, że zarazę spowodowała *Pas teurellapestis*, nie reagująca jednak na zwykłe antybiotyki ani surowice.

— To wszystko wiem. Ma pan jednak podobno jakieś rewelacje.

Doktor Petrie odkaszlnął.

— Chcę, żeby pan zauważył, doktorze, iż miałem przez długi czas do czynienia z agresywnymi bakteriami, których w żaden sposób nie potrafimy zniszczyć, bakteriami, które w ciągu zaledwie tygodnia potrafiły zmieść z powierzchni ziemi całą populację wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, a mimo to wciąż jestem zdrowy, nic mi nie dolega.

— Widzę.

— Nie rozumie pan — ciągnął doktor Petrie. — Jestem zdrowy i musi być jakaś tego przyczyna. Równie zdrowe są moja córka i moja przyjaciółka, która przez cały czas przebywała prawie wyłącznie z nami. Po prostu my się nigdy nie zarazimy.

Doktor Murray otworzył szufladę w biurku, wyciągnął pomietą paczkę papierosów, i zapalił jednego, uprzednio popatrzywszy na niego z odrazą. Trzymał papierosa w kąciu ust i wydmuchiwał dym na boki niczym pokerzysta.

— Chce mi pan powiedzieć, doktorze Petrie, że wie pan, dlaczego jest pan zdrowy.

Czy dobrze rozumiem pana intencje?

— Bezbłędnie. Otóż ja i córka nie zaraziliśmy się dżumą, ponieważ poddawani byliśmy częstemu promieniowaniu. Jeżeli chodzi o mnie, można mówić o promieniach Roentgena. W

przypadku mojej córeczki... cóż, uratował ją kolorowy telewizor.

Uważam, że przez kilka dni była chora, jednak dzięki promieniowaniu, które otrzymała z telewizora, dzięki temu też, że miała bardzo niewielki kontakt z wszystkimi możliwymi źródłami dżumy, wyzdrowiała.

Doktor Murray ściągnął okulary.

— Nie rozumiem pana, doktorze Petrie. Na jakiej podstawie twierdzi pan, że promieniowanie może mieć jakikolwiek wpływ na bakterie dżumy?

— To można łatwo wytłumaczyć. Przypuszczam, że w jakiś sposób promieniowanie dotarło do odpadów z Long Island, wyrzucanych do oceanu, i w radioaktywnych już wtedy organicznych odpadach pałeczki dżumy uległy mutacji w niezwykle złośliwą formę. Sądzę, że jakieś dawki promieniowania są w stanie te złośliwe bakterie przemienić w całkowicie niegroźne, a przynajmniej osłabić ich siłę. Nie mam jeszcze pewności. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że pan i pańscy współpracownicy rozważycie moją teorię i podążycie jej tropem.

Doktor Murray przez chwilę głęboko się zastanawiał, po czym powiedział:

— Doktorze Petrie, sądzą, że wysunął pan bardzo ciekawą teorię. Jednak ja akurat nie jestem naukowcem bakteriologiem. Próbuję zaledwie panować nad funkcjonowaniem miejskiego szpitala i w tej chwili nie mam możliwości zajmowania się czymkolwiek innym. Potrzebuje pan człowieka, który



zamieniłby tę teorię w naukowe fakty; dopóki jest to tylko przypuszczenie, nie ma z niego żadnego pożytku.

— Czy mógłby mi pan kogoś zaproponować?

Doktor Murray sięgnął po notatnik i zaczął go kartkować.

— Są w Stanach dwaj bardzo dobrzy specjaliści od tych spraw — powiedział.

— Aktualnie walczą przeciwko sobie w sądzie. Zdaje się, że jeden oskarża drugiego o kradzież patentu, czy coś w tym rodzaju. Obaj jednak cieszą się znakomitą reputacją i obaj interesują się radioaktywną mutacją bakterii. O, tutaj sobie ich zapisałem. Profesor Ivor Glantz i profesor Siergiej Forward.

— Słyszałem już o Glantzu — stwierdził doktor Petrie. — Zdaje się, że to taki samotny wilk, jeśli dobrze pamiętam.

— Jednak błyskotliwy. Jeżeli pańska teoria ma jakiegokolwiek racjonalne podstawy, on bez wątpienia je odkryje.

— Gdzie go znajdę?

— Ma pan szczęście. Profesor Glantz mieszka na 1 Alei, w Concorde Tower. To bardzo bogaty człowiek.

— Nie wiedziałem, że bakteriologzy potrafią dochodzić do wielkich pieniędzy.

— Czasami osięgają fortuny: gdy ich ojcowie są bankierami, albo gdy oni sami opatentują jakieś odkrycia. Zdaje się, że Ivor Glantz dokonał rewolucji w sztuce warzenia piwa. Opisał bakterię, która przyniosła mu nie tylko sławę, ale i ogromne pieniądze.

— Rozumiem. Cóż, doktorze Murray, być może i my powinniśmy zająć się czymś, co przynosi większe pieniądze. Doktor Murray zignorował to stwierdzenie.

— Mogę dla pana coś napisać do profesora Glantza, na papierze firmowym szpitala.

Gdyby pan chciał wejść ot tak, bez żadnego uzasadnienia, do Concorde Tower, nie zostałby pan wpuszczony. Prawdę mówiąc, czasy są takie, że nigdzie pan nie wejdzie, o ile nie jest pan tam znany.

— Dziękuję panu — powiedział doktor Petrie. Tymczasem lekarz zaczął odkręcać pióro i przygotował papier, aby napisać list. — Mam nadzieję, że uda nam się przynajmniej coś wymyślić, co choć trochę ulży panu w pracy.

Doktor Murray skrzywił twarz w grymasie pełnym niechęci.

— Może pan zrobić coś jeszcze. Kiedy znajdzie się pan w Concorde Tower, proszę użyć tej broni i zrobić wielką dziurę w facecie o nazwisku Kenneth Garunisch.

— No właśnie, wspominając o nim, coś mi pan przypomniał. Czy jest stąd jakieś dodatkowe wyjście? Chyba troszeczkę zdenerwowałem ludzi Garunischa i rodziny chorych, wchodząc do szpitala głównym wejściem.

Doktor Murray pokiwał głową.

— Pomogę panu stąd się wydostać. A teraz, zanim pan pójdzie, czy napije się pan kawy? Moja sekretarka przyrządzi ją państwu. Ja, niestety, muszę wracać na oddział.

Doktor Murray zaprowadził ich do sekretariatu, a sam odszedł. Siedzieli potem przy oknie przez pół godziny, wpatrując się przez szyby w ciemne miasto. Okno było dźwięko—szczelne, jednak gdy je trochę uchylili, usłyszeli zawodzenie syren i szczekliwe ujadanie broni palnej. Czarne, ginące miasto w wielu miejscach oświetlone było pomarańczowymi

płomieniami pożarów. Przypominało średniowieczną wizję królestwa diabła, miejsce, gdzie w ciemności walczą ze sobą demony i przerażające bestie. Nawet gwiazdy nie unosiły się nad dwudziestowiecznym miastem, które przerodziło się w koszmar rodem z piętnastego wieku.

Ivor Glantz wyszedł właśnie spod przysznica. Miał na sobie biały płaszcz kąpielowy, do czoła mieniącego się drobnymi kropelkami wody, przykładał chusteczkę higieniczną.

— Doktorze Petrie — mówił. — Muszę stwierdzić, że podziwiam pańską odwagę.

Odwagę pana, pańskiej przyjaciółki i małej córeczki.

Doktor Petrie, ogolony i pachnący wodąkolońskąBraggi, siedział w szerokim fotelu o kremowym kolorze, stylizowanym na lata trzydzieste. W ręce trzymał dużą szklankę, do połowy wypełnioną szkocką whisky. Pierwszy raz w tym tygodniu czuł się odrobinę odprężony. Znów był umyty i jakby przywrócony cywilizacji.

Prickles, otulona w wielką kurtkę od pidżamy, należącej do Glantza, smacznie spała w małej sypialni. Adelaide i Esmeralda były w kuchni. Rozmawiały i przygotowywały kolację.

— To nie była kwestia odwagi — stwierdził doktor Petrie, uśmiechając się ze smutkiem. — Coś zupełnie innego. Raczej ogromne pragnienie przeżycia. Przecież rząd nakazał zniszczenie całego Miami, a my właśnie stamtąd uciekliśmy.

— Uważa pan, że naprawdę prezydent rozkazał coś takiego?

— Spalenie miasta? Nie jestem pewien, ale myślę, że tak. Od samego początku nie rozumiem sposobu, w jaki rząd postępuje wobec tej sprawy. Tam, w Miami, w pewnej chwili czuliśmy się,

jak barany, które mają zostać poświęcone na ołtarzu innej, ważniejszej sprawy.

Glantz uśmiechnął się.

— W każdym razie dobrze pan zrobił, że pan stamtąd uciekł. Myślę, że zechce pan pozostać przez kilka dni w Concorde Tower i być moim gościem. Mamy w tym budynku własne źródło zasilania i jesteśmy tutaj bardzo bezpieczni. Ten blok tak został zaprojektowany: zapewnić mieszkańcom maksymalne bezpieczeństwo. Zdążył pan już zresztą zobaczyć, jak zabezpieczamy się przed intruzami.

Doktor Petrie pociągnął łyk szkockiej. Dopiero teraz zaczynał zdawać sobie sprawę, jak jest zmęczony. Nie był pewien, czy zdoła wytrzymać bez snu do kolacji.

— Czy zastanawiał się pan nad moją teorią? — zapytał. Ivor Glantz pokiwał głową.

— Jasne. Rozmyślałem nad tym pod prysznicem.

— I co pan o tym sądzi?

Glantz strząsnął popiół z papierosa.

— Jeśli chce pan znać prawdę, uważam pańskie domysły za bardzo interesujące.

Jest to jedna z tych teorii, nad którymi bez wahania należy popracować. Musi pan wiedzieć, że większość współczesnych epidemii jest efektem kombinacji okoliczności, które znamy z historii oraz przyczyn współczesnych, wynikających głównie ze stanu środowiska na ziemi. Czasami to wszystko łączy się ze sobą w sposób tak absurdalny i niezwykły, że nikt nie jest w stanie niczego przewidzieć z góry. Jeśli chodzi o tę epidemię, sądzę że od dawna obecne były w kraju wszystkie czynniki

niezbędne do tego, aby nieuchronnie wybuchła; potrzeba było tylko kilku sprzyjających zbiegów okoliczności.

Glantz wstał, podszedł do barku i nalał sobie dużą porcję whisky.

— Najważniejszym elementem jest sama dżuma — kontynuował. — Miewaliśmy już wybuchy dżumy w Stanach Zjednoczonych w dwudziestym wieku. Głównie w regionach zachodnich, co roku słyhać o pojedynczych jej przypadkach. Na Florydzie zresztą też się zdarzają: przypuszczam, że pan o tym słyshał. To endemiczna choroba wiewiórek i szczurów. Drugim składnikiem są wszelkie odpady i odchody. Muszę potwierdzić, że środowisko oceaniczne, w którym topimy wiele śmieci, doskonale służy rozwojowi i wszelkim mutacjom bakterii. Organiczne odchody porównałbym do laboratorium, w którym z powodzeniem można eksperymentować na szczepach bakterii. Trzeci czynnik to radioaktywność. Cóż, nie mamy na razie żadnego dowodu, co jest jej źródłem w wodach oceanu, jednak z dużym prawdopodobieństwem można odgadywać, że wywołują ją wszelkie procesy industrialne, a może okręty i łodzie podwodne napędzane energią atomową, czy też wyrzucające do wody zużyty uran akurat tam, gdzie składowane są nieczystości pochodzenia organicznego.

Ivor Glantz łyknął odrobinę szkockiej i mówił dalej:

— Mamy więc oto trzy elementy. Teraz wystarczy już tylko jakaś niezwykła sytuacja pogodowa, klimatyczna, doktorze Petrie, i nieszczęście gotowe. Tak, proszę pana, pańska teoria ma ogromne znamiona prawdopodobieństwa.

Doktor Petrie ciężko pokiwał głową.

— Problem polega teraz na tym — kontynuował Glantz — że nie wystarczy przekonanie o prawdopodobieństwie teorii. Teraz musimy udowodnić, że ma pan rację. Nawet, jeżeli znajdziemy dowody, kolejnym trudnym zadaniem będzie przekazanie rządowi federalnemu informacji o tym i przypilnowanie, żeby natychmiast podjął działania, zgodne z naszymi wnioskami.

— Czy Manhattan jest kompletnie odcięty od świata?

— Dopóki miasto pozbawione jest energii elektrycznej, tak. Jeszcze w ciągu dnia nadlatywały tutaj helikoptery, jednak zdaje się, że już odwołano loty. To samo dotyczy komunikacji morskiej. Tak długo, jak długo w mieście panuje zaraza, nikt nie zechce nas stąd zabrać.

— Co więc zrobimy? — zapytał doktor Petrie. — Wygląda na to, że po prostu zmarnowałem czas. Glantz wzruszył ramionami.

— Chyba jednak się pan myli, doktorze. Nie mam co prawda w mieszkaniu laboratorium, jednak mogę tu opracować kilka wyliczeń matematycznych. Myślę, że w warunkach domowych mógłbym dojść do momentu, w którym z sześćdziesięcioprocentową pewnością można by przyjąć lub odrzucić pańską teorię. Ten stopień prawdopodobieństwa powinien przekonać rząd. Myślę, że podstawowym zadaniem jest określenie krytycznego poziomu radioaktywności, progu, powyżej którego napromieniowane bakterie zaczynają być groźne. Takie wyliczenie już samo w sobie będzie odkryciem. Znając ten poziom, wszystkim do tej pory zdrowym ludziom

będziemy mogli pomóc: otrzymają po prostu odpowiednią dawkę promieni Roentgena i będą odporni na zarazę.

— A co z ciężarnymi kobietami? — zapytał Petrie. — Przecież ich nie można naświetlać. Nie możemy przecież zwalczyć zarazy, po czym stanąć przed problemem całej generacji zdeformowanych dzieci.

Ivor Glantz potrząsnął głową.

— Nie sądzę, żeby dawka promieniowania niezbędna do uodpornienia na dżumę była tak silna, aby spowodowała wady rozwojowe u noworodków. Sprawdzę jednak. Kiedy już będę miał jako taką pewność, że przyczyną zarazy są radioaktywne bakterie, powstanie problem przekazania wiadomości do Waszyngtonu lub do jakiegokolwiek miejsca, w którym ukrywa się prezydent. Wówczas, w strefie wolnej od dżumy, ktoś wykona praktyczne doświadczenia.

— Sprawia pan wrażenie pewnego siebie.

— Wcale nie jestem pewny siebie. Jednak pańska teoria jest jedyną sensowną, dotyczącą zarazy, i musimy zrobić wszystko, żeby ją wszechstronnie sprawdzić.

Jeśli chcemy żyć, nie mamy innego wyjścia.

— Uważa pan, że mamy szansę?

— Och, jasne. Oczywiście, że mamy szansę. Długie lata pracy i doświadczenia mówią mi, że nie istnieje bakteria, której nie można by zniszczyć, albo przekształcić w zupełnie nieszkodliwą przy prawidłowym wykorzystaniu radioaktywności. Ja przynajmniej z taką się nie spotkałem.

Doktor Petrie dokończył szkocką.

— Ile czasu to potrwa? — zapytał. — Mam na myśli wyliczenia matematyczne.

Ivor Glantz wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Dwa albo trzy dni. Może dłużej, może troszeczkę krócej.

— A tymczasem cały Nowy Jork po prostu umrze?

— Nic na to nie poradzimy, doktorze Petrie. Kiedy tylko zjemy kolację, usiądę na tyłku i zacznę pracować. To mogę panu przyrzec. Ale cudów, to panu nie obiecuję.

Doktor Petrie wstał i podszedł do okna. Szesnaście pięter poniżej ulice były ciemne, ślepe i pełne chaosu. Gdzieś błyskały koguty policyjnych radiowozów i ambulansów. Dym z dogasających pożarów unosił się niezauważenie w ciemne deszczowe niebo.

— Czasami chciałbym, żeby to było prawdą — powiedział.

— Co takiego miałyby być prawdą? — zapytał Glantz. Doktor Petrie odszedł od okna.

— W Miami — zaczął wyjaśniać — często koledzy żartowali ze mnie, nazywając mnie świętym Leonardem. Tak, czasami chciałbym być świętym Leonardem.

Glantz patrzył na niego dziwnym wzrokiem.

— Niech się pan nie martwi — uspokoił go doktor Petrie. — Nie jestem maniakiem religijnym, nie tracę zmysłów, ani nic z tych rzeczy. Jednak niemal całą praktykę medyczną poświęciłem bogatym, starym wdowom i dopiero teraz zaczynam dostrzegać, że medycyna to o wiele więcej niż wyciąganie pieniędzy od wysuszonych kobiet, leczonych na wyimaginowane choroby.



Glantz roześmiał się.

— Tylko niech pan nie mówi lekceważąco o pieniądzach — powiedział. — Pieniądze czynią życie o wiele łatwiejszym. Pieniądze likwidują skrupuły.

Doktor Petrie skrajnie wyczerpany ukrył twarz w dłoniach.

— Nie wiem, czy w tej chwili ktokolwiek w Stanach ma jeszcze skrupuły — powiedział.

— Niech pan się może jeszcze napije.

Ivor Glantz nalewał mu właśnie kolejną szklankę szkockiej, gdy do salonu weszły Adelaide z Esmeraldą. Niosły wazę, na której stała misa z parującą jajecznicą.

Duży talerz zawierał świeżą sałatkę. Dziewczyny przygotowały stół i po chwili wszyscy zaczęli jeść, rozsiadłszy się wygodnie w różnych miejscach salonu.

— Zwykle — powiedział Glantz — Esmeralda nalega, żeby jadać w jadalni, dostojnie i z serwetkami założonymi pod brodę. Dzisiaj uczyniła dla was wyjątek.

— Nie wiem, jak mamy wam dziękować — rzekła Ade—laide. — Na ulicach jest tak źle, że myślałam już, iż nie dostanę się tutaj żywa.

— Ludziom nie potrzeba wiele, żeby powrócić do dżungli, prawda? — zauważył Glantz. — Cywilizacja ma jednak bardzo kruche podstawy.

Doktor Petrie uśmiechnął się do Esmeraldy. Zdążył zauważyć, że jest bardzo atrakcyjną dziewczyną. W długich, czarnych, kręconych włosach miała dwie wstążki. Ubrana była jedynie w ciemnobrązowy atlasowy negliz, ozdabiany koronkami. Była blada, jednak ta bladość doskonale pasowała do jej profilu.

Trudno było odwracać wzrok od jej biustu, podskakującego pod atłasem przy każdym ruchu, i od jej długich, kształtnych nóg.

Adelaide była zbyt zmęczona, żeby zauważyć te ukradkowe spojrzenia Leonarda. W tej chwili wyglądała nieciekawie: krańcowo wyczerpana, bez makijażu, z włosami spiętymi gumką. Ubrana była w różowy płaszcz kąpielowy, pożyczony od Esmeraldy, zupełnie do niej nie pasujący. Atrakcyjność seksualna, rozmyślał doktor Petrie, to coś bardzo ulotnego.

Ivor Glantz popił jajecznicę whisky.

— Dla niektórych ludzi — odezwał się — ta zaraza jest błogosławieństwem.

Doktor Petrie zmarszczył czoło.

— Co pan przez to rozumie? To znaczy, nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł odnieść jakieś korzyści z tej strasznej tragedii.

— Zdziwiłby się pan, w jakim jest pan błędzie. Naszym najbliższym sąsiadem, jest Kenneth Garunisch ze Związku Zawodowego Personelu Szpitali. Naciska na to, by członkowie jego związku otrzymali większe wynagrodzenia, ze względu na niebezpieczeństwa, na jakie się narażają, mając do czynienia z ofiarami zarazy. Następny to Herbert Gaines.

Pamięta pan Herberta Gainesa, tego aktora? Mieszka nad nami. Teraz zaczął bawić się w politykę. Jego główne założenie brzmi mniej więcej tak, że zarazę wywołali czarni i wszelkiej maści emigranci, w związku z czym powinniśmy głosować na republikanów z najbardziej skrajnego prawego skrzydła; już oni, gdy tylko opanują Biały Dom, pozbędą się tego ścierwa. No

i, poza tym, jest jeszcze Siergiej For—ward, który skorzysta na zarazie jak wszyscy diabli.

Doktor Petrie był zdziwiony. Sposób, w jaki Ivor Glantz wypowiedział to ostatnie nazwisko — głośno i gwałtownie — wskazywał, że Glantz powiedział je do Esmeraldy. Esmeralda nie podniosła jednak wzroku. Jadła w milczeniu.

— Doktor Murray wspominał mi o Forwardzie — powiedział Petrie. — Czy nie jest to człowiek, który...

— Tak — przerwał mu Ivor Glantz. Patrzył jednak na Esmeraldę, a nie na niego.

— To jest właśnie ten człowiek, z którym procesuję się o kradzież mojego patentu.

A przynajmniej człowiek, z którym procesowałem się o to. Zaraza okazała się jednak dla niego zbawienna.

— Musi pan być bardzo rozgoryczony. Glantz spojrzał wreszcie na doktora Petrieego.

— Rozgoryczony? — powtórzył. — Żeby pan wiedział, jestem cholernie rozgoryczony.

To tak, jakby dzieło całego mojego życia wrzucił do rzeki. To jednak nie jest jeszcze najgorsze.

Doktor Petrie skierował spojrzenie na Esmeraldę. Pomiedzy dwojgiem gospodarzy panowało dziwne napięcie. Esmeralda wciąż trzymała widelec, teraz już jednak nie jadła. Kostki na jej dłoniach były białe. Wpatrywała się w talerz z taką siłą, jakby miała nadzieję, że dzięki temu uleci nagle w szósty wymiar.

Napiętą atmosferę wyczuła również Adelaide. Podniosła głowę znad talerza i zmarszczyła czoło.

— Najgorsze jest to — ciągnął Ivor Glantz — że utraciłem lojalność osoby, którą kochałem jak nikogo w życiu.

Zapadła długa cisza. Nagle Esmeralda wstała i wraz z talerzem poszła do kuchni.

Po chwili do salonu dobiegły nieprzyjemne odgłosy. Dziewczyna wymiotowała do kuchennego zlewu.

— Es! — zawołał Ivor Glantz. Żadnej odpowiedzi.

— Es! — powtórzył.

W końcu pokazała się w drzwiach.

— Nie jestem głodna — powiedziała. — Chyba pójdę do łóżka.

Ivor Glantz nabrał w płuca dużo powietrza, jakby miał zaraz zamiar bardzo głośno krzyknąć, jednak po chwili zmienił zamiar i tylko ciężko westchnął. Esmeralda poszła do sypialni, a Glantz, zwracając się do Leonarda Petriego, zaproponował:

— Może jeszcze szkockiej, doktorze? Jestem przekonany, że medycyna uznałaby to za wskazane.

Doktor Petrie podał mu pustą szklankę. Patrzył, jak nalewa alkohol z krystalowej karafki.

— Niech pan posłucha, profesorze Glantz — odezwał się cicho. — Nie chciałbym wtrącać się w pańskie prywatne sprawy, jednak...

— Jednak co, doktorze Petrie? Petrie potrząsnął głową.

— Przepraszam — powiedział. — To nie moja sprawa. Glantz podał mu szkocką.

— Mogę panu powiedzieć. Jest pan przecież moim gościem.

— Nie chciałbym być wścibski. Cóż... Wydawało mi się, że hm...

— Wiem, co się panu wydawało. Niestety, wydawało się panu dobrze. Zdecydowałem się wycofać pozew przeciwko Siergiejowi Forwardowi. Uczyniłem to dlatego, ponieważ moja pasierbica jest szantażowana. Była, cóż, nieostrożna, żeby powiedzieć to w miarę delikatnie. Doktor Petrie znów usiadł.

— I ceną szantażu jest wycofanie pozwu? Ivor Glantz pokiwał głową.

— Oczywiście. Forward uknuł spisek i to był chwyt poniżej pasa. Doktorze Petrie, niech pan pamięta, jeżeli kiedykolwiek dostanę w swoje ręce tego fińskiego bękarta, rozerwę go na strzępy.

— Skoro mówi pan o spisku, to chyba Esmeralda jest bez winy — wtrąciła Adelaide.

— Zapewne w coś ją wplątano, dlaczego więc ma pan do niej pretensje?

— Mam do niej pretensje, ponieważ pozwoliła, aby najpierw ją spojono, a potem niecznie wykorzystano. Ani przez moment wówczas o mnie nie myślała, a gdyby to właśnie zrobiła, całego nieszczęścia dałoby się uniknąć. Gówniara mieszka pod moim dachem, za moje pieniądze się ubiera, żre i sra. Kupiłem dla niej galerię sztuki i dodatkowo dwieście obrazów na dobry początek. Jestem chyba najlepszym ojczymem na świecie, a ona wyrządziła mi coś takiego! Doktorze Petrie, czy pan wie, ile ten proces dla mnie znaczył?

— Finansowo?

— Oczywiście, że finansowo. Co pan sobie myśli, że pracuję dla zabawy?

Zwycięstwo nad Forwardem, zwycięstwo, na które szczerze i uczciwie zasłużyłem, dałoby mi w honorariach i licencjach dla przemysłu ni mniej, ni więcej, tylko jakieś trzydzieści milionów dolarów.

Adelaide szeroko otworzyła oczy.

— Teraz rozumiem, o czym pan mówi. Mnie również byłoby przykro na pana miejscu.

Ivor Glantz potrząsnął głową.

— Dziewczyno, wcale nie jest mi przykro! Ja po prostu odchodzę z wściekłości od zmysłów!

Tej nocy umarł Shark McManus. Leżał zwinięty w kłębek na podłodze w jakimś biurze, bezbronny, osłabiony, śmierdzący, w kałuży własnego moczu i biegunki.

Nie był już nawet w stanie walczyć ze szczurami, które biegały po nim. Majaczył o pierwszym latawcu, który podarował mu ojciec, i bez skutku próbował złapać za ogon gryzonia, rozrywającego mięso na jego udzie. Nie czuł już bólu.

— Paston! — wycharczał z trudem. Żadnej odpowiedzi. Słyszał tylko piski szczurów i cichy tupot ich łap. Nie rozumiał już jednak tych odgłosów.

— Paston — powtórzył. Cisza.

— Paston.

Edgar Paston w tym momencie już nie żył. Zginął na ulicy, na którą wyszedł, by sprowadzić lekarza dla McMa—nusa. Dopadła go banda murzyńskich wyrostków.

Wydłubali mu oczy, odcięli język i wsadzili w odbył stalowy pręt. Zmarł w straszliwych męczarniach.

Po przerażającym chaosie nocy nastąpił szary i cichy poranek. Deszcz przestał padać i nad East River i opustoszałymi ulicami zaświeciło słońce. Pożary wciąż płonęły w Harlemie, niemal wszystkie ulice zablokowane były powypalanymi samochodami i autobusami. Szczególnie dużo było ich w centrum miasta, tam gdzie stoi najwięcej hoteli. Na chodnikach lśniły drobinki szkła. Wśród tego wszystkiego leżały zwłoki ofiar zarazy i nocnego zdziczenia: niemi świadkowie końca cywilizacji.

Ulice patrolowane były przez nieliczne tylko samochody policyjne, jeżdżące powoli i ostrożnie po zaśmieconych jezdniach, uważnie omijające zwłoki.

Policjanci wyposażeni byli w respiratory i gogle. Byli też doskonale uzbrojeni.

Mieli rozkazy zabijać wszystkich złodziei przyłapanych na gorącym uczynku.

Pojawiły się szczury. Było ich pełno, przede wszystkim w rozbitych sklepach spożywczych i na ludzkich zwłokach, których nikt nie był w stanie grzebać.

Każdy budynek mieszkalny był zamknięty na cztery spusty i starannie strzeżony.

Mieszkańcy jednak, choć skutecznie walczyli ze złodziejami i szczurami, byli bezbronni wobec zarazy. Tylko w poniedziałek rano zginęły w męczarniach tysiące nowojorczyków. Zarazo, rozprzestrzeniała się błyskawicznie. Do przeniesienia choroby wystarczył podmuch czyjegoś oddechu, czy przyjazny uścisk dłoni.

Niektórzy umierali powoli, w długiej, straszliwej agonii, podczas gdy inni gaśli w ciągu dwóch albo trzech godzin. Do południa wiele mieszkań stało się cichymi kostnicami. Gdy umierali ludzie, przychodził czas szczurów. Zaraza zesłała im tyle jedzenia, że to, co wyczyniały nad zwłokami, można było nazwać jedynie orgią obżarstwa.

Umierali też ludzie, którzy w niedzielę, gdy skończyły się dostawy energii elektrycznej ugrzęźli w windach. Padali z wyczerpania, braku wody i powietrza.

Nikt ich nie ratował, a śmierć tych, którzy ginęli w ścisku, ciemności, dezorientacji, wśród smrodu uryny i kału ciekącego po nogach, była równie straszna jak śmierć bezpośrednich ofiar dżumy.

W metrze, głęboko pod ziemią, ludzie ginęli uwięzieni w ciemnych pociągach, jęcząc, łkając i czekając na pomoc, która nigdy nie miała nadejść. Inwalidzi i starcy siedzieli w mieszkaniach, przed milczącymi telewizorami, oczekując na pielęgniarki, które nie ośmielały się wytknąć nosa na ulice. Straszliwie cierpieli narkomani. Drżący i spoceni szukali na Lower West Side tego, czego już nigdy nie mieli otrzymać.

Doktor Petrie przez niemal godzinę wpatrywał się w miasto z szesnastego piętra Concorde Tower. Adelaide i Esme—ralda zabrały Prickles, aby pobawiła się z dziećmi sąsiadów, piętro niżej, a Ivor Glantz zamknięty był w swoim gabinecie.

Intensywnie pracował, rozważając matematyczne prawdopodobieństwo zniszczenia zarazy promieniami radioaktywnymi.



Doktor Petrie z trudem starał się nie myśleć o wszystkim, co najgorsze. Wypił już tego ranka kilka kaw. Spał źle, śniły mu się koszmary, czuł się jednak lepiej niż poprzedniego dnia. Zastanawiał się, jak długo przetrwają tutaj, bez świeżej żywności, żadnej gwarancji, że w którymś momencie nie zabraknie wody i prądu.

Miał właśnie nalać sobie kolejną filiżankę kawy, gdy usłyszał stukanie do drzwi.

Włączył monitor wewnętrznej telewizji i zobaczył, że na korytarzu stoi portier.

Miał zakłopotaną minę. Doktor Petrie otworzył mu drzwi.

— Dzień dobry — powiedział portier. Pamiętał Leonarda z poprzedniej nocy, kiedy ten walił jak opętany w szklane drzwi Concorde Tower i krzyczał, żeby go wpuścić do środka. Był to niski, nerwowy mężczyzna, o tłuszczykach włosach i śmiesznym, małym wąsiku.

— Czy mogę wejść?

— Oczywiście. Profesor Glantz akurat pracuje, ale jeżeli to jest coś pilnego...

Portier nerwowo zagryzł wargi.

— Prawdę mówiąc, sprawa jest bardzo poważna. Ochroniarze chodzą już po całym budynku, informując wszystkich.

— O co chodzi?

— Przed budynkiem zgromadził się tłum ludzi. Chcą, żeby ich tutaj wpuścić. Już zaczęli rozbijać frontowe drzwi.

— Ilu ich jest?

— Trudno powiedzieć, ale co najmniej kilkudziesięciu. Byłem na dachu, żeby rozejrzeć się po okolicy. Taka sama sytuacja jest przed innymi luksusowymi budynkami.

— Wie pan dobrze, że nikogo nie można wpuścić. Nawet tych, którzy tutaj mieszkają, a z różnych powodów znaleźli się na zewnątrz. Mogą przywlec zarazę.

Jeden zarażony człowiek wystarczy, żebyśmy wszyscy tutaj popadali jak muchy w ciągu kilku godzin.

— Tak, oczywiście, proszę pana, wiem o tym dobrze. Zastanawiam się jednak, jak powstrzymać tych ludzi z zewnątrz. Rozbijają szyby, niektórzy mają broń palną.

Ponownie ktoś zapukał do drzwi. Doktor Petrie popatrzył na ekran i tym razem zobaczył solidnie zbudowanego starszego mężczyznę, w golfie, prostych szarych spodniach i domowych kapciach. Miał poranioną twarz i wielką czarną śliwę pod lewym okiem.

Doktor Petrie bez słowa otworzył.

— Mam nadzieję, że panom nie przeszkadzam — powiedział mężczyzna. — Pomyślałem jednak, że powinniśmy zebrać się razem i coś wspólnie postanowić.

— Dzień dobry, panie Garunisch — powiedział portier.

— Właśnie, nazywam się Garunisch — powiedział nowo przybyły i wyciągnął dłoń do doktora Petriego.

— Dzień dobry panu. Jestem Leonard Petrie, lekarz. Doktor Murray z Bellevue powiedział, że mam panu zrobić dziurę w brzuchu.

Kenneth Garunisch odchrząknął.

— Oto cały Murray. A więc jest pan lekarzem? Odgaduję, że nie jestem wśród lekarzy zbyt popularny. O co chodzi, Jack? Wyglądasz, jakbyś przed chwilą zjadł coś niestrawnego.

Portier pokiwał głową.

— Rozmawiałem z tym dżentelmenem, panie Garunisch. Mówiłem mu, że na dole zebrał się tłum, który na siłę chce wejść do Concorde Tower.

Kenneth Garunisch wyciągnął z kieszeni papierosa.

— Zdaje się, że mamy tam na dole zabezpieczenia najnowszej generacji. Zejdź więc tam i jedynie bądź czujny.

— To wszystko długo nie wytrzyma. Tych ludzi jest wielu i są bardzo zdeterminowani.

— Czy potrzeba ci czegoś do pomocy? — zapytał Kenneth Garunisch. — Mam karabin automatyczny i kilkadziesiąt nabojów.

— Ja również mam coś takiego — dodał doktor Petrie, wskazując na karabin, który umieścił w stojaku na parasole.

— Mimo wszystko uważam, że powinniśmy zebrać się i wymyślić jakiś plan obronny.

Czy profesor Glantz jest tutaj? Myślę, że i on powinien wziąć udział w naradzie.

— Chwileczkę — powiedział doktor Petrie. — Sprawdzę.

Podszedł do drzwi gabinetu Ivora Glantza i delikatnie zapukał. Po chwili ciszy profesor zawołał:

— Wejść!

W gabinecie była aż gęsto od dymu papierosowego. Ivor Glantz pochylał się nad szerokim orzechowym biurkiem, na którym rozłożonych było mnóstwo papierów.

Jedynym innym przedmiotem była kryształowa popielniczka, pełna niedopałków.

Koszula Glantza była przepocona i pognieciona. On sam marszczył czoło nad szeroką kolumną liczb. Okulary w grubych oprawkach zasłaniały jego oczy.

— Jak idzie? — zapytał doktor Petrie.

— Powoli — odparł Glantz. — Ten problem zawiera piętnaście milionów permutacji.

Bez komputera ta robota przypomina próbę przepisania Biblii w ciągu dwóch dni.

— Czy aż tak dużo czasu pan potrzebuje? Ivor Glantz ściągnął okulary.

— Myśli pan o dwóch dniach? Bez szans. Będę pracował o wiele dłużej. Problem tkwi w tym, że nie mam żadnych ekspertów do pomocy. Potrzebowałbym kogoś, kto sprawdzałby po mnie obliczenia i pomagał spoglądać na niektóre zagadnienia pod innym kątem, niż ja to robię. Poza tym nie jestem przecież alfą i omegą, czasami należałoby mi podsuwać jakieś pomysły i prawdopodobne rozwiązania. Cóż... to mi może zabrać całe miesiące.

— Może więc powinniśmy z moją teorią przedostać się do Waszyngtonu i tam zebrać ludzi, żeby nad nią popracowali? Ivor Glantz przecząco potrząsnął głową.

— To nie ma sensu. W Waszyngtonie tylko wyśmialiby nas z czymś takim. Rząd nie zatrudnia żadnego wysokiej klasy bakteriologa. Pańska teoria wsiąkłaby w bagno zawodowej zazdrości, poszłaby na dno jak cegła.

— Ale przecież na szali jest życie milionów ludzi, na miłość boską! Co godzinę umierają tysiące! Ivor Glantz wstał.

— Doktorze Petrie — powiedział. — Wiem, że ludzie masowo umierają, ale co z tego? Musi pan wziąć pod uwagę, że w tej chwili Waszyngton jest wprost zalewany teoriami i pomysłami, w jaki sposób powstrzymać zarazę. Wiele z nich jest szalonych, wiele głupich, niektóre zawierają dozę prawdopodobieństwa. Dopóki pańskiej teorii nie wzmocnimy liczbami, będzie ona się nadawała jedynie do kosza, do którego wrzuci ją jakiś nadęty, śmieszny rządowy ekspert.

— To brzmi bardzo cynicznie — zauważył doktor Petrie.

— Bo ja jestem cynikiem. — Ivor Glantz pokiwał głową. — Jeżeli uważa pan, że bezpardonową walką o pieniądze jest wielki biznes, niech pan tylko przyjrzy się naukowcom i nauce. To prymitywna bitwa o uznania, honory i wyciąganie szmalu, skąd tylko się da. Nieraz jest to walka tak zaciekła, że padają tragiczne ofiary. Dlatego właśnie, że taka jest sytuacja w nauce, muszę teraz siedzieć nad tysiącami liczb i pozwalać, aby ginęli Amerykanie.

W tym momencie w drzwiach pokazała się głowa Kennetha Garunischa.

— Czy to wykład zamknięty dla publiczności, czy każdy może wejść? — zapytał.

Ivor Glantz uśmiechnął się słabo.

— Dzień dobry, panie Garunisch. Właśnie miałem wykład o roli etyki w nauce. Czy poznał pan już doktora Petriego?

— Jasne. Niech pan posłucha, profesorze, czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy zebrali się z sąsiadami na radę wojenną?

Jack mówi, że ludzie z ulicy chcą się włamać do naszego ślicznego domku. Chyba powinniśmy opracować jakiś plan działania.

Ivor Glantz westchnął.

— Panie Garunisch — powiedział. — W ciągu kilku dni muszę wykonać robotę, która normalnie zajmuje miesiąc. Niestety, nie mam czasu na żadne rady wojenne. Nie potrzeba mi obrony, potrzebuję natomiast do pomocy jakiegoś doskonałego bakteriologa.

Kenneth Garunisch machnął ręką.

— Widzę, że nic tutaj nie zdziałam, profesorze. Cóż, rozumiem, że jest pan zajęty. Poproszę o pomoc Herberta Gainesa i tego całego Bloofera. W każdym razie mam nadzieję, że kiedy naprawdę będzie pan potrzebny, nie odmówi mi pan pomocy, profesorze.

— Jasne. A teraz, drodzy panowie, bardzo was przepraszam, ale jestem zawałony robotą.

## ROZDZIAŁ 4

O piątej po południu w stylizowanym na kolonialny dom mieszkaniu Kennetha Garunischa, mieszkańcy szesnastego i siedemnastego piętra Concorde Tower spotkali się na naradzie. Zamierzali rozmawiać o samoobronie, o żywności i możliwościach przetrwania. Planowali też wybrać spośród siebie przedstawiciela, który uda się na spotkanie z mieszkańcami pozostałych pięter Concorde Tower. Na każdym z nich miano wybrać człowieka, reprezentującego interesy większej grupy.

Pani Garunisch przygotowała, raczej mało starannie, kanapki i podała zimne piwo.

Cóż, jej kucharka, Beth, poprzedniego wieczoru nieopatrznie wyszła z budynku i teraz — jednak pani Garunisch nic o tym nie wiedziała — leżała martwa w rynsztoku, jeszcze po śmierci trzykrotnie zgwałcona.

Na naradzie znalazło się również miejsce dla Herberta Gainesa, zupełnie bezsensownie ubranego w żółtą koszulę safari. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

Obok niego siedział Nicholas, w żeglarskim swetrze, dżinsach i sandałach na bosych stopach. Ponury był jak zwykle. Adelaide siedziała przytulona do doktora Petriego, na szerokiej, kwiecistej kanapie. Esmeralda była sama, wyprostowana, elegancka i dumna w białej sukience stylizowanej na lata trzydzieste, Prickles pozwolono usiąść w kąciku. Oglądała

książkę z obrazkami. Pan i pani Blaufoot nie zjawili się i nie wyglądało, żeby mieli taki zamiar.

Kenneth Garunisch mianował się przewodniczącym obrad. Miał głośniejszy i bardziej stanowczy głos niż ktokolwiek z pozostałych mieszkańców dwóch pięter.

Usiadł też w swoim wielkim fotelu, z piwem i paczką papierosów, i formalnie ogłosił rozpoczęcie narady.

Natychmiast dłoń podniósł Herbert Gaines, żeby przemówić.

— Panie Garunisch — zaczął. — Uważam, że wszyscy tutaj marnujemy czas. Niestety, czas, kiedy powinniśmy zacząć działać, minął kilka dni temu. Przeminał w pierwszych godzinach, kiedy usłyszeliśmy o epidemii. Niestety, nawet pomimo moich głośnych ostrzeżeń, nikt w tym kraju nie uczynił nic.

Kenneth Garunisch zaciągnął się papierosem.

— Z całym szacunkiem dla pana, panie Gaines, nie jestem skłonny uznawać pańskich dwóch albo trzech rasistowskich wystąpień za poważne ostrzeżenia. W gruncie rzeczy przekonany jestem, że to pan spowodował te ogromne kradzieże i pożary, że to pan znacznie przyczynił się do zdziczenia, które obserwujemy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. To pan i pańscy ultrapravicowi przyjaciele.

Nawoływanie do nietolerancji nigdy do niczego dobrego nie doprowadziło.

— Zamknięcia się w tej wieży z kości słoniowej nie nazwałbym akurat bardzo tolerancyjnym zachowaniem — odciął się Gaines. — Być może powinniśmy być bardziej



demokratami i zaprosić do środka tych wszystkich ludzi, którzy, chorzy na dżumę, cierpią teraz na ulicach.

— Dżuma nie ma nic wspólnego z demokracją — warknął Garunisch. — Proponuję, żebyśmy rozmawiali tutaj wyłącznie o własnym przetrwaniu.

— Zgadza się z panem, niestety — powiedział doktor Petrie. — Dokładnie obejrzałem, co zaraza uczyniła w tym kraju, od Florydy, przez Georgię, Alabamę i obie Karoliny, i uważam, że nie ma sensu, żeby ktokolwiek z nas wchodził w kontakt z ludźmi, którzy potencjalnie mogą chorobę przenosić. Musimy za wszelką cenę utrzymać zamknięte drzwi prowadzące na zewnątrz. Jeżeli uznamy, że się to nam nie uda, musimy zbudować na schodach drugą linię obrony.

— To absurd — stwierdził Herbert Gaines. — Zrobilibyśmy tę samą pomyłkę, co w ubiegłym tygodniu. Siedzieliśmy na tyłkach i nie robiliśmy niczego, żeby nie dopuścić do nas zarazy. Jeśli o mnie chodzi uważam, że jedyną możliwą formą walki o byt w obecnej sytuacji jest przepędzenie napastników spod drzwi; jeżeli to będzie konieczne, powinniśmy wybić ich co do jednego.

Nicholas popatrzył na niego badawczo.

— Herbercie — powiedział cicho. — Chyba nie mówisz tego poważnie.

Herbert Gaines ze złością na twarzy zwrócił się ku swojemu młodemu kochankowi:

— Może jeszcze wczoraj nic takiego nie przysłoby mi do głowy, ale teraz...?

Albo ci ludzie rozszarpią nas, albo my ich, nie rozumiesz tego? Są głupi, bezmyślni i żądni krwi. Wkrótce i tak umrą w męczarniach, śmierdzący od własnych ekskrementów. Dlaczego mielibyśmy pozwolić, żeby zabrali nas ze sobą?

— Panie Gaines... — zaczął doktor Petrie. Herbert Gaines uciszył go machnięciem ręki.

— Posłuchajcie mnie, chociażby tylko przez chwilę — mówił z zapalem. — Kiedy w zeszłym tygodniu wygłaszałem te swoje przemówienia, nie wierzyłem w ani jedno słowo, które wypowiadałem. Ani jedno. Stałem przed dziennikarzami jak ta kukła i powtarzałem to, co wcześniej kazali mi mówić polityczni przyjaciele. Robiłem tak, bo mi grożono; a raczej grożono Nicholasowi. Sądzę, że moglibyście nazwać mnie tchórzem, jednak chciałbym wiedzieć, gdybym mógł, kto spośród was postąpiłby na moim miejscu inaczej.

— Najbardziej szalone w tym wszystkim było to, że ludzie traktowali moje słowa zupełnie poważnie. Telewizja, gazety, politycy, wszyscy odbierali mnie zupełnie serio. Ludzie rzeczywiście ruszyli na Harlem i zaczęli niszczyć sklepy i domy mieszkalne. Mój Boże, oni naprawdę zasługują na takich polityków, jacy nimi rządzą. Stałem przed kamerami i pieprzyłem, a Amerykanie uwierzyli, że zwalczą zarazę, zaciekle atakując czarnych i mniejszości narodowe. Ta zaraza jest dla tego kraju “nagrodą” za głupotę, bezmyślność, arogancję, uprzedzenia i nietolerancję.

Usiadł. Zapadła długa i niezręczna cisza. Nicholas ujął dłoń Gainesa i lekko, niemal niewyczuwalnie, uścisnął ją.

— W porządku, panie Gaines — odezwał się wreszcie Kenneth Garunisch. — Miał pan swój czas. Teraz jednak musimy wreszcie porozmawiać o tym, w jaki sposób możemy przetrwać. Na poważne refleksje nie ma w tej chwili ani warunków, ani czasu.

— Ile posiadamy broni palnej? — zapytała Esmeralda.

— Jeżeli tłum wdrze się do budynku, będziemy jej bardzo potrzebowali.

— Mamy dwa automatyczne karabiny i dwa rewolwery — odparł doktor Petrie. — Niezbyt dużo amunicji. Na długo to nie wystarczy. Mamy też kije do baseballa i trochę kuchennych noży użytecznych, jeżeli dojdzie do walki wręcz.

— A może, jeśli ci ludzie już zarazili się dżumą, poumierają, zanim zdołają tu wtargnąć? — zapytała Adelaide.

— Może to kwestia godzin, może dnia albo dwóch?

— Ta dziewczyna ma rację — stwierdził Garunisch.

— Jest taka szansa, chociaż ochrona budynku twierdzi, że ci ludzie są bardzo gwałtowni; musimy jednak przygotować się, że wtargną do Concorde Tower, zanim poumierają.

— Proponuję, żebyśmy poszli na dół i ich sobie obejrzel

— powiedziała Esmeralda. — Po takim rekonesansie będziemy przynajmniej wiedzieli, kogo mamy przeciwko sobie.

— Popierani ten wniosek — oznajmił doktor Petrie i u—niósł rękę. Esmeralda popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

— A ja proponuję, żebyśmy poszli na dół i wystrzelali tych ludzi jak kaczki, dopóki jeszcze mamy na to czas — oświadczył Herbert Gaines.

Garunisch zmierzył go ciężkim spojrzeniem.

— Panie Gaines — powiedział groźnie. — Niech pan skończy z tymi krwiożerczymi pomysłami. Nie będziemy niepotrzebnie przelewać krwi. Zrobimy najpierw rozeznanie.

— Myślę, że papa chętnie pójdzie z nami — oznajmiła Esmeralda. — Jeżeli chwilę poczekać, przyprowadzę go.

W końcu, uzbrojeni w karabin automatyczny doktora Petriego, dwa rewolwery i kij baseballowy Nicholasa, wszyscy, z wyjątkiem Prickles, zgromadzili się przy schodach służbowych i rozpoczęli długą wędrówkę w dół. W budynku wciąż była energia elektryczna, nikt jednak nie dowierzał windom. Ivor Glantz, który niechętnie porzucił na pół godziny swoje obliczenia, stękał i sapał już na trzynastym piętrze.

— Niech się pan nie przejmuj, profesorze Glantz — zgryźliwie pocieszał go doktor Petrie. — Droga powrotna będzie jeszcze zabawniejsza.

— Pocałuj mnie pan w dupę — warknął Glantz. — Będę miał szczęście, jeżeli wrócę na górę żywy.

Do poziomu ulicy dotarli po dwudziestu minutach. Hol budynku był szeroki i lśniący. Podłogę miał z czarnego marmuru, a ściany wyłożone były lustrami z przydymionego szkła. Frontowe drzwi Concorde Tower wykonane były z grubego nieprzejrzystego szkła i były szerokie prawie na pięćdziesiąt stóp. W szkłe wryte były inicjały "CC". Mimo ich potężnej masy i kilku zamków nie były jednak w stanie długo wytrzymać naporu rozszalałej tłuszczy.

Doktor Petrie ujął Adelaide za rękę. Przez pancerne szyby okienne widać było twarze ludzi, zgromadzonych jakby w ogromnym akwarium. Krzyczeli bezgłośnie, wygrażając

portierowi i pięciu ochroniarzom, którzy, zdenerwowani, lecz nieporuszeni, stali na środku holu, uzbrojeni w ciężkie pałki. Pięści co najmniej setki osób uderzały w okna. Próbowano wybijać je cegłami i młotkami, jednak jak do tej pory, bezskutecznie. W najgorszym stanie były drzwi. Kenneth Garunisch podszedł do Jacka, portiera.

— Jak długo te drzwi będą ich powstrzymywać?

— Trudno powiedzieć — odparł portier. Odwracał wzrok od mężczyzn i kobiet, wykrzykujących w jego kierunku najgorsze obelgi, a znajdujących się od niego zaledwie o kilka jardów, oddzielonych jedynie warstwą pancernego szkła.

— Kilka godzin? Dzień? Jak długo? — nalegał Garunisch. Portier wzruszył ramionami.

— To zależy. Widziałem, jak kilkoro z nich wyzionęło ducha. Myślę, że wszyscy już mają dzumę. Ale, niestety, ciągle przybywają nowi, zdrowsi, jeżeli mogę tak powiedzieć. Boję się, że znajdą jakąś ciężarówkę i po prostu staranują te drzwi.

— Rozumiem, Jack. Nie próbujcie więc z nimi walczyć. Ucieknijcie na górę i pozamykajcie schody przeciwpożarowe.

— W porządku, proszę pana, zrozumiałem. Ivor Glantz podszedł do doktora Petriego i dotknął jego ramienia. Z niezrozumiałego powodu był bardzo blady.

— Czy dobrze się pan czuje? — zapytał doktor Petrie. — Nie wygląda pan najlepiej. Czy wszystko w porządku z sercem?

— Wydaje mi się, że kogoś zauważyłem — wyszeptał Glantz. — Kogoś, kogo znam.

Tam, na zewnątrz.

— Na zewnątrz? — zdziwiła się Adelaide. — Może kogoś, kto normalnie tutaj mieszka i teraz bezskutecznie się dobija, żeby go wpuszczono.

Ivor Glantz potrząsnął głową. Pozostawił doktora Petriego z Adelaide i podszedł ku szklanym drzwiom Concorde Tower jak człowiek, który niespodziewanie miał wizję. Oszalały tłum kłębił się teraz zaledwie o stopę od niego, łomocząc w drzwi i okna, coraz bardziej niszcząc mur i szkło, będąc z każdą chwilą coraz bliżej celu — wdarcia się do luksusowej fortecy.

Doktor Petrie był zarazem zafascynowany i przerażony tym widokiem. Ivor Glantz stał w bezruchu, gapiąc się na twarze ludzi po drugiej stronie, z furią atakujących Concorde Tower, wyjących, wrzeszczących, czasem też walczących pomiędzy sobą.

Nagle Esmeralda jęknęła.

— Och, mój Boże.

— Co się stało? — zapytał doktor Petrie. — O co chodzi?

Na pierwszej linii rozszalałego tłumu wyróżniała się blada twarz wysokiego mężczyzny z zabandażowanymi ramionami. Wpatrywał się rozszerzonymi oczami w Ivora Glantza. Jego głowa trzęsła się niemal w epileptycznym strachu. To widok tego mężczyzny sprawił, że Ivor Glantz w jednej chwili stracił zdolność do poruszania się.

— To Siergiej Forward — powiedziała Esmeralda. — To ten Fin, z którym papa walczył w sądzie. Mój Boże, musimy go wpuścić.

Doktor Petrie ujął ją za ramię.

— Nic z tego. Jeżeli otworzymy te drzwi chociaż na cal, nie będziemy już mieli żadnej szansy. Oni nas pozabijają.

— Ale czy pan nie rozumie, że jeśli wpuścimy tu For—warda, on będzie mógł pomóc papie w obliczeniach? Wtedy papa skończy pracę w ciągu dni, a nie tygodni! Papa bardzo potrzebuje pomocy. Siergiej Forward spada mu z nieba!

Esmeralda podbiegła do ojczyrna, Ivor Glantz odwrócił się jednak, jakby jej w ogóle nie zobaczył. Niepewnym krokiem podszedł do doktora Petriego i wyciągnął rękę.

— Profesorze Glantz... — odezwał się Petrie.

— Niech mi pan da karabin — powiedział Ivor Glantz. Doktor Petrie cofnął się.

— Przykro mi profesorze...

Glantz zrobił krok do przodu i wyrwał broń z rąk doktora. W jego oczach lśniła dzika złość, wściekłość sprawiała, że niemal nad sobą nie panował.

— Profesorze Glantz, nie może pan tego zrobić!

Doktor Petrie próbował złapać go za rękę, ten jednak wyrwał się i wymierzył z karabinu w jego kierunku.

— Precz! — zawołał chrapliwie. — Mówię precz!

Odwrócił się ponownie w kierunku tłumu i uniósł karabin. Ludzie przyciśnięci do szyb widzieli, co się dzieje, ale ci, którzy napierali na nich z tyłu, uniemożliwiali im ucieczkę. Otwierali usta z przerażenia, krzycząc bezgłośnie: grube szyby nie przepuszczały dźwięków do wnętrza Concorde Tower. Strach sparaliżował kompletnie Siergiej a Forwarda. Jedynie stał i patrzył z rękami przyciśniętymi do szkła, jak Ivor Glantz mierzy

do niego, celując w głowę, stojąc w odległości zaledwie trzech cali od niego.

— Chryste! — jęknął Garunisch. — Powstrzymajcie go. Niech ktoś go powstrzyma!

Portier Jack jakby z niechęcią zamierzył się ciężką pałką, jednak Glantz wyczuł to szóstym zmysłem i teraz wycelował w niego. Jack opuścił pałkę. W tym samym momencie, zanim ktokolwiek zdołał zareagować, Glantz wycelował z powrotem w okno i strzelił.

Wielka szyba rozpadła się w drobne kawałki. Niemal ćwierć tony wzmocnionego szkła rozprysnęło się, raniąc twarze i dłonie ludzi stojących na ulicy. Ranni zaczęli padać i wić się z bólu, straszliwie zawodząc. Wrzask tłumu wypełnił hol przerażającymi odgłosami. Po chwili pierwsi napastnicy zaczęli wdzierać się do środka. Przerażeni i zdziczali, deptali po rannych i trupach. Profesor Glantz nie miał szansy; został przewrócony i w jednej chwili stratowany, jakby zalała go potężna morska fala.

— Na schody! — wrzasnął Kenneth Garunisch. — Cofamy się na schody!

Doktor Petrie złapał za ręce Adelaide i Esmeraldę i pociągnął je w kierunku schodów przeciwpożarowych. Kenneth Garunisch jeszcze ich popchnął, a za nimi podążył Herbert Gaines, drżący ze strachu. Nicholas zdzielił kijem baseballowym napastnika, który przedarł się do przodu i dosłownie w ostatniej chwili zdołał precyzyjnie się przecisnąć przez szparę w drzwiach ku bezpiecznemu schronieniu. Jeszcze sekunda, a



zostałby schwytyany i rozszarpany na strzępy. Ga—runisch zatrzasnął drzwi i założył zasuwę.

— Papa! — krzyknęła Esmeralda. — Gdzie jest papa? Kenneth Garunisch objął ją ramieniem.

— Proszę pani, dobrze pani wie, gdzie on jest. Nie mogłem już trzymać otwartych drzwi ani przez chwilę dłużej.

— Czy to znaczy, że...

— Nie miał już szansy, nawet gdyby tutaj się schował.

— Czy on wciąż tam jest? Naprawdę, on tam został?

— Sam był sobie winny! Gdyby nie strzelił...

— Oni go zabiją! — krzyknęła Esmeralda. — Zabiją go!

Kenneth Garunisch bezradnie popatrzył na Adelaide.

— Bardzo proszę, niech pani ją zabierze na górę, dobrze? My powoli pójdziemy za wami i pozamykamy wszystkie drzwi przeciwpożarowe na piętrach.

— Przepuście mnie! — krzyczała Esmeralda. — Muszę go stamtąd zabrać!

Garunisch stanął przed drzwiami.

— To niemożliwe. — Pokręcił głową.

— Żądam, żeby pan mnie natychmiast przepuścił! — krzyknęła Esmeralda.

Kenneth Garunisch był stanowczy.

— Niech pani to sobie wybije z głowy. Esmeralda wpatrywała się w niego przez chwilę z furią, nagle jednak jej twarz złagodniała. Z oczu pociekły jej łzy.

— Och, Boże — załkała. — To moja wina! Boże, to wszystko moja wina. A on był dla mnie taki dobry, taki dobry, nigdy tego nie zrozumiecie.

— Rozumiemy panią — powiedział Herbert Gaines.

— Właśnie że nie! — znów wrzasnęła Esmeralda. — Niczego nie rozumiecie! On był moim kochankiem!

Zatrzasnęli i zabezpieczyli wszystkie wejścia awaryjne, aż do dziewiątego piętra. Dodatkowym środkiem ostrożności było pootwieranie drzwi od windy, od dziewiątego piętra wzwyż. Oczywiście, windy od dawna już nie działały, jednak chcieli się zabezpieczyć przed nawet najmniejszą możliwością ich uruchomienia przez rozwścieczony tłum.

— Niech pan posłucha — powiedział Kenneth Garunisch, pochylając się nad szybem.

Doktor Petrie zamarł bez ruchu. Z parteru dochodziły dzikie krzyki i jęki. Przez chwilę wszyscy nasłuchiwali w ciszy, którą przerwał dopiero Herbert Gaines.

— Nie chciałbym być natrętny, ale wydaje mi się, że powinniśmy zacząć barykadować nasze mieszkania. Może wszyscy powinniśmy sprawdzić, czym dysponujemy do jedzenia i sprawiedliwie się tym podzielić?

Esmeralda, już spokojna, aż nieprawdopodobnie spokojna, siedziała na stopniach schodów i paliła papierosa.

— Mamy pełną lodówkę — powiedziała. — Baraninę, befsztyki, hamburgery, kurczaki, indyki, warzywa i czego jeszcze dusza zapagnie. Z tymi zapasami można przeżyć i miesiąc.

— My tak samo — dodał Garunisch. — A pan, panie Gaines?

Nicholas odpowiedział za przyjaciela:

— Och, u nas także lodówka jest pełna, prawda, Herbercie? Co prawda, mamy głównie gulasz w puszkach, ale myślę, że

potrafimy znieść ten brak urozmaicenia w kryzysowej sytuacji.

Doktor Petrie ujął Adelaide za rękę.

— Uważam, że powinniśmy skupić się w jednym mieszkaniu. Jeżeli porozchodzimy się, stracimy wszelką możliwość porozumiewania się pomiędzy sobą. Jeżeli tłum jednak wdrze się na górę i zaatakuje jedno z mieszkań, poszkodowani nie mieliby możliwości wezwania pomocy.

— Ma pan rację. — Kenneth Garunisch skinął głową. — Przenieśmy łóżka i żywność do jednego mieszkania i tam się zabarykadujemy.

Esmeralda wstała. Była bardzo blada, a pod oczyma miała sine obwódki. Wyglądała jak Ofelia pogrążona w żałobie.

— Skoro mamy tak zrobić — powiedziała — najlepiej będzie, jeżeli zbierzemy się u mnie. Mam kamerę telewizyjną nad drzwiami, a poza tym dwie szerokie kanapy i podwójne łóżko w głównej sypialni.

— A więc postanowione — stwierdził Garunisch. — A co z państwem Blaufoot? — zapytał Herbert Gaines. — Czy nie uważacie, że powinniśmy z nimi porozmawiać?

Podczas gdy pozostali przenosili niezbędne rzeczy do mieszkania Esmeraldy, Kenneth Garunisch poszedł piętro wyżej i zapukał do drzwi państwa Blaufoot.

Po długim milczeniu zza drzwi odezwał się w końcu pan Blaufoot:

— Kto tam?

— To ja, panie Bloofer, Kenneth Garunisch z dołu. Czy mógłby pan otworzyć drzwi?

Znów długa cisza.

— Niech pan nas zostawi w spokoju — usłyszał wreszcie Garunisch. — Czujemy się zupełnie dobrze. Kenneth Garunich westchnął.

— Panie Bloofer — powiedział, opierając się o drzwi. — Chcę żeby pan wiedział, iż spory tłum zarażonych ludzi wdarł się do budynku. Wkrótce mogą dostać się na górę i sprawiać kłopoty. Może mi pan jednak otworzy?

Usłyszał szcęk zamka i przesuwanych zasuw. Ciężkie, mahoniowe drzwi poruszyły się. Powstała szpara szeroka na cal. Ze szpary wyjrzały błyszczące oczy pana Blaufoota.

— Panie Bloofer, bardzo pana proszę — jęknął Garunisch.

Blaufoot otworzył drzwi szerzej i cofnął się. Garunisch zrobił kilka kroków w głąb mieszkania, stąpając po grubych dywanach. Zdziwił się, że panuje tutaj zupełny mrok. Wszedł do salonu. Przy stoliku siedziała pani Blaufoot. Ubrana była w czarną suknię, twarz miała bardzo bladą, oczy czerwone i podkrążone.

— Czy dobrze się państwo czują? — zapytał Garunisch. — Czy coś jest nie w porządku?

Blaufootowie milczeli. Blaufoot podszedł do żony i stanął przy niej.

Kenneth Garunisch spojrział na nich niepewnie. Po chwili ujrzał fotografię w ramce, stojącą na stoliku przed panią Blaufoot. Podszedł i podniósł ją ostrożnie. Dziewczyna na fotografii była bardzo podobna do pani Blaufoot.

— Niech pan to odłoży — zażądał pan Blaufoot zimnym głosem.

Garunisch zmarszczył czoło, jednak posłusznie odstawił fotografię na miejsce.

— Czy to wasza córka? — zapytał ochrypłym głosem. Pan Balufoot pokiwał głową.

— Tak, panie Garunisch, to jest nasza córka. Mieliśmy wiadomość o niej w niedzielę rano, na krótko przed umilknięciem telefonów. Pewnemu naszemu krewnemu udało się uciec z Florydy na początku zarazy i dotarł aż do St. Louis. On ją widział.

— Czy wszystko z nią w porządku? — zapytał Garunisch, po czym rozejrzał się po zaciągniętych zasłonach, spojrzął na czarną suknię pani Blaufoot i odpowiedział sam sobie: — Rozumiem, że nie. Przepraszam, to było idiotyczne pytanie.

— Ona nie żyje, panie Garunisch — powiedziała pani Blaufoot. — Zmarła na zwyczajne zapalenie płuc, gdyż nikt nie raczył się nią zaopiekować. Nie miała dżumy. Personel szpitala strajkował, a nasza córka umierała.

— Zapowiadała się na doskonałą pianistkę — dodał pan Blaufoot, jakby to teraz miało jakieś znaczenie.

Kenneth Garunisch odchrząknął. Nie miał pojęcia, co powiedzieć tym ludziom.

Wreszcie wystękał:

— Słuchajcie, naprawdę bardzo mi przykro. Wycofał się i cicho zamknął za sobą drzwi.

W ciągu nocy sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu ludzi, którzy dostali się do holu Concorde Tower, zmarło na dżumę. Czarna podłoga i lustrzane ściany odbijały ich wykrzywione z bólu twarze. Wycie i jęki konających rozbrzmiewały

zwielokrotnionym echem w budynku, niczym wrzaski potępionych dusz. Nie były to jednak tej nocy najstraszliwsze odgłosy. Gorsze były piski i szelest łap szczurów: wielkich, szarych szczurów kanałowych, żarłocznych i krwiożerczych, wbijających ostre zęby w martwe lub jeszcze żywe ciała, bez różnicy. Część szczurów podeszła pod drzwi przeciwpożarowe, których nie zdołali wyważyć nawet najbardziej agresywni z napastników, część podchodziła do drzwi windy i po chwili spadała kilkanaście jardów w dół, na betonową posadzkę piwnicy.

Czuły ciepło płynące z góry i czuły żywność. Dlatego zaczynały wspinać się po kablach windy. Pusty szyb zaczął rozbrzmiewać piskiem, szczurzym szelestem i odgłosem lin uderzających o ściany i stalowe dźwigary. Szczury nie potrzebowały dużo czasu, żeby dotrzeć od dziewiątego piętra, gdzie znalazły pierwsze otwarte drzwi i bez trudu wydostały się na schody. Wszystkie drzwi przeciwpożarowe powyżej były otwarte, szybko więc ruszyły na górę. Zaczynały węszyć przy wszystkich pozamykanych drzwiach apartamentów.

Minęły zaledwie trzy godziny i wszystkie schody i piętra aż po dach pełne były agresywnych, żarłocznych szczurów.

Doktor Petrie głęboko spał, gdy ktoś dotknął jego czoła. Drgnął i przez sen spróbował odsunąć od siebie obcą dłoń. Śnił akurat o Miami, o pikniku na plaży z Prickles i Antonem Selmerem. Otworzył oczy i natychmiast oprzytomniał. Znajdował się w mieszkaniu Ivora Glantza, leżąc na kanapie rozsuniętej tak, aby mogły na niej spać dwie osoby.

— Cicho — szepnęła Esmeralda.

Ujrzał nad sobą jej bladą twarz. Ciemne kręcone włosy ściągnięte miała wstążką.

— Co się stało? — zapytał, również szeptem.

— Cicho — powtórzyła.

Rozejrzała się i upewniła, że doktor Petrie jest teraz sam w łóżku. Spał z Kennethem Garunischem, a Adelaide, Prickles i pani Garunisch dzieliły szerokie łóżko w głównej sypialni.

— Garunisch nie mógł spać — powiedziała Esmeralda. — Jest w kuchni, pali papierosa i czyta książkę.

— Czyta książkę? — zażartował doktor Petrie. — Nie wiedziałem, że coś takiego mu się zdarza.

— Nic nie mów — szepnęła Esmeralda, kładąc mu palec na usta. — Nawet ściany mają uszy.

Bez słowa odsunęła kołdrę i położyła się obok niego. Kanapa zaskrzypiała cicho i Esmeralda z trudem stłumiła chichot. Następnie objęła doktora Petriego ramionami i przytuliła się do niego, miękka i ciepła w śliskiej jedwabnej koszuli nocnej.

— Nie możemy tego zrobić — syknął doktor Petrie, mimo iż jego ciało już reagowało, podpowiadając mu coś zupełnie innego.

— Nic nie mów. Pamiętaj jedynie, przez co przeszłam, i daj mi szansę.

Usiadł i chwycił jej ręce w łokciach. Widział jej wilgotne wargi lśniące w półmroku.

— Esmeraldo, nie możemy tego zrobić.

— Jesteś lekarzem, prawda?

— Tak, ale...

— Skoro jesteś lekarzem, pewnie wiesz, jak ogromne jest znaczenie terapii po psychicznym szoku. Nie chcę miłości, Leonardzie, potrzeba mi kilku chwil zapomnienia.

Nie puścił jej łokci.

— Dziękuję ci za komplement — wyszeptał. — A więc dobry jestem jedynie na kilka chwil zapomnienia.

— Wiesz, że wcale tak nie myślałam.

— A więc co myślałaś?

— Myślałam o tym, że możesz mi pomóc w tej krytycznej sytuacji — krytycznej pod względem medycznym, psychologicznym i... Mój Boże, znajdujemy się w takim położeniu, że możemy chyba podarować sobie wzajemnie odrobinę romantyzmu.

Leonardzie, przecież już jutro możemy wszyscy być martwi. Pocałuj mnie, proszę.

Mógł się opierać albo powiedzieć “nie”. Jednak jej czar zawładnął nim niczym alkohol wypity w zbyt dużej ilości. Pochylił się ku Esmeraldzie i pocałował ją.

Kochali się w milczeniu. Na ich twarzach rozkosz mieszała się z podświadomym bólem, że nie spotkali się wcześniej, w radośniejszych okolicznościach.

— Lepiej już idź — powiedział. — Ganmisch pali bardzo szybko.

Esmeralda przyciągnęła go do siebie i pocałowała w policzek.

A Kenneth Ganmisch, w pidżamie w niebieskie pasy, wsadził głowę w szparę drzwi i powiedział:

— Hej, wy dwoje. Jeśli o mnie chodzi, nie musicie się śpieszyć. Mam cały długi rozdział do skończenia.



To odgłos helikoptera obudził doktora Petriego. Usiadł i zaczął nasłuchiwać.

Esmeraldy już od dawna przy nim nie było. Obok leżał Kenneth Garunisch, z twarzą ukrytą w poduszce, i chrapał. Hałas helikoptera nasilał się i zanikał, tak jakby maszyna krążyła gdzieś blisko, co chwilę zmieniając kierunek. Wyskoczył z łóżka.

Z początku nie mógł go dojrzeć. Hałas rotorów odbijał się echem pomiędzy drapaczami chmur we wszystkich kierunkach, a niebo było szare, pełne chmur.

Wreszcie jednak zobaczył maszynę, wyłaniającą się zza trzydziestośmiopiętrowego budynku United Nations Plaza i zmierzającą w kierunku Concorde Tower.

Kenneth Garunisch usiadł i przetarł oczy.

— Co to takiego? — wymruczał.

— Helikopter — odparł doktor Petrie. — Krąży tu od dobrych kilku minut.

Garunisch wstał i podszedł do okna, aby samemu zobaczyć maszynę.

— A więc mamy jakąś nadzieję — zauważył. — Najprawdopodobniej krąży, zbierając sygnały od ludzi uwięzionych w budynkach.

— Czy powinniśmy dać mu jakiś sygnał?

— Niech pan robi, co pan uważa za stosowne.

Helikopter był już bardzo blisko i zaczął oświetlać silnym reflektorem Concorde Tower. Był to mały, dwuosobowy Bell o przejrzystym kokpicie. Doktor Petrie zaczął machać obiema rękami do pilota.

W tym samym momencie do pokoju wbiegł Herbert Gaines, nerwowo zaciągając pasek przy japońskim płaszczu kąpielowym.

— Czy to jest helikopter? — zapytał.

— Raczej nie łódź podwodna — odparł Kenneth Garunisch.

— A więc są! — zawołał Gaines. Powiedzieli, że mnie uratują i dotrzymali słowa!

Do pokoju weszła Adelaide i popatrzyła na doktora Petriego pytającym spojrzeniem.

— Leonardzie, co się stało?

Herbert Gaines wprost szalał ze szczęścia.

— Ludzie z Waszyngtonu. Zadzwonili do mnie w sobotę, kiedy było już wiadomo, że zaraza dotarła na Manhattan i powiedzieli, że przyślą po mnie helikopter. I oto on, moje wybawienie!

Podbiegł do okna i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami. Przez chwilę zdawało się, że pilot go nie widzi, nagle jednak reflektor oświetlił wielkie okno i Herbert Gaines znalazł się w strumieniu światła niczym aktor na scenie.

— Jestem tutaj — wrzeszczał. — Tutaj! Tutaj! Zobaczyli, że pilot wskazuje dłonią na dach i maszyna zatoczyła koło i zniknęła z pola widzenia. Herbert Gaines, drżący, podekscytowany, pobiegł do salonu i szybko się ubrał. Reszta trwała w absolutnym milczeniu.

— No! — Herbert Gaines powrócił do nich, wiążąc buty. — Myślę, że jestem gotowy.

Po chwili do pokoju wszedł Nicholas. Był zaspany, a jego nagość skrywał jedynie brązowy ręcznik kąpielowy, przepasany

wokół bioder.

— Chcesz mnie zostawić, Herbercie? Chyba żartujesz — powiedział.

Gaines przerwał zawiązywanie buta i popatrzył na niego. Następnie ogarnął wzrokiem pozostałych zebranych. Zdał sobie sprawę, że patrzą na niego tępo, niechętnie, i zagryzł wargi.

— Niestety, Nicky, nie żartuję. Zostawiam cię i was wszystkich.

— Nie wierzę ci. Nie jesteś w stanie tego zrobić. Herbert Gaines opuścił wzrok.

— Nicky — powiedział. — W tym helikopterze jest tylko jedno miejsce dla pasażera. Nikt nie może stąd ze mną odfrunąć.

Garunisch zakaszła.

— Może będziemy losować? — zaproponował ponurym głosem. — A może to któraś z pań powinna polecieć?

— Posłuchaj pan — powiedział Gaines drżącym głosem desperata. — Ten helikopter właśnie jest nad nami. Czeka i nie będzie czekał wiecznie. A czeka na mnie i tylko na mnie!

Garunisch wbił wzrok w podłogę.

— Jest pan starym człowiekiem, panie Gaines. Jest pan stary i ma pan za sobą długie życie. Sądzę więc, że zamiast pana powinna nas opuścić jedna z tych młodych dam. A może Nicholas? To pana dobry przyjaciel, prawda? Czy nie uważa pan, że to właśnie Nicholas powinien zająć miejsce w helikopterze? Jest młodszy od pana i miałby szansę jeszcze długo żyć.

— Ale ten helikopter został przysłany po mnie — upierał się Herbert Gaines. — Przyleciał tylko dlatego, że ja tutaj jestem. Partia mnie potrzebuje i tylko dlatego podjęła takie ryzyko. Jak uważacie, co powiedzą, kiedy ta maszyna powróci do Waszyngtonu z Nickym na pokładzie? Uważacie że się nie wściekną. Czy ktokolwiek zdecydowałby się ponieść takie koszty, takie ryzyko, tylko dlatego, żeby wywieźć z Manhattanu jakiegoś pedała?

Nicholas z otwartymi ustami wpatrywał się w Herberta. Nie wierzył w to, co usłyszał.

Garunisch odchrząknął.

— Skoro takie jest pana zdanie, panie Gaines, niech pan jak najszybciej stąd spieprza. Zdaje się, że już nikt z nas nie znajduje przyjemności w obcowaniu z panem.

Gaines zbladł.

— Posłuchajcie, kiedy tylko znajdę się w Waszyngtonie, natychmiast przyślę tutaj następny helikopter, większy, po was wszystkich...

Garunisch położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech się pan nie wysila. Mógłby pan przeciążyć u—mysł, próbując pamiętać o tej obietnicy, a wcale nie życzylibyśmy panu, by coś takiego nastąpiło.

— Panie Gaines — powiedziała Adelaide.

Herbert Gaines właśnie zapiął ostatni guzik przy koszuli.

— Tak — podniósł wzrok.

Adelaide nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

— Widziałam kiedyś pański film, panie Gaines. Herbert Gaines skrzywił usta w niechętnym grymasie.

— Moja droga, helikopter czeka, nie mogę...

— Lubię tę scenę, kiedy Hannah Carson mówi do kapitana Dashfoota: “Och, ty dzielny, dzielny, wspaniały człowieku, żeby cały świat był taki jak ty”.

Gaines na moment zamarł.

— Żałuję, że ma pani tak dobrą pamięć — powiedział. Ruszył ku drzwiom wyjściowym i zatrzymał się przy nich w teatralnej pozie z ręką na klamce, jakby chciał, żeby go wszyscy na zawsze zapamiętali. Spowodował jedynie to, że Nicholas powiedział:

— Na miłość boską, Herbercie, idź już stąd, idź się pierdolić.

Herbert Gaines uniósł głowę.

— Przyślę po was helikoptery — powiedział zdecydowanym głosem. — Obiecuję to wam, wyciągnę was stąd.

Otworzył drzwi.

Był tak zajęty zachowaniem swej dramatycznej pozy, że kiedy ruszyły na niego szczury, rzucając się przez uchylone drzwi, w pierwszej chwili wcale nie zareagował, kompletnie zaskoczony. A gryzonie skoczyły na niego, przywarły do koszuli i spodni, kilka z nich wdarło się do mieszkania. Od razu rozbiegły się po kątach.

Doktor Petrie jednym susem przesadził salon i zatrzasnął drzwi. Kilka szczurów trysnęło krwią, przytrzaśniętych w progu. Adelaide, Esmeralda i pani Garunisch, kwicząc z przerażenia zaczęły przestawiać krzesła i gonić gryzonie, które wdarły się do apartamentu.

Jeden ze szczurów zawiesił się na rękawie Herberta Gainesa. Stary aktor machał ręką bezskutecznie, dopóki nie pomógł mu Kenneth Garunisch, który podniósł ze stołu ciężką zapalniczkę i trzasnął nią szczura w łeb. Następnie zgniótł go butem.

— Och, Matko Boska — szepnął Gaines. — Och, Matko Boska.

— Cóż, kochanie — powiedział do niego Nicholas. — Zdaje się, że nici z twojego helikoptera. Herbert Gaines trząsł się.

— Tak ci się zdaje? — wyjąkał. — Czy uważasz, że potrafi mnie powstrzymać kilka szczurów?

— Kilka? — zdziwił się doktor Petrie. — Czy nie zauważył pan, jak dużo ich jest za drzwiami? Zapewne opanowały już cały budynek!

— Ale przecież ten helikopter nie będzie długo czekał! Zaraz odleci!

Kenneth Garunisch pomógł żonie zagnać ostatniego szczura w kąt, po czym trzasnął go kijem do baseballa. Następnie powrócił do Herberta Gainesa. Pani Garunisch zaczęła histerycznie łkać, a Esmeralda bezskutecznie próbowała ją uspokoić.

— Panie Gaines — powiedział Garunisch. — Jest pan szalony. Jeśli wyjdzie pan stąd, nie przetrwa pan nawet dwóch minut. Te szczury są agresywne i głodne. Gdy byłem małym chłopcem widziałem, jak jeden z takich szczurów zaatakował człowieka. Odgryzł mu nos! Jeden szczur! A tutaj muszą ich być setki, tysiące!

Doktor Petrie popatrzył na aktora i dorzucił:

— Wie pan dobrze, panie Gaines, że to nie ma sensu. Niech pan to przyzna.

Herbert Gaines wpatrywał się w sufit. Za ledwie kilka pięter wyżej, niecierpliwie oczekujący na dachu, znajdował się stalowy ptak, który miał mu przynieść wybawienie, miał doprowadzić go do wspaniałej kariery w polityce.

— Władza to atrakcyjna rzecz, prawda, panie Gaines? — odezwał się Kenneth Garunisch. — Posmakował jej pan i teraz trudno panu z niej zrezygnować.

Herbert Gaines popatrzył na niego.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Przysłali po mnie helikopter i muszę nim odlecieć, to wszystko.

Zaczął nerwowo spacerować po pokoju. W pewnym momencie rozpromienił się:

— Ogień! Tego mi trzeba! One się boją ognia.

— Panie Gaines — zdziwił się Garunisch. — O czym pan mówi, do cholery?

— Ze szczurami należy walczyć ogniem. Mamy tutaj jakieś gazety? Nicky, podaj mi gazety!

Nicholas, milczący, ponury, nawet nie raczył zareagować. Herbert więc sam zaczął myszkować po zakamarkach i szukał tak długo, dopóki nie zebrał dość papieru. Zwinął gazety w długi rulon, przypominający pochodnię.

— Tak, przyjaciele, ogień będzie moim ratunkiem.

Wziął ze stołu zapalniczkę, którą jeszcze przed chwilą Kenneth Garunisch zabił szczura, i podpalił papier. Doktor Petrie chciał mu przeszkodzić, jednak Kenneth Garunisch położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech idzie, doktorze. Postarajmy się tylko o to, żeby nie dostało się więcej szczurów do mieszkania. Nie można łądować się pomiędzy człowieka a jego przeznaczenie, nawet jeżeli jest on ostatnim śmieciem.

— Ale to jest szaleństwo! — zawołał doktor Petrie. — Przecież on nie przetrwa ani minuty!

— To jego problem. Chce stąd iść. Nicholas pokiwał głową.

— Ma pan rację, panie Garunisch. Herbert to męczennik. Musiałby pan go zabić, żeby go powstrzymać.

Gazety paliły się już na dobre. Herbert Gaines podszedł do drzwi i stanął przed nimi.

— Zobaczycie, co będzie się działo, gdy zobaczą ogień — powiedział z triumfem w głosie. — Unieszkodliwię je.

Doktor Petrie i Kenneth Garunisch stanęli obok niego przy drzwiach, gotowi je zatrzaskać w tej samej sekundzie, w której aktor wybiegnie z mieszkania. W pokoju czuć było już dym, w powietrzu unosiły się płaty spopielonego papieru.

Herbert gotów był do wyjścia.

Otworzył drzwi, gwałtownie wymachując swoją pochodnią. Szczury rzuciły się do jego nogawek niczym torpedy, jednak ogień wystarczał, by powstrzymać je przed wspinaczką ku twarzy i gardłu.

Wykopnąwszy cztery szczury za drzwi, doktor Petrie zatrzaskał je.

By osiągnąć dach, Herbert musiał przebiec schodami przez trzy piętra. Z początku radził sobie całkiem nieźle: udało mu się strząsnąć szczury ze spodni, a papier wciąż płonął. W połowie drogi jednak jego serce zaczęło bić jak oszalałe z wysiłku, a z



sześćdziesięcioletnich płuc zaczął wydobywać się chrapliwy świst. Herbert Gaines zaczynał słabnąć. Na dodatek ogień zgasł i teraz pozostał mu jedynie kawałek nie dopalanej gazety, by oganiać się przed najbardziej agresywnymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek widział.

Ostatni odcinek był wędrówką na Kalwarię. Szczury zwisały już z jego rąk i przez ubranie gryzły jego plecy i brzuch. Na nogawkach miał ich już dziesiątki, czuł ich zęby na udach. Dłońmi zasłaniał twarz i uparcie, ślepo, powoli, szedł naprzód.

Jego ból powoli stawał się nie do zniesienia. A nie mógł nawet krzyczeć, bo szczury wdarłyby się mu do ust. Jeden z nich, szczególnie tłusty i ciężki, wczepił się w jego policzek, kilka wisiało mu na dłoniach, którymi osłaniał usta.

Próbował ignorować ból, próbował nie zauważać bolesnych ukłuc, którymi torturowały go przerażające, piszczące gryzonie. Starał się koncentrować myśli jedynie wokół dachu — dachu, na którym znajdował się jego helikopter, cudowne wybawienie.

Musiał odsunąć jedną rękę od twarzy, żeby otworzyć drzwi prowadzące na dach, Zdawało mu się, że jego ręka waży setki funtów, obwieszona kilkunastoma szczurami. Jedna z bestii natychmiast ugryzła go w policzek i stracił kilka cennych sekund, starając się ją zrzucić.

Pilotem helikoptera był trzydziestosześcioletni weteran wojny wietnamskiej o nazwisku Andy Folger. Gdy drzwi na dach otworzyły się, akurat spoglądał niecierpliwie na zegarek. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił w tej chwili było uruchomienie silnika. Szybko rzucił okiem na poziom paliwa, po czym otworzył drzwi dla pasażera. Wiedział, że im szybciej wykona

swoją misję, tym prędzej znajdzie się w bezpiecznym, przytulnym domu.

Usłyszał jakiś dziwny pisk i odwrócił się. Nagle żołądek podszedł mu do gardła, jakby w ciągu jednej sekundy zjechał trzydzieści pięter w dół szybkobieżną windą. Ujrzał dziwną sylwetkę w szarym, żywym futrze, poruszającą się w jego kierunku. W pierwszej chwili niczego nie zrozumiał, a kiedy pojął, z przerażenia nieomal postradał zmysły.

Nie widział szczurów, które wybiegły przez drzwi i popędziły do helikoptera.

Pochylił się, aby czym prędzej zatrzasać drzwi dla pasażera i jeden z nich ugryzł go w dłoń. Przyłgnał mu do ręki i kilkakrotnie musiał trzasnąć nim o podłogę, aby go zabić.

Tymczasem do kokpitu wdarły się następne gryzonie.

Andy Folger jednak tego nie zauważył. Natychmiast wystartował i skierował maszynę na północ. W kabinie tymczasem biegały aż trzy szczury. Jeden z nich ugryzł pilota w twarz. Spróbował go oderwać od siebie, ale w tym momencie kolejna bestia uryzła go w ramię.

Zawył z bólu i nagle stracił kontrolę nad maszyną. Andy Folger walczył ze szczurami, a tymczasem horyzont odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i helikopter znalazł się pomiędzy drapaczami chmur 1 Alei. Andy widział niebo — budynki — niebo — budynki, a helikopter cały czas spadał. Trwało to krótko, gdyż znajdował się na wysokości osiemnastego piętra nad ziemią. Spadł na szklany dach supermarketu i eksplodował gorącym strumieniem ognia.

Na szczycie Concorde Tower Herbert Gaines niczego nie widział ani nie słyszał.

Jeszcze walczył ze szczurami, jeszcze szedł w kierunku helikoptera, który przed chwilą odleciał, ale jego koniec był już bliski.

Niedługo po południu skończył się prąd z generatorów awaryjnych. Nagle zgasły światła, przestały pracować lodówki.

Doktor Petrie, który siedział z Prickles na kanapie i czytał jej bajkę, uniósł głowę znad książki.

— Tatusiu — powiedziała Prickles przestraszona. — Zrobiło się ciemno.

Kenneth Garunisch wstał z fotela i kilkakrotnie pstryknął kontakt. Nie było wątpliwości, że nie ma prądu. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Generatory wysiadły. Te pieprzone szczury najprawdopodobniej poprzegryzały przewody.

Esmeralda, siedząca ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, odezwała się:

— Co teraz zrobimy? Całe jedzenie zepsuje się. Wątpię, czy mamy dość konserw, żeby przetrwać chociażby tydzień. Jest nas sześcioro, prawda? Nawet siedmioro, jeżeli wliczymy Prickles. A nie mamy więcej niż dziewięć albo dziesięć konserw z mięsem, może jeszcze kilka puszek z owocami. Sprawdzę zresztą.

Doktor Petrie odłożył książkę i wstał.

— Myślę, że powinniśmy zdecydować, co robić, żeby przetrwać. Jaki dzisiaj jest dzień? Wtorek? Sądzę, że ci, którzy wyszli na ulice w niedzielę, już nie żyją, pokonani przez zarazę,

na zewnątrz jest więc bezpiecznie, jeśli chodzi o wszelkich oprychów i chuliganów.

— A szczury? — zapytała Adelaide. Doktor Petrie podrapał się po głowie.

— Nie jestem pewien co do szczurów. Uważam jednak, że szczury to nasz najgorszy problem i jest ich coraz więcej.

— Co więc mamy robić? — zapytała pani Garunisch. — Te szczury są takie gwałtowne... Nie potrafię znieść myśli o nich.

— Nie ma wody! — zawołała Esmeralda z kuchni. — To znaczy, że nie mamy już nic do picia.

— Jest tutaj morze whisky — zauważył Garunisch, podnosząc kryształową karafkę.

— Czy ktoś z was ma samochód? — zapytał doktor Petrie.

— Samochód? — zdziwił się Garunisch. — Do diabła, po co panu samochód?

— Cóż — westchnął doktor Petrie. — Jeżeli z tymi szczurami sytuacja jest aż tak tragiczna, niemożliwe będzie, żebyśmy wyszli stąd wszyscy za jednym razem. Ale jeśli ktoś z nas, opatulony w koce czy coś takiego, wydostanie się stąd, nie zagryziony przez szczury, samochód będzie mu potrzebny.

— No i co potem? — zapytał Garunisch. — To jest martwe miasto. Gdzie ten ktoś miałby szukać pomocy?

— Jest tutaj dość żywności, żeby przeżyć kilka dni. To wystarczy chyba do czasu, kiedy ten, który stąd wyjdzie, dotrze do strefy wolnej od zarazy i zorganizuje pomoc powietrzną. Nie oszukujmy się, wszyscy jesteście bogatymi ludźmi i jeżeli w ogóle będzie jakaś pomoc, po was przybędzie najpierw.

Pani Garunisch ciężko westchnęła.

— A jeżeli nie otrzymamy pomocy? — zapytała z niepokojem.  
— Co wtedy?

Kenneth Garunisch dotknął jej dłoni.

— Gay — powiedział łagodnie. — Nie wolno nam tak mówić, ani w ten sposób myśleć.

Doktor ma rację, ktoś z nas musi stąd wyjść i zawiadomić o nas świat. Nie możemy zmarnować żadnej szansy przeżycia.

Doktor Petrie na chwilę poszedł do gabinetu Ivora Glant—za, po czym wrócił z plikiem papierów.

— To jest o wiele ważniejsze jednak niż ktokolwiek z nas. Pani Garunisch popatrzyła na niego podejrzliwie.

— Co to takiego? — zapytała.

— To wyliczenia matematyczne profesora Glantza, dotyczące zarazy. Nie ukończył ich, niestety. Nie jestem naukowcem. Przejrzałem je jednak i odnoszę wrażenie, że mają sens — wyjaśnił doktor Petrie. — Jeżeli te papiery dotarłyby do rządu federalnego, moglibyśmy namówić ich, żeby zaangażowali najlepszych naukowców, którzy zdołaliby dalej iść tropem obliczeń Glantza. Przy odrobinie szczęścia może okazać się, że tutaj tkwi właśnie klucz do powstrzymania epidemii.

Ktokolwiek z nas opuści żywy Concorde Tower, będzie miał obowiązek zapewnienia pomocy pozostałym, jednak jego najświętszym obowiązkiem będzie przekazanie tych materiałów do departamentu zdrowia.

— A skąd mamy wiedzieć, że zaraza nie objęła już całego kraju — zapytał Nicholas. — Chryste, przecież cały Nowy Jork zginął w ciągu trzech dni!

— Nie wiemy tego. Ostatnie wiadomości radiowe, jakie usłyszałem, informowały, że zarazę zatrzymano przy Alleg—henies. Być może sytuacja jest teraz o wiele gorsza. Prawdopodobnie tak właśnie jest. Ale jeśli te papiery dotrą do Waszyngtonu na czas... Cóż, kto wie? Może uda się ocalić Środkowy Zachód, może ocalimy Zachodnie Wybrzeże?

— Cóż, przekonuje mnie pan — powiedział Kenneth Garunisch. — Dałbym panu mój samochód, ale niestety, kluczyki zostawiłem w mieszkaniu.

— Esmeraldo? — zapytał doktor Petrie. — A co z twoim autem?

— Zaparkowałam je na ulicy. Obawiam się, że już niewiele z niego zostało.

— Myślę, że mercedes Herberta jest w porządku — oznajmił Nicholas. — Stoi w garażu w piwnicy. Mam przy sobie kluczyki, Herbert zawsze kazał mi je nosić.

Kenneth Garunisch popatrzył na niego z uznaniem.

— Wygląda na to, że kapitan Dashfoot zrobił dla nas jednak coś pożytecznego.

— W samochodzie są tylko dwa miejsca — powiedział Nicholas. — Z tyłu jest jeszcze mały fotelik, ale nie da się na nim długo podróżować.

Kenneth Garunisch otworzył pudełko z papierosami i wyciągnął z niego dwa ostatnie papierosy Ivora Glantza.

— W takiej sytuacji — powiedział, przypalając zapałkę — proponuję, żeby jechał doktor Petrie i zabrał ze sobą córeczkę. Prickles doskonale zmieści się z tyłu, prawda, Prickles?

Prickles jedynie nieśmiało pokiwała głową.

— Nie, to jest niesprawiedliwe — oświadczył doktor Petrie. — Proponuję, żebyśmy wszyscy ciągnęli zapałki i losowali, kto z nas ma jechać.

Garunisch skrzywił się z niechęcią.

— Niech pan nie plecie głupstw, doktorze. Niech pan pomyśli, co będzie, jeżeli losowanie wygra Gay? W jaki sposób wydostanie się z tego zaszczurzonego budynku, przejedzie do Waszyngtonu, a potem przekona departament zdrowia, że ma sposób na leczenie dżumy? Ona nie przekonałaby nikogo, że tuńczyk jest lepszy od flądry!

— Ken! — zawołała pani Garunisch, urażona. Garunisch otoczył ją ramieniem.

— Nie obraż się, Gay, ale to jest prawda. Z całą pewnością przede wszystkim musi nas opuścić doktor Petrie. Poza tym to jego pomysł. Czy wyobrażasz sobie mnie, próbującego sprzedać bajeczkę o leczeniu zarazy? Czy masz pojęcie, co obecnie mówią o mnie w Waszyngtonie? Nie możemy też puścić Nicholasa. Popatrz tylko, jak przekonywająco wygląda w tym swoim marynarskim sweterku.

— Wciąż pozostaje jedno wolne miejsce w samochodzie — zauważył doktor Petrie.

Adelaide, siedząca obok niego, podniosła głowę. Zmarszczyła czoło i powiedziała:

— Jednak... Garunisch przerwał jej.

— To prawda. O to jedno miejsce pociągniemy więc losy. Esmeraldo, bądź tak dobra i podaj zapałki.

— Leżą na stoliku.

Adelaide delikatnie pociągnęła doktora Petriego za rękaw. Odwrócił się do niej.

— Leonardzie — wyszeptała. — Myślałam, że... Położył palec na jej ustach.

— Nie przejmuj się. Cokolwiek się stanie, wszystko będzie dobrze.

— Ale ja chcę jechać z tobą. Uścisnął jej dłoń.

— Kochanie, już od Florydy jesteście razem, ponosimy to samo ryzyko. Próba wydostania się stąd będzie jednak niebezpieczniej sza od wszystkiego, przez co do tej pory przeszliśmy, a z pewnością będzie niebezpieczniej sza niż pozostanie tutaj. Pamiętasz chyba Herberta Gainesa; sądzę, że nie dostał się nawet na kolejne piętro.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Cicho — syknął.

Garunisch pociął zapalki i wręczył je doktorowi.

— Kto wyciągnie najdłuższą, jedzie z doktorem i z Pric—kles, zgoda? — zapytał.

Milczenie, które zapanowało, było odpowiedzią twierdzącą.

Doktor Petrie schował rękę za plecy i ułożył zapalki tak, że sam nie miał pojęcia, która jest najdłuższa. Podszedł do Nicholasa.

Nicholas wyciągnął szybko jedną zapalkę z zamkniętymi oczyma.

— Wiem, że jest krótka — powiedział. — Z całą pewnością wiem.

Otworzył oczy i popatrzył na nią. Była krótka.



Doktor Petrie podszedł do Kennetha Garunischa. Stary związkowiec zastanawiał się przez chwilę, drapiąc się po policzku, po czym ostrożnie wyciągnął środkową zapalną. Była dłużą niż ta, którą trzymał Nicholas, wciąż jednak była za krótka.

Garunisch wzruszył ramionami i połamał ją.

Pani Garunisch była następna w kolejności. Drżały jej ręce. Wcale nie chciała wyciągnąć najdłuższej zapalnej, ponieważ wolała pozostać z mężem, wiedziała jednak dobrze, jak bardzo nalega on na przestrzeganie reguł gry, w jakichkolwiek okolicznościach. Jeżeli wygrałaby, zmusiłby ją do wyjazdu.

Gdy wyciągnęła krótką zapalną, westchnęła z ulgą.

Adelaide popatrzyła na Esmeraldę.

— Ona pierwsza — powiedziała do doktora Petriego. Doktor Petrie potrząsnął przecząco głową.

— Zapewne zauważyłaś, że obchodzę cały pokój zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Adelaide popatrzyła mu w oczy. Wytrzymał jej spojrzenie i przez długą chwilę patrzył na nią smutnym wzrokiem. Mówi się, że kobieta potrafi wyczuć chwilę, w której mężczyzna przestaje jej pożądać. Doktor Petrie zastanawiał się, czy to prawda. Zastanawiał się też, w którym momencie przestał cokolwiek czuć do Adelaide. Stwierdził, że był to długi proces i to, co zaszło ostatniej nocy pomiędzy nim a Esmeraldą, nie miało z tym nic wspólnego.

Być może zmieniło go wszystko to, czego doświadczył od chwili, gdy wybuchła zaraza. Być może po prostu doszedł do wniosku, że Adelaide jest tą częścią jego życia, którą należy jak

najszybciej wymazać z pamięci. Powinien zapomnieć o tenisie, bezmyślnym pływaniu w basenie i beztroskich popołudniach w klubie golfowym.

— Ciągnij — powiedział cicho, kierując ku niej rękę z dwiema ostatnimi zapalkami.

Adelaide wyciągnęła.

Doktor Petrie podał ostatnią zapalkę Esmeraldzie. Nie patrzyła na niego, po prostu wzięła ją, po czym na nią spojrzała.

Zapalka Esmeraldy była odrobinę dłuższa niż ta, którą wyciągnęła Adelaide.

— A więc postanowione — powiedział głośno Kenneth Garunisch.

Esmeraldą wstała. Oczy miała opuszczone i oznajmiła po prostu:

— Spakuję swoje rzeczy.

— Nie! — krzyknęła niespodziewanie Adelaide. Doktor Petrie chwycił ją za ramię.

— Kochanie, to było uczciwe losowanie — powiedział.

— Nic już nie poradzimy. Musieliśmy przecież jakoś to rozwiązać.

— Ja mam tutaj zostać, gdy ty sobie pojedziesz? — zawołała Adelaide. Łzy złości i rozpaczki ciekły po jej policzkach.

— Ty przecież nie musiałeś ciągnąć tej przeklętej zapalki.

— Niech pani przestanie — zażądał Kenneth Garunisch.

— Już to ustaliliśmy.

— Ustalmy więc jeszcze raz — warknęła Adelaide. Całe napięcie, które do tej pory tłumiała w sobie, ujawniło się teraz, powiększając jej desperację. — Jestem z Leonardem i to ma w

tej chwili największe znaczenie. Czy pan pojechałby bez swojej żony?

— Adelaide, tutaj będziesz bezpieczniejsza!

— Nie obchodzi mnie to! Chcę jechać z tobą. Leonard Petrie z największym trudem panował nad sobą. Sytuację niespodziewanie rozwiązała Esmeralda.

— W porządku — powiedziała. — Niech jedzie Adelaide. Ja chętnie tutaj zostanę.

— Esmeraldo — odezwał się doktor Petrie. Ona jednak tylko potrząsnęła głową i znów ani na moment na niego nie spojrzała.

— Zabierz ją z sobą — powiedziała. — I dajcie mi już wszyscy spokój.

Adelaide wycierała oczy chusteczką. Doktor Petrie był na nią wściekły za ten wybuch egoizmu, ale z drugiej strony czuł, jakby spadł mu ciężki kamień z serca.

Gdyby zostawił teraz Adelaide, znów dokuczałoby mu poczucie winy, jakie dręczyło go, gdy zostawił Margaret.

Zawód lekarza zmusza czasami do tego, by nawet kochanki traktować jak pacjentów, pomyślał.

— Dobrze więc. Skoro tak sobie życzycie...

Przygotowania zabrały im prawie dwie godziny. Gdy wreszcie byli gotowi, wyglądali jak astronauty w łachmanach, opatuleni w ciężkie koce, umocowane licznymi sznurami i rzemykami.

Doktor Petrie zawinął całą Prickles w kołdrę i przytroczył ją sobie do pleców.

Wraz z Adelaide przede wszystkim grubo się ubrali w rzeczy, które pozostały po Glantzu. Na ręce założyli rękawiczki i jeszcze dodatkowo obwiązali je bandażami.

Byli całkowicie zakapturzeni; na głowach pozostawili jedynie otwory na oczy.

Doktor Petrie zabrał rewolwer Kennetha Garunischa i bezcenne kluczyki do mercedesa, które schował w rękawicze.

— Zdaje się, że schudnę, jeżeli to przeżyję — powiedział. Jego głos dobiegał przytłumiony z wnętrza ciasnego kaptura. — Czuję się w tym, jak w jakiejś pieprzonej łaźni tureckiej.

Kenneth Garunisch podał mu obliczenia Glantza, starannie zawinięte. Następnie potrząsnął jego dłoń.

— Niech pan nie zapomni przysłać po nas helikoptery — powiedział ze słabym uśmiechem. — Myśl, że resztę życia miałbym tu spędzić, wcale mnie nie bawi.

Doktor Petrie jedynie pokiwał głową. Pragnął jak najszybciej rozpocząć ucieczkę z Concorde Tower. Poszedł jeszcze pożegnać się z Esmeraldą.

— Wyglądasz, jakbyś wyruszał na Biegun Północny — powiedziała i uścisnęła jego opatuloną dłoń.

— Kiedy tylko znajdę się w bezpiecznym miejscu, przyślę po was wszystkich helikopter — obiecał doktor Petrie.

— Nie martw się mną—powiedziała. — Myśl o czymś ważniejszym. Wiesz, odnoszę wrażenie, że urodziłeś się do wielkich rzeczy, Leonardzie. Gdybyś tylko miał szansę...

— Tak twierdziła Margaret.

— Margaret?

— Moja była żona. Teraz już nie żyje. Zmarła na dżumę.

— Przepraszam.

— Chciała, żebym był sławny, tylko dlatego, że pragnęła jak paw kroczyć w blasku mojej sławy.

Esmeraldą uśmiechnęła się trochę weselej. Nie był pewien, bo gruby kaptur ograniczał jego pole widzenia, jednak miał wrażenie, że w jej oczach pojawiły się łzy.

— Leonardzie, teraz masz szansę być sławny jedynie wtedy, gdy przetrwasz. Lepiej więc już idź. Czekają na ciebie.

Jeszcze przytulił ją mocno do siebie, po czym odwrócił się i przeszedł do salonu. Czekają już na niego Adelaide i Prickles, szczelnie opatulone. Z trudem można było rozpoznać w nich ludzkie sylwetki.

— W porządku — powiedział. — Ruszamy.

Kenneth Garunisch i Nicholas pomogli mu założyć Prickles na plecy. Przywiązali ją mocno paskiem wyciągniętym z jakiejś starej walizki.

Nicholas przygotował się, żeby otworzyć drzwi i ich wypuścić. Garunisch i jego żona złapali za kije, gotowi do akcji, gdyby do mieszkania wdarły się szczury.

— Gotowi? — zapytał Nicholas. — A więc... Start!

Otworzył drzwi. Szczury z miejsca zaatakowały śmiazków jak fala, piszczące, wściekłe, żarłoczne. Posuwając się do przodu z Prickles na plecach i popychając przed sobą Adelaide, doktor Petrie nie widział nic przez maskę na twarzy oprócz szcurzych grzbietów zalegających całe piętro i schody.

Szybko zeszli na piętnaste piętro, jednak po drodze zdążyło się do nich przyczepić kilkanaście gryzoni. Doktor Petrie kopał je przy każdym kroku, machał rękami, próbując rozbić o ściany

te, które poprzyczepiały się do rękawów, wisiały jednak nawet martwe, dopóki nie zostały strącone przez żywe bestie.

Adelaide w pewnej chwili potknęła się. Doktor Petrie, z Prickles na plecach, nie był w stanie jej pomóc. Z trudem się podniosła i zaczęła wicie się i podskakiwać w daremnym wysiłku zrzucenia z siebie gryzoni, które, skorzystawszy z jej upadku, obsiadły ją w nieprawdopodobnych ilościach.

Na dwunastym piętrze szczury zajmowały już całą powierzchnię ich "pancerzy", wgryzając się w nie z nieprawdopodobną agresją. Adelaide znów upadła i tym razem doktor Petrie pochylił się i ściągnął kilkanaście szczurów z jej pleców. W przeciwnym wypadku, przytłoczona ich ciężarem, już by nie wstała. Sam obwieszony był już nimi tak dokładnie, że co jakiś czas jedynie odrywał któregoś od siebie i rozrywał na strzępy, w bezsilnej wściekłości.

Dziesięć minut zabrała im droga z dwunastego piętra na dziewiąte. Znalazszy się tam, doktor Petrie był wprost wilgotny od potu i z trudem oddychał śmierdzącym powietrzem. Kilmatyzacja w budynku nie działała od chwili, gdy zabrakło prądu, a korytarze były po prostu pełne szczurzej uryny i kału. W takim zaduchu płuca odmawiały wręcz pracy. Prickles, przyczepiona do jego grzbietu, była ciężarem rozdzierającym wręcz mięśnie. O tym jednak wolał nie myśleć.

Brocząc po kolana między szczurami, podszedł do drzwi przeciwpożarowych, odcinających drogę na niższe piętro. Drzwi były zamknięte na klucz i dodatkowo zablokowane zasuwą. Bezsilnie ogarniając się od szczurów, zawołał:

— Zamknięte na cztery spusty! Nie otworzę tych drzwi!  
Adelaide oparła się o ścianę.

— Musisz! — krzyknęła. — Ja już dłużej nie dam rady! Musisz natychmiast otworzyć te cholerne drzwi!

Doktor Petrie spojrział w kierunku otwartych drzwi windy. Decyzję podjął w jednej chwili. Chwycił Adelaide za ramię i poprowadził ją w tamtym kierunku.

— Czy potrafisz opuszczać się po linie? — krzyknął. Przecząco potrząsnęła głową, do której przyczepionych było kilka szcurów. Ruch ten sprawił, że zakołysały się.

— Leonardzie, to dziewięć pięter! Nie dam rady!

— Musisz! Jeżeli nie, to będziesz musiała wracać. Posłuchaj, Adelaide, rób tylko to, co ja będę robił

Stanąwszy nad przepaścią szybu windy, doktor Petrie sięgnął po linę. Za pierwszym razem jej nie złapał, jednak gdy spróbował po raz drugi, udało mu się.

Wówczas spojrział w dół. Pod nim znajdowało się sto trzydzieści stóp szybu, zakończonego betonową posadzką w piwnicy.

— Szybciej! — krzyknęła Adelaide. — Ja już nie mogę!

Ścisnąwszy w dłoniach stalową linę, doktor Petrie uwiesił się na niej i zaczął się opuszczać. Adelaide stała w drzwiach i wpatrywała się w niego z wahaniem.

— To nie jest trudne! — zawołał. — Po prostu złap linę i powoli się po niej opuszczaj!

Adelaide wysłuchiwała go i po chwili wisiała na linie. Głośno łkała i doktor Petrie, sam z trudem trzymając się, czekał z

rozpoczęciem podróży w dół, aż dziewczyna uspokoi się i zacznie się bezpiecznie opuszczać.

— No, już dobrze! — zawołał. — Teraz powoli się zsuwaj. Nie możesz robić tego zbyt szybko, bo wtedy linka przetrze ci rękawice, a potem dłonie.

— Nie mogę — łkała Adelaide. — Za bardzo się boję.

— Na miłość boską, musisz! Nie masz innego wyjścia.

Obciążony sznurami i Prickles, nie czekając na Adelaide, doktor Petrie zaczął powoli zsuwać się w dół. Co kilkanaście sekund odpoczywał, przyciskając się do stalowej liny. Po jego twarzy grubymi strumieniami spływał pot. Serce szalało mu w klatce piersiowej, jakby za chwilę miało z niej wyskoczyć. Słyszał, jak Prickles mówi coś niezrozumiałego, czuł, jak wierci się w kołdrze, nic nie mógł jednak na to poradzić. Modlił się jedynie, żeby się uspokoiła.

Gdy dotarli do siódmego piętra, doktor Petrie zatrzymał się na kolejny odpoczynek. Głośno i ciężko oddychał i zaczynał drżeć na całym ciele. Właśnie miał ruszyć dalej, gdy znów usłyszał głos Adelaide.

— Leonardzie!

— O co chodzi?

— Nie mogę... Nie czuję rąk. Spróbował popatrzeć w górę.

— Co takiego?

— Nie czuję własnych dłoni! Otarł pot z czoła.

— Spróbuj poruszać palcami! Cisza. Nagle Adelaide wrzasnęła:

— Nie czuję ich!



To musiało się stać. Przeleciała obok niego, uderzywszy go w ramię tak mocno, że o mały włos sam by spadł.

Nie słyszał niczego, nawet potężnego huku, gdy jej ciało uderzyło o beton. Bez ruchu wisiał na linie — grubo opatulony, ciężki. Po chwili ruszył w dalszą drogę; lkał cicho, pokonując kolejne piętra. Jego dłonie krwawiły, a całe jego ciało przeszywał ból, niemal niemożliwy do wytrzymania.

Właśnie przestało padać. Słońce odbijało się w mokrym asfalcie, jasne promienie skrzyły wesoło na ocalałych szybach. Doktor Petrie powoli jechał przez Manhattan w kierunku Holland Tunnel. Zabandażowane dłonie z trudem utrzymywały kierownicę. Na poranionej twarzy doktora malowało się cierpienie i skrajne wyczerpanie. Prickles, ze sklejonymi, wilgotnymi włosami, spała w fotelu pasażera. Na podłodze, leżały obliczenia, których nie zdążył dokończyć Ivor Glantz.

Popołudnie powoli przechodziło we wczesny wieczór, potem zapadła noc. Przez Holland Tunnel doktor Petrie wjechał do Jersey. Kierował się na południowy zachód. Przez opuszczony i opustoszały kontynent zmierzał tam, gdzie była granica strefy zarazy, o ile w ogóle taka granica gdzieś istniała. Momentami zdawało mu się, że on i Prickles pozostali jedynymi żywymi istotami i że do nich obojga należy cała Ameryka.

W pewnym momencie Prickles obudziła się. Popatrzył na nią i w przytłumionym zielonym świetle, jaki dawała tablica rozdzielcza mercedesa, zauważył, że dziewczynka jest spocona i blada.

— Tatusiu — powiedziała. Milczał.

— Tatusiu, co się dzieje?

Spróbował uśmiechnąć się. Bardzo bolał go brzuch i nie miał pojęcia, jak długo jeszcze potrafi prowadzić samochód. Zaczął stopniowo zwalniać, aż wreszcie zupełnie zatrzymał mercedesa.

Wyłączył silnik. Znajdował się w Delaware, niedaleko Wilmington. Noc była ciemna, z gęstych krzaków przy szosie dochodziły odgłosy szeleszczących insektów.

— Tatusiu, czy jesteś chory? — zapytała Prickles.

Doktor Petrie przecząco potrząsnął głową. Dotknął jej włosów o kolorze miodu, a potem jej poważnej, pięknej twarzyczki.

— Wiesz co? — wyszeptał. Popatrzyła na niego z uwagą.

Ból był coraz większy i z każdą chwilą Leonard Petrie coraz bardziej tracił panowanie nad sobą.

— Co, tatusiu? — zapytała Prickles, nie doczekawszy się więcej słów.

Kierownica samochodu zaczęła się od niego oddalać i przybliżać. Poczuł rozdzierający ból w zwieraczkach.

Popatrzył na Prickles i powiedział bardzo cicho:

— Nigdy nam tego nie wybaczysz.